

PRZEMYSŁAW
BORKOWSKI

WIEŻA STRACHU

GDY NIE PATRZYSZ DOŚĆ UWAŻNIE,
DOSTRZEGASZ TYLKO TO, CO CHCESZ ZOBACZYĆ.



PRZEMYSŁAW
BORKOWSKI

WIEŻA
STRACHU

 CZW
ARTA
STRO
NA

Copyright © Przemysław Borkowski, 2022

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2022

Redaktorka prowadząca: Anna Rychlicka-Karbowska

Marketing i promocja: Marta Kujawa

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska

Korekta: Agnieszka Czapczyk, Lidia Kozłowska

Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Projekt okładki i stron tytułowych: Pola i Daniel Rusiłowiczowie

Fotografie na okładce: © Javier Brosch / Shutterstock

Fotografia autora: © Mikołaj Starzyński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67461-37-5

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-2519

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Cytat](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Rozdział 58](#)
[Rozdział 59](#)
[Rozdział 60](#)
[Rozdział 61](#)
[Rozdział 62](#)
[Rozdział 63](#)
[Rozdział 64](#)
[Rozdział 65](#)
[Rozdział 66](#)
[Rozdział 67](#)
[Rozdział 68](#)
[Rozdział 69](#)
[Rozdział 70](#)
[Rozdział 71](#)
[Rozdział 72](#)
[Rozdział 73](#)
[Rozdział 74](#)
[Rozdział 75](#)
[Rozdział 76](#)
[Rozdział 77](#)
[Rozdział 78](#)
[Rozdział 79](#)
[Rozdział 80](#)
[Rozdział 81](#)
[Rozdział 82](#)
[Rozdział 83](#)
[Rozdział 84](#)
[Rozdział 85](#)
[Rozdział 86](#)

Życie jest snem, a śmierć przebudzeniem.

Pedro Calderón de la Barca

ROZDZIAŁ 1

Widok był piękny i jednocześnie przerażający. Jakby stała na krawędzi przepaści. Jak można żyć w takim miejscu?, pomyślała. Wielkie, szklane tafle okien od sufitu aż do podłogi i żadnej innej bariery oddzielającej mieszkających tu ludzi od tej ogromnej przestrzeni po drugiej stronie szyby. Gdyby to było jej mieszkanie, ciągle by się bała, że stąd wypadnie. Ale spokojnie, nie byłoby jej na nie stać, prokuratorzy nie zarabiają aż tak dobrze. Tak dobrze zarabiają adwokaci.

Przypominała sobie sprawę Julii Gierszewskiej i Kasprowy Wierch. Tam też był taki zapierający dech w piersiach widok. Tylko że tam patrzyło się na góry, tu pod stopami miała miasto. Zamiast szczytów Tatr widziała niebotyczne wieżowce centrum Warszawy. Pałac Kultury, InterContinental, Marriott, błękitne skrzydło Libeskinda i ten nowy, podobno najwyższy w Unii Europejskiej. Imponujące. Dało się stąd nawet dostrzec szeroką, srebrzystą wstęgę Wisły.

Lecz to wszystko naprawdę trudno byłoby nazwać domem. Takim, do którego się wraca, żeby opatrzeć rany powstałe po potyczkach ze światem; takim, w którym człowiek czuje się bezpiecznie i u siebie. Ciepłym, przytulnym azylem, w którym kwitnie spokojna, pełna czułości miłość. Czasem opisując takie miejsca, używa się metafory gniazda. To też było gniazdo, tyle że zawieszona na skraju urwiska, na półce skalnej, którą smaga wiatr.

I ten wiatr wcale nie był metaforyczny. Czowała jego napór na szklaną tafle przed sobą, czowała, jak stara się wedrzeć przez spojenia między szybami, jak wygina całą konstrukcję budynku,

jak odchyła ją od pionu. Czytała kiedyś, że najwyższe tego typu budowle potrafią odginać się prawie o metr. Co się wtedy dzieje? Ołówki turlają się po stole, książki spadają z półek, zupa wylewa się z talerzy...? Spróbowała wyobrazić sobie to małżeństwo, które tu mieszkało, jak siedzi przy stole, z którego wszystko spada, niczym na statku w wiecznym przechyle.

Czy to był jeden z powodów, dla których połowa tego stadła leżała teraz za nią w kałuży krwi? Na pewno nie najważniejszy i na pewno nie powinna o nim wspominać w akcie oskarżenia, jeśli nie chce narazić się na śmieszność, lecz nie mogła oprzeć się wrażeniu, że coś jest na rzeczy. Podobno człowiek nie powinien mieszkać wyżej niż na dziesiątym piętrze. Ponad tym poziomem rozpoczyna się już strefa, w której trzeba się liczyć z niekorzystnym wpływem wysokości na organizm. Fizycznym i psychicznym. A to było przecież trzydzieste piętro. Ponad sto metrów nad poziomem gruntu. Jak można żyć w takim miejscu?

Odwróciła się od okna. Z tej strony widok też nie był zbyt przyjemny, lecz przyzwyczaiła się przecież do widoku trupów. Nie przerażało jej to już. A na pewno nie aż tak, jak tamta zdająca się ją przywoływać otchłań.

- Przyczyna zgonu? - spytała.

Kobieta w białym kombinezonie i plastikowych okularach ochronnych uniosła lekko głowę.

- Niejasna - odpowiedziała.

- Jak to niejasna? - zdziwiła się. Plama krwi na podłodze wydawała się nie pozostawiać miejsca na zbyt wiele wątpliwości.

- Brak widocznych ran czy obrażeń - sprecyzowała kobieta.

- Wygląd zwłok sugeruje z kolei, że zgon nie nastąpił w sposób spokojny. Trzeba zrobić autopsję, żeby powiedzieć coś więcej.

Prokurator Gabriela Seredyńska spojrzała na leżące u jej stóp ciało. Twarz nieboszczyka zastygła w grymasie bólu.

Wytrzeszczone oczy zdawały się patrzeć na nią. Kałuża krwi wokół głowy wyglądała jak czerwona aureola. Wzdrygnęła się mimowolnie.

- To skąd w takim razie ta krew? - spytała.

- Raczej nie pochodzi z tych zwłok. Brak śladów wycieków z otworów ciała. Trzeba oczywiście wykonać badania genetyczne, żeby stwierdzić, czy krew należała do ofiary, czy do kogoś innego. Kolor skóry nie wskazuje jednak na jakiś duży jej ubytek.

- Znaleźliście tu jeszcze kogoś? - spytała stojącego pod ścianą policjanta.

- Na razie nie - odpowiedział.

- Jeśli był tu ktoś jeszcze i to on tak krwawił, to raczej daleko nie odszedł - stwierdziła kobieta w kombinezonie technika. - Jest tego naprawdę sporo.

- Przeszukajcie mieszkanie, a w razie czego cały budynek - poleciła Seredyńska. - Parking podziemny i najbliższe okolice. Może mamy tu gdzieś następnego trupa.

Policjant skinął głową i wyszedł. Czterdzieści cztery piętra, pomyślała. Raczej prędko nie wróci.

Spojrzała ponownie na leżące przed nią ciało. Nie zwróciła na to uwagi wcześniej, lecz rzeczywiście nie było ubrudzone krwią. Włosy na potylicy nie były nawet nią przesiąknięte, głowa leżała tylko na niej, jakby ktoś położył ją na tej czerwonej plamie.

- Jaka mogła być przyczyna zgonu? - spytała. - Jak się pani zdaje?

Kobieta w kombinezonie wzruszyła ramionami.

- Pierwsze, co mi przychodzi do głowy, to udar lub atak serca.

Prokurator Seredyńska uniosła brwi.

- Kto zadzwonił na policję? - spytała.

- Nie mam pojęcia.

Zirytowała ją ta odpowiedź. Tamten policjant wyszedł, a nikogo innego nie było. Dlaczego oficerowie śledczy zawsze zjawiają się na miejscu zbrodni jako ostatni?, pomyślała. Nawet nie ma się od kogo dowiedzieć szczegółów.

Ruszyła w obchód po tym niezwykłym mieszkaniu. Chociaż „mieszkanie” to było nie do końca dobre słowo na opisanie tego czegoś. Nie wyglądało to nawet na apartament. Raczej na wyjątkowo duży pokój hotelowy. Tym bardziej, że jego większą część zajmowała olbrzymia przestrzeń będąca połączeniem salonu, jadalni, kuchni i przedpokoju.

Łazienka też była ogromna. Duży pokój w jej poprzednim mieszkaniu, pierwszym, które wynajęła w Warszawie, był tylko niewiele większy. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby wykąpać się w tej ogromnej, trójkątnej wannie. Ani żeby wejść do tej kabiny prysznicowej, w której przeciętnej wielkości polska rodzina mogłaby się zapewne zmieścić w całości.

Poza tym jednak nie było tu nic ciekawego. Sterylna czystość, ręczniki ułożone w sposób przypominający znowu hotel. Ani odrobiny chaosu w ustawionych równo drogich kosmetykach. Technicy muszą to oczywiście sprawdzić, być może znajdą ślady krwi na starannie wyszorowanej umywalce, lecz ona nie zauważyła tu niczego, co by ją mogło zainteresować.

Podobnie było w sypialni - jedynym na tych ponad stu pięćdziesięciu metrach kwadratowych pomieszczeniu oprócz łazienki, w którym można było zamknąć drzwi. Mieszkanie nie miało balkonu ani tarasu, a okna ze względów bezpieczeństwa pozbawione były możliwości całkowitego otwarcia; dało się je tylko nieco uchylić. Nie potrafiłaby chyba mieszkać gdzieś, gdzie nie można by otworzyć okna na oścież.

Wróciła do salonu. Starła się nie patrzeć na zwłoki leżące

na podłodze. Nie dlatego, żeby się ich brzydziła lub by ich widok był dla niej w jakiś szczególny sposób nieprzyjemny, po prostu próbowała skupić uwagę na innych rzeczach. Znaleźć jakąś anomalię, element niepasujący do całości obrazka, oprócz tego jednego niewątpliwego zgrzytu, jakim było to ciało w kałuży krwi.

Obeszła wyspę kuchenną i weszła do kuchni. Tu przynajmniej nie musiała aż tak bardzo się starać, by jej wzrok bezwiednie nie uciekał ku tej plamie czerwieni. Stała do niej plecami i spojrzała na białe, lśniące fronty szafek kuchennych. Znów ta sama nieskazitelna czystość. Ani jednej smugi, plamy, odcisku palca na ich szklistej powierzchni.

Jedna rzecz nie była tu jednak aż tak idealna. Drzwiczki do szafki kuchennej pod zlewem pozostawiono niedomknięte. Do tej, gdzie zwykle trzyma się kosz na śmieci. Jakby ktoś coś wyrzucił i niedokładnie ją zamknął. To oczywiście niby nic takiego, każdemu może się coś takiego zdarzyć. Ale na tle pedantycznego niemal porządku panującego w tym mieszkaniu wydawało się to jednak dziwne.

Włożyła lateksową rękawiczkę i sięgnęła do drzwiczek. Ostrożnie, powoli otworzyła je szerzej. To, co za nimi zobaczyła, wstrząsnęło nią, pomimo że przez te wszystkie lata pracy w prokuraturze przyzwyczaiła się przecież do widoku trupów. W niewielką przestrzeń w szafce pod zlewem wciśnięte było ciało. Głowa wepchnięta była za armaturę, jedna z nóg wpadła w szparę między szafkami a ścianą, druga została dociśnięta koszem. To on właśnie sprawiał, że drzwiczki się nie domykały. Zarówno zlew, jak i cała szafka były znacznie większe niż przeciętne i tylko dlatego ciało w ogóle tu się zmieściło. W jej szafce, w jej mieszkaniu byłoby to niemożliwe.

Zwłoki były w groteskowy sposób pokrzywione, stłamszone, powyginane. Członki, szyję i głowę ułożono w nienaturalny

sposób. Nie to jednak sprawiało, że widok ten szokował. Nie to ani nie straszne obrażenia zadane zwłokom. Ciało wyglądało, jakby ktoś je wyrzucił na śmietnik. Nie schował, nie ukrył, ale właśnie wyrzucił. Dłonie przysypane były fusami od kawy, w zgięciach i fałdach, które tworzyło ubranie, leżały zużyte torebki po herbacie i pomięte, brudne papierowe ręczniki. Śmieci z kosza przelewały się przez jego krawędź i obsypywały nogi trupa. Jakby ktoś wyrzucał odpadki jeszcze długo po umieszczeniu tam denata.

ROZDZIAŁ 2

- Cześć.

- Cześć - odpowiedział. Podniósł wzrok i spojrzał na swoją żonę. Stała w drzwiach, które widać było nawet stąd, z kanapy w salonie.

Zmieniła się, odkąd zostali małżeństwem. I to nie małżeństwo ją zmieniło. Wolał zdecydowanie poprzednią wersję, mimo że ta była znacznie ładniejsza.

Przekroczyła próg i zamknęła za sobą drzwi.

- Co tam w pracy? - spytał.

- Nic ciekawego.

- Przez cały dzień?

- Wiesz, jak to w kancelarii. Normalne sprawy.

Kiedyś opowiadała mu o tym. O tych normalnych sprawach. Ze szczegółami, z pasją, a on udawał, że go to ciekawi. To też się zmieniło.

- A u ciebie? - odwzajemniła pytanie.

Nie starała się nawet udać zainteresowania. Przecież wiedziała, że nic. Co może dziać się u kogoś, kto przez cały dzień siedzi w domu?

- Malowałem trochę - skłamał.

- Bez sztalug? - zdziwiła się.

Przyłapała go. Nie wyjął ich. Stały schowane w tej wielkiej szafie w sypialni. Od tygodnia... od kilku tygodni. Odkąd była u nich teściowa i trzeba było sprzątnąć salon.

- To znaczy szkicowałem - poprawił się. - Światło dziś za słabe na malowanie.

To akurat była dla odmiany prawda. Pomimo tych wielkich okien od podłogi aż do sufitu w mieszkaniu było ciemno. Przez cały dzień padało. Krople deszczu spływały po zewnętrznej powierzchni ogromnych szyb. Może w nocy się rozjaśni. Gdy rozjarzą się wszystkie światła miasta po ich drugiej stronie.

- Mogłeś zapalić lampę - skomentowała. Ale nie drażyła tematu. Ona też już spisała go na straty. Tak jak jej matka dawno temu. Chociaż nie, jej matka zawsze uważała go za stratę. Odkąd córka zaczęła się z nim spotykać. I wychodzi teraz na to, że miała rację.

Poszła do sypialni, żeby się przebrać. Wróciła już bez tego prawniczego munduru. Obcisły, ciemny kostium zamieniła na równie obcisłe jasnoniebieskie dżinsy. Nigdy nie chodziła w luźnych, wygodnych strojach, nawet po domu.

- Jadłeś coś? - spytała.

- Tak - znowu skłamał. - A ty?

- Też - odpowiedziała. - Wskoczyliśmy na lunch w czasie pracy.

- Dobry był? Gdzie?

- Tam gdzie zawsze. Dobry.

Usiadła na fotelu, jak najdalej od niego. Wyjęła laptop z teczki, którą przyniosła z pracy, i otworzyła go sobie na kolanach. I już jej znowu nie było.

Nic już ich nie łączyło, ani łoże, ani stół. Nie mieli dzieci, nie mieli wspólnych pasji, a ich zawody były kompletnie różne. Nie mieli o czym rozmawiać.

Spojrzał za okno. Nienawidził tego mieszkania, choć widok z niego był naprawdę wspaniały. „Warszawski Manhattan”, jak wyrażała się jego teściowa. To ona im je kupiła. W prezencie ślubnym. Bardziej to jednak była inwestycja niż miły gest.

Czuł się tu jak uwięziony w wieży. Jak Szymon Słupnik siedzący na swej kolumnie. Odcięty od świata, choć mogący go

obserwować z góry. Nawet żeby skoczyć po coś do sklepu lub pójść na głupi spacer, trzeba było zjechać trzydzieści pięter w dół. Komu by się chciało?

- Dostałem dziś dziwną wiadomość - powiedział nagle. Nie planował jej o tym mówić. Zapragnął po prostu ni z tego, ni z owego, żeby zwróciła na niego uwagę.

- Jaką wiadomość? - spytała, nie podnosząc wzroku znad komputera.

- Na Messengerze.

- Co w niej było takiego dziwnego?

- Jej treść.

- Powiesz mi wreszcie, czy mam się domyślić?

Zniecierpliwienie. To też był stały element ich szczątkowych rozmów w ostatnim czasie. Jakby wszystko, co mówił, nie było wystarczająco ważne, by mógł marnować jej cenny, prawniczy czas. Ciekawe, ile teraz brała za godzinę? Tysiąc złotych, dwa tysiące? Może powinien zacząć jej płacić za rozmowy? Sęk w tym, że nie miał własnych pieniędzy. Ostatni obraz sprzedał przed paroma laty.

- Było tam napisane... - Zawahał się. To naprawdę była głupota i naprawdę pomyślał, że zawraca jej tym niepotrzebnie głowę.

- Cały czas czekam - ponagliła go.

Dziwna sprawa, nawet w tym potrafiła zawrzeć kompletny brak zainteresowania.

- Nie, nic - odpowiedział. - Nieważne.

- Zacząłeś, to mów. - Zniecierpliwienie wzbogaciło się o nutę agresji.

Niepotrzebnie o tym w ogóle wspomniał. Ale chyba nie miał już wyjścia.

- Było tam napisane, że jestem w śpiączce.

- Co? - Uniosła wreszcie wzrok znad komputera.

- Że jestem w śpiączce, leżę w klinice zajmującej się wybudzeniami, a ta wiadomość to sposób, w jaki próbują się ze mną skontaktować - brnął dalej, mając poczucie coraz większej niedorzeczności tego, co mówi i robi.

- Kto się próbuje z tobą skontaktować? - spytała.

Przynajmniej udało mu się ją zainteresować.

- Moja rodzina - odpowiedział.

- Przecież ty nie masz rodziny - prychnęła z lekceważeniem.

Rzeczywiście nie miał. Ojciec odszedł od nich, gdy miał pięć lat, matka umarła dwa lata temu. Symptomatyczne, że żona nie pomyślała o sobie. Byli małżeństwem, więc przecież także rodziną.

Odłożyła laptop na szklany stolik obok.

- Pokaż mi tę wiadomość - poleciła.

Przez chwilę zwlekał z odpowiedzią.

- Nie ma jej - powiedział w końcu.

- Jak to nie ma?

- Zniknęła.

- Żartujesz sobie?

- Nie. Jest w Messengerze coś takiego. Sprawdziłem. Nazywa to się „tryb znikających wiadomości”. Wysyłasz komuś wiadomość, a kiedy odbiorca ją odczytuje, tekst znika. I u ciebie, i u niego.

Przyjrzała się mu, jakby się zastanawiała, czy już go uznać za wariata, czy jeszcze chwilę poczekać.

- Czyli nie możesz mi jej pokazać? - upewniła się.

- Nie.

- I nie zrobiłeś zrzutu ekranu?

- Nie pomyślałem.

- Aha.

Znowu wbiła wzrok w ekran komputera. Jakby rozmowa

i ten temat były już zakończone.

- To pewnie jakiś głupi żart - powiedział, jakby się przed nią usprawiedliwiał. Jakby zrobił coś złego i musiał się z tego wytłumaczyć.

- Pewnie tak - odparła bez żadnego już zainteresowania. Trochę go to ubodło. Ten krótki moment, gdy znowu zwróciła na niego uwagę, był jak działka dawno niebranego narkotyku. Kiedyś był w centrum jej świata. Nic oprócz niego dla niej się nie liczyło. Potrafiła sprzeciwić się matce, swojej rodzinie i znajomym, byle tylko być z nim. Wtedy tego nie doceniał. Uważał to za oczywiste. Teraz oddałby wszystko, by znów tak na niego patrzyła. Chyba dlatego usiłował niepotrzebnie przeciągnąć jeszcze tę chwilę.

- Można by zadzwonić do Marka Zuckerberga. Na pewno ma tę wiadomość jeszcze na swoich serwerach - spróbował zażartować.

- To dzwón - odparła chłodno, nie podnosząc wzroku znad komputera. - Ja mam robotę.

Znowu był dla niej nikim.

ROZDZIAŁ 3

- Cholera, ale wieje! - usłyszała głos w korytarzu. - Jakbyśmy byli na maszcie w trakcie sztormu. Nawet winda skrzypi.

Znała ten głos. I mimo nie najmiłszych w końcu okoliczności ucieszyła się, że go słyszy.

- Cześć, Rajmund - powiedziała, gdy zobaczyła zbliżającego się mężczyznę.

Zareagował udawanym przestrawieniem.

- Wszelki duch Pana Boga chwali! Pani prokurator! Gdy ostatnim razem prowadziliśmy razem śledztwo, o mało nie zginąłem. Mam już zacząć się bać?

Przywitali się uściśnięciem dłoni.

- Zawsze możesz poprosić o przeniesienie do drogówki - odparła.

Podkomisarz Rajmund Nowaczyk z Komendy Rejonowej Policji Warszawa I na Wilczej był jej dobrym znajomym. Na tyle dobrym, że o mało go kiedyś nie zabiła. Może nie własnymi rękami, ale na pewno można by ją było oskarżyć o narażenie go na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia lub ciężkiego uszczerbku na zdrowiu.

- Zrobię to, jeśli mi obiecasz, że już nigdy nie będziesz jeździć samochodem - odgryzł się z uśmiechem.

Podszedł do leżącego na podłodze ciała.

- Wygląda to jak obraz - powiedział. - Jakaś ikona czy coś w tym stylu. Albo instalacja artystyczna.

Nie zwróciła na to wcześniej uwagi. Błada twarz na środku nieregularnej, ciemnoczerwonej plamy. Faktycznie było w tym

widoku coś malarskiego. Jakiś paradoksalny estetyzm, żeby nie powiedzieć piękno. Choć jej bardziej skojarzyło się to z czołówką któregoś Bonda.

- No to mamy ofiarę - stwierdził. - A co ze sprawcą?

- Póki co nie wiemy nawet, czy ktoś taki w ogóle istnieje - odpowiedziała. - Przynajmniej jeśli chodzi o te zwłoki.

Wyszła zza wyspy kuchennej, by odsłonić mu widok na otwartą szafkę. Spojrzał w tę stronę. Skrzywił się.

- Podwójne trafienie - skomentował. - Mamy dzisiaj szczęście.

Wyciągnął szyję, by lepiej się przyjrzeć.

- Wiesz, kto tu mieszka? - spytała.

- Tak - odpowiedział. - Małżeństwo, oboje przed czterdziestką. Agnieszka Bejtner, prawniczka, i Krystian Zapała, malarz.

- Bejtner? - spytała. - Prawniczka? Z tych Bejtnerów?

Kiwnął głową.

- Właśnie z tych. Córka Salomei Bejtner. Pracuje w jej kancelarii adwokackiej.

Prokurator Sereżyńska miała ochotę zagwizdać. Bejtnerowie to była jedna z najstarszych dynastii adwokackich w stolicy. Salomea Bejtner była aktualną głową rodu i właścicielką kancelarii obsługującej celebrytów, polityków oraz największe firmy polskie i zagraniczne. Jej myśl o tym, że na takie mieszkanie stać by było adwokata, okazała się więc strzałem w dziesiątkę.

- Próbowalesz się z nimi skontaktować? - spytała.

- Tak, na razie bezskutecznie.

- A ich telefony?

- Mąż nie odbiera, ona ma wyłączoną komórkę - odparł. - Dzwoniłem też do mecenas Bejtner. Jest w Krakowie. Ma przyjechać jak najszybciej.

- Kto was zawiadomił?

- Jeden z pracowników firmy sprzątajacej budynek - wyjaśnił. - Zauważył, że drzwi są otwarte. Gdy po jakimś czasie nadal ich nikt nie zamknął, zapukał, a potem wszedł.

Przyjrzała się jeszcze raz obydwu ciałom. Bejtnerowie nie lubili rozgłosu. W odróżnieniu od niektórych innych znanych członków warszawskiej palestry nie brylowali w mediach i nie starali się być celebrytami. Woleli ciszę i swoją ugruntowaną przez dziesięciolecia reputację. Nie potrzebowali kont na Instagramie i artykułów w gazetach. Nie wiedziała nawet, jak wygląda Salomea Bejtner, a co dopiero jej córka. Nie mówiąc już o jej mężu. To ciekawe zresztą, że wyszła za malarza. Prawnicy, zwłaszcza ci ze starych rodów, wiązali się raczej między sobą, jak niegdyś arystokracja. Albo psy z rodowodem, dodała w myślach nie bez pewnej złośliwości.

- Co tu mogło się stać? - spytała bardziej siebie niż jego.

- Tajemnicza sprawa - odpowiedział. - Dwa trupy plus prywatne mieszkanie. Zazwyczaj w takiej sytuacji chodzi o jakiś konflikt rodzinny. Widziałem sporo takich przypadków. Może tylko mieszkania były nieco mniej okazałe. Ale tu zbyt wiele elementów do tego nie pasuje. Żadnych śladów walki ani awantury. Jakby ktoś ich najpierw zabił, a potem ładnie poukładał.

- Na tamtym ciele nie ma oznak przemocy - zauważyła.

- Nie każda przemoc zostawia obrażenia widoczne na pierwszy rzut oka - odparł. - Poczekajmy na pełny raport z sekcji.

- Poczekajmy - zgodziła się.

Ona też podświadomie czuła, że coś tu nie do końca jest w porządku. Obraz miejsca zdarzenia nie pasował do żadnego znanego jej typu zbrodni. Zazwyczaj zabójstwa dokonywane są pod wpływem emocji; tu ich jakby brakowało. Bardziej

wyglądało to na miejsce egzekucji dokonanej przez grupę przestępczą lub skutek jakiegoś dziwnego rytuału.

- A te drugie zwłoki? - spytał, wskazując otwarte drzwiczki szafki. - Wiadomo, jaka była przyczyna śmierci?

- Dopiero je znalazłam - odpowiedziała. - Technicy ich jeszcze nie widzieli.

- A tak na pierwszy rzut oka?

- Głowa jest wciśnięta za armaturę - wyjaśniła. - Niewiele widać.

Kiwnął głową.

- Sprawdzaliśmy pozostałe pomieszczenia? - spytał.

- Tak, ale możemy jeszcze zrobić rundkę - odpowiedziała. - Gliniarze widzą więcej.

Uśmiechnął się.

- Czy mi się wydaje, czy złagodniałaś? - spytał z ironią.

- Jest za wcześnie - usprawiedliwiła się. - Poza tym głowa mnie boli. Pewnie przez tę pogodę.

Wiatr za oknem nawet jakby się wzmógł. Cholerny listopad, pomyślała. Jesień była w tym roku wyjątkowo długo słoneczna i ciepła, ale gdy ta passa się skończyła, to zrobiło się brzydko na całego.

Przeszli do drugiego pokoju. Nawet przy tych wielkich oknach było tu ciemno. Włączyła światło.

Nie mogła się oprzeć i tu również podeszła do szyby. Widziała w dole plac Grzybowski i kościół Wszystkich Świętych. Ogromna świątynia z tej wysokości wyglądała jak eksponat z parku miniatur. Patrzyła na jej dach i dziwiła się, jak ładnie był wykończony. Budowniczowie nie mogli przecież wiedzieć, że ktoś kiedyś będzie patrzył na niego z góry. Może więc był to widok przeznaczony specjalnie dla Boga?

Zbliżyła twarz jeszcze bardziej do okna. I wtedy coś zobaczyła. Nie w dole, ale tuż przed sobą. Ślad na szkle. Taki,

jaki zostawia ciało, dłoń albo czoło, gdy oprzemy je o szybę.

Odsunęła się w bok, by spojrzeć na niego pod kątem. Był bardzo duży, zaczynał się powyżej jej głowy i ciągnął aż do podłogi. Nie był też jednolity, nie powstał w wyniku jednorazowego przytknięcia. Wyglądało to raczej, jakby ktoś wielokrotnie przywierał do szyby, bo ślady były rozmazane, nakładające się na siebie, ekspresyjne.

Obejrzała pozostałą powierzchnię okna. Tam było czysto, poza pojedynczymi dotknięciami palców czy dłoni. Ten wielki tłusty ślad nie wziął się więc z zapuszczenia, z tego, że ktoś dawno nie mył okien w tym mieszkaniu. Musiał powstać w miarę niedawno.

- Coś zobaczyłaś? - usłyszała głos Nowaczyka.

- Zawołaj kogoś z techników - poleciła.

Podkomisarz wyszedł i wrócił po chwili w towarzystwie kobiety w białym kombinezonie. Tej samej zdaje się, z którą wcześniej rozmawiała.

- Ma pani coś, żeby to mogła wyraźniej zobaczyć? - spytała, wskazując jej odcisk na szklanej tafli.

- Tak na szybko? Mogę zrobić zdjęcie i spróbować je przefiltrować.

- Proszę to zrobić.

Policjantka przyniosła aparat i dużą, techniczną lampę na stelażu. Oświetliła szybę, wybierając odpowiedni kąt, i nacisnęła przycisk aparatu.

- Prześlę to teraz do komputera i postaram się obrobić - powiedziała.

- Długo to potrwa? - spytała Seredyńska.

- Nie powinno.

Kobieta przyniosła laptop i otworzyła klapę. Ekran się rozjaśnił. Po kilku kliknięciach pojawiło się na nim zdjęcie. Na razie nic konkretnego nie było na nim widać. Policjantka

zaczęła szybko otwierać kolejne okna, coś wystukiwać na klawiaturze i jeździć kursorem po powierzchni zdjęcia.

Po chwili obraz na ekranie wyostrzył się. Seredyńska nachyliła się nad jej ramieniem, by lepiej mu się przyjrzeć.

Plastikowe okulary ochronne, które miała na nosie, nieco parowały, co utrudniało widzenie, lecz mimo to zdołała to dostrzec. Na szybie dość wyraźnie odbita była sylwetka człowieka. Ale nie była to jedna twarz i para rąk, było ich wiele, bardzo wiele, nakładających się na siebie. Odciski rąk tworzyły wokół tułowia wzór podobny do tego, jaki powstaje, gdy dzieci robią orła na śniegu. Przypominało to trochę jakieś wielogłowe i wielorękie hinduskie bóstwo.

- Te ciemniejsze miejsca - powiedziała policjantka, wskazując palcem w rękawicze na ekran w okolicach, gdzie odbita była głowa - to pewnie krew. Najprawdopodobniej z nosa.

Człowiek, który zostawił ten ślad, musiał rzucać się na szybę. I to na tyle gwałtownie, że rozbił sobie nos. Robił to wielokrotnie, raz za razem, jakby chciał wyskoczyć przez okno. Nie udało mu się to, bo szyby w takich budynkach są bardzo wytrzymałe.

Nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego.

- Proszę zabezpieczyć te ślady - powiedziała. - Trzeba ustalić, do kogo należą.

Nagle coś dotarło do jej mózgu. Coś, co od pewnego czasu, raczej niezbyt długiego, dobijało się do jej świadomości. Jakiś dźwięk. Wyprostowała się. Odchyliła kaptur białego kombinezonu, żeby odsłonić ucho.

- Słyszycie to? - spytała. - Co to jest?

Cichy monotony szum. Brzmiało to jak elektryczny odkurzacz.

- Kurwa mać! - dobiegło z sąsiedniego pomieszczenia. - Ja

pierdolę...

Rzucili się w tamtym kierunku. To, co zobaczyli w salonie, przechodziło wszelkie pojęcie. Teraz dopiero mogła powiedzieć, że nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego.

Automatyczny, okrągły odkurzacz musiał mieć nastawiony czas sprzątania dokładnie na tę godzinę. Ruszył ze stacji dokującej i rozpoczął pracę. Nikt tego nie zauważył, bo akurat wszyscy technicy byli w innych pomieszczeniach. Zanim ktokolwiek się zorientował, wjechał w czerwoną plamę na środku pokoju. Rozmazał ją i rozjechał, tworząc na drewnianej podłodze długie, krwawe mazaje, przesuwając głowę trupa nienaturalnie w lewą stronę. Jakby tego było mało, wirujące szczotki rozchlapały nie do końca zakrzepłą krew po całym pomieszczeniu. Ściany, meble i szyby pokryły się małymi czerwonymi plamkami. Kilka z nich wylądowało nawet na plastikowych okularach prokurator Seredyńskiej.

- Jezus Maria - powiedziała. - Niech ktoś to wyłączy...

ROZDZIAŁ 4

- Cześć.

Mężczyzna, który stał w otwartych drzwiach, był jego najlepszym przyjacielem. To znaczy kiedyś nim był. Przedtem, zanim dał się zamknąć w tej wieży.

- Cześć, Marek. Dzięki, że przyjechałeś.

Odsunął się, by wpuścić go do środka.

- Co się stało? Nie dzwonisz przez lata, nie dajesz znaku życia, a teraz nagle chcesz się spotkać, i to natychmiast.

Dziwnie było na niego patrzeć, jakby był obcy i nieobcy jednocześnie.

- Przepraszam. Wiem, jak to wygląda - odpowiedział. - Tym bardziej doceniam, że mnie nie złałeś.

- Nie mogłem sobie odmówić. - Jego przyjaciel uśmiechnął się, zdejmując płaszcz. - Trzydzieste piętro w samym centrum Warszawy. Nigdy nie byłem w takim mieszkaniu. Twoja teściowa jest naprawdę dziana.

- Moja żona już powoli też.

- Powiedziałeś to bez specjalnego entuzjazmu - zauważył.

Przez chwilę przyglądali się sobie uważnie, jak ludzie, którzy tak dawno się nie widzieli, że nie są już pewni, czy coś ich jeszcze łączy.

- Wchodź, co tak stoisz - powiedział do niego.

- Strach trochę - usłyszał w odpowiedzi. - Na pewno nie muszę założyć ochraniaczy na obuwie?

- Nie wygłupiaj się, włącz.

Uściskali się. Trochę nieporadnie, jakby próbowali

przypomnieć sobie dawną zażyłość.

- Napijesz się czegoś? - spytał.

- Jasne - odparł jego przyjaciel, siadając z impetem na kanapie. - Lej to, co masz najdroższego.

- Agnieszka nie pija mocnych alkoholi - wyjaśnił, jakby się usprawiedliwiał. - Mamy tylko wino.

Poczuł się nagle jak ktoś, kim chyba naprawdę był: biedny mąż bogatej żony. Do którego nic tu tak naprawdę nie należy.

- Wszystko jedno, byle trzepało. Ja też w sumie ostatnio piję głównie wino. Trzeba powoli zacząć dbać o swoje zdrowie.

Zabrzmiało to, jakby Marek też próbował go usprawiedliwić. Jakby wycofywał się z pytania, by nie stawiać go w sytuacji, której niezręczność doskonale widział. Poczuł się przez to jeszcze gorzej.

A może tylko mu się wydawało?

Odwrócił się i wszedł do kuchni. Zdjął ze stojaka na blacie butelkę czerwonego wina. Jakiegoś. Nigdy nie miał głowy do tych wszystkich szczepów, roczników, regionów. Jego żona za to od jakiegoś czasu tym się fascynowała. Nawet poszła na kurs sommelierski. Dzięki niemu przez dwa tygodnie mogła wracać jeszcze później do domu.

Poczuł na plecach wzrok przyjaciela. Zapewne oceniał, jak bardzo się zmienił i w jakiej jest formie. Ciekawe, jak wypadły te oględziny?

Otworzył butelkę korkociągiem, czy też - jak się wyrażała jego żona - trybuszonem, i nalał do dwóch kieliszków. Obrócił się z nimi w dłoniach.

Napotkał uważne, taksujące spojrzenie.

- Co? - spytał. - Aż tak się zmieniłem?

- Fizycznie nie - usłyszał w odpowiedzi. - Dobrze ci z tą brodą.

- Skoro fizycznie nie, to jak?

- Wydajesz się przygaszony. Nie takim cię zapamiętałem.

- Głowa mnie boli przez ten wiatr - skłamał.

Postawił kieliszki na szklanym stoliku, potem usiadł.

- Malujesz coś?

Wiedział przecież, że to pytanie musi paść, więc dlaczego cały się spiął, gdy je usłyszał?

- Czasami - odparł.

- Kiedy ostatnio?

Przypomniał sobie zaczęty i nieukończony obraz schowany w szafie. Kiedy go zaczął? Z trzy tygodnie temu? Nie, kurwa, trzy miesiące. Co najmniej trzy.

- Właśnie teraz nad czymś pracuję - odpowiedział. Sam usłyszał fałszywą nutę w swoim głosie.

- Pokażesz mi? - Znowu to uważne, tym razem sceptyczne spojrzenie. Fałsz zdaje się został wyczuty.

- Jeszcze nie ma za bardzo czego. Zresztą, miałem ostatnio niewielką przerwę - odparł wymijająco.

Sięgnął po kieliszek, by pokryć zmieszanie. Wino było gęste, zawiesiste, cierpkie. Smakowało jak coś, czym należy się zachwycać.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Powiedz mi, co się stało z tamtym gościem? - usłyszał nagle pytanie.

- Z którym? - Uniósł brwi.

- Z tym, który przeleciał wszystkie studentki na ASP. Z tym, którego wszyscy uważali za przyszłego Picassa. Z królem życia, który miał świat u swoich stóp.

Mówił o nim. A w zasadzie o tym kimś, kim kiedyś był. Pustym, głupim i zadowolonym z siebie. Brakowało mu tego kogoś.

- Teraz też mam świat u swoich stóp - odparł, patrząc przez okno. Nie chciał, by zabrzmiało to aż tak sarkastycznie.

- I wyglądasz, jakbyś chciał się na niego rzucić.

Uśmiechnął się krzywo. Po co w ogóle zaprosił tu tego człowieka? A może właśnie po to. Żeby ktoś wreszcie powiedział mu w oczy to, co sam od dawna czuł.

- Ten świat nieco zweryfikował moje wyobrażenia na swój temat - odpowiedział. - Moje i innych. Nie zostałem, jak pewnie zauważyłeś, drugim Picassem. Moja wystawa okazała się kompletną klapą.

- No cóż - wzruszenie ramion - zawsze uważałem, że twoim głównym atutem była umiejętność sprawiania dobrego wrażenia. Autokreacja na bardzo wysokim poziomie. Ocierająca się wręcz o mitomanię. Nawet niektórzy nasi profesorowie się na to nabierali. Z talentem było jednak trochę gorzej.

Coraz częściej tak właśnie o sobie myślał. Mimo to ubódł go ten tak bezceremonialnie wyrażony osąd. Co innego samemu tak się oceniać w chwilach zwątpienia, a co innego usłyszeć to wprost od innej osoby.

- Czemu mi tego wtedy nie powiedziałeś? - spytał.

Znowu wzruszenie ramion.

- Po co? Popsułbym tylko zabawę. A było naprawdę fajnie. Do tego z kolei miałeś talent jak nikt inny.

ROZDZIAŁ 5

- No dobrze - powiedział. - Ale nie ściągnąłeś mnie chyba tu po to, żebyśmy rozmawiali o dawnych czasach. O co chodzi?

Dobrze, że przerwali tę wiwisekcję jego osobowości, bo jeszcze chwila, a on zakończyłby tę rozmowę. I to nie dlatego, że poczuł się urażony. Raczej dlatego, że nikt nie lubi, gdy ktoś potwierdza jego najgorsze przypuszczenia względem własnej osoby.

- W zasadzie chciałbym porozmawiać właśnie o dawnych czasach - odparł. - A konkretnie o twojej pracy dyplomowej.

- O niej? - Zdziwienie w głosie. - Po to mnie zaprosiłeś? Ledwie pamiętam, co to było.

- Ja pamiętam.

- Oświeć mnie.

- Nosiła tytuł „Fabryka snu”. Wchodziło się do dużego, wyciemnionego sześcianu. W środku było krzesło, a z przodu i po bokach wisiały ekrany telewizorów. Gdy siadałeś na tym krześle, światło gasło, a na ekranach wyświetlał się film. Było to nagranie z trzech kamer umieszczonych na wagoniku kolejki górskiej.

Kiwnął głową.

- Żeby je zrobić, musiałem pojechać do Berlina. W Polsce nie było jeszcze wtedy tak dużych rollercoasterów.

- Gdy tam wszedłem, usiadłem i włączył się film, miałem wrażenie, że naprawdę jestem w tym wagoniku. Czułem strach, a nawet wydawało mi się, że odczuwam przeciążenie, kiedy wagonik leciał w dół.

- Teraz takie rzeczy robi się na komputerze. Zakładasz gogle

i masz to samo. Nie musisz cztery dni zbijać pudełka z desek i malować go od środka na czarno. Rozrywka po raz kolejny prześcignęła sztukę – dodał z ironią.

- Dobrze to było.

- I tak twoja praca została lepiej oceniona.

- Zerznąłem ją od jakiegoś Amerykanina – odrzekł. - Agnieszka przywiozła mi folder z jego wystawy w Nowym Jorku.

- Wiem. Trafiłem na nią potem w internecie.

- Masz do mnie o to żal?

- O co? O to, że dzięki temu to ty, a nie ja, miałeś swoją wystawę w galerii przy Krakowskim Przedmieściu? Że zaprzepaściłeś szansę, którą ja bym być może wykorzystał? - Zabrzmiało to bardzo gorzko. Zdaje się, że nie tylko on miał tu poczucie zmarnowanego życia. - Dobrze. Było minęło. - Machnięcie ręką. - Może ja też nie zostałem drugim Picassem, ale jest mi teraz w sumie całkiem nieźle. Ja również, można powiedzieć, bogato się ożeniłem, tyle że z agencją reklamową. Poziom skurwienia podobny, choć pracy na pewno więcej. Mam nadzieję, że cię nie uraziłem?

Ton, jakim zadane było to pytanie, świadczył, że nie miałyby jednak nic przeciwko temu.

- Daj spokój – odpowiedział. Oba kieliszki były już puste. Nachylił się, by je napełnić.

- Dobrze to wino – usłyszał. - Na pewno lepsze niż to, które pijaliśmy. Egribikavér za 12 złotych. Pamiętasz? Kiedyś wypiliśmy sześć. Po trzy na głowę.

- Dziś bym już tego nie przeżył – odpowiedział.

- To co z tym moim projektem? Co chcesz wiedzieć?

Zamilkł na chwilę. Sam nie za bardzo wiedział, jak to sformułować.

- Myślisz, że to możliwe? – zaczął. - Żeby naprawdę nie wiedzieć, czy to, na co patrzymy, jest prawdą, czy nie?

Jego rozmówca napił się wina.

- Chodzi ci o wirtualną rzeczywistość? Pewnie jeszcze nie całkiem, ale prędzej czy później do tego dojdzie.

- Nie, nie chodzi mi o to - odpowiedział. - Raczej o to, czy to, co uważamy za prawdziwe życie, może być iluzją.

Odpowiedzią był śmiech.

- Widzę, że bogactwo naprawdę potrafi oderwać od rzeczywistości. Brak ci realnych problemów? Może chcesz zamienić się ze mną?

- Nie żartuj. Poważnie pytam. I wcale nie jestem bogaty. Nawet moja żona tak naprawdę nie jest. Przynajmniej na razie.

- Ale żyjesz tu jak w kokonie, jak w złotej klatce. W dodatku wyjątkowo wysoko zawieszona. Może powinieneś zejść na dół, porozmawiać z kimś, kto zarabia na życie ciężką pracą? Jakimś śmieciarzem albo robotnikiem budowlanym. Powiedzieliby ci, co sądzą o takich filozoficznych kwestiach. A najlepiej sam weź się do jakiejś roboty.

- Już się wyłośliwiłeś? To teraz odpowiedz.

Chwila milczenia. Jego rozmówca wyrzął przez okno, jakby się zastanawiał.

- Najzabawniejsze, że chyba tak - odparł. - Teoretycznie rzecz biorąc przynajmniej. Nie ma żadnego sposobu, żeby jednoznacznie stwierdzić, czy to, co bierzemy za rzeczywistość, istnieje naprawdę.

- Jak to?

- Tak to. Trochę o tym czytałem, kiedy robiłem tamten projekt. Z tego, co pamiętam, nie da się przeprowadzić takiego obiektywnego testu. Świat poznajemy za pomocą naszych zmysłów. Odbierają one określone bodźce, po czym przesyłają je w postaci informacji do mózgu. I dopiero tam tworzy się pewien obraz. To, co uważamy więc za obiektywnie istniejące, jest w zasadzie tylko pewną subiektywną interpretacją, opartą

na potrójnie przetworzonych danych docierających do nas spoza naszego ciała. Nie jesteśmy w stanie wyjść poza ten schemat, bo nie jesteśmy w stanie odbierać tych danych bez pośrednictwa zmysłów. Nawet najbardziej skomplikowane przyrządy badawcze - akceleratory cząstek, teleskopy kosmiczne, zderzacze hadronów - są obsługiwane przez ludzi i to ludzie odczytują ich wyniki. To rodzaj błędnego koła, z którego nie ma wyjścia. Ale to oczywiście są rozważania czysto akademickie. Świat istnieje naprawdę niezależnie od tego, jak bardzo subiektywnie go odbieramy.

- A jeśli nie?

- Co jeśli nie? Jeśli nie istnieje? Pytasz poważnie?

- Co jeśli dane są nieprawdziwe albo nie ma ich wcale? Skoro obraz świata tworzy się dopiero w mózgu, to skąd mamy pewność, że opiera się on na prawdziwych, docierających do niego z zewnątrz bodźcach? Może mózg wytwarza go sobie sam?

Omiotło go uważne, lekko zaniepokojone spojrzenie.

- Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli.

- Powiedzmy, że coś w rodzaju snu - odpowiedział.

- Snu? - Uniesienie brwi.

- Wyobraź sobie, że w wyniku jakiegoś wypadku zapadasz w śpiączkę. Wszelkie bodźce z zewnątrz zostają odcięte. Ale twój mózg przyzwyczajony do ich przetwarzania zaczyna tworzyć autonomiczną względem świata rzeczywistość, jak w czasie snu, tyle że cały czas, na pełen etat. Myślisz, że byłby jakiś sposób, żeby się o tym dowiedzieć? Sprawdzić, niejako od środka, czy świat, który widzimy, jest prawdziwy?

Znów to spojrzenie, jeszcze bardziej zaniepokojone.

- Sny są dziwne, łatwo je odróżnić od rzeczywistości.

- Ale bywają też bardzo realistyczne, takie, w które wierzymy.

- Skąd ci się wzięło takie pytanie?

- Znikąd. Po prostu ciekawi mnie ten problem.

- I dzwoniisz do mnie po nie wiem ilu latach, żebym do ciebie przyszedł, bo ciekawi cię ten problem?

- Nie możesz po prostu odpowiedzieć?

- Coś ci jest? Nie wyglądasz za dobrze.

- Nie wiem, może. - Potarł dłonią czoło. - Miałem jakiś czas temu wypadek. Długo siedziałem po nim w domu. Jakoś się do tego przyzwyczaiłem. Przestałem w zasadzie stąd wychodzić. Najpierw, bo nie bardzo mogłem, a teraz...

- Co teraz?

- Bo mi się nie chce.

- Tobie?? Zawsze byłeś pierwszy do takich rzeczy. To ty mnie wyciągałeś na imprezy. Nawet kiedy nie chciałem.

- Wiem.

- I tobie się nie chce? - Uniósł ręce w geście zdziwienia.

- Słuchaj, nie to w tym momencie jest najistotniejsze.

- Moim zdaniem jest. Kiedy ostatnio byłeś na mieście? W jakimś kinie, teatrze, na kolacji ze znajomymi?

- Nie wiem. - Uciekł wzrokiem w bok. - Chyba wiosną.

- Chcesz mi powiedzieć, że od kilku miesięcy nie wychodziłeś na zewnątrz??

Nie zdawał sobie z tego sprawy, nie myślał o tym do tej pory, ale chyba właśnie tak było.

- Jakoś tak się złożyło - odpowiedział.

- Wiesz co, w dupie to mam, nie jesteś już moim przyjacielem, ale uważam, że powinienes coś z tym zrobić. Coś ci się stało w głowę, musisz pójść do jakiegoś lekarza.

- Jak mam pójść do lekarza, skoro nigdzie nie wychodzę - spytał z wisielczym humorem.

- Teraz można to robić online - usłyszał w odpowiedzi. - Jak

zresztą prawie wszystko. Tak jak już powiedziałem, w dupie to mam, zrobisz, co zechcesz, ale radziłbym ci skorzystać z tej rady.

- Dobrze, OK, może z niej skorzystam, ale odpowiedz mi najpierw na pytanie. Potraktuj je czysto teoretycznie. Zapomnij o mnie, o moich problemach, po prostu odpowiedz. Czy w sytuacji, o której mówiłem, dałoby się sprawdzić, będąc w jej środku, czy to, w czym bierzemy udział, jest prawdziwe, czy nie?

Zobaczył, jak zaniepokojony wzrok jego dawnego przyjaciela powoli się wyostri, gdy ten zaczyna myśleć nad postawionym przed nim problemem.

- Czysto teoretycznie? - spytał. - Nie wiem, musiałbyś chyba zrobić coś, co w prawdziwym życiu niesie ze sobą określone, bardzo konkretne, ostateczne konsekwencje i sprawdzić, czy w tym świecie, w którym jesteś, te konsekwencje również nastąpiły.

- Co na przykład?

- Czy ja wiem? Wyskoczyć przez okno. Jeśli spadniesz i się zabijesz, to znaczy, że żyłeś naprawdę.

Powiedziane to było w formie dowcipu i zostało nawet okraszone pewnego rodzaju uśmiechem, lecz ten, który te słowa wymówił, szybko zdał sobie sprawę, że jego żart również może nieść ze sobą określone, bardzo konkretne konsekwencje.

- Słuchaj - dodał z wyraźnym przestraczem w głosie - ale ty tego nie rób. To dość nieodwracalny test. Co ci z tego, że zyskasz pewność, że żyjesz, skoro dokładnie w tym samym momencie zginiesz?

- Spokojnie - odpowiedział mu. - Nie mam zamiaru.

ROZDZIAŁ 6

Wyszła z tego przeklętego mieszkania. Ściągnęła z twarzy plastikowe okulary i zdjęła biały, jednorazowy strój, a potem rzuciła go z obrzydzeniem w kąt korytarza. Przesunęła ręką po twarzy, sprawdzając, czy na skórze nie zostały jeszcze jakieś kropelki krwi. Zostały, a jakże. Na wewnętrznej stronie dłoni zobaczyła rozmazane, krwawe smużki. Kurwa mać. Poczula się brudna, skalana, nieczysta w sensie metafizycznym. Zapragnęła to z siebie zmyć, opłukać twarz, wejść pod prysznic, umyć włosy, choć one akurat były osłonięte kombinezonem. Wszystko jedno. Spłukać się całą gorącą wodą, wyszorować gąbką, piaskiem, ługiem...

Odetchnęła głęboko, próbując się uspokoić. Wiedziała przecież, że nie może tego zrobić. Musi tu zostać do czasu zakończenia wszystkich czynności. Z tą krwią na skórze. Bo przecież użyć tamtej łazienki też nie może.

Wyciągnęła z torebki lusterko i przyjrzała się swojej twarzy. Miała rozmazany makijaż, zresztą i tak powinna go po tym wszystkim zmyć. Wyjęła nawilżane chusteczki i zaczęła go ścierać. Nagle coś poczuła. Kiedy bezwiednie przesunęła językiem po wargach. Metaliczny posmak. Zamarła z chusteczką przyłożoną do twarzy. A więc i tam upadła jedna z tych małych kropli. Splunęła z obrzydzeniem. Potem zaczęła trzeć chusteczką usta, zapamiętała, niemal do bólu.

Dopiero po chwili zorientowała się, że ktoś uporczywie jej się przygląda. Podniosła wzrok. Ten policjant, którego wysłała na poszukiwania. Wrócił i stał teraz dwa metry od niej. I patrzył na nią. Nawet bez zdziwienia, raczej z zainteresowaniem. Jakby

napotkał jakieś wyjątkowo ciekawe zjawisko przyrodnicze.

- O co chodzi? - spytała. Ostro, jakby chciała go ukarać za to, że ją przyłapał.

- Znaleźliśmy coś - odpowiedział. - Na dole, przed budynkiem.

Spojrzała na siebie ponownie w lusterku. Wyglądała, jakby wylizał ją pies. Ma mu kazać poczekać, aż doprowadzi się znowu do porządku? Czy nie zważając na katastrofalną dekompozycję wizerunku, podjąć natychmiast obowiązki służbowe? Zwyciężyła zawodowa odpowiedzialność oraz zwykła ludzka ciekawość. Poprawiła trzymaną w dłoni chusteczką kilka wyjątkowo spektakularnych efektów swoich ostatnich chaotycznych działań i rzuciła:

- Niech pan prowadzi.

Zjechali windą na dół. Wyszli przed budynek. Na chodniku przed rzędem zaparkowanych przy ulicy samochodów stał policjant w mundurze. Podeszli do niego.

Pilnował czegoś, co znajdowało się na betonowej kostce nawierzchni pod jego nogami. W pierwszej chwili nie zrozumiała, co to było. Na chodniku nic nie leżało, nie widać było żadnych przedmiotów ani śladów. Spojrzała pytająco na drugiego policjanta, tego, który ją przyprowadził.

- Proszę się dobrze przyjrzeć - powiedział.

Nachyliła się nad płytkami. Wyteżyła wzrok. Coś tam jednak było. Powierzchnia niektórych kostek była wyraźnie innego koloru. I to koloru jednoznacznie wskazującego na pochodzenie tych przebarwień.

- Krew? - spytała. Jakby mógł to wiedzieć bez testu wykonanego przez techników.

- Najprawdopodobniej - odpowiedział. - Przynajmniej na moje oko.

Miała ochotę potrzeć beton palcem, a potem go powąchać,

żeby sprawdzić, czy pachnie tak samo jak tamta rozjeżdżona plama trzydzieści pięter wyżej.

Wyprostowała się.

- Proszę to zabezpieczyć - powiedziała. - Przyślę tu kogoś z góry.

Teraz, gdy jej wzrok wiedział już, czego należy szukać, zaczęła dostrzegać zarys i kontury plamy. Przyjrzała im się uważnie. Tworzyły wzór. Wzór, który coś jej przypominał. Coś, co widziała zupełnie niedawno.

Obraz od intensywnego wpatrywania zaczął jej się z powrotem rozmywać. Mrugnęła dwa razy. I wtedy to zobaczyła. Twarz i dwie dłonie. Trochę tak, jak na tamtej szybie.

Cofnęła się o krok. Spojrzała w górę, w stronę trzydziestego piętra. Czy to z tej strony były okna mieszkania Agnieszki Brejtner? Chyba tak. Za plecami, po prawej stronie miała kościół Wszystkich Świętych, który widziała stamtąd.

Spojrzała znowu pod nogi. To niedorzeczne, pomyślała. Wyglądało to tak, jakby temu komuś, kto rzucał się tam na szybę, w końcu się udało i spadł tu, na chodnik ponad sto metrów w dół.

Tyle że krwi nie było dużo. W zasadzie ledwo była widoczna. Za mało na upadek z tak dużej wysokości. Gdyby rzeczywiście spadł tu człowiek z trzydziestego piętra, raczej nie musiałaby specjalnie się przyglądać, żeby dostrzec ślady tego wydarzenia. No i tamta szyba była cała. O co tu chodziło? Do tego ten fragment chodnika osłonięty był szklanym daszkiem rozpiętym nad wejściem.

- Na co patrzysz? - usłyszała za sobą głos Nowaczyka.

- Nie wiem - odpowiedziała. Teraz nie była już pewna, czy plama pod jej stopami układa się rzeczywiście w wizerunek twarzy. - Coś tu jest, ale nie wiem co.

Podkomisarz obrzucił chodnik spojrzeniem. Raczej bez specjalnego zainteresowania.

- Może byśmy po wszystkim poszli na jakąś kawę? - Wskazał świecący się za ich plecami szyld sieciowej kawiarni. - Pogadali o starych czasach? W końcu jest piątek. Weekendu początek.

Ta propozycja padła tak nagle, a ona była tak pochłonięta innymi myślami, że dopiero po chwili zrozumiała, o co mu chodzi.

- Czyżby żona pana rzuciła, panie podkomisarzu? - zażartowała. - I chce mnie pan poderwać?

Po wyrazie jego twarzy poznała, że przynajmniej połowa tego żartu była dość bliska prawdy.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie wiedziałam. Co się stało? Wzruszył ramionami.

- Wszystkie kobiety to suki - odparł. - Oprócz ciebie i naszych matek oczywiście - odwzajemnił jej się żartem. Też raczej nieudanym.

- Jak chcesz, to idź już - powiedziała, jakby temat wspólnej kawy w ogóle się nie pojawił. - Ja, jak wiesz, muszę tu zostać do końca. Ty nie.

Pokiwał smutno głową.

- OK - odpowiedział. - To na razie.

Odwrócił się i odszedł. Patrzyła jeszcze przez chwilę na jego krępa, mocną sylwetkę. Z tej perspektywy dostrzegła, że włosy z tyłu głowy zaczęły już mu się powoli przerzedzać. Nigdy nie był w jej typie. Lubiła go, ale tak jak lubi się kogoś, kogo w zasadzie lubić się nie ma powodu.

Raczej nie miała ochoty zostać jego pocieszeniem i drugą szansą.

ROZDZIAŁ 7

Wino się skończyło, więc wstał, żeby przynieść następne.

- Ale tyłek masz wciąż całkiem, całkiem - usłyszał za swoimi plecami.

- Daj spokój. - Machnąłby ręką, gdyby nie trzymał w niej pustej butelki.

- Jestem gejem, nie mów, że się nie domyślałeś.

Znieruchomiał.

- Trochę się domyślałem, a trochę nie - odparł, udając, że wybiera wino. - Póki nie wie się czegoś na pewno, można żyć, jakby się tego nie wiedziało.

Jasne, że się domyślał. I odpowiadało mu to. Bawiły go rzucane skrycie maślane spojrzenia i to, że miał pazia gotowego spełnić każdą jego zachciankę. Niebędącego dla niego w dodatku żadną konkurencją.

- To teraz już wiesz.

- Spoko. - Odwrócił się wreszcie.

- Kochałem się w tobie.

Postawił butelkę na szklanym stoliku, usiadł i zaczął ją otwierać. Głównie po to, żeby nie musieć natychmiast odpowiadać.

- I dlatego udawałeś mojego przyjaciela? - spytał w końcu.

Krótki, nieco już pijany śmiech.

- Nie udawałem. - Głos też już był trochę bełkotliwy. - U nas to się nie wyklucza. Męska przyjaźń with benefits. Idealny układ.

Nalał czerwonego wina do kieliszków.

- Wiedziałeś przecież, że jestem absolutnie hetero - zauważył.

- Wiedziałem - usłyszał w odpowiedzi. - Rwałeś wszystkie laski jak leci. Miałem nadzieję, że kiedyś z rozpędu przelecisz i mnie.

- Nie żartuj. - Dziwnie się czuł, słuchając tego.

- Nie żartuję. Teraz wydaje mi się to głupie, ale wtedy chyba naprawdę miałem taką nadzieję. Że nasza przyjaźń osiągnie w pewnym momencie taki stopień bliskości, że uda mi się w końcu przekroczyć ten próg. Raz nawet próbowałem, pamiętasz?

- Nie. - Przełknął ślinę.

- Na jakiejś imprezie. Upiłeś się tak, że zasnąłeś na łóżku. Takim, na które wszyscy rzucali kurtki, bo skończyły się miejsca na wieszaku. Leżałeś między tymi kurtkami w ciemnym pokoju, a ja też byłem pijany i nie mogłem się powstrzymać.

- I co zrobiłeś? - Poczuję, że oblewa go zimny pot.

- Położyłem się obok ciebie.

- I?

Teraz dopiero poczuł, że i na niego wino zaczęło działać. Raczej w nie najlepszy sposób.

- Nic drastycznego, nie bój się. - Znów pijacki śmiech. - Zacząłem cię głaskać po włosach i całować po karku, to wszystko.

- Na pewno? - Nie wierzył mu.

- No, prawie. - Szeroki uśmiech. Jego rozmówca najwyraźniej znajdował sporą przyjemność w szokowaniu go i obserwowaniu jego reakcji. - Rozpiąłem ci spodnie i próbowałem włożyć dłoń między nogi.

Dziwna sprawa, jak wydarzenia sprzed ponad dziesięciu lat mogą działać na zupełnie współczesne emocje.

- Udało ci się? - Poczuję, jak zasycha mu w gardle. Wypił duszkiem nalany wcześniej kieliszek wina.

- Tak, ale niestety się obudziłeś - usłyszał odpowiedź. Słowa i obrazy dochodziły do niego jakby zza zasłony. Może naprawdę to wszystko mu się śni?

- To dobrze - odparł mechanicznie.

- Potem odwróciłeś się do mnie. - Jego rozmówca też sięgnął po kieliszek. - I też zacząłeś mnie obmacywać. Myślałeś chyba, że leżysz z jakąś dziewczyną.

Śmiech.

Miał ochotę zdusić ten śmiech, zatrzymać go, wyłączyć. Zamiast tego nalał sobie znowu wina do kieliszka. Od jakiegoś czasu zdecydowanie za dużo pił. Siedział sam w domu i otwierał kolejne butelki. Jego żona uczestniczyła w programie lojalnościowym w którejś z internetowych winiarni, więc zapasy wciąż się uzupełniały. Ostatnio myślał, by ograniczyć nieco spożycie alkoholu i nawet spróbował to zrobić, lecz dziś... dziś te szczytne postanowienia straciły swą aktualność.

- Czyli twoje nadzieje wreszcie się ziściły - zauważył zimno.

- Nie do końca, niestety. Dotarłeś, że tak powiem, do drugiej bazy i przeżyłeś gorzkie rozczarowanie. - Znow ten prowokacyjny, kpiący ton.

- I jak zareagowałem? - Naprawdę był tego ciekawy. Jakby słuchał opowieści o kimś innym i interesowało go jej zakończenie. Choć jednocześnie tamte dziwne, przebudzone wcześniej emocje podchodziły mu do gardła jak refluks po zbyt ciężkim posiłku.

- Nie mówmy już o tym. - Nieco zbyt szerokie machnięcie ręką. Na twarzy jego dawnego przyjaciela pojawił się jakiś rodzaj śliskiego, zadowolonego z siebie uśmiechu. - Wtedy traktowałem to trochę zbyt poważnie, dziś wiem, że takie rzeczy każdemu mogą się przydarzyć. I o niczym nie świadczą.

- Jakie rzeczy?

Zrozumiał nagle, po co to wszystko. Dziś był dzień rozliczeń,

wyrównywania starych rachunków. Człowiek, który siedział naprzeciwko niego, postanowił wykorzystać, być może podświadomie, okazję, żeby zemścić się za tamte lata upokorzeń, gdy był zakochanym, żalonym popychadłem, żebrzącym o jałmużnę, której nigdy nie dostał.

- Słuchaj, było, minęło. Nie ma co wracać do tak starych czasów.

Powiedział to tylko po to, żeby pobudzić jego ciekawość.

- Jakie rzeczy? - powtórzył pytanie.

- Oj, nie spinaj tak się! - Szeroki uśmiech. - To było dawno i byliśmy obaj pijani. Praktycznie to się nie liczy. Spałeś wtedy. Jakbyś był w tej twojej sypialni. - Mrugnął do niego okiem. - Może to się w ogóle nie zdarzyło?

- Zacząłeś, to skończ - odparł chłodno. - Co się wtedy wydarzyło?

Jego rozmówca zamilkł. Jakby zawahał się krok przed przepaścią.

Wyciągnął rękę i dolał mu wina.

- Sam powiedziałaś: to było dawno. Po prostu chciałbym wiedzieć. Chyba nie zostawisz mnie z taką niedokończoną historią. Tak się nie robi.

Uśmiechnął się zachęcająco. A w zasadzie jego usta rozciągnęły się w sposób, który mogłby przypominać taki uśmiech.

Zobaczył, jak ręka mężczyzny siedzącego naprzeciwko wyciąga się odruchowo po kieliszek. Jak podnosi go do ust. Jak grdyka przesuwająca się po szyi, gdy tamten pije.

- No cóż - usłyszał - na początku mnie odepchnąłeś. Wybełkotałeś coś o głupich żartach.

- A potem?

- Zasnąłeś chyba, a ja się znowu przysunąłem. Powiniennem odpuścić, ale nie zrobiłem tego. Zacząłem cię pobudzać ręką. Udało się.

Poczuł, jak cierpnie mu skóra, jak włosy podnoszą się na karku.

- A potem? - spytał.

- Obudziłeś się. Spojrzałeś na mnie. I zacząłeś się śmiać. Jakbyś uznał to za świetny dowcip.

Mina jego rozmówcy zrzędła. Już nie był prowokujący ani zadowolony z siebie. Jakby przestraszył się tego, co mówi. Ale w tym momencie nie mógł już przestać, wiedział o tym. Niezależnie od tego, jakie byłyby konsekwencje. Ta opowieść musiała zostać dokończona.

- A potem? - powtórzył po raz trzeci.

Był najzupełniej spokojny, naprawdę.

- Potem doprowadziłeś ten żart do końca - usłyszał.

ROZDZIAŁ 8

Znowu wróciła późno. Bardzo późno. Chyba nawet w kancelariach adwokackich nie pracuje się codziennie aż tak długo. Pewnie pachniała alkoholem. I być może męskimi perfumami. Musiałby się jednak do niej zbliżyć, żeby to sprawdzić. A nie zbliżali się do siebie już od bardzo dawna. Krążyli wokół siebie jak para odpychających się magnesów. Zachowywali bezpieczny społeczny dystans. Gdyby jedno z nich zachorowało na coś, drugie nie miałoby nawet szans się zarazić.

- Był ktoś? - Uniosła ze zdziwieniem brwi, widząc na stoliku dwa kieliszki po winie.

No tak. Zapomniał o nich. O wszystkim pamiętał, a o tym nie. Zawsze jest takie coś.

- Marek wpadł na chwilę - odpowiedział. - Pamiętasz go?

Spojrzała na niego jeszcze bardziej zdziwiona.

- TEN Marek? - spytała. - Twój nieodstępujący cię paż z czasów studiów? Dopóki was nie poznałam, zawsze wydawało mi się, że to tylko dziewczyny mają swoje brzydsze koleżanki, z którymi wszędzie chodzą, żeby ich uroda była jeszcze bardziej widoczna. Czy on nie był przypadkiem gejem?

- Był - odparł.

Dziwnie zabrzmiało to słowo.

- Co się stało, że nagle tu przyszedł? Nie widzieliście się chyba od lat. Nie za bardzo mnie lubił, prawda? Rozbiłam, można powiedzieć, wasz związek.

Chyba faktycznie nieco się wstawiła, bo dawno już nie była taka rozmowna. Albo miała dziś wyjątkowo dobry humor.

- Miałem do niego sprawę - odpowiedział. - Zadzwoń do niego, żeby przyszedł.

- O, to ty masz jakieś sprawy? To nowość.

Ironia, ale tym razem nie za bardzo zjadliwa.

Nie odpowiedział, bo zdawał sobie sprawę, że mimo wszystko będzie ją to ciekawić.

- No więc co to było? Oświeć mnie.

Czyli się nie pomylił.

- Chciałem z nim porozmawiać o pewnym jego dawnym projekcie.

- Teraz? Po tylu latach? Co to za projekt?

- Coś w rodzaju wirtualnej rzeczywistości, ale uzyskanej jeszcze za pomocą konwencjonalnych środków.

- Po co ci to?

Dawno już nie poświęciła mu tyle uwagi.

- Interesuje mnie problem, jak odróżnić prawdziwy świat od jego imitacji.

Obdarzyła go długim, uważnym spojrzeniem.

- A ty ciągle o tym? - spytała. Nawet z pewną troską.

- Tak.

- Daj sobie spokój. To był tylko jakiś głupi żart.

Usiadła na kanapie. I to wyjątkowo, jak na ostatnie czasy, blisko niego.

- Wiem - odparł, uciekając spojrzeniem w bok.

Widocznie nie zabrzmiało to jednak zbyt przekonująco.

- Naprawdę myślisz, że byłoby to możliwe? To, że jesteś w śpiączce, a to wszystko ci się tylko wydaje?

Teraz na nią spojrział.

- A dlaczego nie?

- Bo to wszystko istnieje naprawdę. - Postukała kłykciami w szklany stolik. - Dotykasz to, widzisz, czujesz zapachy,

smaki...

- Świadeństwo zmysłów nie jest do końca obiektywne -
odpowiedział. - W czasie snu też widzimy, czujemy i słyszymy.

- Ale nie tak intensywnie.

Wzruszył ramionami.

- Wcale nie mam wrażenia, że moje odczucia są intensywne.

- Bo masz doła - skomentowała. - Każdy czasem ma.
Wszystko przez ten wypadek. Zaciąłeś się po nim jakoś. Musisz
się wreszcie ogarnąć.

- A reszta? - spytał.

- Jaka reszta? - zdziwiła się.

- Obiektywna reszta - odpowiedział. - Od wielu miesięcy nie
wychodzę z domu, nikt do mnie nie dzwoni, nie chce się ze mną
spotkać, do tego cały czas pada. - Spojrzał przez okno. -
Równie dobrze mogę leżeć gdzieś przykuty do łóżka, a to -
zatoczył ręką półkole - to tylko kolejny dowód na moją niezbyt
oryginalną wyobraźnię.

Przez chwilę milczała. Jakby zastanawiała się, czy warto na
to w ogóle odpowiadać.

- Pada, bo jest jesień - zaczęła powoli i jakby z pewnym
znużeniem. - Taki mamy klimat, że o tej porze roku pogoda jest
nienajlepsza. A nie wychodzisz, bo nie wychodzisz. Nie mam
pojęcia dlaczego. Po prostu to zrób, rusz się gdzieś, skoro tak
to cię niepokoi. Następnym razem umów się z tym całym
Markiem gdzieś na mieście.

- Raczej nie będzie następnego razu - mruknął.

- To nie wiem, wyjdź gdzieś sam. Do kina, do kawiarni, na
spacer. Co za problem?

- Czytałem kiedyś taką książkę - zaczął, jakby nie usłyszał,
co powiedziała. - Nie pamiętam, jaki miała tytuł. Była w niej
opisana podobna sytuacja. I był tam taki motyw, że świat
bohatera jakby się degradował, zawężał. Bo jego umysł nie

dostawał nowych bodźców z prawdziwej rzeczywistości. Może u mnie jest tak samo? Może dlatego ciągle tu siedzę? Tylko to jeszcze pamiętam: to przekłete mieszkanie i ciebie.

Chyba miała już dość. Wstała.

- Po prostu stąd wyjdź - rzuciła z irytacją w głosie. - To będzie najlepszy sprawdzian tej twojej kretyńskiej teorii. I przestań pierdolić takie głupoty.

- Poczekaj! - Nie chciał, żeby jeszcze odchodziła. - A my?

- Co: my? - Znowu to stare zniecierpliwienie.

- Nie wydaje ci się, że my też jesteśmy nie do końca realni?

Popatrzyła na niego jak na debila.

- O co ci znowu, do cholery, chodzi? - spytała.

- To, co jest między nami, od dawna nie istnieje. To jakiś fantom. Zdegradowane wspomnienie tego, co było kiedyś. Chodzisz po tym domu jak zjawą, prawie ze mną nie rozmawiasz, nie zbliżasz się nawet do mnie, nie dotykasz. Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś częścią iluzji?

Westchnęła. Mało brakowało, a przewróciłyby oczami.

- Nie mam ochoty o tym dalej rozmawiać w ten sposób - odpowiedziała. - To wszystko zaszło za daleko.

- Może gdybyśmy do siebie znowu wrócili, przestałbym tak to odbierać?

Spojrzała na niego chłodno.

- Nigdzie od siebie nie odeszliśmy, wciąż jesteśmy małżeństwem.

- Wiesz przecież, o co mi chodzi.

Próbował ją dotknąć, chwycić za rękę. Cofnęła się, jakby bała się, że ją oparzy.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Wiem za to, że jest późno, a ja muszę jeszcze zmyć makijaż i się umyć. Bo rano, w odróżnieniu od ciebie, idę do pracy. Kończę więc tę bezsensowną rozmowę i idę do łazienki.

Odwróciła się i odeszła. W połowie drogi zatrzymała się jednak.

- Wyjąłeś sztalugi? - spytała.

Stały pod oknem w kącie salonu.

- Tak, malowałem trochę - odparł.

- Nareszcie.

Podeszła do nich, dotknęła niemal z czułością.

- Ten sam obraz co miesiąc temu - stwierdziła z rozczarowaniem. - I w tym samym stanie. - Przeciągnęła palcem po płótnie. - Nawet kurzu nie starłeś. A zresztą - rzuciła po chwili - co mnie to w ogóle obchodzi?

ROZDZIAŁ 9

Po raz pierwszy od bardzo dawna zebrało jej się na wymioty. To, na co patrzyła, nie przypominało w niczym ludzkiej twarzy. Bezkształtna, powgniatana miazga, w którą wbity był pod dość dziwnym kątem kuchenny nóż. W opuszczonej, przekrzywionej dolnej szczęce zebrało się małe, zakrzepłe jeziorko krwi. Otoczone zębami niczym białymi skałami. Tylko po ubraniu można było poznać, czy to ciało należy do kobiety, czy do mężczyzny.

Policjant za nią nie był jednak aż tak odporny. Usłyszała dźwięk zbliżających się, z trudem powstrzymywanych wymiotów.

- Won mi stąd! - rzuciła do niego ostro. - Bo zanieczyszczysz materiał.

Odgłosy tupania świadczyły, że skwapliwie spełnił jej rozkaz.

- Wezwijcie pogotowie - powiedziała. - Niech stwierdzi zgon.

- Trzeci już raz dzisiaj - zauważył ktoś za nią. - Może powinniśmy ich tu zatrzymać na stałe? Po co mają tak jeździć i wracać?

Mimo że powiedziane to zostało w formie żartu, ton głosu mówiącego mężczyzny świadczył, że nie było mu wcale do śmiechu.

- *Dom tysiąca trupów* - odezwał się inny. - Widziałem kiedyś taki film. Może tu jest podobnie?

- Panowie! Dość gadania - przywołała ich do porządku. - Mamy jak widać sporo roboty.

Trzy trupy w jednym mieszkaniu, pomyślała. Każdy w innej

jego części. Ten schowany był w dużej szafie z przesuwanymi drzwiami. Znalezione dopiero teraz, bo ekipa techniczna zgodnie z zasadami przyjętymi w miejscach, w których znaleziono zwłoki, zaczęła badanie właśnie od nich, a dopiero potem, stosując metodę odśrodkową, poruszając się ruchem spiralnym, przeprowadzała oględziny reszty miejsca zdarzenia. Do szaf i innych tego typu schowków zagląda się na koniec. Chyba że tak jak w przypadku poprzednich zwłok, widać na pierwszy rzut oka, że może być w nich coś interesującego.

- Dużo wam jeszcze zostało do sprawdzenia? - spytała jednego z techników.

- Ta szafa była ostatnia - odpowiedział.

Korzystając z tego, że już i tak tu była, więc wszystkie ewentualne ślady, które miała zatrzeć, i tak zatarła, wyciągnęła szyć, by przyjrzeć się miejscu, w którym ukryto zwłoki.

W tej komórce szafy nie było ubrań. Stanowiła coś w rodzaju schowka na przedmioty związane z malowaniem. Z tyłu, oparte o ścianę, stały obrazy. Ostatni odwrócony był do niej tyłem, więc nie byłaby w stanie stwierdzić, czy ich autor miał talent, nawet gdyby się na tym znała. Nie było ich zresztą zbyt dużo. Cztery sztuki, jak szybko policzyła.

Czy sędzia przydzielony do tej sprawy powinien wykazywać się znajomością sztuki współczesnej?, pomyślała. Tak jak w przypadku przestępstw gospodarczych powinien orientować się w zasadach ekonomii? Głupie pytanie, które przyszło nie wiadomo skąd. Tak naprawdę nie miało to przecież żadnego znaczenia.

Obok obrazów był kącik na przybory malarskie. Stało tam plastikowe pudełko bez przykrycia wypełnione tubkami farb, szklanka na piwo z pędzlami i parę większych, plastikowych białych butelek, zapewne z jakimiś odczynnikami. Wszystko zadziwiająco czyste, jakby nie było zbyt często używane.

Miejsce, w którym leżały, a w zasadzie pólsiedziały zwłoki, było puste. Głowa trupa opierała się o róg stworzony przez tylną i boczną ściankę szafy. Nogi były podkurczone tak, by można było zasunąć drzwi. Krwi na podłodze i ścianach nie było, więc zabójstwa dokonano gdzie indziej. Czyżby na środku salonu, tam gdzie leżały pierwsze zwłoki? Nie było jednak żadnych śladów wleczenia czy przenoszenia ciała.

- Widzieliście gdzieś sztalugi? - spytała techników czekających już za nią na możliwość rozpoczęcia pracy.

Skoro były obrazy, farby i pędzle, powinien gdzieś być i trójnóg. Chyba, że czegoś nie wiedziała o najnowszych trendach w technikach malarskich. Przestrzeń, w której umieszczono zwłoki, idealnie nadawała się do przechowywania sztalug. Tak, jakby ktoś wyjął je stąd, by zrobić miejsce na ciało.

- Leżą pod łóżkiem - odpowiedział żeński głos.

No dobrze, więcej tu sama nie wymyśli. Czas, by zajęli się tym profesjoniści. Zaczęła powoli się wycofywać, starając się iść dokładnie tą samą drogą, którą przyszła. W drzwiach pojawił się akurat lekarz pogotowia. Stwierdzenie zgonu było czystą formalnością, jednak zgodnie z przepisami należało to zrobić, zanim rozpocznie się wszelkie inne czynności.

- Raczej nie będzie pan miał tu zbyt wiele do roboty - powiedziała.

- Za to wy mnóstwo - odpowiedział. - Dużo tu jeszcze takich nieboszczyków ukrywacie? Kursujemy dzisiaj częściej niż autobus.

Kolejny żartowniś. Przyzwyczała się już dawno do tego. Ludzie obcujący zbyt często z rzeczami przekraczającymi wytrzymałość psychiczną przeciętnego człowieka ratują się właśnie w ten sposób.

- Mam nadzieję, że ten jest już ostatni. Ale jak chcecie,

możecie na wszelki wypadek zaczekać – odpowiedziała.

Obym nie powiedziała tego w złą godzinę, zreflektowała się po chwili. Naprawdę miała na dziś serdecznie dosyć trupów.

Co tu się stało?, pomyślała po raz kolejny. Trzy zamordowane osoby, dwie schowane, jedna na widoku. Ta czerwona plama krwi na środku salonu, krwi, która najprawdopodobniej nie należała do leżących na niej zwłok. Które w dodatku były w wyjątkowo dobrym stanie, bez widocznych skutków działań mogących być przyczyną śmierci. W odróżnieniu od tego trupa w szafie, potraktowanego dla odmiany z nadzwyczajną brutalnością. Do tego te dziwne ślady na chodniku przed budynkiem. I drugie na szybie okna. Wydarzenia, które tu zaszły, miały najwyraźniej dość skomplikowaną dynamikę. Nie będzie łatwo je odtworzyć, jeśli nie znajdzie się ich bezpośredni uczestnik. A takim uczestnikiem mógłby być w zasadzie tylko zabójca, więc istnieje spore prawdopodobieństwo, że nie będzie zbyt rozmowny. Jeśli będzie cokolwiek pamiętał, bo i możliwość amnezji należy brać pod uwagę.

Następne pytanie: kim były ofiary? Jeśli dwie z nich, kobieta i mężczyzna, to mieszkające tu małżeństwo, to kim była ta trzecia? To pierwsze będzie akurat pewnie najłatwiejsze do ustalenia, wystarczy, że mecenas Bejtner dojedzie wreszcie z Krakowa i zidentyfikuje lub nie zwłoki córki i zięcia. I jaki był motyw? Najprostszym, narzucającym się wręcz rozwiązaniem był jakiś rodzaj zaburzeń psychicznych, atak psychozy lub schizofrenia. Lecz prokurator Gabriela Seredyńska, co właśnie sobie uświadomiła, raczej wolałaby, żeby tak nie było. Ominęłaby ją wtedy cała zabawa, bo rozwiązanie byłoby zbyt proste.

- Kurwa! - dobiegł ją nagle krzyk z któregoś z sąsiednich pomieszczeń. Aż podskoczyła na ten dźwięk, bo zarówno jego

głośność, jak i skala emocji w nim zawarta świadczyły raczej, że nie chodziło o wydarzenie w rodzaju wylania na siebie herbaty czy nawet zacięcia się w palec.

Ignorując zasady poruszania się po scenie zbrodni, wybiegła z sypialni.

- Co się stało? - spytała.

Jeden z techników stał za wyspą kuchenną i wpatrywał się w głąb szafki, gdzie niedawno odnalazła zwłoki.

- On... żyje - powiedział.

ROZDZIAŁ 10

- Sorry. Przepraszam.

Stanął w drzwiach, opierając się ramieniem o framugę. Siedziała przed toaletką, kończąc poranny makijaż. Spojrzała na niego kątem malowanego właśnie oka.

- Za co? - spytała.

- Nie wiem. Za wszystko. Za to, co wczoraj mówiłem, też.

Nie odpowiedziała. Patrzyła teraz znowu na swoje odbicie w lustrze. Gdzieś tam, z boku widział w nim fragment siebie.

- Jeśli chcesz, mogę faktycznie pójść do jakiegoś specjalisty.

- Jeśli chcę? - Zobaczył, jak unosi jej się brew.

- Od dłuższego już czasu nie jestem sobą, widzę to.

- Cóż ci mogę powiedzieć? - odpowiedziała, wciąż na niego nie patrząc. - Popieram to.

- Może wtedy moglibyśmy... zacząć od nowa?

Skrzywienie ust wyrażające zniecierpliwienie.

- Tłumaczyłam ci to wczoraj. Niczego nie skończyliśmy. Co w takim razie mamy zaczynać od nowa?

- Nawet ze sobą nie śpimy.

- Śpimy.

- Ale nie uprawiamy seksu.

Tu na odpowiedź musiał poczekać nieco dłużej.

- Wiesz przecież, jak jest - odpowiedziała wreszcie. - Mam strasznie dużo roboty. Wciąż muszę potwierdzać, że nie jestem tylko córką swojej matki. Pracuję na swoją pozycję. Wracam potwornie zmęczona. Nie mam głowy do takich rzeczy.

- Tego się nie robi głową. To znaczy też można, ale

podstawowa technika jest inna.

Uśmiechnęła się lekko. Kiedyś potrafił ją częściej rozbawić, ostatnio głównie irytował. Postanowił to wykorzystać. Podszedł do niej. Położył jej dłoń na karku. Drgnęła. Nie poruszyła się jednak.

- Dlaczego nie może być tak jak kiedyś? - spytał.

Coś było nie tak z tym pytaniem. Zareagowała na nie, jakby polał ją wrzątkiem. Odepchnęła jego rękę. Zarzuciła włosami, by móc spojrzeć na niego z tej niewygodnej perspektywy.

- Jak? - spytała ze złością. - Jak wtedy, gdy zebrałam o chwilę twojej uwagi, o odrobinę czułości, i nigdy się ich nie doczekałam? Czy jak wtedy, gdy całym swoim zachowaniem przypominałeś mi, że jesteś ze mną z łaski, choć żyłeś za pieniądze moje i mojej matki?

Wyglądała dość groteskowo, ale też i groźnie z tym pomalowanym jednym okiem.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Tym bardziej że jej krzesło było przysunięte o wiele za blisko tego wielkiego okna. Pewnie, żeby światło było lepsze w ten pochmurny dzień. Miał wrażenie, jakby stał na krawędzi dachu. Nie powinien był tu podchodzić.

- Powrotu do tego właśnie byś chciał? - Podniosła jeszcze bardziej głos. - Znów być królem i panem? Mieć swoją lekceważoną, ale w sumie dość użyteczną służącą, która w dodatku za ciebie płaci, bo jesteś artystą i gwiazdą wszechświata? Znudziło mi się to, Krystian. Dawno już mi się to znudziło.

Nie słuchał, co mówiła. Kręciło mu się w głowie. Myślał tylko o tym, żeby się przewrócić w tył, a nie w przód. Zauważyła to.

- Co ci jest? - spytała z niepokojem.

- Nic - odpowiedział. - Muszę tylko usiąść.

Podniosła się, chwyciła go za rękę.

- Pomogę ci - powiedziała z troską. Ton głosu z dawnych lat. Żeby tylko nie próbowała posadzić go na tym krześle.

Całe szczęście tak się nie stało. Podtrzymała go i pomogła usiąść na łóżku.

- Przepraszam - usłyszał zza jakiejś grubej zasłony. - Powinnam ci to powiedzieć już dawno. Być może wtedy nie byłoby we mnie aż takiej złości.

Stała teraz przed nim na tle wielkiej szyby. Wyobraził sobie nagle, że chwytą ją w pasie i rzuca się wraz z nią w tę przepaść za nią. Rozbijają tafle szkła jak w filmach, a potem lecą razem objęci w dół. Dziwna sprawa, jeszcze przed chwilą się bał, a teraz musiał się powstrzymać, żeby tego nie zrobić. Ciekawe, jak by to było? Te okna nie otwierały się całkowicie, tylko nieco uchylały. Szpara była zbyt mała, by dało się przez nią przecisnąć, poza tym miały specjalne zabezpieczenia, więc trzeba by było je rozbić. Może udałoby się to przy odpowiednim rozpędzie?

Nie miał szansy tego sprawdzić, bo po chwili usiadła obok niego.

- Nie tak to planowałam rozegrać, ale skoro już poruszyliśmy ten temat... - zaczęła.

A gdyby tak sam rzucił się na tę szybę? Bez niej mógłby to zrobić z większym impetem. Co by się wtedy stało? Pękłaby czy nie? Nie potrafił uwolnić się od tej myśli. Co ciekawe, rozpatrywał tę kwestię bez żadnych emocji, jakby nie chodziło o sprawę ewentualnego życia lub śmierci. Jakby był to problem czysto teoretyczny. Jednocześnie czuł głębokie, bardzo silne, fizyczne niemal pragnienie, żeby spróbować. To pragnienie ulokowane było bardziej w mięśniach niż w głowie. Jego łydki i uda napięły się, stopy wsunęły pod krawędź łóżka, żeby zapewnić lepsze oparcie do startu, plecy zgięły się w pałąk. Jakby stał w blokach startowych na bieżni i czekał na sygnał do

rozpoczęcia biegu.

- Dużo o tym myślałam ostatnio i nie jestem pewna...
Słuchasz mnie w ogóle?

Nie słuchał. Jego umysł zajęty był teraz zupełnie czymś innym. Przypomnił sobie słowa usłyszane niedawno: „Jeśli spadniesz i się zabijesz, to znaczy, że żyłeś naprawdę”. Ryzykowny test. Ale pozwoliliby odpowiedzieć na kilka interesujących pytań. Może zresztą wcale nie o to mu chodziło? Może tak naprawdę nie wierzył we wszystkie te bzdury o śpiączce? Uczeplił się tej śmiesznej idei, żeby nie musieć przyznać przed samym sobą, że po prostu chciał skoczyć. Już od bardzo dawna tego chciał.

- Krystian! Co się z tobą dzieje?

Wybił się nagle i poleciał do przodu. Miał do przebycia najwyżej cztery metry, starał się więc je wykorzystać jak najlepiej. Uczynić ze swojego ciała pocisk, sondę wystrzeliwaną w przestrzeń nieznanego. Musiał jednak w ostatniej chwili zwątpić, przestraszyć się, zwolnić. To samo ciało, które tak rwało się do lotu, w decydującym momencie nie potrafiło przewyciężyć instynktu samozachowawczego. Skuliło się odruchowo, przyhamowało, wstrzymało pęd. Uderzył o okno bojaźliwie, z małą wiarą i zdecydowanie ze zbyt niewielką siłą. Chwilę później leżał oszołomiony na podłodze, a z nosa ciekła mu krew.

Jedno tylko rozumiał: niczego się nie dowiedział. Szyba - lub jej iluzja - wytrzymała.

ROZDZIAŁ 11

- Dziękuję, że przyszedłeś. Nie mogę go teraz zostawić samego. Całus w policzek. Na przywitanie. Konwencjonalny, przyjacielski czy maskujący coś więcej?

- Nic mi nie jest - odkrzyknął z kanapy. Krew już przestała lecieć. Nawet nie złamał nosa. O co ten cały rejwach?

- Nie ma sprawy. Pierwsze spotkanie mam dopiero o dwunastej.

- Ja jestem już spóźniona. Dobrze, że pracuję u własnej matki.

- Ja u swojej bym nie chciał pracować. Tym bardziej że była rzeźnikiem.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Pracowała w zakładach mięsnych.

- Moja matka też w pewnym sensie nim jest.

Tak sobie rozmawiali przy drzwiach wejściowych. Słyszał to wszystko, siedząc z głową ciągle odchyłoną do tyłu. Spotkał kiedyś tego faceta czy raczej nie? Raczej nie. Odkąd Agnieszka wsiąkała w tę swoją kancelarię, nie poznawała go ze swoimi nowymi znajomymi. Jakby wstąpiła do sekty, której nie był członkiem. Zresztą, uczciwie mówiąc, on też specjalnie się do tego nie palił.

- Dobra, lecę - usłyszał głos żony. - Zostawiam go z tobą. Jakby były jakieś problemy, dzwoń. I bardzo cię proszę o dyskrecję. Ostatnie, czego moja matka teraz potrzebuje, to skandal z próbą samobójczą zięcia.

- Jestem psychoterapeutą, obowiązuje mnie tajemnica.

Wiesz przecież.

- Wiem, ale przypomnieć zawsze warto.

- I tak się cieszę, że nie postraszyłaś mnie ewentualnym procesem. Poczytuję to za dowód wielkiego zaufania.

Jakie miłe przekomarzanki! Wyglądało to prawie na flirt. Niemal widział przymilne uśmiechy na ich twarzach. I dłonie wyciągające się, by niby przypadkiem musnąć ramię tej drugiej osoby.

Potem trzaśnięcie drzwiami. A w zasadzie ciche klapsnięcie. Drzwiami za tyle tysięcy nie da się porządnie trzasnąć. Zresztą z tego, co słyszał, nie było powodu.

Tak naprawdę mógłby już przestać tak odchyłać głowę. I opuścić dłoń z papierowym ręcznikiem trzymaną przy nosie. Taka pozycja była jednak wygodna. Także dlatego, że mógł obserwować wchodzącego do salonu mężczyznę spod przymkniętych powiek.

Faktycznie go nie znał. Był całkiem przystojny, wysoki, z włosami lekko szpakowatymi po bokach.

Począł, aż podejdzie. I pierwszy się odezwie.

- Dzień dobry - usłyszał. - I co to się dzisiaj wydarzyło?

Dopiero teraz podniósł głowę z oparcia kanapy.

- Zamieszki w Kazachstanie - odparł. - To się wydarzyło. Nie sądzi pan, że Ałmaty to wyjątkowo głupia nazwa na miasto?

Mężczyzna nie odpowiedział. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Mogę usiąść? - Znajomy żony uśmiechnął się. Sympatyczny, profesjonalny, mający za zadanie przełamać lody uśmiech.

- To w zasadzie kanapa mojej teściowej - odpowiedział. - Musiałby pan ją spytać.

Nie zamierzał ułatwiać mu zadania.

- Przyjmijmy, że się zgodziła. - Jego rozmówca gładko

przeskoczył nad tą przeszkodą. Usiadł na prostopadłym ramieniu kanapy. – Mogę się przedstawić? – spytał. – Nazywam się Rafał Kalinowski, jestem psychologiem i psychoterapeutą oraz dyrektorem Mazowieckiego Ośrodka Psychoterapii i Rozwoju.

– Jest taka usługa? – Uniósł brwi z udawanym zdziwieniem. – Że sam dyrektor przyjeżdża na wizyty domowe? No cóż, z pieniędzmi mojej teściowej wszystko jest możliwe.

– Jestem znajomym pana żony. To ona poprosiła mnie o tę przysługę.

– Dobrym znajomym? – spytał z przekąsem.

– Na tyle dobrym, żeby się zgodzić.

Pan dyrektor najwyraźniej nie miał zamiaru dać się sprowokować. Na wszystkie pytania odpowiadał spokojnie, z denerwującą cierpliwością.

– Na ile jeszcze dobrym? – spytał niewinnie.

Psycholog uśmiechnął się ponownie. Zdaje się, że z lekkim zmieszaniem.

– Przyszedłem, bo podobno chciał pan z kimś porozmawiać – powiedział.

– Naprawdę? Chciałem?

– Agnieszka twierdzi, że wyraził pan chęć rozpoczęcia terapii.

– I to już, tak zaraz? – Znowu udał zdziwienie. – Wyraziłem, jak pan raczył to stwierdzić, tę chęć niecałą godzinę temu. Obsługa w tym lokalu jest naprawdę pierwszej klasy. Czy jeśli wyrażę chęć na erotyczny masaż, również niedługo w tych drzwiach pojawi się odpowiednia osoba?

– Zdecydowaliśmy się nieco przyspieszyć całą procedurę z uwagi na to, co się wydarzyło.

– A co takiego się wydarzyło? – spytał z uprzejmym zaciekawieniem.

- Próbował pan popełnić samobójstwo.
- Nie sądzę, by można to było tak określić.
- Chciał pan wyskoczyć przez okno. Jak to inaczej można nazwać?

Wzruszył ramionami.

- Czy ja wiem? Ja bym to nazwał testem na realność rzeczywistości. Przepraszam - uniósł dłonie do góry - niezbyt to zgrabnie zabrzmiało. To zdaje się pleonazm. Czy tautologia? Zawsze mi się myliły te dwa pojęcia.

- „Testem na realność rzeczywistości” - mężczyzna powtórzył jego słowa, jakby się nad nimi zastanawiał, ignorując jednocześnie dalszą część jego wywodów. - Co pan ma dokładnie na myśli?

- Spróbuję to panu w takim razie wyjaśnić - odparł. - W świecie, który znam, gdybym chciał się umówić na wizytę u specjalisty, musiałbym zarezerwować wizytę, a potem na nią przyjść. Tak to działa zazwyczaj, w zasadzie zawsze. Tymczasem ja „wyrażam chęć”, a po chwili pan się zjawia w moim domu. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jakbym przywołał pana myślami.

- Tłumaczyłem już panu, jestem znajomym pana żony...

- Tak, wiem - przerwał mu. - I to tłumaczenie mnie przekonuje. Pytanie tylko, czy jest ono zadowalające w ramach rzeczywistości obiektywnej, czy tylko w ramach tej?

- Uważa pan, że ta rzeczywistość nie jest obiektywna?

- Bardzo dobre pytanie. - Westchnął. - Tym bardziej, że chyba żadna do końca nie jest. Pan jako psycholog musi to wiedzieć najlepiej. Powiedzmy jednak, że niektóre rzeczywistości są lepiej zakotwiczone w prawdziwym świecie, inne zaś zerwały się z kotwicy i dryfują swobodnie.

Pan dyrektor patrzył na niego uważnie. Bardzo uważnie.

- I dlatego próbował pan wyskoczyć przez okno? - domyślił

się. - Żeby sprawdzić, czy ta rzeczywistość jest obiektywna i zakotwiczona w prawdziwym świecie?

- Nic takiego nie powiedziałem - zachnął się teatralnie. - Ani że chciałem wyskoczyć przez okno. Po prostu sprawdzałem wytrzymałość szyby. Mieszkam tu od jakiegoś czasu i nieco mnie niepokoi, że tylko ta cienka tafla oddziela mnie od wielopiętrowej przepaści. Chciałem zbadać, czy jest to bezpieczne.

- Ale gdyby ten test wypadł niepomyślnie, spadłby pan i się zabił.

- Ma pan rację. - Pokiwał głową z zafrasowaniem. - To było nierozsądne. Teraz, jak pan to powiedział, widzę to wyraźnie. Byłem głupi. Głupota jednak nie jest zaburzeniem psychicznym, prawda? Doświadcza jej zbyt wielu ludzi.

ROZDZIAŁ 12

- Nie wydaje się pan głupi - zauważył psycholog. - Pana odpowiedzi są bardzo inteligentne. I bardzo ostrożne. Rozumiem, że stara się pan nie powiedzieć niczego, co mogłoby zostać użyte przeciwko panu, jednak jeśli nie będziemy rozmawiać szczerze, nie będę w stanie panu pomóc. Poza tym jestem psychoterapeutą, proszę o tym pamiętać. Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

- Także w stosunku do mojej żony? - spytał.

- Pańska żona ma prawo dowiadywać się o stan pana zdrowia, jednak nie mogę mówić jej o szczegółach terapii ani powtarzać rzeczy, które pan mówi.

- Rozumiem. - Pokiwał głową. - Ale też nic nie stoi na przeszkodzie, by ona te przekazane przez pana informacje o stanie mojego zdrowia wykorzystała później przeciwko mnie?

- W jakim na przykład celu?

- Podczas rozprawy rozwodowej lub by mnie ubezwłasnowolnić.

Jego rozmówca nie odpowiedział od razu.

- Tak, nie ma takich przeszkód - przyznał po chwili. - Co nie znaczy jednak, że tak się stanie - dodał zaraz. - Pana żona po prostu się o pana martwi. Przyzna pan, że pana zachowanie, jakkolwiek był jego powód, mogło ją zaniepokoić.

- Mnie też niepokoi kilka jej zachowań - zauważył. - Na przykład to, że coraz później wraca do domu. Ale zmieniając temat - zawiesił głos znacząco - jak żeście się w ogóle poznali?

- Czy to istotne w tym kontekście? - Mężczyzna nie dał po sobie poznać, czy zrozumiał aluzję.

- Może nieistotne, ale na pewno bardzo ciekawe. Zawsze mnie interesowały takie rzeczy. Nie jest pan prawnikiem, więc nie poznała pana na studiach - zresztą wtedy bym pana z pewnością kojarzył - ani obracając się w swoim zawodowym środowisku. To jak?

- Agnieszka poprosiła mnie kiedyś o opinię w sprawie jednego ze swoich klientów. Współpraca układała nam się na tyle dobrze, że później jeszcze kilka razy wystąpiłem w tej roli.

- O co chodziło, jeśli można wiedzieć?

- Pan wybaczy, ale nie muszę odpowiadać na to pytanie.

- Zapewne o niepoczytalność, prawda? Temu klientowi na pewno bardzo przydała się taka diagnoza, mi przydałaby się ona niekoniecznie.

- Jak już mówiłem, nie mogę odpowiadać na takie pytania.

- Czyli pan nie zaprzecza. To jak, jestem według pana niepoczytalny czy nie? - Przekrzywił głowę w geście zaciekawienia.

Jego rozmówca uśmiechnął się z zawodową wyższością.

- Jako psycholog nie zajmuję się tego typu diagnozami, to raczej domena psychiatrów. Poza tym takie rzeczy nie tak łatwo ustalić - powiedział. - A na pewno nie po kilkunastu minutach rozmowy.

- Przypuśćmy jednak, że mojej żonie udałoby się dzięki pana opinii umieścić mnie w szpitalu psychiatrycznym. Mogłaby wtedy wystąpić o rozwód, a nawet o unieważnienie małżeństwa kościelnego. Co prawda nie jest, z tego, co wiem, zbyt religijna, ale może jej nowy partner jest. À propos, pan chodzi do kościoła?

Psycholog popatrzył na niego poważnie.

- Widzę, że usilnie próbuje się pan doszukać wrogich zamiarów w postępowaniu pana żony, tymczasem to pan niedawno próbował rozbić własnym ciałem okno. Mniejsza o to,

w jakim celu. Może więc to pan ma najbardziej wrogie zamiary względem siebie? – Znów był punkt dla niego. Niedobrze. – Poza tym przed chwilą zastanawiał się pan, czy rzeczywistość, która pana otacza, jest obiektywna. Próbował pan wcześniej testować jej realność. – Jego rozmówca najwyraźniej postanowił pójść za ciosem. – Jak rozumiem, chodziło o problem, czy świat, w którym pan żyje, nie jest przypadkiem rodzajem halucynacji albo iluzji. Problem, jak pewnie zaraz od pana usłyszę, rozważany czysto teoretycznie. Czy takie postawienie sprawy nie kłóci się jednak z pana obawami względem mnie i pańskiej żony? Bo jeśli świat byłby rodzajem iluzji, to również my bylibyśmy jej częścią i nie moglibyśmy mieć samodzielnych, złych zamiarów względem pana, a już na pewno nie takich, które niosą z sobą prawdziwe zagrożenie. Gdyby zaś przyjąć, że rzeczywiście je mamy i dybiemy na pana wolność, to musimy być prawdziwi, a wraz z nami cały świat.

Hmm, nie pomyślał o tym.

– Musi więc pan coś wybrać – ciągnął mężczyzna. – Te dwie interpretacje się wzajemnie wykluczają. Chyba że wybierze pan trzecią, moim zdaniem najbardziej prawdopodobną. Że ma pan jakiś problem, a zarówno ja, jak i pana żona próbujemy panu pomóc. Co pan na to?

– Nudy – odpowiedział. Tylko po to jednak, żeby to przemyśleć. – Ta trzecia opcja jest nudna.

– Prawda zazwyczaj taka jest. Podobnie jak prawdziwe życie.

Ten gość miał na wszystko odpowiedź. Nie lubił go. Postanowił zmienić temat.

– Mam pytanie – zaczął. – Skoro w moim nudnym życiu zaszła już ta nudna okoliczność, że dyrektor ośrodka psychoterapii zjawiał się w moim nudnym mieszkaniu znajdującym się w tak nudnym miejscu jak to – wskazał ręką za okno – to może warto byłoby z tego skorzystać. Na pewno styka się pan w swojej

pracy z ludźmi cierpiącymi na różnego typu halucynacje. Niech mi pan powie: jak bardzo są one realistyczne?

- Zazwyczaj bardzo - odparł mężczyzna. - Na tym to polega.

- Jest jakiś sposób, żeby odróżnić, co jest halucynacją, a co nie jest?

- No cóż - pan dyrektor uniósł brew - halucynacje są zazwyczaj... - przerwał, jakby szukał odpowiedniego sformułowania - mniej prawdopodobne. Jeśli słyszymy głos w pokoju, w którym nikogo oprócz nas nie ma, albo widzimy coś, co nie ma prawa w nim być, na przykład jakieś zwierzę albo zmarłą dawno osobę, to możemy przyjąć z dużą dozą pewności, że jest to halucynacja.

- Dobrze, rozumiem - przytaknął - ale nie do końca mi o to chodzi. Czy są, że tak powiem, jakieś fizyczne oznaki pozwalające rozpoznać halucynację? Czy są one, czy ja wiem, mniej wyraźne, mniej szczegółowe, rozmazane, mają inny kolor od czegoś, co widzimy naprawdę?

Mężczyzna zastanowił się.

- Z tego, co wiem, nie - odparł. - Sam nigdy nie miałem halucynacji, ale pacjenci opisują je zwykle jako coś do złudzenia przypominającego rzeczywistość. Przynajmniej tak je odbierają.

- Wiedzą, że mają halucynacje?

- Niektórzy tak, inni nie. Zwłaszcza w przypadku schizofrenii można nauczyć się je rozpoznawać i do pewnego stopnia ignorować.

- Używając w tym celu rozsądku?

- Najkrócej mówiąc.

- Bo, upewnię się, nie ma tak naprawdę innego sposobu?

- No, tak.

- Przeprowadźmy więc rodzaj małego eksperymentu. Przypuśćmy, że mam wątpliwości, czy coś jest halucynacją, czy nie. Na przykład pan. Jak mam to ocenić, używając wyłącznie

rozsądku? Nie jest pan co prawda ziejącym ogniem smokiem, ale pana obecność tu jest dość niezwykła. Choć równocześnie nie można powiedzieć, że jest zupełnie nieprawdopodobna. To jak?

- Słyszał pan zapewne, jak rozmawiałem z pańską żoną przy drzwiach. Wie pan więc, że to ona mnie zaprosiła.

- Może ta rozmowa też była halucynacją? Uderzyłem się dość mocno w głowę. Nie do końca pamiętam, jak znalazłem się na tej kanapie. Kiedy otworzyłem oczy, pan był, a mojej żony nie było. Rozmowę pamiętam, nie przeczę, ale słuchałem jej z zamkniętymi oczami. Nie jestem pewien, czy byłem wtedy już przytomny, czy jeszcze nie. Mam prawdopodobnie wstrząśnienie mózgu. To może być jeden z jego objawów.

- Może pan do niej zadzwonić i się spytać.

- Czy żaden z pana pacjentów nie miał halucynacji, których elementem była rozmowa telefoniczna?

- Owszem, zdarzały się, lecz zazwyczaj dotyczyło to, że tak powiem, rozmów przychodzących.

- Ale nie da się całkowicie wykluczyć, że halucynacja obejmuje dzwonienie do kogoś?

- Nie, nie da się.

- Jak więc pan widzi, ten dowód również odpada. - Rozłożył ręce.

- Naprawdę pan myśli, że mogę być halucynacją?

- Ja? Ależ skąd! Przypominam, że rozmawiamy czysto teoretycznie.

- Oczywiście. Pamiętam. - Psycholog uśmiechnął się lekko wymuszenie.

- Jak w takim razie mam sprawdzić, czy pan istnieje? Dotykanie czy tym podobne rzeczy, jak sam pan rozumie, również nie mogą być brane pod uwagę. To może być część złudzenia.

Jego rozmówca zamyślił się. Już nie miał na twarzy tamtego wyrazu zawodowej pewności.

- Więc jak? - ponaglił go.

- Musiałbym na ten temat więcej poczytać...- usłyszał.

- Och, niech pan da spokój! - zachnął się. - Jest pan dyrektorem ośrodka psychoterapii w stolicy europejskiego państwa, na pewno nie brakuje panu wiedzy. Niech pan odpowie zgodnie z nią. Jak mam sprawdzić, czy pan rzeczywiście tu siedzi, czy jest pan złudzeniem wytworzonym w moim mózgu?

Psycholog spojrział na niego z irytacją.

- Nie da się - przyznał w końcu.

ROZDZIAŁ 13

- Kurwa mać! Jak to jest w ogóle możliwe?! - wykrzyczała w twarz stojącemu przed nią lekarzowi pogotowia. - Przecież badaliście go niecałą godzinę temu! Osobiście stwierdził pan śmierć! Mam to tu, na papierze. - Zamachała mu przed nosem wypełnioną kartą zgonu. - I co się stało, zmartwychwstał nagle?! A może nastąpiła wyczekiwana od dwóch tysięcy lat paruzja, przechodził tędy Jezus i go wskrzesił, tylko nam to jakoś umknęło??

Mężczyzna w czerwonej kurtce ratownika medycznego miał na twarzy wyraz kompletnego osłupienia.

- Nie wiem - wydukał. - Nie mam pojęcia, jak to się mogło stać... Wasi ludzie prosili, żebym go stamtąd nie wyciągał, żeby nie zatrzeć śladów, więc zbadałem mu w zasadzie tylko puls... Ale byłem pewien, że nie żyje...

- Proszę nie zwać odpowiedzialności na techników. - Była naprawdę wściekła. Głównie dlatego, że sama też była oszołomiona tym, co się stało. - To pan jest lekarzem, a nie oni. Mogą sobie prosić pana, o co chcą. Tych dwóch pozostałych truposzy też zaraz wstanie i sobie pójdzie?

- Nie, na pewno nie. - Teraz nie tylko kurtka lekarza była czerwona, ale i jego twarz. - Na tych pierwszych zwłokach są już nawet plamy opadowe, a drugie... sama pani widziała, w jakim są stanie...

- Nie wiem, nie znam się na tym. - W dalszym ciągu nie miała ochoty mu odpuszczać. - Skąd mam wiedzieć, czy człowiek z nożem wbitym w głowę może jeszcze żyć, czy nie? Dlatego wzywamy na miejsce zbrodni pogotowie. Żeby lekarz

z dyplomem i doświadczeniem stwierdził to, czego my możemy się tylko domyślać. Ale jak widzę, równie dobrze mogłam wezwać kelnera z restauracji na dole!

- Naprawdę nie wiem, jak to się mogło stać... - Facet był starszy od niej, a wyglądał jak strofowany uczeń. Powoli zaczynało jej być go żal.

- No, dobrze - powiedziała. - Zostawmy to. Będzie się pan tłumaczył swoim przełożonym. W jakim on jest stanie?

- Trudno powiedzieć. - Lekarz niemal odetchnął z ulgą, że wreszcie przestała się nad nim pastwić. - Żyje, ale ma niską ciepłotę ciała. Klasyczna hipotermia, z tym że nie wiadomo, czym spowodowana. Temperatura w pomieszczeniu tego nie tłumaczy.

- Będzie mógł zeznawać? I kiedy? - Tylko to ją interesowało.

- Nie przywiązywałbym się do tej myśli. - Lekarz pokręcił głową. - Słyszałem o takich przypadkach. Pacjenci, których uznano za zmarłych i którzy potem niespodziewanie ożyli, zwykle umierają po góra kilku dniach, nie odzyskawszy przytomności. Tym razem już na dobre.

- Trochę inaczej niż w przypowieści o Łazarzu - zauważyła.

- Ale niczego nie można wykluczyć.

Świetnie, pomyślała. Jedyne świadek, który spadł jej nagle jak z nieba, najprawdopodobniej nie przeżyje. Cóż za niespodziewane i szybkie zwroty akcji!

- Dobrze - powiedziała. - Zabierzcie go do szpitala. Niech ktoś z nim pojedzie i zabezpieczy wszystkie ubrania - rzuciła do techników.

Lekarz pogotowia odszedł. Po chwili zobaczyła nosze z przypiętym do nich bladym jak śmierć mężczyzną, który, jak sądziła całkiem niedawno, był martwy. Buty wynoszących go ratowników medycznych rozdeptały jeszcze ten krwawy syf, jaki pozostawił po sobie automatyczny odkurzacz. Salon

wyglądał teraz jak scenografia taniego horroru. Co tu się dzieje?, pomyślała i natychmiast uderzyło ją to, że użyła w swoich myślach czasu teraźniejszego. Nie „co tu się działo?“, a „co tu się dzieje?“. Jakby wydarzenia, których skutki obserwowała naokoło, jeszcze się nie zakończyły.

Miała dziwne i bardzo nieprzyjemne wrażenie, że nie panuje nad tym wszystkim. Po raz pierwszy od bardzo dawna czuła się zagubiona i zdezorientowana na miejscu zbrodni. Jeszcze te wielkie, sięgające od sufitu aż do podłogi okna... I ta przepaść tuż za nimi... Nigdy nie miała lęku wysokości, lecz tak bliska obecność tej industrialnej otchłani sprowadzała na nią irracjonalny niepokój.

Wzdrygnęła się mimowolnie. Było w tym miejscu coś złowrogiego, jakaś zła energia. Nigdy nie wierzyła w takie rzeczy, na pewno dałoby się w racjonalny sposób wytłumaczyć to jej odczucie, w końcu znalazła w tym mieszkaniu trzy trupy – no, może dwa i pół – ale nie mogła się oprzeć wrażeniu, że ta przestrzeń jest w jakiś sposób jej wroga. Gdyby to był stary, ściemniały od dwustuletniej historii dom, pewnie pomyślałaby, że tu straszy. Ale czy może straszyć w budynku wzniesionym raptem niecałe dziesięć lat temu?

Skarciła się za takie myśli. Nigdy nie była w tak głupi sposób przesądna. Była prawnikiem, prokuratorem, urzędnikiem wymiaru sprawiedliwości, jej serce i duszę wypełniały artykuły kodeksu karnego, jej religią była logika, w mózgu zamiast połączonych synaps miała ciągi procedur i wzory pism procesowych, a tu nagle takie bzdury. Jakby była nastolatką.

Otrząsnęła się z tego stanu. Rozejrzała po swoim stanowisku pracy. Zobaczyła wbite w siebie trzy pary oczu schowanych za ochronnymi okularami. Zdaje się, że nie tylko ona jedna była zdezorientowana.

- Jakieś pechowe to miejsce - usłyszała głos szefa

techników. – Najpierw ten odkurzacz, teraz to. Coś tu dziwnego wisi w powietrzu.

Przed chwilą myślała prawie dokładnie to samo, lecz przecież była ich przełożoną, a przełożony musi być pewny i zdecydowany, nawet jeśli wcale taki nie jest.

– Nie pierdolcie mi tu głupot, Stolarczyk – powiedziała, naśladowując ton głosu tępych sierżantów z komedii o wojsku. – Pecha to będziecie mieć zaraz wy, jeśli nie weźmiecie się znowu do roboty. Już ja się o to postaram.

Nie było to zbyt finezyjne, ale podziałało. Raczej nie można było powiedzieć, że wlała w ich serca nowego ducha i entuzjazm, ale niekoniecznie o to chodziło. Pozwoliła im po prostu poczuć, że jest ktoś nad nimi, kto wszystko ogarnia i wie, o co tu chodzi. Zwolniła ich z obowiązku niepokoju.

Bardzo by chciała, by ją również ktoś z tego zwolnił.

Szkoda, że odesłała Nowaczyka. Przydałby jej się teraz. Jaki był, taki był, ale miał w sobie chłopską niewzruszoność w obliczu niespodziewanych zdarzeń. Jego żarty w obecnej sytuacji byłyby na pewno bardziej naturalne i wiarygodne niż jej.

Poza tym może pozwolilby jej poczuć, że jest ktoś obok niej, kto to wszystko ogarnia i wie, o co chodzi.

ROZDZIAŁ 14

Wróciła wcześniej. Dawno już o tej porze nie wracała.

- Jak poszło z Rafałem, pomógł ci? - spytała.

Z Rafałem, pomyślał, co za zażyłość, no, no.

- Nie mów, że z nim o tym nie rozmawiałaś - odpowiedział.

- Nie mogłam się do niego dodzwonić. Poza tym ciebie pytam.

- Próbował się upewnić, czy nie mam zamiaru zrobić czegoś głupiego. Trochę żeśmy się spierali na temat tego, co to dokładnie oznacza.

Nie skomentowała tego. Stała nad nim i patrzyła, jakby próbowała ocenić jego stan.

- Przetawiałeś fotel? - spytała nagle ze zdziwieniem w głosie.

- Tak. Chciałem mieć lepszy widok.

Odwrócił go w kierunku okna i dosunął prawie do samej szyby. Siedział teraz na tej krawędzi urwiska, dotykając niemal kolanami zimnego szkła i patrząc w dół. Spędził tak całe popołudnie. Hipnotyzujące zajęcie.

- I co żeście ustalili? - spytała.

- W jakiej sprawie? - Patrzenie na te małe samochodziki jeżdżące po ulicach uspokajało go.

- W sprawie zrobienia czegoś głupiego.

- Że wszystko zależy od kontekstu. Czy coś jest głupie, czy nie.

- Mhm. - Usiadła wreszcie na kanapie. Miał ją teraz za swoimi plecami.

- Tak jak twoje „mhm” - ciągnął. - W zależności od kontekstu może oznaczać akceptację albo sceptycyzm. Nawet ton głosu nie zawsze bywa pomocny, by to odróżnić. Co więc oznacza twoje „mhm”?

- Nie mam zamiaru bawić się w te gierki słowne - odpowiedziała zniecierpliwiona. - I uważam, że rzucenie się na szybę w oknie jest głupie niezależnie od kontekstu. Interesuje mnie tylko, czy zamierzasz powtarzać tego typu zachowania w przyszłości?

- Czemu cię to ciekawi? - Odwrócił się do niej profilem.

- Bo jestem twoją żoną. I mieszkamy razem.

- To wiem. I rozumiem wynikające stąd zainteresowanie - odpowiedział. - Pytam o kontekst tej ciekawości. Wynika ona z tego, że nie chcesz, żebym to robił, czy wręcz przeciwnie, chciałabyś i jesteś ciekawa, kiedy podejmę następną próbę?

Usłyszał dźwięk wypuszczanego nosem powietrza, co zapewne miało oznaczać irytację.

- Nie, nie chcę - odparła. - Dlaczego miałabym tego chcieć?

- Bo masz nieudanego męża, za którego wyszłaś w młodzięcym jeszcze zaślepieniu, próbując wydostać się spod wpływu dominującej matki, co zresztą, jak widzimy teraz, nie do końca się udało, bo zdaje się, że wróciłaś w końcu na jej łono - wyjaśnił spokojnie. - Kolejna moja próba zakończona tym razem sukcesem uwolniłaby cię od tego.

Nie odpowiedziała od razu.

- Gdybym chciała się od ciebie uwolnić, to znam inne sposoby. Uczyli mnie o nich na studiach - odpowiedziała w końcu.

- Mówisz o rozwodzie czy o morderstwie, bo nie do końca zrozumiałem? - spytał z niewinnym zaciekawieniem.

Wstała gwałtownie.

- Wiesz co? Rób, co chcesz - rzuciła ze złością. - Przez

chwilę miałam... Nieważne zresztą. Powiedz mi tylko, czy podjęliście jakieś decyzje dotyczące przyszłości?

- Jakie decyzje?

- W sprawie dalszego postępowania. Umówiliście się na kolejne spotkanie czy może polecił ci kogoś innego?

- Nie, nie umówiliśmy się - odpowiedział. - Wystarczy chyba, że umawia się z tobą, prawda?

- Co ty znowu sugerujesz?

- Nic, absolutnie nic.

- Dobrze, zostawmy to. - Westchnęła. - Czyli co, polecił ci kogoś, tak?

Zastanowił się.

- Była zdaje się o tym mowa - odparł.

- Zostawił ci też jakąś ulotkę - powiedziała. - Leżała pod drzwiami. Musiała spaść z szafki na buty, gdy wchodziłam.

Zdziwił się. Nie przypominał sobie żadnej ulotki.

- Co to jest? - usłyszał jej głos. Odwrócił się, by na nią spojrzeć. Aż zaboląła go szyja.

- Co?

- Po co ci to? - Wyciągnęła w jego stronę rozłożony kredowy papier.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Naprawdę nie wiedział.

- Czyś ty do reszty zwariował?! - Wyglądała na naprawdę zdenerwowaną. - Odbiło ci czy robisz to specjalnie, żeby mnie wyprowadzić z równowagi?

- Nie wiem, o co ci chodzi. - Poczul ukłucie zaniepokojenia.

- Słuchaj, mam już tego serdecznie dość - powiedziała zmęczonym głosem. - Nie wiem, czy robisz to na serio, czy grasz ze mną w jakąś chorą grę, ale chcę, żebyś z tym skończył, mówię poważnie.

- Z czym, do cholery, skończył? Mogłabyś mi to wreszcie wyjaśnić? - Wstał z fotela.

- Nie udawaj, że nie wiesz. - Podsunęła mu pod nos ulotkę. Spróbował odczytać, co jest na niej napisane. Bez powodzenia. Rozpoznał tylko lekarza w białym kitlu na zdjęciu.

- Pierwszy raz to widzę na oczy - odpowiedział. - Może ten twój Rafał to zostawił.

- On? Po co miałyby to robić? Wytłumacz mi, po co?! - Podniosła głos niemal do krzyku. - Nawet mu o tym nie wspominałam!

- O czym, do kurwy nędzy?! - Był już kompletnie zdezorientowany.

- O twojej jebanej obsesji - odpowiedziała. - A teraz posłuchaj mnie bardzo uważnie - wycodziła przez zęby. - Masz pójść na terapię. Od jutra. Umów się z kimś, z Rafałem albo znajdź kogoś w internecie, wszystko mi jedno. Ale masz to zrobić. Jeśli nie, to przypominam, że jestem prawnikiem i znam sposoby, by cię do tego zmusić. A to już będzie o wiele mniej przyjemne. Czy to jest jasne?

Rzuciła ulotkę na ziemię i go zostawiła. Usłyszał, jak ubiera się w przedpokoju.

Spojrzał pod nogi. Niewielki, prostokątny kawałek błyszczącego papieru. Naprawdę nigdy go wcześniej nie widział. Schylił się, żeby go podnieść.

Trzasnęły drzwi. Musiała solidnie nimi walnąć, skoro dało jej się osiągnąć ten efekt.

Podniósł ulotkę do oczu. Ten lekarz na zdjęciu był naprawdę podobny do tego jej Rafała. Zaczął czytać.

Klinika wybudzeń. Pierwsza prywatna klinika w Polsce zajmująca się wybudzeniami osób dorosłych. Profesjonalna kadra medyczna, jednoosobowe pokoje, możliwość noclegu dla krewnych pacjentów w śpiączce. Najnowocześniejsze metody terapii.

ROZDZIAŁ 15

Wpatrywał się w kartkę jak urzeczony. Jakby jej treść spowodowała zwarcie w jego mózgu, po którym stracił zdolność myślenia. Przeczytał jeszcze raz tekst na pierwszej stronie, zarówno ten wytłuszczony nad zdjęciem, jak i ten zapisany normalnym drukiem tuż pod nim. Lekarz na zdjęciu naprawdę był podobny do Rafała Kalinowskiego, psychoterapeuty, który być może miał romans z jego żoną.

Odwrócił ulotkę na drugą stronę. Były tu jeszcze dwa zdjęcia przedstawiające ładne, nowoczesne wnętrza kliniki przypominającej bardziej pensjonat w Alpach niż szpital oraz stopka z numerami telefonów, adresem strony internetowej, e-mailem oraz nazwą miasta i ulicy. Ta ostatnia nic mu nie mówiła. Musiała znajdować się w którejś z obrzeżnych dzielnic Warszawy.

Odłożył ulotkę na szklany stolik, po czym ponownie usiadł na fotelu zwróconym w stronę okna. W głowie miał pustkę, którą powoli wypełniał lęk. Już nie niepokój, jak do tej pory, ale narastające stopniowo przerażenie, tym dziwniejsze, że zdające się saczyć z niewidzialnego źródła, niczym gaz z rozszczelnionej instalacji.

Wbił wzrok w ulicę trzydzieści pięter niżej. Małe samochodziki już go nie uspokajały, ani tym bardziej jeszcze mniejsi ludzie. Było w nich coś nierealnego, nieprawdziwego, jakby oglądał film, a okno było tylko ekranem. Z tej odległości rzeczy w zasadzie nie istniały, były tylko obrazem, bo nawet dźwięk tu nie dochodził stłumiony odległością i tymi grubymi szybami.

Zapraǳnł nagle przebić t barier, wycignc rk i dotknc tego tam, na dole. Sprawdzic, czy istniej ci ludzie chodzcy po chodnikach, te samochody stojce na ulicy, ten asfalt i ten bruk pod nimi. Sprawdzic nie tyle dotykiem, co rozlewajc si po nich wsnan ciep krwi. Jakby w ten jeden jedyny sposb mg w peni potwierdzic ich realnoc.

Szyba zawsze ma w sobie co z ekranu, a on zawsze patrzy nawiat przez szyb. Odkd pamitał, to znaczy odkd zamieszkał w tym przekętym wizieniu na szczycie wieży. Wszystko, co byo przedtem, zataro si w jego wspomnieniach, jak gdyby nigdy si nie zdarzyo. Byc może żył kiedys naprawd, raczej na pewno tak byo, pamitał przeciez szalone noce, przygodny, pijany seks i tamto poczucie, że tanczy na dachuwiata. Ale to byo kiedys, tak dawno, że niemal nieprawda. Midzy tamtymi wspomnieniami a tym, co jest dzisiaj, rozcigała si szyba twardsza i grubsza niz ta, ktor miał teraz przed nosem. Co si stao, co zaszo, że nie ma juz tamtego czowieka i tamtego życia?

Usiował przypomniec sobie, kiedy nastpiła zmiana. Czy była jakas cezura, która rozdzielała te dwie epoki niczym Mojżesz wody Morza Czerwonego? Pamitał, że czytał kiedys ksiżk, której bohater zginł w wypadku, lecz wydawao mu si, że żyje dalej. Może z nim byo tak samo? Może to wszystko nie dzieje si naprawd, a on leży na szpitalnym ozku podpity do aparatury podtrzymujcej życie?

Tylko gdyby to była prawda, od kiedy należaoby to liczyc? Co w jego przeszoci byo jeszcze prawdziwe, a co juz nie? Czy to bajkowe, bogate życie, które zawdziczał małżenstwu z dziedziczk prawniczej fortuny, a które później zmienio si w koszmar, zaczęo si jeszcze po tamtej stronie, czy juz po tej? Co mogo byc momentem przejscia? Czy stao si to wtedy, gdy wyprzedzał tamt ciężarowk, a samochd jadcy z naprzeciwka niemal si zatrzymał, by on zdżył wrocic na

swój pas, coś poszło jednak nie tak? Czy może wtedy, gdy pił przez tydzień dzień po dniu, a rano stawiał się na nogi kawą i napojami energetycznymi? Pamiętał ból serca, zimny pot oraz strach na granicy paniki. Czy może wydarzyło się to później, w czasie tamtej podróży na Karaiby? Nurkowali z Agnieszką na rafie i pamiętał, że miał jakiś problem z butlą tlenową. Czy to stało się wtedy? Niedotlenienie mózgu – to by pasowało. Ludzie zapadają w śpiączkę po czymś takim.

Tylko jeśli faktycznie tak było, powinny być jakieś skazy, nieciągłości w obrazie, który jego umysł tak pieczołowicie poskładał z fragmentów niczym mozaikę z potłuczonych talerzy. Tak było w tej książce, pamiętał to. Czy było coś takiego? Spojrzał w dół. Mały ludzik, nie większy od paprocha, maszerował w kierunku pudełka kościoła Wszystkich Świętych. Może to jego zamknięcie w szklanej wieży było czymś takim? Nie wychodził stąd przez tyle czasu nie dlatego, że dochodził do siebie po jakimś wypadku, tylko dlatego, że jego pozbawiona dostępu do odświeżających nowych bodźców rzeczywistość skurczyła się do tych stu pięćdziesięciu metrów kwadratowych. Był jeden sposób, żeby to sprawdzić. Wyjść z tego mieszkania. Zobaczyć, co się wtedy stanie. I jak będzie wyglądał świat tam, na zewnątrz. Czy będzie w nim coś dziwnego, czy będzie w nim widać szwy, coś, co pozwoli mu przydybać swój własny umysł na samooszustwie?

Wstał. Odwrócił się od tamtego hipnotyzującego widoku za oknem. Ruszył powoli przez salon. Nogi miał jak z waty, odnosił wrażenie, że podłoga ugina się pod nim niczym powierzchnia bagna. Czy był to efekt paniki związany z myślą o wyjściu na zewnątrz, czy pierwsze oznaki rozpadającej się iluzji?

W miarę jak zbliżał się do drzwi, czuł coraz większy, niemal fizyczny opór. Coś ciągnęło go do tyłu za włosy, niczym Atena Achillesa w Iliadzie, jego ulubionej lekturze z początków studiów. Miał wydanie z niesamowitymi ilustracjami Stanisława

Wyspiańskiego, marzył wtedy, że sam będzie kiedyś tak malował. Gotów był zapłacić za to nawet tę samą cenę – śmierci w biedzie u szczytu talentu. Jego późniejsze życie było dokładną antytezą tamtych marzeń. Ani nie zaznał w nim biedy, ani nie odnalazł w sobie talentu.

Podszedł do wyjścia. Wyciągnął dłoń w stronę klamki. Już prawie nie pamiętał, jak wygląda korytarz po drugiej stronie drzwi. Kiedy stąd jeszcze wychodził, inne mieszkania na ich piętrze stały puste. Kupili je inwestorzy z dalekich krajów czekający na wzrost cen nieruchomości w Warszawie. Może coś się pod tym względem zmieniło? Może już miał sąsiadów?

Ta myśl mu nie pomogła. Perspektywa spotkania innych ludzi już tu, na jego piętrze, napełniła go przerażeniem. Co miał wtedy zrobić? Przywitać się? Powiedzieć dzień dobry? Czy może raczej good afternoon? Już bardzo dawno nie był w podobnej sytuacji. Czuł się, jakby miał wyjść w przestrzeń kosmiczną bez skafandra. Cofnął rękę.

ROZDZIAŁ 16

W końcu to jednak zrobił. Wyszedł. Jego żona nie zamknęła drzwi na klucz, wystarczyło więc nacisnąć klamkę. On z kolei zostawił je na oścież otwarte, jakby bał się, że będzie musiał szybko przez nie wracać.

Korytarz wydał mu się obcy, jakby widział go pierwszy raz. Może dlatego, że tak dawno tu nie był, a może po prostu przez swoją bezosobowość i rodzaj sterylnej pustki. Nic na nim nie było, ani wycieraczek przed drzwiami, ani nazwisk na tabliczkach przykręconych do ich powierzchni, ani żadnych w ogóle śladów ludzkiej obecności. W bloku, w którym się wychował, na korytarzach zawsze coś stało. A to rower, a to kwiatki w doniczkach, a to jakieś wystawione na zewnątrz, niepotrzebne rupiecie. To nie było nic. Ściany, posadzka i jednakowe drzwi z numerami mieszkań.

Ruszył w kierunku windy. Szedł tuż przy ścianie, niemal dotykając jej ramieniem. Tak czuł się nieco bezpieczniej. W razie czego mógłby się jej chwycić, przyłgnąć do niej. W razie gdyby... Sęk w tym, że nie bardzo wiedział, w razie czego.

Im bardziej oddalał się od swego mieszkania, tym wyraźniejszy odczuwał niepokój. Pot wystąpił mu na czoło, oddech przyspieszył i stał się płytszy. Jeszcze chwila i dostanie ataku paniki. Czego się w zasadzie tak bał? Przecież kiedyś wychodził stąd bez żadnego problemu. Obejrzał się za siebie. Przeszedł najwyżej trzy metry, a wydawało mu się, jakby był już na drugim końcu korytarza.

Doszedł do pierwszych drzwi. Zatrzymał się przed nimi,

jakby bał się przekroczyć ten punkt. Ściana tu przecież się urywała, a to ona dawała mu iluzję bezpieczeństwa. Przełknął ślinę. Patrzyło na niego szklane oko judasza. Kolejna trudność. A jeśli ktoś tam jest i obserwuje go w tym momencie? Zajrzał ostrożnie w soczewkowatą czeluść. Niczego tam nie było. Chyba. Czy gdyby po drugiej stronie znajdowało się obserwujące go oko, zdołałby je dostrzec? Nie wiedział tego.

Nadstawił uszu. Nic nie usłyszał. Wiedział oczywiście, jak grube i dobrze wytłumione są takie drzwi, w końcu sam miał takie same, ale i tak wstrzymał oddech, starając się wychwycić jakiś dźwięk za nimi. Bez powodzenia. Absolutna cisza.

Zrobił ostrożnie długi krok. Jakby przestępował nad szerokim rowem. Zachwiał się lekko i omal nie przewrócił, lecz w końcu przywarł plecami do ściany po drugiej stronie. Odetchnął głęboko. Teraz czekało go najgorsze. Wejście do windy było na przeciwległej ścianie. Niby nic, ale musiał przejść przez środek korytarza, odrywając się od bezpiecznej ściany.

Zamknął oczy. Nagła ciemność przestraszyła go, więc natychmiast je otworzył. To przecież nic takiego, pomyślał. Nie ma pod stopami przepaści ani rzeki pełnej aligatorów. Dlaczego coś, co kiedyś robił, nie myśląc nawet o tym, teraz stało się takie trudne? Wszystko jest w głowie, próbował się przekonać. I wtedy nagle pomyślał, że skoro faktycznie wszystko jest w głowie, to skąd może u diabła wiedzieć, czy nie ma tam przepaści ani rzeki z aligatorami? Albo nawet jeśli ich tam nie ma, bo niby skąd miałyby być, to czy nie nadwyreża właśnie swojej iluzji, wychodząc tak daleko z jej dotychczasowego zasięgu, i czy to nie jest aby niebezpieczne? Bo jeżeli jego skołatany, wyczerpany tworzeniem od zera świata umysł nie wytrzyma nowego wysiłku, to może faktycznie wpaść w jakąś otchłań. Nie naprawdę oczywiście, ale przerażenie, które go wtedy ogarnie, będzie jak najbardziej prawdziwe.

Spojrzał pod stopy. Posadzka wydawała się pewna. Dobrze, solidnie wymyślona. Nie pulsowała, nie rozmywała się, nie przebijało przez nią nic. Może jest jednak prawdziwa? Po prostu. Podobnie jak wszystko to naokoło. Postawił ostrożnie stopę nieco dalej od ściany. Potem delikatnie zwiększył nacisk. Tak jakby wchodził na lód, sprawdzając, czy go utrzyma.

Wreszcie zdecydował się oderwać od ściany. Podłoga zafalowała, ale nic więcej się nie stało. Nie zaczął w niej tonąć, nie pękła nagle ani nie zniknęła. Dobrze i tyle. Niepewnie zrobił drugi krok. Potem trzeci. Ciągłe czuł się, jakby chodził po powierzchni dmuchanego zamku dla dzieci, ale zdawał sobie sprawę, że to tylko złudzenie. Być może wręcz takie zwykłe, wynikające z tego, że nadmiernie się denerwował.

Doszedł wreszcie do windy. Nacisnął przycisk. Poczł się pewniej, czując dotyk metalowych drzwi pod palcami. Usłyszał cichy szum pracującego urządzenia. Po chwili drzwi się rozsunęły. Nie za szybko?, pomyślał. Nie powinien trochę dłużej poczekać? W końcu mieszkał na trzydziestym piętrze. A ta winda przyjechała niemal od razu. Jakby grał w filmie, w którym nigdy się na nic nie czeka. Gdzie taksówki i windy pojawiają się momentalnie.

Wszedł do kabiny. Wybrał przycisk z cyfrą 0. Drzwi zasunęły się. Poczł lekki ucisk w żołądku, gdy winda zaczęła opadać. Ten moment zawsze wydawał mu się nieco nierzeczywisty, a teraz to wrażenie jeszcze się wzmocniło. Kto może wiedzieć, co się dzieje teraz tam, za tymi metalowymi drzwiami?

Znowu poczul nadciągający atak paniki. Niech już te wrota się otworzą! Chciałby wreszcie zobaczyć świat, niezależnie od tego, czy istnieje on naprawdę, czy nie. Tu, w tej metalowej skrzyni, nie mógł się oprzeć myśli, że na zewnątrz nic nie ma, nawet jego iluzji. Spojrzał w swoje odbicie w lustrze. Wstrząsnął nim widok własnej twarzy. Zobaczył przerażonego,

zagubionego człowieka. Włosy miał w nieładzie, oczy podkrążone, a na brodzie i policzkach zarost, który już powoli stawał się brodą. Kiedy zmienił się w tego kogoś? Gdzie się podział tamten pewny siebie mężczyzna z łobuzerskim błyskiem w oku, który tak bardzo lubiły kobiety? Facet, który dostawał zawsze to, czego chciał, a chciał wszystko i jeszcze więcej? Miał nadzieję, że chociaż ten widok był iluzją, że chociaż on był nieprawdziwy.

W końcu winda stanęła, drzwi się rozsunęły. Zobaczył hol i szklane drzwi głównego wejścia naprzeciwko. Wszystko wydało mu się duże, o wiele większe, niż zapamiętał. Oparł się plecami o tylną ścianę kabiny. Powinien teraz wyjść, prawda? Nie mógł jednak zrobić kroku. Poczował, jak pod włosami na potylicy spływa mu kropla potu. No, dalej!, przynaglił sam siebie. Jeszcze chwila i drzwi z powrotem się zamkną i winda znowu pojedzie na górę. Przełknął ślinę. Całe szczęście w holu nikogo nie było. Z wyjątkiem portiera za kontuarem, ale on był tu zawsze.

„Teraz!”, wydał sobie rozkaz w myślach. Oderwał się od ściany i ruszył do przodu. Właśnie w tym momencie drzwi zaczęły się zasuwać. Szybko wyciągnął rękę przed siebie, żeby zatrzymać ich ruch. Udało się, choć metalowe szczęki o mało nie odgryzły mu dłoni. Cofnęły się jednak i rozsunęły na boki.

Wyszedł. Stał teraz w tym ogromnym holu. Usłyszał, jak winda zamyka się za jego plecami i rusza w górę. Droga odwrotu została odcięta. Był zdany na łaskę i niełaskę tego wrogiego czegoś przed sobą. Na wszelki wypadek odwrócił się i wcisnął przycisk windy, by ją sprowadzić znowu na dół. Na wszelki wypadek. Lepiej, żeby tu była, gdyby... Gdyby coś się stało.

Skoro tu jednak zjechał, nie będzie od razu wracał. Byłoby to bez sensu. Poza tym był ciekaw. Co tam jest i co się wydarzy.

Zrobił pierwszy krok w stronę wyjścia. Potem drugi i trzeci.

- Dzień dobry - usłyszał. Portier patrzył na niego z niepokojem. Musiał wyglądać dziwnie, niezbyt zdrowo. - Dobrze się pan czuje?

Nie odpowiedział. Dotarł już niemal do drzwi. Stały przy nich dwie duże rzeźby Magdaleny Abakanowicz. Puste w środku skorupy bez głów idące w jego stronę. Musiał je szybko minąć, inaczej go dorwą.

- W porządku, dziękuję - odparł dopiero teraz.

I wyszedł.

ROZDZIAŁ 17

Stała przy szpitalnym łóżku, patrząc na leżącego na nim człowieka. Był blady, ale oczy miał otwarte. Tyle że nieruchome, wpatrzone w przeciwległą ścianę.

- Można z nim porozmawiać? - spytała stojącego obok lekarza.

- Niech pani spróbuje - odparł. - Nie ma z nim żadnego kontaktu. Wydaje się przytomny, ale nie reaguje na nic.

- Co mu właściwie jest?

- Trudno powiedzieć. Gdy do nas trafił, jego funkcje życiowe były na minimalnym poziomie. Niska ciepłota ciała, ledwo wyczuwalny puls, bardzo niska aktywność mózgu. Przypominało to trochę stan, w jaki zapadają zwierzęta podczas snu zimowego. W zasadzie nie dziwię się, że pogotowie uznało go za zmarłego.

- Wiadomo, co to spowodowało?

- No właśnie nie. Temperatura pomieszczenia, w którym go znaleziono, była normalna, w jego ciele nie wykryliśmy śladów substancji, które mogłyby dawać takie objawy. Nie stwierdziliśmy też żadnych większych urazów poza niewielkimi w sumie otarciami naskórka. Wygląda to trochę, jakby sam wprowadził się w taki stan.

- Sam? - zdziwiła się.

- Nie wiem, naprawdę, nie mam pojęcia. - Lekarz wydawał się jednocześnie skonfundowany i zafascynowany. - Pierwszy raz w życiu widzę coś takiego. Medycyna zna zjawisko nazywane syndromem Łazarza. Występuje on w sytuacji, kiedy u pacjenta uznanego za zmarłego następuje spontaniczne

przywrócenie akcji serca. Zazwyczaj jednak dzieje się tak jakiś czas po nieudanej reanimacji i niektórzy wiążą to z jej opóźnionym działaniem. Tu jednak żadnej akcji reanimacyjnej nie podjęto, co więcej nie jesteśmy pewni, czy rzeczywiście nastąpiło zatrzymanie krążenia, czy tylko jego spowolnienie.

- No dobrze. - Prokurator Sereżyńska nie miała specjalnej ochoty towarzyszyć lekarzowi w jego niewątpliwie ciekawych zawodowych rozważaniach. - Powiedział pan, że mógł sam doprowadzić się do takiego stanu. W jaki sposób?

- Przejrzałem teraz na szybko dostępne w internecie materiały - lekarz zdawał się coraz bardziej zapalać - i trafiłem na kilka ciekawych informacji. Zbliżone objawy mogą występować podczas głębokiego transu. Podobno niektórzy jogini, mnisi buddyjscy i szamani syberyjscy potrafią spowalniać swoje funkcje życiowe. Są to jednak wiadomości nie do końca potwierdzone. No i nie wiemy, jak on miałby niby tego dokonać.

Dużo słów i nic, co by jej się przydało w śledztwie, pomyślała prokurator Sereżyńska.

- W porządku - powiedziała. - Mogę mimo wszystko spróbować go przesłuchać?

- Nie widzę przeciwwskazań - odpowiedział lekarz. - Jeśli uda się go pani wyrwać z tej katatonii, będę tylko wdzięczny. Może prokuratura wykaże się w jego przypadku większą skutecznością niż medycyna. Szczerze pani tego życzę.

Wyszedł.

Sereżyńska jeszcze przez chwilę przyglądała się leżącemu mężczyźnie. Wszystkie te podpięte do niego kable i przewody, jak wyjaśnił jej wcześniej lekarz, miały za zadanie tylko monitorować jego stan, a nie podtrzymywać go przy życiu, wrócił on bowiem zadziwiająco szybko do całkiem zadowolającej formy. Usiadła na krześle obok jego łóżka.

- Dzień dobry - zaczęła. - Prokurator Gabriela Seredyńska, Prokuratura Okręgowa w Warszawie. Możemy przez chwilę porozmawiać?

Gałki oczne mężczyzny nawet nie drgnęły. Wciąż wpatrywały się w ścianę. Tylko powieki raz za razem opuszczały się i podnosiły. Monotonnie, jednostajnie, jakby poruszał nimi jakiś elektryczny silniczek. Mimo to miała dziwne wrażenie, że za tymi powiekami ktoś jednak jest, ktoś ją słyszy, a nawet, nie patrząc na nią wprost, obserwuje.

Nachyliła się więc ku niemu i wbiła wzrok w te nieruchome oczy.

- Zrobić panu loda? - spytała.

Rytm podnoszenia i opuszczania powiek uległ nagłemu zaburzeniu, źrenice mężczyzny drgnęły, jakby chciał na nią spojrzeć, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał.

Wyprostowała się na krześle.

- No dobrze - powiedziała. - Dość tej komedii, przecież widzę, że pan mnie słyszy.

Wzrok mężczyzny powoli zwrócił się w jej stronę.

- Nie, dziękuję - powiedział cicho i równie powoli.

- To nie była poważna propozycja - odparła.

Przez chwilę jej się przyglądał.

- Wiem - usłyszała.

Odwzajemniła mu się, patrząc prosto w oczy.

- Czemu pan udawał? - spytała w końcu.

Odwrócił od niej spojrzenie.

- Nie udawałem - odpowiedział. - Zastanawiałem się.

- Nad czym?

- Czy obudziłem się naprawdę, czy nie.

- Miał pan jakieś wątpliwości? - spytała.

- Do tej pory mam - odparł.

Uniosła brwi.

- Bo wyglądam, jakbym była z koszmaru? - spytała z ironią.

Rzucił jej znowu krótkie spojrzenie.

- Nie, nie wygląda pani, jakby była z koszmaru - odpowiedział. - Jest pani bardzo ładna.

Dawno nikt nie powiedział jej tego w tak zwyczajny, pozbawiony jakichkolwiek podtekstów sposób. Zrobiło jej się miło, mimo to powiedziała:

- Mogę stać się osobą z pana koszmaru. Proszę nie mieć co do tego najmniejszych wątpliwości. - Postarała się, by zabrzmiało to bardzo stanowczo. - Jeśli nie będzie pan ze mną współpracował albo zacznie kręcić w zeznaniach.

Kiwnął lekko głową, jakby przyjmował to do wiadomości.

- Jam jest śmierć, niszczycielka światów - powiedział.

Zabrzmiało to jak cytat. Gdzieś faktycznie już to kiedyś słyszała.

- Aż tak to nie. - Uśmiechnęła się cierpko. - Ale coś w tym jest, co pan powiedział.

Rozejrzał się dookoła.

- Gdzie ja jestem? - spytał.

- W szpitalu - odparła. - Najpierw był pan na OIOM-ie, teraz przenieśli pana na zwykły oddział.

Spojrzał na nią z przestraczem.

- A więc się nie udało - stwierdził ze smutkiem.

ROZDZIAŁ 18

Owionął go zimny, nieprzyjemny, wilgotny wiatr. Nie pomyślał oczywiście, żeby się ubrać, wyszedł tak, jak stał. Mimo to nie było mu chłodno, nie. Było mu... nierzeczywiście.

Stał na chodniku przed wejściem, słyszał i widział przejeżdżające ulicą samochody, rejestrował mijających go ludzi i próbował ocenić, czy to wszystko jest prawdziwe.

To dziwne, pomyślał, ale nigdy wcześniej tak do tego nie podchodził. Przyjmował zastaną rzeczywistość na wiarę. Zakładał z góry, że jest prawdziwa, ufał jej w bezrefleksyjny sposób, nigdy nie próbował oceniać jej realności, odbierał ją powierzchownie, bez momentu zastanowienia. Była to była i już.

Ale w sumie dlaczego? Dlaczego przez całe swoje czterdziestoletnie niemal życie ani razu nie przyszło mu nawet do głowy, by potraktować ją jak coś, co należałoby najpierw zbadać, żeby wydać osąd? Z jakimś rodzajem zdrowego sceptycyzmu, nie z nieufnością nawet, bo ją czuł dopiero teraz, ale bez tej bezkrytycznej nieuważności.

Spróbował zrobić to teraz. Wgryźć się w realność, poczuć ją na zębach i dziąsłach, potraktować jak coś więcej niż tło w grze komputerowej. Może gdyby zrobił to wcześniej, jego obrazy nie byłyby tak płaskie, nudne i wtórne.

Odetchnął głęboko. Chłodne, mokre powietrze o smaku spalin. Z lekką nutą zapachu kawy z pobliskiej sieciowej kawiarni.

To jednak było wciąż za mało, wciąż nie docierało do sedna. Co powinien zrobić, by przebić tę skorupę zastygłego

przyzwyczajania w odbieraniu świata? Gdzieś tam po głowie tłukły mu się hasła o byciu w terażniejszości, o skupieniu się na „tu i teraz”, ale jak miał się skupić na „tu i teraz”, skoro właśnie o tym myślał i w rezultacie ni cholery nie był „tu i teraz”. Szlag!

Gdyby dało się jakoś podważyć, podnieść, rozpruć tę zewnętrzną warstwę, żeby zobaczyć, czy jest coś pod spodem. Czy pod tym chaosem dźwięków, obrazów, kolorów, ruchów, zapachów i diabli wiedzą, czego jeszcze, jest jakieś mięso, jakieś życie, jakaś krew... Może gdyby skoncentrował się na jednym, na przykład na jednym zmyśle, albo jeszcze lepiej, na jednym wyizolowanym bodźcu, dałoby się to zrobić. Gdyby go zbadał, wchłonął, zogniskował na nim całą swoją uwagę, przyjął w siebie, wessał, przeżuł i połknął, może zdołałby wyczuć, czy jest prawdziwy, czy stoi za nim cokolwiek realnego, co nadaje mu smak, moc i siłę. Tylko co by to mogło być?

Rozejrzał się dookoła. Zewsząd atakowała go kakofonia wrażeń zmysłowych. Im usilniej próbował wyizolować któreś z nich, tym bardziej reszta wdzierała mu się do środka niepowstrzymaną falą. Zamknął oczy, by zatrzaskać chociażby te wrota.

Skupił się na dźwięku. Odgłosy miasta, ulicy, przejeżdżających po niej samochodów. Kroki mijających go przechodniów, nawet szelest ich ubrań. Daleki sygnał karetki. Klakson. Jeśli to była iluzja, to naprawdę szczegółowa.

Czy to był dowód na prawdziwość otaczającej go rzeczywistości? Mózg jest podobno najlepszym i najsprawniejszym komputerem, ale czy byłby w stanie wytworzyć aż tak wiarygodną, tak wielowarstwową halucynację? A może zamykając oczy, ułatwił mu po prostu zadanie? Pozwolił rzucić wszystkie siły, wszystkie moce obliczeniowe na ten jeden front?

Uniósł ponownie powieki. Zmieniło to coś? Chyba nie. A może?

Nie potrafił tego ocenić. Stał jak idiota na środku chodnika i nie wiedział, co dalej. Przechwycił kilka zdziwionych spojrzeń mijających go ludzi. Jeśli ten świat jest jednak prawdziwy, mają go pewnie za wariata. I zresztą trudno im się dziwić.

Jeszcze raz omiół spojrzeniem okolicę. Miał lekką wadę wzroku, zaledwie minus pół dioptrii w lewym oku i minus jedną w drugim. Za mało, żeby nosić okulary, zresztą nie podobał się w nich sobie, ale wystarczająco, żeby rozmyć nieco obraz, zwłaszcza gdy patrzył dalej. Ten zamglony filtr nałożony na rzeczywistość nie pomagał mu teraz. Sprawiał, że wszystko wyglądało nie do końca realnie, jak obraz ze starego programu telewizyjnego. Do tej pory nie zastanawiał się nad tym, tak było i już, dopiero teraz pomyślał, że może to jednak nie jest przypadek. Może nie chodzi wcale o wadę budowy jego gałek ocznych? Co, jeśli jego przeciążony mózg broni się w ten sposób przed koniecznością tworzenia nazbyt szczegółowej wizji? A może - jego myśli pędziły już do przodu bez żadnej kontroli - nie jest to żadna sztuczka, ale defekt?

To nagle, niespodziewane wytłumaczenie go przestraszyło. Może to właśnie jest ta skaza, której szukał? Błąd wynikający z długotrwałego braku dostępu do realnych bodźców? Jego iluzja degraduje się, a to jest tego skutek. Jeśli tak jest w istocie, symptomy będą się pogłębiać. Świat, który miał dotąd za prawdziwy, zacznie się rozpadać. Zaczęło się od tego rozmycia, kto wie, co będzie potem? Dziury w rzeczywistości? Pójdzie za daleko, skręci za róg, a tam nie będzie już nic? Czy to możliwe?

A może będzie dokładnie odwrotnie? Rzeczy będą pojawiać się w miejscach, w których wcześniej nie stały. Zaburzony zostanie ciąg przyczynowo-skutkowy. Wydarzenia nie będą

miały przyczyn ani konsekwencji, bo jego mózg przestanie sobie radzić z uprawdopodobnianiem budowanej przez siebie wizji. Pojawią się fantastyczne stwory rodem z baśni i mitycznych opowieści, albo filmów science fiction. A potem wszystko zacznie powoli zanikać, blednąć, stygnąć i karłowacieć. Na końcu zaś jego świadomość obumrze, niczym roślina pozbawiona wody i światła.

Aż zakręciło mu się w głowie od takiego myślenia. Poczuł znów tamtą panikę, jakby stał na krawędzi dachu i nie miał się czego przytrzymać. Zachwiał się czy to przestrzeń wokół niego zafalowała? Spojrzał pod nogi. Chodnik. Mniej więcej sto osiemdziesiąt centymetrów od jego oczu. Akurat tyle, by już nie widział go całkiem wyraźnie. Ciekawe, czy jest prawdziwy?, pomyślał. Chciał się na niego rzucić ze swojego okna, trzydzieści pięter powyżej, by krwią, połamanymi kośćmi i roztrzaskanym mózgiem przetestować jego realność. Lecz jeśli to wszystko jest tylko iluzją, to przecież wszystko jedno, skąd się rzuci, bo nie ma ani tamtych trzydziestu pięter, ani tych stu osiemdziesięciu centymetrów. Równie dobrze może dać nura tu, stąd, w tę przepaść pod podeszwami butów. Prawda? Prawda.

Zamknął więc oczy i skoczył.

ROZDZIAŁ 19

- Jezus Maria, co się panu stało?

Otworzył oczy. Nad sobą zobaczył czterdzieści cztery piętra szklanego prostopadłościanu. To był naprawdę jego dom? Z tej perspektywy wyglądał jak nagrobna stela z czarnego marmuru lub jak bazaltowy obelisk pozostały po dawno upadłej cywilizacji.

- Wezwać karetkę? Coś panu jest?

Przeniósł wzrok nieco bliżej. Na tle czarnej, szklanej, sięgającej nieba ściany zobaczył ludzką twarz. Mówiła do niego.

- Słucham? - spytał odruchowo.

- Pytam, czy wezwać karetkę. - Twarz należała do mężczyzny i chyba ją znał. Choć nie za dobrze.

- Nie, dziękuję, nie trzeba - odparł.

Nigdy wcześniej nie leżał na chodniku. Ludzie zresztą rzadko to robią. Można się położyć na trawie albo na piasku, ale na chodniku? To raczej nie jest przyjęte.

- Widziałem, jak się pan przewracał. Zrobiło się panu słabo? Może miał pan zawał?

Twarz najwyraźniej wciąż coś od niego chciała. A on patrzył się w niebo. Mieszkając w mieście, rzadko patrzy się w niebo.

- Nie, nie miałem żadnego zawału - odpowiedział.

Zobaczył księżyc. Taki blady na dziennym jeszcze niebie. Trochę nie w porę się zjawił, za wcześnie.

- Na początku pan stał nieruchomo. I to przez jakiś czas. Obserwowałem pana. A potem się pan przewrócił. Coś się musiało stać. Ludzie nie przewracają się ot tak, bez powodu.

Znowu ta twarz. Przyjrzał jej się uważniej. Tuż pod nią był biały kołnierzyk koszuli i krawat. On dla odmiany był granatowy. Taki, jaki daje się pracownikom. Nikt by sobie nie kupił go z własnej woli.

- Dlatego pomyślałem, że pan zasłał. Tak to przynajmniej wyglądało. A skoro pan zasłał, to musiał być jakiś powód. Może jednak zadzwonię po karetkę?

A, już wiedział. Portier. I to z jego budynku. Pewnie patrzył na niego przez szklane drzwi, dlatego wszystko widział.

- Nie, naprawdę nie trzeba - odpowiedział mu. - Nic mi nie jest. Po prostu się potknąłem.

Portier spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Ale przecież pan nigdzie nie szedł - zauważył. - Stał pan nieruchomo. To jak się pan potknął?

- Właśnie ruszałem. I wtedy się potknąłem. - Mógłby już dać mu święty spokój.

Mężczyzna nie wydawał się specjalnie przekonany, chyba jednak postanowił przyjąć to wyjaśnienie i nie drążyć więcej. Wyprostował się. Jego twarz znalazła się teraz znacznie dalej.

- Pomóc panu? - Wyciągnął do niego rękę.

- Nie trzeba. - Zignorował ten gest.

Na twarzy portiera odmalowała się konsternacja.

- Sam pan wstanie? - spytał niepewnie.

- Tak - odpowiedział. Leżał jednak dalej. Bardzo dobrze mu się tu leżało. Świat z tej perspektywy wyglądał zupełnie inaczej. Po niebie latały ptaki.

- Mam zadzwonić do pana żony? - usłyszał.

Odwrócił głowę. Ptaki odleciały.

- Po co? - spytał.

- Żeby do pana przyjechała.

- Po co? - powtórzył pytanie.

- Żeby panu pomóc.

Ten facet zaczynał go już irytować.

- W czym? - spytał.

- Leży pan na ulicy.

- No i?

- Nie może pan tu zostać.

- Dlaczego?

- Nie wolno leżeć na ulicy.

- Niby czemu? - spytał. - Nie ma prawa, które by tego zabraniało.

Portier rozejrzał się na boki.

- Zaraz przyjedzie policja - powiedział. Z obawą, jakby to po niego miała przyjechać.

- Ale dlaczego? - spytał po raz nie wiadomo który. - Nie robię nic złego. Nikogo nie krzywdzę. Leżę. Jeśli obywatel, wolny człowiek, ma ochotę się położyć na chodniku, który powstał między innymi z jego podatków, to co komu do tego?

Z tymi podatkami to akurat nie była prawda.

- Tamuje pan ruch. - Mężczyzna wydawał się coraz bardziej przerażony.

Uniósł lekko głowę, by się rozejrzeć. Faktycznie parę osób się zatrzymało, by mu się przyglądać. Ktoś nawet nagrywał to telefonem.

- To szeroki chodnik. Można spokojnie przejść - odparł.

Portier spojrział na niego bezradnie.

- Muszę wracać za kontuar - powiedział błagalnym tonem.

- To niech pan wraca.

- Ale nie mogę pana przecież tak zostawić. Ma pan poranioną twarz. I dłonie... Zadzwonię po karetkę - powiedział nagle zdecydowanym tonem.

Sięgnął po telefon.

ROZDZIAŁ 20

- Dobrze, dobrze, już wstaję... - odpowiedział. I tak zaczynało mu być niewygodnie na tych twardych płytach. I zimno.

Uniósł się na łokciach, potem z trudem usiadł.

- Bogu dzięki - usłyszał. - Miałbym przez pana kłopoty.

Chwycił wyciągniętą w swoją stronę dłoń portiera i z jej pomocą wstał na równe nogi. Zakręciło mu się w głowie. Musiał to zrobić zbyt szybko.

Dziwnie było patrzeć na świat znów z normalnej perspektywy.

Spojrzał na stojącego przed nim mężczyznę. Był, czego nie mógł wcześniej ocenić, chyba dokładnie jego wzrostu, za to trochę grubszy. Miał czarną, krótko przystrzyżoną brodę i nieco dłuższe, gęste włosy. Jego oczy były małe i głęboko schowane za pulchnymi, jakby opuchniętymi policzkami. Jak u dzika, pomyślał.

- Muszę wracać - usłyszał. - Na pewno do nikogo nie zadzwonić?

- Nie - odparł. - Dziękuję. Czuję się zupełnie dobrze.

- Idzie pan dalej czy wraca do siebie? Może lepiej, żeby pan wrócił?

Tak, to był dobry pomysł. Na dziś wystarczy.

- Wracam - odpowiedział.

- Odprowadzę pana do windy.

Weszli przez szklane drzwi. Portier zachowywał się, jakby się bał, że jego towarzysz się przewróci. Szedł za nim lekko z tyłu i po prawej stronie, asekurował go.

Dotarli do windy. Zatrzymali się. Za chwilę miał wrócić do swojej szklanej klatki. Ucieczka nie powiodła się. I niczego nie rozstrzygnęła.

- Ma pan w domu jakąś apteczkę? - spytał portier. - Trzeba by przemyć te rany.

Spojrzał na swoje odbicie w metalowych drzwiach windy. Nawet w tym niezbyt wyraźnym lustrze zobaczył, że nie wygląda za dobrze. Pokrzywiona i rozmazana twarz pokryta była czerwienią. Wyglądał jak coś z własnego koszmaru.

- Nie, nie mam - skłamał. Coś by się znalazło.

- Mamy tu apteczkę. Przyniosę. Niech pan poczeka - usłyszał.

Usiadł na granatowej kanapie w holu. Zawsze się zastanawiał, po co tu jest. Okazało się, że właśnie po to.

Sam nie wiedział, czemu okłamał tego człowieka. Miał w mieszkaniu specjalne pudełko, w którym jego żona trzymała wszystkie leki. Był tam zestaw plastrów i środek do odkażania ran. Mógłby wjechać windą na górę i sam się sobą zająć. Z jakiegoś powodu jednak nie chciał, a teraz zastanawiał się dlaczego. Skłamał odruchowo, nie namyślając się specjalnie. Nie miał w tym świadomego celu. Przeciągał swoją nieudaną przygodę, żeby odwlec definitywne ogłoszenie jej klęski? A może chciał z tym człowiekiem najnormalniej w świecie jeszcze trochę porozmawiać? Dawno już nie rozmawiał z nikim postronnym, zwykłym, przypadkowym, z kimś, kto byłby spoza jego kręgu. I kto w dodatku odnosił się do niego życzliwie.

Mężczyzna wrócił. Położył na siedzeniu kanapy sporą czerwoną apteczkę i zabrał się do dezynfekowania otarć. Szczypało.

- Szlag! - usłyszał nagle.

- Co się stało? - spytał. Przekleństwu towarzyszył ból, więc tym bardziej był ciekawy, co zaszło.

- Ma pan pękniętą skórę na czole - odpowiedział portier. - Gdy przemywałem to miejsce, zaczęło jeszcze bardziej krwawić. Przepraszam.

- Nic się nie stało - odparł.

- Założę plaster, ale musi pan z tym gdzieś pójść, żeby to panu zszyli, bo inaczej zostanie blizna. To znaczy i tak zostanie, ale wtedy będzie mniej widoczna.

- Duża? - spytał.

- Spora. W kształcie błyskawicy, jak u Harry'ego Pottera.

- To nie najgorzej - odpowiedział.

A może to jest dobra okazja?, pomyślał nagle. Okazja, żeby przetestować realność świata, w którym się znajduje. Człowiek, który nad nim teraz stał, pochodził całkowicie spoza jego rzeczywistości. Nie znał go wcześniej, ledwo rejestrował, że ktoś tam siedzi w recepcji. Poza tym odkąd przestał schodzić ze szczytu swojej wieży, nie miał z nim żadnego kontaktu. Aż do teraz.

Gdyby więc to wszystko, co go otacza, było iluzją, ten jej reprezentant powinien być, jakby to powiedzieć... najgorzej wymyślony. Zaopatrzony w niewielką liczbę wiarygodnych szczegółów. Za wyobrażeniami jego żony czy jego przyjaciela ze studiów mogły stać prawdziwe szczegóły i prawdziwe fakty z wcześniejszego prawdziwego życia. A tu? Pełna dowolność. A więc i największa możliwość popełnienia błędu przez tworzący tę wizję mózg.

Tak, to może być dokonana okazja, żeby przyłapać go na jakiejś pomyłce, kiksie, niekonsekwencji albo po prostu zbyt małej głębi obrazu. Tak.

- Zrobione - usłyszał nad swoją głową. - Jakoś to się trzyma, ale, jak już mówiłem, powinien pan pójść z tym do lekarza.

Spojrzał w górę na brodatą twarz. Małe, cofnięte jakby w głąb czaszki oczka zdawały się być bez wyrazu.

- Mogę tu jeszcze chwilę posiedzieć? - spytał. - Chyba faktycznie nie najlepiej się czuję.

- Może jednak zadzwonię po pogotowie?

- Nie, nie, zaraz mi przejdzie - odparł. - Napiłbym się tylko wody.

- Zaraz panu przyniosę.

Patrzył na nieco zbyt pękatą sylwetkę oddalającą się w stronę kontuaru. Na zbyt szerokie, wyraźnie niedopasowane spodnie, przez co mężczyzna wyglądał trochę jak klaun w nadmuchanych, bufiastych pantalonach. Patrzył i próbował ocenić, czy karykaturalność jest dowodem na prawdziwość tego, co widzi, czy wręcz odwrotnie, ten groteskowy brak proporcji świadczy, że wizja została nieumiejętnie stworzona przez pogrążony w letargu i obumierający powoli umysł.

Portier po chwili wrócił, trzymając w dłoni plastikowy kubeczek z wodą.

- Proszę. - Podał mu go.

Napił się, wypił ponad połowę. Woda miała smak bardzo przekonujący, sensualnie bez zarzutu. Miał ochotę wypić wszystko, lecz postanowił zachować tę resztkę jako pretekst dalszego swojego tu siedzenia. Dopóki jej nie wypije, nie będzie musiał wstawać i jechać na górę. Opuścił rękę z kubkiem.

- Długo pan tu pracuje? - spytał.

Portier zdawał się tylko na to czekać. Usiadł obok niego.

- Nie pamięta mnie pan? - spytał.

- Noo, pamiętam... - odparł niepewnie. - Widuję pana tu przecież.

- Nie o tym mówię. - Mężczyzna machnął ręką. - Tu jestem tylko chwilowo. Przyjęli mnie trzy tygodnie temu. Ja zresztą pana pierwszy raz tu widzę.

- To skąd pan wiedział, że jestem żonaty? - spytał podejrzliwie.

- Przyjechał pan z trzydziestego piętra - wyjaśnił mężczyzna.
- Tam nikt inny nie mieszka z wyjątkiem tej kobiety, która zawsze chodzi w czarnym kostiumie i szpilkach. Prawniczka, urzędniczka albo pracuje w banku. Mam zmianę od szóstej rano, więc wiem, że nie wjeżdżał pan do niej dziś, czyli spędził pan w jej mieszkaniu noc. Nie wygląda pan na kochanka, zresztą kochanek czmychnąłby wcześniej. Jest więc pan jej mężem.

Popatrzył na niego z uznaniem.

- Świetna dedukcja, drogi Watsonie - powiedział. - Gratuluję daru obserwacji.

Mężczyzna uśmiechnął się tryumfująco.

- A pana pamiętam jeszcze z ASP - dodał.

ROZDZIAŁ 21

Spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Był pan na ASP? - spytał.

- Wiem, że trudno w to uwierzyć, gdy patrzy się na mnie w tym mundurku - stwierdził ze smutkiem - ale tak. Trzy lata niżej niż pan. Wyglądałem wtedy trochę inaczej, nie miałem brody i tego. - Klepnął się po brzuchu. - Za to pan wygląda dokładnie tak samo. Zadziwiające, że niektórzy w ogóle się nie zmieniają. Za to inni... szkoda gadać!

Rzeczywiście było w tym człowieku coś znajomego. Teraz miał przynajmniej takie wrażenie. Jakby go już kiedyś widział. Choć, z drugiej strony, nie mógł sobie przypomnieć żadnych konkretnych sytuacji z nim związanych.

- Poznaliśmy się wtedy jakoś bliżej? - spytał.

Mężczyzna kiwnął głową.

- Tak, ale nie mam pretensji, jeśli mnie pan nie pamięta - odparł. - Był pan wtedy już gwiazdą, a ja zaledwie studentem pierwszego roku. Spoglądał pan ponad głowami takich jak ja. Poza tym, tak jak mówiłem, wyglądałem nieco inaczej.

- W jakich okolicznościach?

- Pomagałem przy organizowaniu pana wystawy w Galerii Kordegarda. Marzyłem, że też kiedyś będę miał taką. Na razie się nie udało.

No tak, jego wystawa. Lepiej nie mówić, dzięki komu ją miał oraz jak bardzo nic z niej nie wyszło.

- Co pan tu w takim razie robi? - spytał.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Zarabiam na utrzymanie. Z czegoś trzeba żyć.

- Nie wolał pan znaleźć pracy w jakiejś agencji reklamowej? Połowa ludzi z mojego roku tam pracuje.

- Pracowałem w agencji, a jakże. - Mężczyzna kiwnął głową.

- Przez ładnych parę lat. Pieniądze faktycznie dobre, ale to praca na dwa etaty. Nie wychodzi się z roboty do wieczora. Nawet jak się wykonuje ją w domu. A ja chciałem malować. Całe życie o tym marzyłem. Po to w końcu poszedłem na Akademię Sztuk Pięknych. Żeby być malarzem, nie facetem pilnującym, by kolory wyglądały tak samo w druku, jak w projekcie. Rzuciłem więc to w końcu. Pomyślałem sobie: masz, gościu, trzydzieści lat, jak nie spróbujesz teraz, to już nigdy nie spróbujesz. No i teraz klepię biedę. Jak Wyspiański. - Zaśmiał się. - Tylko on miał gruźlicę, więc był chudszy.

Wzmianka o Wyspiańskim nieco go poruszyła. On też się do niego kiedyś porównywał.

- A pana obraży? - spytał. - Nie sprzedają się?

- Na razie, szczerze mówiąc, tak sobie - przyznał z rezygnacją mężczyzna. - Rynek na młodą sztukę dopiero się w Polsce rozkręca. Jeszcze do niedawna, gdy obraz nie miał pięćdziesięciu lat, to nikt nie chciał na niego nawet spojrzeć. To się teraz powoli zmienia, ale ja przespałem ostatnie lata w agencji, więc muszę zaczynać od zera. Poza tym, wie pan, jak to jest: może po prostu nie mam talentu? - Uśmiechnął się pogodnie. - Zakładam, że mam, ale skąd tak naprawdę mogę to wiedzieć? Może się tylko oszukuję, a właściwie jestem tylko średnim pacykarzem z wybujałymi ambicjami?

- Niech pan tak nie mówi - zaproponował. - Trzeba wierzyć w siebie.

- A pan wierzy? - usłyszał w odpowiedzi.

To pytanie zabrzmiało dla niego wyjątkowo niejednoznacznie. Czy wierzy w siebie? Czy wierzy w swoje

istnienie? W swoje tak. Nawet jeśli cała reszta jest złudzeniem, snem czy iluzją, ktoś musi w końcu ją śnić. Wygląda więc na to, że jest jedyną rzeczą w całym świecie, w której istnienie szczerze i bez żadnych wątpliwości wierzy. Cóż za skrajna forma egotyzmu, pomyślał.

- Tak, wierzę w siebie - odparł.

Mężczyzna popatrzył na niego sceptycznie.

- Nie wygląda pan, jakby pan wierzył.

Znów zabrzmiało to niejednoznacznie.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Przecież nie potknął się pan i nie przewrócił przypadkiem.

Na początku myślałem, że pan zasłabł, ale teraz sędzę, że to nie o to chodziło.

- To o co?

- Nie jest pan w najlepszej formie psychicznej. To widać. Jest pan zagubiony i przestraszony. Proszę nie zaprzeczać. Znam się na takich stanach, bo sam ich doświadczam. Swój rozpozna swego.

Rzeczywiście nie zaprzeczył. Trudno nie być zagubionym i przestraszonym, gdy się nie jest pewnym wszystkiego, co się widzi, słyszy i czuje. Po raz pierwszy jednak ktoś nazwał to w ten sposób. Zagubiony i przestraszony. Tak, dokładnie tak się czuł.

- Jak pan ma na imię? - spytał, żeby nie musieć się do tego odnosić.

Mężczyzna puknął palcami w swoją plakietkę.

- Krystian - odpowiedział.

Popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Tak samo jak ja - zauważył.

Mężczyzna kiwnął głową.

- Tak, i nawet żeśmy już kiedyś o tym rozmawiali - powiedział. - Przed pana wystawą.

Niczego nie pamiętał.

- Utożsamiałem się z panem wtedy - usłyszał. - Był pan moim idolem. Dlatego zgłosiłem się, by panu pomóc. Chciałem być taki jak pan.

Teraz to on pokiwał głową.

- Niepotrzebnie - odparł. - Niczego tak naprawdę nie osiągnąłem.

Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem.

- Mieszka pan w budynku, którego pilnuję - stwierdził. - Więc nie jest chyba aż tak źle.

- To, że tu mieszkam, nie jest moją zasługą - odparł. - Po prostu bogato się ożeniłem. Wykorzystałem jedyny talent, jaki kiedykolwiek miałem: do sprawiania dobrego wrażenia na ludziach. A już zwłaszcza na kobietach.

- To nie byle jaki talent. - Jego rozmówca się roześmiał. - Chciałbym go mieć.

- Jest dobry na krótką metę - odpowiedział mu. - Ale gdy nie jest poparty niczym więcej, działa przeciwnie. Rozleniwia i rozpuszcza. A ludzie prędzej czy później orientują się, z kim tak naprawdę mają do czynienia.

- Zaryzykowałbym - usłyszał w odpowiedzi. - Pamiętam, jak wszystkie dziewczyny z uczelni na pana patrzyły. Na mnie nigdy żadna nie spojrzała w ten sposób.

ROZDZIAŁ 22

- Co się nie udało? - spytała.

- Nieważne - odparł. Zamknął oczy i zsunął się niżej na poduszkach. Był przystojny, widać to było nawet w tych niezbyt sprzyjających okolicznościach. Bładość jeszcze dodawała szlachetności jego rysom. Dłuższe, ciemne włosy spływały po obu stronach głowy, okalając twarz wraz z krótką, równie ciemną brodą. Do tego wyrazisty, ostry nos i stanowcze, prawie zrosnięte brwi. Mógł podobać się kobietom, pomyślała. Jakby sama nią nie była.

- Dla mnie ważne - stwierdziła. - Nie przyszłam tu, żeby sobie porozmawiać albo spytać o pana zdrowie, tylko żeby pana przesłuchać. Co się nie udało? - powtórzyła pytanie.

Otworzył oczy, lecz nie spojrzał na nią. Jego wzrok błędził gdzieś po ścianie, jakby szukał na niej pęknięć lub pajęczyn.

- Jeśli to pana strategia obrony, to znacznie prościej będzie powiedzieć, że odmawia pan zeznań - zauważyła. - Ma pan do tego prawo. Ale nie polecam tej metody. Stawia się pan w ten sposób automatycznie w pozycji podejrzanego. Mogę pomyśleć, że jest pan w jakiś sposób winny.

- Nie odmawiam zeznań - odparł. - I rzeczywiście mogę być w jakiś sposób winny.

Zdziwiła się. Czyżby tak szybko poszło? Przy tym całym zamieszaniu wcześniej? Poczowała lekkie uczucie zawodu.

- Czego konkretnie jest pan winny? - spytała. Do tej pory wyglądało, że jest raczej ofiarą niż sprawcą, ale pozory zawsze mogą przecież mylić.

Uśmiechnął się lekko do ściany.

- Sęk w tym, że naprawdę nie wiem - odpowiedział.

Czyli jednak nikt nie pozbawi jej zabawy. Teraz to ona się uśmiechnęła.

- Gra pan w niepoczytalność? - spytała. - Nie radzę. Proszę mi wierzyć, pobyt w szpitalu psychiatrycznym dla zdrowego człowieka jest znacznie cięższym doświadczeniem niż więzienie. Może lepiej jednak będzie opowiedzieć mi wszystko, co pan pamięta?

Nie sprawił wrażenia, że jej przemowa go w jakikolwiek sposób obeszła.

- Czy w tym szpitalu jest oddział zajmujący się osobami w śpiączce? - spytał. - Bo gdyby był, to chciałbym z kimś stamtąd porozmawiać.

Zaczynał ją już powoli denerwować.

- To jest w tym momencie pana największy problem? - spytała z ironią. - W pana mieszkaniu znaleziono dwa ciała, pana ktoś wyrzucił do kosza, myśląc pewnie, że też pan nie żyje, może warto by się jednak skupić na tym?

Dopiero teraz na nią spojrział.

- Dwa ciała - powtórzył. - Czyje? - spytał.

- Miałam nadzieję, że pan mi to powie - odparła.

- Moja żona? - Pytanie zadane bez specjalnych emocji.

- Tak sądzimy - odpowiedziała. - Ale nie dokonaliśmy jeszcze identyfikacji.

Odwrócił głowę z powrotem do ściany.

- Ten drugi to ja - powiedział bezbarwnym tonem.

Znowu nie zrozumiała.

- Tak, ale całe szczęście pan żyje. W pana mieszkaniu odkryto jednak jeszcze jedne zwłoki należące do mężczyzny - wyjaśniła. - Nie wie pan, kto to może być?

Przesłuchiwany powoli kiwnął głową.

- Wiem - odpowiedział.

- Proszę mi w takim razie to powiedzieć.

- To ja - powtórzył.

Wyprostowała się odruchowo na krześle. Mężczyzna wciąż wodził wzrokiem po przeciwległej ścianie.

- Pozwoli pan, że jeszcze o to dopytam, bo nie wszystko, zdaje się, rozumiem - zaczęła spokojnie. - Twierdzi pan, że zwłoki, które znaleźliśmy w pana mieszkaniu i które teraz zapewne znajdują się w prosektorium, to pan?

- Tak - potwierdził.

- Kim w takim razie jest osoba, z którą teraz rozmawiam?

Mężczyzna nie odpowiedział od razu. Wyglądał, jakby się zastanawiał.

- Też ja - odparł w końcu. Jakby z pewnym zdziwieniem.

- Czyli zwłoki w prosektorium to pan i człowiek, który leży na tym łóżku, to też pan? - spytała.

Mężczyzna jeszcze przez chwilę się zastanawiał.

- Na to wychodzi - przytaknął.

- Jak to możliwe?

Mężczyzna odwrócił w końcu głowę w jej stronę. W jego spojrzeniu była niepewność i bezradność.

- Nie wiem - odpowiedział. - Ale nie potrafię tego w inny sposób wyjaśnić.

- Czego?

- Tego, co się stało.

- A co takiego się stało? - spytała łagodnie. - O to właśnie od początku pytam.

- Nie wiem - powtórzył. - Mówiłem już. Mam kilka wytłumaczeń, ale nie wiem, które jest prawdziwe.

Popatrzyła na niego badawczo. Udawał? A jeśli tak, to dlaczego? A może wcale nie?

- Panie Krystianie - zwróciła się do niego jak do dziecka. -

Już raz pan próbował udawać nieprzytomnego i nie za dobrze to panu wyszło. Teraz próbuje pan symulować niepoczytalność. To też się panu nie uda. Nie wiem, co pan ukrywa, ale wiem, że powinien mi to pan dla własnego dobra wyjawić. Bo gdy ja się tego dowiem, a dowiem się tego na pewno, próba ucieczki w chorobę psychiczną będzie dodatkową okolicznością obciążającą. Którą wykorzystam w sądzie, proszę mi wierzyć, bez żadnych skrępowań.

Spojrzał na nią bardzo poważnie.

- Nie jestem niepoczytalny - powiedział. Chwył ją nagle za rękę, nie zdążyła cofnąć dłoni. - Niech mi pani pomoże, proszę. Czy jest pani prawdziwa, czy nie.

ROZDZIAŁ 23

Wrócił do mieszkania. Wszedł do łazienki i stanął przed lustrem. Twarz miał poobcieraną i poobijaną, jakby go ktoś pobił. Rozcięcie nad prawym okiem całe szczęście już nie krwawiło. Umył się ostrożnie, starając się nie zamoczyć plastra. Potem równie ostrożnie wytarł twarz ręcznikiem. Nawet go nie bolało.

Spojrzał na ręcznik. Na białym, miękkim materiale dostrzegł krwawą smugę. Bardzo realistyczne, pomyślał. Jego mózg musiał być jednak w nie najgorszym stanie, skoro nie zapominał o takich szczegółach.

Usiadł na brzegu wanny. Szczegóły, właśnie. W nich jest klucz do wszystkiego. To dzięki nim może w końcu przyłapie swój umysł na oszukiwaniu. Rozejrzał się po łazience. Szczegóły. Półka z kosmetykami, na niej kolekcja perfum jego żony. Zły pomysł. Nie dostrzegłby tam zmiany, nawet gdyby wszystko dookoła było najprawdziwszą prawdą.

To musi być coś innego, coś nieoczywistego. Zaciek pod muszlą klozetową. Był tam wcześniej, był tego pewien. Trudno nawet zliczyć, ile razy myślał, że powinien go usunąć. I za każdym razem o tym zapominał, gdy tylko przestawał na niego patrzeć.

Z drugiej strony, pomyślał nagle, czy to na pewno jest argument? Czy jego mózg nie byłby w stanie wygenerować takiego właśnie wstecznego wspomnienia? Stworzyć szczegół wraz z jego historią? Podobnie jest przecież w snach. Gdy śnimy, że mieszkamy w jakimś domu, wydaje nam się, że mieszkamy w nim od lat, nawet gdy w niczym nie przypomina

on naszego rzeczywistego mieszkania.

Czy w takim razie to w ogóle ma sens? Czy da się w jakikolwiek sposób przydybać umysł na tworzeniu iluzji, skoro wszystko, na co skierujemy wzrok, być może jest natychmiast zaopatrywane w uzupełniającą, uprawdopodobniającą to legendę? Oparł łokcie o kolana i objął dłońmi głowę. Jest jakieś wyjście z tego zakłętego kręgu? Czy już zawsze będzie skazany na wieczną niepewność, bo skoro raz już podało się w wątpliwość realność rzeczywistości, skoro raz przyszedł nam do głowy ten z pozoru niedorzeczny pomysł, to już nigdy, przenigdy nie będziemy go w stanie ani potwierdzić, ani obalić?

Ta myśl była kompletnie dewastująca. Odbierała nadzieję na cokolwiek. Bo przecież nawet jeśli wszystko to było bzdurą, nawet jeśli żył w najprawdziwszym ze światów, to nie miał szans, by w to uwierzyć.

Na tym polega zasadnicza kwestia, pomyślał. Na wierze. Ludzie po prostu wierzą, że żyją w prawdziwym świecie, nie myśląc o tym i nie potrzebując uzasadnienia. On stracił tę bezrefleksyjną, odruchową wiarę. Zawsze będzie w nim wątpliwość, niepewność, żaden argument nie będzie rozstrzygający. Zakwestionowanie tej pierwotnej wiary jest drogą bez powrotu.

A może jednak nie?, zaświtało mu naraz w głowie. Może da się uwierzyć z powrotem, choćby na siłę, odzyskać tę dawną niewinność? Po prostu zapomnieć o wszystkim i żyć dalej tak jak wcześniej? Uczepił się tej myśli desperacko. To mogło się udać. Jeśli będzie tylko dostatecznie długo i uparcie się pilnować, może w końcu uda mu się spojrzeć ponownie na świat tak jak dawniej - z ufnością i wiarą?

Wstał z wanny i przeszedł do salonu. Tak właśnie robi, przynajmniej spróbuje. Dość już analizowania, rozdzielania

włosa na czworo, naprawdę. Będzie żył jak inni ludzie, nie myśląc o tym.

Dobrze. Dobrze. Potrzebuje tylko zajęcia, czegoś, co odciągnie go od tamtych myśli. To wszystko między innymi przez to, że siedzi tu i nic tak naprawdę nie robi. Zafundował sam sobie rodzaj deprywacji sensorycznej, ograniczając swój cały świat do tej luksusowej celi na szczycie szklanej wieży. Deprywacji niecałkowitej, o ograniczonym zakresie, ale jednak. Nic dziwnego, że w końcu zaczęły go nawiedzać halucynacje. Świat istnieje realnie, musi to sobie teraz powtarzać. Raz za razem. Uwierzyć w to znowu. Wszystko jedno, czy tak jest w istocie. Gdyby się nad tym przecież zastanowić, to nawet na poziomie ściśle materialistycznym, naukowym, nie jest to takie pewne. Jeśli materia jest tylko formą energii, jeśli jej najmniejsze cząstki są tylko oscylującymi, drgającymi zwiłkami cholera wie czego, jeśli pomiędzy jądrem atomu a krążącymi wokół niego elektronami jest tak ogromna proporcjonalnie do ich wielkości odległość, że cały wszechświat składa się tak naprawdę głównie z pustki, to czy można w ogóle powiedzieć, że materia jest czymś materialnym?

Nie, wróc. Dość takich myśli. Miał przecież tępić je w sobie, nie hodować. Zajęcie, zajęcie, musi sobie znaleźć jakieś zajęcie. Co to mogłoby być? Zaczął chodzić nerwowo po pokoju. Malowanie? Nie. To była pierwsza czynność, o której pomyślał, ale nie. Wymaga koncentracji, zanurzenia się w sobie, a to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebował.

Chwycił jakąś książkę, pierwszą z brzegu, usiadł na kanapie i spróbował czytać. Bez powodzenia. Za bardzo był rozedrgany, pobudzony, nie potrafił zrozumieć, w jakie słowa i zdania układają się litery. Zamiast tego zawieszał się i wracał wciąż myślami do tego, do czego wracać nie powinien.

Rzucił więc książkę na siedzenie i gwałtownie wstał. Zaczął

żałować, że w ich mieszkaniu nie ma telewizora. Przydałby się teraz. Jakiś odmóżdżający film albo serial, dokument o życiu ptaków w Amazonii albo po prostu informacyjna sieczka mogłyby skutecznie odwrócić jego uwagę albo chociaż otępić umysł. Ale nie. Postanowili być tacy niezależni i nonkonformistyczni i nie wieszać sobie tego gadżetu na ścianie. Szlag by to trafił!

To może komputer? Internet, wirtualna rzeczywistość, w której współczesne dzieciaki spędzają więcej czasu niż w realu? To niby też jakiś rodzaj iluzji, ale w tym konkretnym wypadku chodzi przecież tylko o to, żeby otumanić mózg, odymić go bezużytecznymi i nieistotnymi informacjami.

Odnalazł laptop. Otworzył go. Piękny przedmiot z logiem nadgryzionego jabłka na obudowie. Kosztował tyle, ile całkiem niezły używany samochód. Żona kupiła mu go na pierwszą rocznicę ślubu. Miał zainstalowane wysokiej klasy, profesjonalne programy graficzne, których nigdy nie nauczył się używać. Zamiast tego grał na nim i buszował po internecie. Równie dobrze mógłby to robić na czymś dziesięć razy tańszym.

Odpalił system i zagłębił się w wiadomościach ze świata. Wojny, plotki z życia celebrytów, polityczne przepychanki, reklamy. Wszystko naraz, pozbawione jakiegokolwiek hierarchii ważności. Jeden wielki chaos, w którym krzyk rozpaczysąsiaduje z rechotem i odgłosami trawienia. Jeśli tak wyglądał obraz rzeczywistości, to było w nim coś nieodparcie nierealnego. Jakby to wszystko było żartem, fejkem, programem satyrycznym, w którym prawdziwe tragedie traktuje się jak rozrywkę, a nieistotne bzdury przedstawiane są jako wielkie dramaty.

Nie mógł tego czytać ani na to patrzeć. Nie pomagało mu to. Zwłaszcza myśl, że może naprawdę tak wygląda świat,

a serwisy informacyjne są tylko jego odbiciem. Że może faktycznie nie ma żadnej hierarchii, a nieudolny, urojony sens temu wszystkiemu nadajemy tylko my, biedni, zagubieni w nim ludzie.

Potrzebował czegoś rzeczywistego, namacalnego, czegoś bez żadnych wątpliwości. Otworzył folder ze zdjęciami. Zapis jego egzystencji w obrazkach. Przynajmniej od czasu kupienia tego komputera, bo wcześniejszych plików nie potrafił przekonwertować z jednego systemu na drugi i zostawił je na starych nośnikach, które nie wiadomo teraz, gdzie były. To zresztą zadziwiające, pomyślał, że nie ma zdjęć z wcześniejszych lat, jakby ich w ogóle nie było. I tych zdjęć, i tych lat. Odegnął jednak od siebie tę myśl.

Wszedł w folder podpisany „Karaiby”. Trudno powiedzieć, dlaczego akurat w ten. Może potrzebował trochę słońca w odróżnieniu od tego, co widział za oknem? A może jakieś znaczenie miał tamten wypadek podczas nurkowania? Zaczął przeglądać zdjęcia.

Palmy i plaża. Morze. Błękitne, z przezroczystą prawie wodą. On i ona. Uśmiechnięci. Ona bardziej, szeroko, od ucha do ucha. On nieco sztucznie, wymuszenie, tylko do zdjęcia. Chociaż to dla niego powinny być wakacje życia. Nigdy wcześniej nie był w takim turystycznym raj. Wcześniej co najwyżej pole namiotowe nad zimnym, polskim morzem. Ona od dziecka była bywalczynią w tego typu kurortach. Mimo tego to on miał muchy w nosie. Był tu niemal z łaski, niechętnie. Luksusowy bungalow, na który teraz patrzył, z wyjściem wprost na plażę i widokiem na bezkresny, ciepły błękit oceanu, nie okazał się gniazdkiem małżeńskiej miłości. Wieczory i popołudnia spędzał w barze na plaży. Późnym rankiem dawał się co prawda wyciągnąć żonie na leżak, ale tylko dlatego, że miał kaca. Na wszelkie propozycje wycieczek lub innych wakacyjnych atrakcji reagował aż nazbyt widocznym brakiem

entuzjazmu. Dopiero perspektywa nurkowania na rafie zdołała go nieco zainteresować.

Na to zdjęcie teraz patrzył. On w akwalungu, z maską jeszcze na czole, wreszcie szczerze uśmiechnięty. Było coś ironicznego w tym, że kilkanaście minut później wydarzył się tamten wypadek. Właśnie wtedy, gdy na chwilę przestał być naburmuszonym, rozkapryszonym chłopcem.

ROZDZIAŁ 24

Salomea Bejtner miała w sobie coś nieodparcie władczego. Seredyńska pomyślała, że tak właśnie mogłaby wyglądać caryca Katarzyna II, gdyby przebrać ją we współczesne ubrania. Nie była ładna, chyba nigdy. Przysadzista, niezbyt wysoka, nieskalana operacjami plastycznymi, na które niewątpliwie byłoby ją stać, nieprzejmująca się swoim podwójnym podbródkiem i przerzedzonymi po męsku włosami na czubku głowy, była jednak w jakiś sposób piękna. Piękno to wynikało z pewnej spójności wizerunku, dopasowania wyglądu do bijących z jej twarzy i postawy cech charakteru, świadomości własnej wartości i nieudawanej, nienachalnej pewności siebie.

- Dzień dobry - przywitała się z nią. - Prokurator Gabriela Seredyńska. Dziękuję, że pani przyjechała.

Salomea Bejtner kiwnęła głową, lecz nie odezwała się ani słowem. Jej oczy, schowane za dużymi okularami w złotej oprawie, nie miały żadnego konkretnego wyrazu.

- Zdaję sobie sprawę, że identyfikacja zwłok córki może być dla pani bardzo trudnym przeżyciem - ciągnęła - ale zdecydowałam się panią o to prosić, bo procedura badania DNA trwa znacznie dłużej, a nam zależy na uzyskaniu jak najszybszej pewności w tej sprawie.

- Rozumiem. - Głos, który wydobył się z jej ust niemal bez ich otwierania, wibrował w dziwny i niepokojący sposób. Miała jakąś wadę wymowy, lecz Seredyńska nie była w stanie stwierdzić, na czym ona polegała.

- Dobrze, przejdźmy w takim razie do prosektorium -

powiedziała, wskazując dłonią drogę. – Agnieszka Bejtner to pani jedyne dziecko? – spytała, choć nie miało to znaczenia dla śledztwa.

– Mam jeszcze syna – odpowiedziała kobieta. – Będzie teraz ostatnim z rodu.

Seredyńską uderzyło takie postawienie sprawy. Jakby to było w tym wszystkim najważniejsze. Nie śmierć córki, ale właśnie to – zachowanie i ciągłość prawniczej dynastii, która właśnie straciła jedną z dwóch szans na swoje przedłużenie.

Ruszyły korytarzem. Seredyńska szła nieco z przodu. Patrzyła co jakiś czas kątem oka na kobietę, by upewnić się, że podąża za nią. Salomea Bejtner szła pewnie, spokojnym, równym krokiem. Nic w jej postawie ani wyrazie twarzy nie zdradzało, że idzie właśnie obejrzeć zwłoki własnego dziecka.

Doszły do pomieszczenia, w którym miała się odbyć identyfikacja. Na metalowych stołach leżały dwa przykryte prześcieradłami ciała. Kobieta nieinstruowana stanęła pomiędzy nimi. Jej twarz pozostawała kamienna.

Prokurator Seredyńska stanęła tuż obok niej. W pomieszczeniu obecny był jeszcze patolog, który miał podnieść i odsunąć prześcieradło, oraz jego pomocnik z protokołem i długopisem w dłoniach. Obaj czekali na jej sygnał.

Powinna go już dać, skinąć głową lub polecić im zaczynać. Nie robiła jednak tego. Stała zafascynowana tamtą kobietą. Kim trzeba być, by zachowywać taki spokój przy zwłokach własnego dziecka? I to spokój – była tego pewna – nieudawany, nieodgrywany przed innymi, nie taki, za którego zasłoną buzuje skrywana rozpacz, lecz najzupełniej prawdziwy.

Nie mogła przestać się zastanawiać, czym to mogło być spowodowane: cechami charakteru, osobowością, jakimś rodzajem defektu, czy może po prostu był to jeden ze skutków

wykonywanej pracy? Czy jeśli ktoś przez kilkadziesiąt lat obcuje codziennie ze zbrodnią i najniższymi ludzkimi występami, staje się w końcu kimś takim jak pani mecenas Salomea Bejtner? I kolejne pytanie: czy ona, Gabriela Seredyńska, kiedyś zamieni się również w kogoś podobnego?

Trwało to niedługo, pewnie mniej niż dwadzieścia sekund, jednak wystarczająco, by mecenas Bejtner zareagowała.

- Możemy już zaczynać? - spytała.

Zabrzmiało to tak, jakby chciała to mieć wreszcie za sobą i wrócić do innych, ważniejszych spraw.

- Zaczniemy od tych drugich zwłok - powiedziała Seredyńska. - Być może jest to ciało pani zięcia. Prosiłabym również o jego identyfikację.

- Niech będzie - odparła Salomea Bejtner. - Skoro i tak tu jestem...

Seredyńska spojrzała na lekarza i skinęła głową. Z namaszczeniem wskazującym wieloletnią praktykę ujął w dłonie oba rogi prześcieradła i powoli odciągnął je w kierunku brzucha leżących na stole zwłok.

Salomea Bejtner spojrzała na znajdujące się przed nią ciało. Jej wzrok był tak samo pozbawiony wyrazu jak wcześniej.

- To nie on - stwierdziła krótko. - Pokażcie mi te drugie zwłoki.

Patolog zakrył prześcieradłem twarz trupa. Mecenas Bejtner nie poruszyła się ani o milimetr.

- Drugie zwłoki są w bardzo złym stanie - odparła Seredyńska. - Ich identyfikacja może być dla pani dużym szokiem - powiedziała, choć po tym, co przed chwilą zobaczyła, nie sądziła, by tak mogło być w istocie.

Kobieta nie zaszczyciła jej spojrzeniem.

- Chcę je zobaczyć - zakomunikowała. Ton głosu przyzwyczajony do rozkazywania i nienawykły do sprzeciwu.

Seredyńska po raz kolejny skinęła głową lekarzowi, który zbliżył się na ten znak do drugiego stołu.

Mecenas Bejtner również do niego podeszła.

- Jeszcze raz przestrzegam, że widok może być dla pani trudny do zniesienia - uprzedziła Seredyńska.

- Nie pierdol, kochana - odparła pani mecenas. - Widziałam w życiu gorsze rzeczy, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić.

- Nie sądzę - odpowiedziała chłodno Seredyńska i gestem dłoni nakazała lekarzowi, aby odsłonił zwłoki.

Patolog uniósł prześcieradło. Głowa trupa, którą odsłonił, wyglądała jeszcze gorzej niż wtedy, gdy widziała ją za pierwszym razem, mimo iż wbity w nią wówczas nóż był już usunięty, a krew obmyta. Naprawdę trudno było dopatrzeć się ludzkich rysów w tej zmasakrowanej potwornie twarzy.

Oblicze mecenas Salomei Bejtner ściągnęło się nieco. Przez moment patrzyła bez mrugnięcia powiekami na leżące przed nią ciało, jakby badała wyrwy i kraterę poczynione przez zabójcę w kościach i mięśniach twarzoczaszki, potem nagle postąpiła krok do przodu i gwałtownym ruchem ściągnęła z niego całe prześcieradło.

Seredyńska nie zareagowała. Odczekała chwilę i spytała:

- Pani mecenas, czy rozpoznaje pani zwłoki swojej córki, Agnieszki Bejtner?

Kobieta zarzuciła z powrotem prześcieradło na trupa.

- Nie - odpowiedziała. - Nie wiem, czy to ona. Dawno już nie widziałam córki nago, a po twarzy trudno poznać. Zróbcie badania genetyczne.

Odwróciła się i wyszła.

ROZDZIAŁ 25

Dogoniła ją na korytarzu.

- Pani mecenas. - Zatrzymała ją. - Mogłybyśmy chwilę porozmawiać?

Salomea Bejtner zatrzymała się.

- W jakiej sprawie? - spytała. Był w jej tonie głosu ten rodzaj uprzejmości, jakim ludzie zwracają się do natrętów, nie mogąc im powiedzieć, by się odczepili.

- Po pierwsze, chciałabym panią przesłuchać, po drugie, jeśli mamy wykonać badania genetyczne, potrzebujemy od pani materiału do porównania.

- Gdzie mam pójść? - Krótkie, konkretne pytanie. Podszyte znowu czymś w rodzaju zniecierpliwienia.

- Proszę za mną.

Zaprowadziła ją do laboratorium.

- Wolałabym krew. - Mecenas Bejtner uniosła dłoń, powstrzymując laboranta podchodzącego do niej z patyczkiem do wymazu. - Grzebanie w buzi wydaje mi się dość upokarzające.

Laborant wskazał jej fotel i pobrał próbkę krwi. W trakcie trwania tej czynności kobieta nie odwróciła wzroku. Cały czas patrzyła, jak igła wbija się w jej skórę, a pojemnik napęlnia czerwoną cieczą.

- Czy możemy teraz porozmawiać? - spytała Seredyńska, gdy operacja dobiegła już końca.

Salomea Bejtner spojrzała na zegarek.

- Za nieco ponad godzinę muszę być w sądzie -

odpowiedziała. - Sama pani rozumie, że nie mogę tego przełożyć.

- Nie zajmę pani wiele czasu - odparła Seredyńska. - Najwyżej później dokończymy rozmowę w prokuraturze.

Cień grymasu, który przemknął przez twarz mecenas Bejtner, świadczył, że nie miała zbytnej ochoty tam się zjawiać.

- Dobrze - odparła z westchnieniem. - Proponuję w takim razie szybki lunch. Jechałam z Krakowa i nie zdążyłam nawet zjeść porządnego śniadania.

- Pani wybaczy, pani mecenas, ale przesłuchanie w restauracji nie wydaje mi się najlepszym pomysłem. Sama pani rozumie, że nie mogę się na to zgodzić - odpowiedziała Seredyńska, powtarzając niemal dokładnie wcześniejszą frazę swojej rozmówczyni.

Salomea Bejtner spojrzała na nią zza swoich okularów.

- W porządku - powiedziała. - Załatwmy to tutaj.

Usiadły w gabinecie patologa. Seredyńska za jego biurkiem, na którym położyła dyktafon, pani mecenas na krześle przed nim. Teraz wyglądała znacznie mniej nobliwie. Niekształtna, rozlewająca się na siedzisku sylwetka i grube nogi wystające spod spódnicy sprawiały, że przypominała bardziej starą, wiejską babę niż cesarzową warszawskiej palestry.

- Słucham. - Ton głosu pozostał jednak ten sam: kogoś zirytowanego tym, że musi się podporządkowywać innej woli niż własna.

Seredyńska nie zaczęła od razu. Z nadmierną celebracją rozłożyła przed sobą notatnik, potem sprawdziła i włączyła dyktafon. W innym przypadku nie zachowywałyby się w ten sposób wobec matki, która właśnie straciła córkę, ale ta stara kwoka działała jej na nerwy. Podskórnie wyczuwała jej lekceważące i protekcyjne nastawienie do siebie. Nastawienie kogoś, kto zęby zjadł na prawniczych kodeksach

i komu byle prokuratorska siksa o wyglądzie studentki nie powinna specjalnie podskakiwać.

- Nazwisko i imię? - zaczęła jak najbardziej formalnie.

- Salomea Bejtner.

- Wiek?

- Sześćdziesiąt osiem lat.

- Zawód?

Pani mecenas zwlekała chwilę z odpowiedzią.

- Adwokat - powiedziała wreszcie, wymawiając wyraźnie każdą z głosek.

- Agnieszka Bejtner jest pani córką?

Tym razem Salomea Bejtner nie odpowiedziała w ogóle.

- Wyłącz to, dziecko, to porozmawiamy - rzekła w końcu, wskazując oszczędnym gestem na dyktafon.

- To przesłuchanie, pani mecenas, jak pani dobrze wie, musi być nagrywane - odparła Seredyńska.

- Przesłuchasz mnie innym razem - odpowiedziała kobieta. - Mogę przyjść nawet do prokuratury. Teraz porozmawiajmy.

Seredyńska wyciągnęła rękę i wyłączyła dyktafon. Salomea Bejtner zdjęła okulary i potarła palcami oczy.

- Co chcesz wiedzieć? - spytała.

Seredyńska spojrzała na nią uważnie.

- Przede wszystkim to, dlaczego nie chce pani, bym to nagrywała - powiedziała.

Kobieta wzruszyła lekko ramionami.

- W moim wieku i z moją pozycją trzeba bardzo uważać, co się mówi na przesłuchaniu. A ja jestem zmęczona, głodna i rozbita. Dlatego wolę przełożyć je na później - odpowiedziała.

- Nie wygląda pani na rozbitą - zauważyła Seredyńska.

Mecenas Bejtner uniosła nieco lewą brew.

- Jestem - powiedziała. - Może nie aż tak, jak powinnam, ale

jestem.

- Dlaczego nie aż tak? - spytała Seredyńska.

- Ile masz lat, kochana?

- Trzydzieści cztery.

- O, to dwa razy mniej ode mnie. - Kobieta uśmiechnęła się cierpko. - Masz dzieci?

- Nie.

- Nie szkodzi. Pewnie jeszcze będziesz miała. - Kiwnęła nieznacznie głową. - Ja też swoje urodziłam dosyć późno. I chyba tylko dlatego, że to podobno był już ostatni moment, a ja nie zwykłam nie wykorzystywać ostatnich szans. I jak to ze mną bywa, także w tym okazałam się lepsza od innych, bo urodziłam bliźniaki. Dwujajowe, chłopca i dziewczynkę, ale zawsze.

- Co to ma do rzeczy? - spytała Seredyńska.

- Nie przerywaj, kochana, jak starsi mówią. - Pani adwokat się uśmiechnęła i był to zdaje się rodzaj żartu.

- W porządku, już nie będę.

- A do rzeczy ma to się tak, że jak się bardzo chce zostać najlepszym adwokatem w mieście, godną następczynią swojego ojca, dziadka oraz pradziadka, który ma nawet swoją ulicę w Warszawie - niezbyt dużą co prawda, ale ma - to na dzieci już trochę nie starcza czasu. I szczerze powiedziawszy, siłą rzeczy traktuje je się trochę jak kłopot. Więc gdy w końcu dorastają i odchodzą, raczej oddycha się z ulgą, a nie odczuwa syndrom pustego gniazda, tym bardziej że w moim przypadku to gniazdo zawsze było puste, bo mnie w nim nigdy nie było. I kiedy mija kilka lat, nagle orientujemy się, że nasze dzieci to kompletnie obcy ludzie powiązani z nami tylko prawem spadkowym i udziałami w rodzinnej firmie. A potem jedno z nich nagle umiera i wtedy naprawdę nie wiadomo, co z tym począć. Ilość sprzecznych myśli i emocji, jaka się wtedy kłębi

w głowie, jest doprawdy nie do zniesienia. Nie mówię tego, żeby się usprawiedliwiać ani szukać współczucia, po prostu padło na Ciebie, bo sama chciałaś ze mną porozmawiać, a ja nie mam nikogo, komu bym mogła o tym powiedzieć. A teraz wybacz, drogie dziecko, bo zacznę płakać.

I rzeczywiście zaczęła.

ROZDZIAŁ 26

Więcej, jeszcze więcej zdjęć. Kto je robił? Nie bardzo pamiętał. Na wielu z nich był on sam, czyli aparat trzymała jego żona. Jeszcze zakochana, jeszcze nieodepchnięta, jeszcze zachwycona tą nową, dużą zabawką, jaką był jej mąż. Sporo z nich to klasyczne selfie, znów robione przez nią, bo on raczej miał w nosie uwiecznianie chwil małżeńskiego szczęścia. Były dwa lub trzy, na których była tylko ona. Musiała go o to wyraźnie poprosić, bo on sam również by na to nie wpadł. W odróżnieniu od niej nie zachwycał się, raczej pozwalał, by nim się zachwycono. Gdy teraz patrzył na jej zdjęcia, musiał przyznać, że wyglądała całkiem nieźle. Jeszcze nieco pulchnawa, jeszcze niewyszczuplona cotygodniowymi wizytami w centrach fitness, równocześnie niewinna i zepsuta odwiecznym życiem w bogactwie i dostawaniem wszystkiego, czego tylko chce. Gdyby ją teraz spotkał, taką, w tym kostiumie kąpielowym, mógłby ją nawet pokochać.

Gdzie w takim razie tkwił błąd? Błąd, który nie pozwolił mu na docenienie tego, co ma, który kazał mu podświadomie, ale bardzo konsekwentnie odpychać ją od siebie, aż w końcu faktycznie odeszła. Jeszcze nie naprawdę, ale już mentalnie. Rozumiał ją. Był dla niej ostatnim kaprysem rozpuszczonej, bogatej dziewczynki. Rzeczą, którą chciała mieć i którą oczywiście, jak wszystkie inne rzeczy wcześniej, dostała. Tylko ta rzecz okazała się też być bramą do dorosłości, lekcją, zapewne dość bolesną, że świat nie zawsze poddaje się naszej woli, że nawet rozpuszczone, bogate dziewczynki nie są w stanie uniknąć cierpienia, gdy ich wymarzona zabawka

okazuje się zepsuta i rani. Więc gdy już dorosła dzięki tej lekcji, po prostu go wyrzuciła.

Ale on? O co mu chodziło?

To zdjęcie zwłaszcza jakoś szczególnie go poruszyło. Stali na nim razem na tle oceanu. Widać było całe ich sylwetki, więc musiał zrobić je ktoś inny. Uderzająca była mowa ciała tych dwóch uwiecznionych na nim postaci. Ona tuliła się do niego, całą sobą i swoją twarzą zwrócona była w jego stronę, on przeciwnie, wydawał się odwracać, odrywać od niej, jakby chciał uciec, a przynajmniej się odsunąć.

To zdjęcie jeszcze niedawno stało tu gdzieś w salonie, w srebrnej, metalowej ramce, ale ostatnio, jak sobie to właśnie uświadomił, już go nie widział.

Odłożył komputer i wstał. Poczł nagle głęboką, irracjonalną chęć odnalezienia go, dotknięcia, sprawdzenia, czy nadal istnieje. Jakby zależało od tego wiele, bardzo wiele, tylko nie wiedział co. Zaczął go szukać, w szafkach, szufladach, wszędzie, gdzie tylko można było je schować. Zaaferowany nie zauważył, że drzwi się otworzyły.

- Czego szukasz?

Było to dla niego tak nagłe, tak niespodziewane, że aż podskoczył.

W przestrzeni między przedpokojem a salonem stała jego żona. W czarnym, rozpiętym, wełnianym płaszczu i z dłońmi w kieszeniach. Patrzyła na niego, przekrzywiając lekko głowę na bok.

- Jezus Maria - powiedział. - Ale mnie przestraszyłaś...

Nie skomentowała tego. Patrzyła uważnie, taksująco, jakby zastanawiała się, co mu znowu odwała.

- Zdjęcia - odpowiedział na tamto pytanie. - Schowałaś je?

- Jakiego zdjęcia? - spytała z rezerwą w głosie.

- Tego z Karaibów, naszego. Stało tu kiedyś w ramce.

- Nie przypominam sobie żadnego zdjęcia - odparła.

Teraz to on spojrział na nią uważnie.

- Z Karaibów - powtórzył. - Stoimy na nim razem na tle oceanu. Nie pamiętasz?

Wzruszyła ramionami.

- Nie.

- Patrz, tu jest. - Podniósł z kanapy komputer. - Nie zwariowałem, zobacz!

Podszedł do niej i podsunął jej pod nos ekran.

Odsunęła lekko twarz.

- Widzę - powiedziała. Był w jej tonie głosu jakiś rodzaj odrazy.

- Właśnie takie zdjęcie - mówił z coraz większym przejęciem. - To zdjęcie, tylko w ramce. Stało tu.

- OK, stało - odpowiedziała, jakby chciała go zbyć.

- Kurwa mać! - Poczł nagle bardzo silne wzburzenie. - Nie wkręcaj mnie! Takie zdjęcie! Stało tu! Nie pamiętasz?!

Odsunęła się od niego.

- W porządku, może stało, nie wiem.

- Jak możesz tego nie pamiętać??

- Dobrze, stało tu. Takie zdjęcie. Już pamiętam. Zadowolony?

Znów ten ton: skrywana odraza, zniecierpliwienie i zawarta w nim sugestia, że nic takiego nie pamięta, potwierdza tylko, żeby się odczepił.

- Nie pogrywaj ze mną! - Zaczynał tracić już nad sobą panowanie. - Pamiętasz je czy nie?!

- Uspokój się! - Uniosła ręce. - Co jest takiego ważnego w tym cholernym zdjęciu?

Nie wiedział.

- Chciałbym je po prostu zobaczyć. - Poczł, że zbiera mu

się na płacz. - Gdzie jest?

- W komputerze je masz. Tam sobie popatrz.

- Chcę zobaczyć tamto w ramce. Dotknąć je, przekonać się, że istnieje.

Tym razem zniecierpliwienie zostało okazane najzupełniej wprost.

- Nie wiem, może pani Ołena gdzieś je schowała.

- Jaka pani Ołena?

Popatrzyła na niego jak na wariata.

- Nasza sprzętaczką. Przychodzi tu. Nie mów, że jej nie pamiętasz.

Jasne, oczywiście. Był już kompletnie skołowaciały.

- Tak, tak, pamiętam - potwierdził pospiesznie. - Nie wiedziałem, że ma na imię Ołena.

- Przychodzi do nas od roku, a ty nie wiesz nawet, jak ma na imię? - prychnęła. - Nic dziwnego, że wymyślasz sobie jakieś zdjęcia.

Coś eksplodowało w jego głowie.

- Niczego sobie nie wymyślam! - wydusił przez zaciśnięte zęby. - Rozumiesz?! - Ledwo się powstrzymał.

Musiała to zauważyć, bo powiedziała:

- OK, OK, przepraszam! - Ton głosu był ciągle jednak poirytowany. - Daj mi wreszcie spokój z tym głupim zdjęciem! Wpadłam do domu tylko na chwilę, żeby się przebrać, i od razu awantura z dupy! Możemy już przestać?

Odetchnął głęboko. Usiadł.

- Możemy - powiedział.

Nagle wszystko z niego opadło. Poczuł się potwornie zmęczony.

Przez chwilę panowało milczenie. Nie patrzył na nią, lecz wiedział, że się nie ruszyła.

- Co ci się stało znowu w twarz? - spytała.

Machnął ręką.

- Przewróciłem się - odparł.

- Na szybę w oknie? - spytała z ironią.

Spojrzał na nią spode łba.

- Przepraszam - powiedziała. Tym razem zabrzmiało to szczerze. - Nic ci nie jest? Ten plaster...

- Wszystko w porządku - uciął. Nie miał teraz ochoty o tym rozmawiać.

- Słuchaj. - Usiadła obok niego na kanapie. Nie za blisko jednak. - Może po pracy kupię jakieś wino i coś do jedzenia. Niedaleko kancelarii jest fajna japońska restauracja. Może jakieś sushi na wynos...

- OK - odpowiedział. Było mu wszystko jedno.

- Zjemy, napijemy się, porozmawiamy... - ciągnęła.

- O czym? - spytał.

- Jest parę tematów.

Zabrzmiało to nieco niepokojąco.

- Jakich? - Popatrzył na nią uważnie.

Odwróciła wzrok.

- Nie będziemy teraz zaczynać, wpadłam naprawdę dosłownie na chwilę. Już jestem spóźniona... - Spojrzała znacząco na zegarek.

Zdjęła płaszcz i powiesiła go w przedpokoju. Potem weszła do sypialni.

- Agnieszka? - rzucił nagle.

- Tak? - spytała przez otwarte drzwi.

- Dlaczego my nie mamy dzieci?

Wyjrzała zdziwiona.

- Nie sprawiałeś nigdy wrażenia kogoś, kto chce mieć dzieci - odparła. - A ja nie naciskałam. Wiesz, aplikacja adwokacka

i te sprawy... Myślałam, że może potem.

- Jasne.

- Co ci nagle przyszło do głowy? - Znowu zniknęła w tamtym pomieszczeniu.

- Nie wiem. Pomyślałem chyba nagle, że chciałbym je mieć. Dzieci. Dzieci zakotwiczą nas w rzeczywistości. Może byśmy o tym pomyśleli? Co o tym sądzisz?

Stała przed nim już przebrana.

- Sądzę, że musimy porozmawiać. Wieczorem.

Założyła z powrotem płaszcz i wyszła.

ROZDZIAŁ 27

Mecenas Salomea Bejtner zjawiała się w prokuraturze tak, jak obiecała. Dokładnie o umówionej godzinie wpłynęła przez drzwi gabinetu Gabrieli Seredyńskiej niczym duch unoszący się kilka centymetrów nad podłogą. Ubrana była podobnie jak za pierwszym razem: w bluzkę i spódnicę tego samego koloru tworzące razem rodzaj okrywającej całą sylwetkę szaty. Tyle tylko, że tym razem dominowały w niej zdecydowanie ciemne barwy. Być może dlatego tak wyróżniał się duży, okrągły wisior na długim, złotym łańcuszku spoczywający na jej piersi. Był to jakiś kamień, zdaje się, że bursztyn, otoczony fantazyjnymi, złotymi motywami roślinnymi.

Seredyńska wstała i przywitała się z nią uściskiem dłoni. Mecenas Bejtner bez słowa usiadła na krześle przed jej biurkiem.

Seredyńska wskazała ręką na magnetofon.

- Tym razem nie będziemy niczego wyłączać, prawda, pani Salomeo? - Uśmiechnęła się.

Celowo użyła tej fraternizującej formy. Miała nadzieję, że po ich ostatniej rozmowie, która niepodziewanie pod koniec nabrała dość osobistego wymiaru, uda jej się nawiązać ze starszą panią mecenas jakiś rodzaj ułatwiającego przesłuchanie porozumienia.

Kobieta skinęła ledwo dostrzegalnie głową. Nie odwzajemniła jednak uśmiechu.

- Wiadomo już coś w sprawie identyfikacji zwłok? - spytała rzeczowym tonem. Jakby chodziło o sprawę, w której bierze udział jako adwokat, a nie o jej własną córkę. Być może w ten

właśnie sposób broniła się przed emocjami, których nie chciała już okazywać, a najpewniej też i czuć.

- Nie, nie otrzymałam jeszcze wyników ekspertyzy - odpowiedziała Seredyńska.

- Rozumiem - odarła sucho mecenas Bejtner. Było w tym jednym słowie zniecierpliwienie, zawód i ukryta nagana. W ten zapewne sposób odpowiadała swoim podwładnym, gdy nie wykonywali wystarczająco szybko jej poleceń. Najwyraźniej tamta chwila słabości i opuszczenia gardy, która miała miejsce podczas ich poprzedniej rozmowy, należała już do przeszłości.

Seredyńska włączyła nagrywanie. Szybko przeszła przez wstępne kwestie dotyczące imienia, nazwiska, wieku i adresu zamieszkania. Salomea Bejtner odpowiadała równie mechanicznie, z tym samym, nieobecny wzrokiem, jaki zapamiętała z ich pierwszego spotkania. W końcu postanowiła zadać pierwsze istotne pytanie.

- Czy między pani córką, Agnieszką Bejtner, a jej mężem, Krystianem Zapałą, był jakiś konflikt?

Mecenas Bejtner ledwie dostrzegalnie uniosła brwi.

- Niespecjalnie interesowałam się ich życiem małżeńskim - odpowiedziała.

- Pracowałyście z córką w jednej kancelarii, nie rozmawiałyście o tych sprawach? - spytała Seredyńska. Postarała się, by w jej głosie było słycać zdziwienie.

Salomea Bejtner przez chwilę nie odpowiadała.

- Bardzo pilnowałam, by traktować ją tak samo jak innych pracowników. By nie czuła się w żaden sposób faworyzowana ani by inni tak nie myśleli. Nie rozmawiałyśmy na prywatne tematy.

Bardzo wygodny pretekst, pomyślała Seredyńska.

- A poza kancelarią? - spytała.

- Rzadko spotykałyśmy się poza pracą. Zazwyczaj na

różnego typu imprezach rodzinnych, ale tych nie ma znowu aż tak dużo.

- Święta są dwa razy do roku - zauważyła.

Mecenas Bejtner uśmiechnęła się wymuszenie.

- Boże Narodzenie spędzam zawsze na Wyspach Kanaryjskich, Wielkanoc w jakimś SPA. Z tego, co wiem, córka też wtedy wyjeżdżała.

Fajnie, pomyślała Seredyńska. Wygląda na to, że rzeczywiście łączyło je tylko prawo spadkowe.

- Co pani sądziła o swoim zięciu? - spytała. Coś chyba musiała o nim sądzić.

Salomea Bejtner po raz pierwszy w tej rozmowie spojrzała jej prosto w oczy.

- Że był darmozjadem i łowcą posagów - powiedziała. - To o nim sądziłam.

Wreszcie jakaś żywsza reakcja.

- Co pani ma na myśli? - spytała, podejrzewając, że na pewno chętnie rozwinię swoją wypowiedź.

- Co mam na myśli? - Mecenas Bejtner głośno wypuściła powietrze przez nos. - Bawidamek i playboy, malarz, którego obrazów nikt nigdy nie widział, nagle interesuje się niespecjalnie ładną dziewczyną z bogatej rodziny. Jak pani myśli, dlaczego?

- Pani córka była niespecjalnie ładna?

Kobieta machnęła ręką zniecierpliwiona.

- Była zwykła. Taka jakich setki. A on mógł wybierać z najlepszych. Czemu wobec tego wybrał ją?

- Była pani przeciwna temu małżeństwu?

- Oczywiście. Skoro już ma się córkę i ta córka musi mieć męża, to przynajmniej powinien się on do czegoś nadawać - prychnęła pani mecenas. - Najlepiej, żeby był prawnikiem, na jej wydziale naprawdę nie brakowało sensowych mężczyzn, ale

malarz?! Próbowałam coś z niego wycisnąć, pomogłam mu przy jego wystawie, bo myślałam: w porządku, może ma talent, wypromuje się go i nawet będzie to nieźle wyglądało – znana prawniczka i słynny artysta, mecenas Bejtner mecenasem sztuki, ale gdzie tam! Tych jego obrazów pies z kulawą nogą nie chciał kupić. Sama musiałam to zrobić, żeby nie było wstydu. Leżą teraz u mnie w piwnicy, mam nadzieję, że już zgniły.

Salomea Bejtner rozkręciła się w doprawdy nieoczekiwany sposób, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, jak do tej pory się zachowywała.

- Oczywiście mówiła jej pani to wszystko? - spytała Seredyńska.

- Mówiłam, a jakże! W ogóle nie chciała mnie słuchać. Nie wiem, co on jej zrobił, zawsze wydawała się rozsądną dziewczyną. Ale tym razem uparła się jak koza! Jakby od tego zależał pokój na Ziemi. Raz w życiu mnie nie posłuchała i proszę zobaczyć, jak na tym wyszła...

- Raz w życiu? - zdziwiła się Seredyńska.

- Dokładnie raz - przytaknęła kobieta. - Nigdy nie było z nią problemów, nawet gdy była nastolatką. Żadnego buntu, żadnych kłopotów. Dobrze się uczyła, poszła na prawo. Aplikację i miejsce w kancelarii miała w kieszeni. A tu jakby się wściekła! Nic do niej nie przemawiało.

- Może chciała się od pani w ten sposób uwolnić? - zasugerowała Seredyńska.

Salomea Bejtner obrzuciła ją nierozumiejącym spojrzeniem.

- Ode mnie? - Uniosła wysoko brwi do góry. - Nic od niej nie chciałam, a miała wszystko. Byleby tylko poszła na prawo i przejęła kancelarię. Ledwo to zresztą na niej wymogłam. Żeby nie zmieniała nazwiska i nie odchodziła z firmy. Dlatego kupiłam im to mieszkanie i zgodziłam się promować tego

nieudacznika. Ale żeby osiągnąć sukces, trzeba jeszcze tego
chcieć. A on niespecjalnie sprawiał takie wrażenie.

ROZDZIAŁ 28

Trzasnęły drzwi. Nie, nie trzasnęły. Jego drzwi przecież zamykają się bezszelestnie. Najwyżej z cichym odgłosem przypominającym siadanie z impetem na skórzanej kanapie. Takiej, jaką miał w swoim poprzednim mieszkaniu. Tym, które, choć wynajmowane, było naprawdę jego.

Co w takim razie trzasnęło? Rozejrzył się dookoła. Powoli zmierzchało. Światła Pałacu Kultury zaczynały się wyostrzać. Podobnie jak reflektory samochodów jadących w dole po ulicach.

Dziwnie było patrzeć na nie, nie słysząc ich dźwięków. Odgłosów silników, klaksonów, szmeru opon przesuwających się po asfalcie. Zatrzymywały się i ruszały, zatrzymywały się i ruszały, a wszystko w zupełnej ciszy. Jak robaki, mrówki lub karaluchy, chodzące rzędami jedno za drugimi.

Wytężył słuch, starając się mimo wszystko coś usłyszeć. Mimo tych trzydziestu pięter i hermetycznych okien. I przez chwilę wydawało mu się nawet, że faktycznie doszło coś do niego. Jakiś szum, chrobot, cholera wie co. Lecz w następnej chwili nie był już tego pewny. Może usłyszał coś, bo wiedział, że powinien? Patrzył na coś, co powinno wydawać dźwięk, więc ten dźwięk sobie wyobraził, stworzył. Żeby nie było tego niepokojącego braku.

Coś w każdym razie trzasnęło i to raczej mu się nie wydawało. To znaczy chyba. Wstał i po chwili już wiedział. Laptop. Jego komputer za kilkadziesiąt tysięcy, mający służyć mu do projektów, których nigdy nie zrealizował, ześlizgnął się z oparcia kanapy i spadł na podłogę.

Schylił się i podniósł komputer. Gdy go odkładał, był otwarty, lecz od upadku się zamknął. Obejrzał dokładnie obudowę. Dostrzegł małe pęknięcie i lekkie wgniecenie w prawym górnym rogu. Tam, gdzie ekran łączy się z klawiaturą. Widocznie nim właśnie komputer uderzył o parkiet.

Usiadł na kanapie i otworzył go. Ekran był ciemny. Szlag by to trafił! Głupio by było, gdyby go rozwalił.

Wcisnął przycisk zasilania. Nic. Wcisnął jeszcze raz. Podobnie. Nacisnął mocniej, jakby to miało jakieś znaczenie. Też nic. Może w jakiś dziwny sposób bateria rozładowała się od uderzenia? Nie wiedział, czy to w ogóle możliwe, ale warto było to sprawdzić. Zaczął szukać przewodu od ładowania. Gdzie mógł go zostawić? Zawsze miał problem z takimi rzeczami. Ładowarkami, kluczami, telefonem. Kładł je gdzieś, a potem nie pamiętał gdzie. Dobrze, że nie nosił okularów, bo pewnie też by ciągle je gubił. A dość kiepsko szuka się okularów, gdy się nie ma ich na nosie.

W końcu znalazł ładowarkę. Była w łazience. Dlaczego w łazience? Bóg raczy wiedzieć. Przez chwilę pomyślał, że to może kolejny objaw rozkładu rzeczywistości, że może te wszystkie zagubienia i odnalezienia to nic innego, jak błędy, które popełnia jego mózg, konstruując iluzję, lecz szybko odrzucił od siebie tę myśl. Miał nie zajmować się więcej takimi bzdurami. Po prostu był roztargniony i tyle. Wielu ludziom coś takiego się zdarza.

Tylko z jakiego powodu zostawił przewód akurat w łazience?

Podłączył komputer do prądu. Nacisnął przycisk i tym razem przytrzymał go długo. Na początku znowu nic się nie działo, lecz potem... potem coś się ruszyło. Pojawiły się pionowe paski, rozbłyski jakby, nie jakoś specjalnie jasne, raczej matowe. Wpatrywał się w ten pokaz z fascynacją i uporem, czekając,

w jaką stronę się rozwinie.

I wtedy to się wyświetliło. Zdjęcie z Karaibów. Nie było to specjalnie dziwne, w końcu było na ekranie w momencie, gdy laptop spadł na podłogę, więc teraz, gdy odpalił się ponownie, po prostu się pokazało. Obrzucił je niezbyt uważnym spojrzeniem, bo ekran ciągle lekko migał, na domiar złego w prawym dolnym rogu, dokładnie w tym miejscu, gdzie urządzenie zderzyło się z parkietem, pojawiła się czarna, nieregularna plama. Dziwne było coś innego, i zrozumiał to dopiero, gdy ekran nagle z powrotem poczerniał i zgasł. Próbował ponownie włączyć komputer, by spojrzeć na fotografię jeszcze raz i przekonać się, czy na pewno to widział, choć dałby sobie głowę uciąć, że tak było, lecz jego ponawiane raz za razem, coraz bardziej nerwowe wysiłki nie dawały rezultatu. Mimo wielokrotnego naciskania klawisza zasilania, mimo podłączania i odłączania ładowarki, zamykania i otwierania ekranu, a nawet uderzania dłonią w obudowę, komputer pozostawał martwy.

Zrezygnował wreszcie z dalszych prób. Nie miało to sensu. Wpatrywał się tępo w czarny ekran, próbując przypomnieć sobie, co tam tak naprawdę zobaczył. Przez tę jedną sekundę, gdy rzucił na niego okiem. Gdyby od razu zrozumiał, co to było, mógłby się temu przyjrzeć dokładniej, lecz był zaaferowany czymś innym, nastawiony na rozwiązanie innego problemu i po prostu nie zarejestrował, że coś jest tam nie tak. Teraz starał się przywołać z pamięci tamten obraz, wywołać kliszę, która odbiła się na jego siatkówce, zanim wzrok powędrował w inne rejony.

Zamknął oczy. Dwie postaci stały na plaży – tu wszystko było OK. On i jego żona, z tyłu morze. Jej kostium kąpielowy, jego szorty, okulary przeciwsłoneczne. Dokładnie tak, jak powinno być i jak zapamiętał. Ale było tam jeszcze coś. Coś, co wywołało jego spóźnioną reakcję. Jakaś różnica, niezgodność

z utrwalonym w pamięci schematem, coś niepokojąco innego.

Co to było? Coś na morzu? Nie. Za ich plecami rozciągał się zwykły, bezkresny ocean, przepięknie wyglądający na żywo i zawsze nudny na zdjęciu. Więc nie, to nie o to chodziło. Coś w ich wyglądzie? Ale co? Wyglądali normalnie, Agnieszka była może nieco pulchniejsza niż teraz, poza tym oboje byli opaleni, a on miał dłuższe włosy, lecz nic więcej. Tylko ta rozlana, czarna plama na ekranie powstała po uderzeniu różniła tamten widok od tego, który zapamiętał.

Zaraz. Ta plama. Ta cholerna plama. Czuł, że może to mieć jakiś związek z nią. Nie chodziło o nią samą oczywiście, bo była tylko skazą na ekranie, skutkiem jego mechanicznego uszkodzenia, ale coś było tu na rzeczy. Miał takie przeczucie, dosyć silne. Gdy o niej myślał, coś wzbudzało się w jego mózgu, jakiś powidok, który mu się wymykał. Spróbował się skoncentrować, przypomnieć sobie tę głupią plamę, jej kształt i zasięg. Obejmowała dość sporą część ekranu, jakąś jedną czwartą, może odrobinę mniej. Sięgała aż do jego postaci, jej skrajna macka zabrała mu nawet nogę. Co było nad nią? Co tam było? Jego ręka wyciągnięta w bok. Jakoś tak nienaturalnie, jakby coś trzymał. A jeszcze wyżej?

Otworzył oczy. Już wiedział. Wiedział, co tam było. Włosy. Pojaśniałe od słońca, zmierzwiłone od wody i wiatru chłopięce włosy. Dziecko. Stało tam dziecko. To je trzymał za rękę.

ROZDZIAŁ 29

- Czy zaobserwowała pani jakieś niepokojące zachowania Krystiana Zapały względem pani córki? - spytała.

- Jak już mówiłam, nieczęsto się spotykaliśmy.

- Ale córkę widywała pani niemal codziennie - zauważyła Seredyńska. - Rozumiem, że nie rozmawiałyście o prywatnych sprawach, ale może zauważyła pani coś w jej wyglądzie lub zachowaniu? Coś, co mogłoby wzbudzić pani podejrzenia.

- Na przykład co?

- Na przykład ślady przemocy.

- Nic takiego nie dostrzegłam.

- Nadmiernie gruby makijaż? Okulary przeciwsłoneczne noszone w pomieszczeniu? Ukrywany przez pani córkę ból, powiedzmy ręki?

- Nie przypominam sobie. Zresztą... - Mecenas Bejtner zawiesiła głos.

- Tak?

- Wie pani. Żeby uderzyć kobietę, trzeba być facetem, mężczyzną. - Salomea Bejtner wykrzywiła usta. - A mój zięć zawsze był miękki. Może i przystojny, na pewno niepozbawiony uroku, ale do prawdziwego, rasowego samca było mu daleko. Naprawdę nie wiem, co moja córka w nim widziała.

Prokurator Gabriela Seredyńska ledwo się powstrzymała, by nie okazać w jakiś sposób zdziwienia. Takie słowa w ustach kobiety, i to kobiety, który osiągnęła niewątpliwy sukces we wciąż jeszcze męskim świecie, były co najmniej nieoczekiwane.

- Uważa pani więc, że Krystian Zapała nie był zdolny do

przemocy? – spytała.

Kobieta obrzuciła ją szybkim spojrzeniem. Widać było, że kierowana aż nazbyt widoczną niechęcią do zięcia, powiedziała o jedno zdanie za dużo w stosunku do tego, co planowała. Jako stary, doświadczony adwokat musiała rozumieć, jak głupi błąd popełniła.

- Nic takiego nie powiedziałam – wycofała się szybko. – Proszę nie wkładać w moje usta nie moich słów. Stwierdziłam, że nie zauważyłam na ciele mojej córki widocznych śladów przemocy fizycznej.

- I że Krystian Zapała był zbyt miękki, by ją uderzyć – przypomniała jej.

- Przemoc ma różne oblicza, pani prokurator. Istnieje przemoc psychiczna, ekonomiczna, seksualna. Zabójstwa bywają również dokonywane przez ludzi, którzy nigdy wcześniej nie przejawiali skłonności do agresji.

- Sądzi pani, że pani córka była poddawana przemocy psychicznej, ekonomicznej lub seksualnej? – Nie dała jej dojść do siebie po tamtym błędzie.

- Nie mogę tego wykluczyć.

- Nie może pani tego wykluczyć, czy ma pani uzasadnione, poparte własną obserwacją lub zwierzeniami córki podejrzenia?

Salomea Bejtner niemal sapnęła ze złości.

- Co do przemocy seksualnej nie mam żadnych danych – odparła z ledwo skrywaną irytacją. – Ale przemoc psychiczna czy ekonomiczna mogła moim zdaniem mieć miejsce.

- Na czym według pani miała polegać przemoc ekonomiczna? – spytała Seredyńska z chłodnym, nieco ironicznym spokojem. Chciała zdenerwować tę starą babę. I to nie tylko dlatego, że miała nadzieję wydobyć z niej dzięki temu potrzebne informacje.

- Na tym, że ten darmozjad w ogóle nie pracował! – Zdaje

się, że jej się udało. -Najpierw używał życia za nie swoje pieniądze, a potem już tylko siedział w domu! W mieszkaniu, które ja im kupiłam! Wielki mi artysta!

- Czy pani zięć dziedziczy po pani córce?

- Tego jeszcze by brakowało! Spisali intercyzę. Poza tym na wszelki wypadek mieszkanie kupiłam i przepisałam na córkę jeszcze przed ich ślubem.

- W takim razie raczej nie mógłby to być motyw zabójstwa - zauważyła Seredyńska. - Krystian Zapała sporo stracił na śmierci swojej żony. Bo rozumiem, że teraz zostaje z niczym.

- Tak - przyznała kobieta. - Teraz zostaje z niczym.

Seredyńska spojrzała w leżące przed nią papiery. Bardziej po to, żeby zrobić przerwę przed następnym pytaniem, niż by cokolwiek sprawdzić.

- Przejdźmy do przemocy psychicznej - zaczęła wreszcie. - Co pani miała na myśli, mówiąc, że mogła mieć miejsce?

Mecenas Salomea Bejtner spróbowała wrócić do swojej roli cesarzowej warszawskiej palestry.

- Mój zięć - odpowiedziała z godnością - wydawał się mieć pretensje do mojej córki o to, że ożenił się z nią dla pieniędzy. Tak to przynajmniej oceniam. Okazywał jej to na wiele różnych sposobów, być może nawet nieświadomie.

- Skąd pani to wie, skoro, jak sama pani przed chwilą powiedziała, prawie się nie spotykaliście?

- Moja droga - wraz z rolą cesarzowej powrócił też protekcyjny ton - gdy będziesz mieć tyle lat co ja, zrozumiesz, że czasami wystarczy jeden wspólny wieczór, by dowiedzieć się, jakie stosunki panują w obrębie małżeństwa, kto komu robi łaskę, a kto jest wiecznym petentem. Moja córka niestety ustawiła się właśnie w tej drugiej roli. Już na ich ślubie było to widać.

- W jaki sposób?

Kobieta wzruszyła ramionami, a na jej twarzy pojawiło się coś w rodzaju smutku.

- On był znudzony i naburmuszony - odpowiedziała. - Wyglądał, jakby chciał mieć to szybko za sobą. Ona odwrotnie: sprawiała wrażenie, jakby była cała nastawiona na niego. Jakby chodziło jej tylko o to, by on był zadowolony. A ponieważ nie był, wychodziła ze skóry, by go uszczęśliwić. Dość przygnębiające, szczerze mówiąc, to było widowisko.

- Czy zauważyła pani jakieś istotne zmiany w ich wzajemnych relacjach w ostatnim czasie?

Salomea Bejtner zamyśliła się.

- Tak - odparła. - Gdy sobie to teraz przypominam, to tak, zauważyłam takie zmiany. Kiedy się ostatni raz wspólnie spotkaliśmy, to ona wydawała się być nim zniecierpliwiona, a nie odwrotnie. Może zrozumiała wreszcie to, co próbowałam jej wytłumaczyć od samego początku. Niestety za późno, jak widać.

- Sądzi pani, że mogła myśleć o tym, by od niego odejść?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. Nawet gdyby planowała rozwód, zwróciłaby się prawdopodobnie do innej kancelarii. Uważałaby to pewnie za swoją porażkę i to taką, którą przewidziałam, więc starałaby się to przede mną jak najdłużej ukryć. Ale uważam, że mogło to być możliwe.

- Dlaczego?

- Wydaje mi się, jakby to powiedzieć, że zaczynała być otwarta na relacje z innymi mężczyznami.

- Miała romans?

- Tego nie wiem. Nawet zresztą gdyby tak było, pewnie też starałaby się to przede mną ukryć. Chodzi o coś innego. O widoczną zmianę nastawienia. Brak, że się tak wyrażę, zapory ogniowej, wyłączenie zabezpieczeń.

- Czym to się przejawiało?

- Na przykład tym, że gdy jakiś obcy mężczyzna zaczynał z nią rozmawiać, nie wspominała od razu w drugim zdaniu tak jak kiedyś, że ma męża.

- Rozumiem.

- Czy to nie byłby dobry motyw, pani prokurator?

- Jaki, pani mecenas?

- Jeśli moja córka chciałaby odejść od męża, a on by się o tym w jakiś sposób dowiedział, rozumiejąc przy tym, że po rozwodzie zostanie bez grosza, bo o żadnym podziale majątku nie może być mowy, może wolałby ją zabić, niż do tego dopuścić? Nie chcę niczego sugerować, pani prokurator, ale proszę się nad tym zastanowić. Taka jest moja rada.

Seredyńska spojrzała na nią chłodno.

- Moja zaś rada jest następująca - powiedziała. - Jeśli nie chce pani czegoś sugerować, niech pani tego nie robi. Dobrze znam swoją pracę, więc pozwoli pani, że sama będę decydować, w jakim kierunku będzie rozwijać się moje śledztwo.

ROZDZIAŁ 30

Wpatrywał się w czarny ekran jak oniemiały. Co to znaczyło? Co to miało znaczyć? Skąd to się w ogóle tu wzięło?

Nagle przypomniał sobie tamtą ulotkę. Tę z kliniki wybudzeń. To zadziwiające, jakimi podziemnymi, ukrytymi przed wzrokiem korytarzami przedzierają się czasem nasze myśli. Gdzie ona była? Przecież gdzieś tu leżała.

Odłożył laptop na stolik i zaczął jej szukać. Jakby była to najważniejsza, jedyna ważna w tym momencie rzecz. Jakby od tego zależało wszystko.

Nigdzie jej jednak nie mógł znaleźć. Nie było jej ani na stoliku, ani pod telewizorem, ani w żadnym z miejsc, gdzie zazwyczaj odkładali takie rzeczy. Może ktoś ją wyrzucił?

Ruszył gwałtownie w kierunku kuchni. Otworzył szafkę pod zlewem. Wyjął kosz i zaczął w nim grzebać. Niczego w nim jednak nie było. W końcu wysypał jego zawartość na podłogę. To też nic nie pomogło.

Chwileczkę. Nie potrzebował przecież ulotki. Wszystko to mógł odnaleźć w końcu w internecie. Komputer nie działał, lecz wciąż miał komórkę. Rozgorączkowany wpisał hasło w wyszukiwarce: „klinika wybudzeń Warszawa”.

Wyniki pojawiły się niemal od razu. Na pierwszym miejscu adres internetowy. Czyli to coś było, istniało naprawdę. Wszedł na ich stronę.

Otworzył się przed nim świat pełen błękitu i bieli. Młodzi lekarze w kitlach uśmiechali się do niego z ekranu. Odnalazł zakładkę z napisem „kontakt”, potem „umawianie wizyt”.

Najbliższy termin był za półtorej godziny. Miał farta, że tak

szybko. Możliwa była również forma online. Wypełnił formularz, wpisując wymyślone dane. Podał adres mailowy, którego od dawna nie używał. Kliknął „potwierdź”.

Po kilkudziesięciu sekundach dostał wiadomość o rezerwacji wizyty. Pierwsze spotkanie – zapoznające i wyjaśniające – było bezpłatne. Pozostawało już tylko czekać na umówioną godzinę.

Łatwo powiedzieć – czekać. Czas włókł się niemiłosiernie. Był zdenerwowany, im dłużej to trwało, tym bardziej. Ustawił telefon na szklanym stoliku, opierając go o książki, a sam usiadł przed nim na kanapie, co i raz sprawdzając, czy link, który dostał, nie jest już aktywny.

Miał wrażenie, że upłynął cały dzień, zanim to nastąpiło. Okienko spotkania rozjaśniło się i pojawiła się w nim kobieca twarz okolona mocno skręconymi jasnymi włosami. Wyglądało to trochę jak jakieś blond afro.

- Dzień dobry – usłyszał. Głos był miły, uspokajający.

- Dzień dobry – odpowiedział. Gardło miał ściśnięte i wysuszone. Musiał odkaszlnąć, żeby w ogóle coś powiedzieć.

- Rozumiem, że to pana pierwszy kontakt z naszą placówką? – spytała kobieta. Biały kitel świadczył, że była lekarką. Zresztą jak pamiętał, przed jej nazwiskiem widniał skrót „dr”.

- Tak, pierwszy. – Nieco zbyt przesadnie kiwnął głową, jakby obawiał się, że osoba po drugiej stronie ekranu może go nie dosłyszeć albo nie zrozumieć.

- Nie będę pytała, w jakiej sprawie się pan do nas zgłosił, bo to chyba oczywiste. – Uśmiechnęła się z odpowiednio smutną powagą. – Parę pytań muszę jednak zadać. Przede wszystkim chciałabym jednak wiedzieć, w czyjej sprawie pan dzwoni.

Nie bardzo zrozumiał, co miała na myśli.

- W swojej – odpowiedział.

Kobieta uśmiechnęła się jeszcze poważniej i jeszcze smutniej.

- Oczywiście - odparła. - Dotyczy to niewątpliwie pana, lecz to nie pana, jak sądzę, będziemy leczyć w naszej klinice. Pytanie moje dotyczyło tego, kogo pan reprezentuje, kogoś z rodziny?

Tak, rzeczywiście, nie mógł przecież dzwonić w swojej własnej sprawie. Nie przemyślał tego dokładnie, mimo że miał na to dość czasu.

- Chodzi o brata - odparł.

- Rozumiem. - Kiwnęła głową lekarka. - Czy pana brat jest żonaty?

To pytanie też go zaskoczyło.

- Żonaty? Dlaczego pani o to pyta?

- Jeśli ma żonę, to ona wedle prawa będzie podejmować wszelkie decyzje - wyjaśniła. - Ale rozmawiać mogę również z panem.

- Nie, nie ma żony - zaprzeczył energicznie. - Nasi rodzice również nie żyją. Jestem jego jedynym krewnym - dodał na wszelki wypadek.

- Rozumiem. To nam ułatwi załatwianie wszelkich formalności - powiedziała. - Następne pytanie: o jaki rodzaj stanu chodzi i co spowodowało, że pana brat w nim się znalazł?

- Rodzaj stanu? - powtórzył. - Jest w śpiączce.

- Świetnie - odpowiedziała lekarka, nie zauważając zapewne, że to słowo niezbyt dobrze tu pasuje. - „Śpiączka” to jednak dość szeroki i niezbyt dokładny termin, na pewno lekarze, którzy się nim teraz zajmują, używają bardziej precyzyjnych sformułowań. Jest pan w stanie je sobie przypomnieć?

Przełknął ślinę. Naprawdę powinien się lepiej przygotować.

- Niestety, nie - odparł.

- Nic nie szkodzi - uspokoiła go kobieta. - I tak przeprowadzamy zawsze własne badania. Proszę mi jednak

powiedzieć, bo to pan na pewno wie, co doprowadziło do takiego stanu?

No właśnie tego do końca nie wiedział. Chociaż mógł przypuszczać.

- Wypadek - odpowiedział. - Mój brat miał wypadek.

- Jakiego rodzaju?

- Proszę?

- Samochodowy, jakiś inny... - podpowiedziała mu.

- Podczas nurkowania - odparł. - Doszło do...

- Niedotlenienia mózgu - dokończyła za niego. - Rozumiem.

- Zapisała coś na niewidocznej kartce. - Czy z pana bratem jest jakikolwiek kontakt?

- Nie rozumiem. - Był coraz bardziej tym wszystkim przestraszony.

- Czy rozumie, co się do niego mówi, reaguje na to lub choćby sprawia takie wrażenie? - wyjaśniła.

Nie bardzo wiedział, co na to pytanie odpowiedzieć.

- Nie - odparł w końcu. - Mój brat przebywa całkowicie w swoim własnym świecie.

ROZDZIAŁ 31

- Rozumiem - po raz kolejny wypowiedziała to słowo. - Chyba wiem wobec tego na ten moment wszystko. Lecz na pewno pan również chciałby się wielu rzeczy dowiedzieć. Interesują pana bardziej nasze warunki finansowe czy metody?

Odetchnął z ulgą, że ta część wreszcie się skończyła.

- Metody. Zdecydowanie metody - odpowiedział.

- Oczywiście. - Skinęła głową. - Metody są najważniejsze. - Z jej twarzy zniknął profesjonalny smutek. - Jesteśmy w tym momencie najnowocześniejszą kliniką zajmującą się wybudzeniami w kraju - zaczęła. - Oferujemy naszym pacjentom kompleksową opiekę na najwyższym światowym poziomie, zapewniamy dostęp do najbardziej nowatorskich metod rehabilitacji...

- Czy rodzina bierze udział w tej rehabilitacji? - przerwał jej ten reklamowy monolog.

- Tak, oczywiście. - Uśmiechnęła się życzliwie. - Członkowie rodzin mają pełny i nieograniczony dostęp do łóżek naszych podopiecznych i to przez całą dobę. Każdy pokój wyposażony jest w kozetkę do spania.

- Czy to prawda, że mówienie do osób w śpiączce pomaga im? - spytał.

- Głęboko w to wierzymy - przytaknęła. - Zachęcamy członków rodzin naszych pacjentów, by jak najwięcej z nimi rozmawiali albo chociaż czytali im książki.

- To daje efekty?

- Wielu z tych, którym udało się wrócić, opowiadało później, że słyszeli głosy swoich bliskich i pomogły im one w powrocie.

- A co z tymi, którzy nie są świadomi?

- W przypadku śpiączki trudno mówić o świadomości - poprawiła go uprzejmie.

- Nie, przepraszam, źle to ująłem - spróbował inaczej to sformułować. - Wyobraźmy sobie pacjenta, osobę w śpiączce, która nie wykazuje żadnych oznak aktywności mózgu, nie ma z nią kontaktu, jest w stanie wegetatywnym. Tak to się nazywa, prawda?

- Tak - potwierdziła lekarka.

- Ale ten ktoś mimo wszystko słyszy i rozumie, co się do niego mówi, tylko nie jest w stanie nam tego przekazać. Czytałem o takich przypadkach.

- Tak, zdarzają się takie sytuacje - odparła z powagą.

- Właśnie - coraz bardziej się zapalał. - Ale wyobraźmy sobie inną osobę, innego pacjenta, który również jest w stanie wegetatywnym, ale z kolei nie słyszy i nie rozumie, co do niego mówimy.

- Tak. - Kolejne skinięcie głową.

- Czy jest możliwe, że taka osoba, mimo iż nie wie, gdzie się znajduje ani co się z nią dzieje, ma jakiś rodzaj życia wewnętrznego, które toczy się nie na poziomie świadomości, ale podczas czegoś w rodzaju snu?

Wpatrywał się z napięciem w jej twarz, oczekując odpowiedzi. Lekarka jednak nie spieszyła się z jej udzieleniem.

- Wie pan - zaczęła powoli. - Tak naprawdę bardzo mało wiemy, co dzieje się we wnętrzu uszkodzonego mózgu...

- Nie pytam, czy wie pani na pewno, tylko czy uważa pani to za możliwe - przerwał jej ze zniecierpliwieniem.

- No cóż. - Lekarka uniosła brwi do góry. - Zdarza się, że mózg pozbawiony bodźców ze świata zewnętrznego sam zaczyna produkować dźwięki czy obrazy, trochę na zasadzie czucia fantomowego w amputowanej kończynie... Ludzie,

którzy stracili wzrok, miewają halucynacje wzrokowe, czasami bardzo rozbudowane... Mózg jako struktura jest bardzo elastyczny...

- Czyli jest możliwe, że wasi pacjenci śnią jakiś rodzaj snu? - drążył dalej.

Na twarzy kobiety pojawiło się wahanie.

- Biorąc pod uwagę współczesny stan wiedzy... Nie jestem w każdym razie w stanie wykluczyć takiej możliwości - odparła ostrożnie.

Był coraz bardziej poruszony.

- Czy jest zatem prawdopodobne, że w tym śnie wydaje im się, że żyją? - spytał. - Że nie zdają sobie sprawy, że to sen i że są w śpiączce? Że toczą tam, wydawałoby się, normalne życie, mają mężów, żony, chodzą do pracy, ale prawdziwe rodziny, mówiąc do nich, potrafią przebić się jakoś przez ten mur i przekazywać im w ten sposób wiadomości?

- Panie Andrzeju, zadaje mi pan bardzo trudne pytania, na które nie mogę panu odpowiedzieć, żeby nie narazić się na zarzut wzbudzania w panu nieuzasadnionej niczym nadziei - odpowiedziała powoli, jakby tłumaczyła coś dziecku. - Nie wiem, czy tak może być. I tylko tyle mogę panu powiedzieć. Nie wiem.

- Ale nie da się tego wykluczyć?

- Przykro mi, ale jako lekarz nie jestem w stanie odpowiedzieć panu na to pytanie.

Przez chwilę zapanowało milczenie.

- Czy wobec tego chciałby pan poznać nasze warunki finansowe? - spytała w końcu.

- Nie, na razie nie - odparł.

- Czy w takim razie mogłabym jeszcze panu w czymś pomóc?

Zawahał się.

- Tak, myślę, że tak. - Coś mu nagle przyszło do głowy. - Jest u państwa pewien mój dawny znajomy. Czy mógłbym się dowiedzieć, w jakim jest stanie? - spytał.

Odpowiedź lekarki była zdecydowana.

- Niestety, takich informacji nie wolno nam udzielać osobom, które nie są członkami rodziny - powiedziała.

- Może mógłbym się w takim razie tylko dowiedzieć, czy w ogóle jest u państwa ktoś taki? - Nie rezygnował. - Nazywa się Krystian Zapała.

Lekarka spojrzała na niego uważnie.

- Przed chwilą pan twierdził, że jest - zauważyła.

Cholera, nigdy nie potrafił dobrze kłamać.

- Nie wiem, może pomyliłem państwa z inną podobną kliniką. Mogłaby pani to sprawdzić? Bardzo mi na tym zależy - spróbował wybrnąć z tej sytuacji. - Może więc w drodze pewnego wyjątku...

Tym razem to ona jemu przerwała.

- Jak już mówiłam, nie możemy udzielać takich informacji - odpowiedziała bardzo stanowczo. - Obowiązuje nas ustawa o ochronie danych osobowych, już nie mówiąc o tajemnicy lekarskiej. Bardzo mi wobec tego przykro, ale nie możemy panu pomóc. - W jej tonie głosu pojawiło się wyraźne zniecierpliwienie.

- Tak, ma pani rację. Oczywiście. I przepraszam. Dziękuję w takim razie za rozmowę.

- Ja również panu dziękuję. - Na twarz kobiety powrócił profesjonalny, życzliwy uśmiech. - Gdyby potrzebował pan jeszcze jakichś dodatkowych informacji, zapraszam ponownie. Następne spotkanie będzie już niestety płatne.

ROZDZIAŁ 32

Zapomniał zupełnie, że miała przynieść to sushi. Że o czymś w ogóle rozmawiali.

Nie wiedział, ile czasu minęło. Światło, które zapaliła w salonie, oślepiło go zupełnie. Gdy przestał już mrużyć oczy, zobaczył, że Agnieszka stoi w przedpokoju, trzymając papierową torbę z nazwą japońskiej restauracji w jednej ręce i butelką wina w drugiej. Usta miała półotwarte w wyrazie zdziwienia pomieszanego z niepokojem.

- Co tu się stało? - spytała zduszonym głosem.

Rozejrzał się dookoła. No tak, o to chodziło.

- Szukałem tego zdjęcia - odpowiedział.

- Jakiego zdjęcia?

Zirytowało go to. Jak mogła o tym nie pamiętać? Rozmawiali o nim przed jej wyjściem. Czy nie?

- Tego z wakacji. W ramce - odparł.

- I musiałeś przy okazji zdemolować cały dom? - usłyszał.

Spojrzał jeszcze raz na ich mieszkanie. Wszystko leżało wszędzie. Szuflady, szafki i półki były wybebeszone, ich zawartość walała się po podłodze. Nie zdawał sobie sprawy, że aż tak to wygląda. Jakby mieli włamanie.

- Przepraszam - powiedział. - Zaraz... zaraz to posprzątam.

Uniósł się na kanapie, jakby chciał wstać.

- Zostaw - rzuciła ostro. - Ja to zrobię.

Postawiła torbę z jedzeniem i wino na szafce na buty i zdjęła płaszcz.

- Nie, no przecież pomogę ci... - Ponownie próbował się

podnieść.

- Zostaw! - krzyknęła. W jej głosie zabrzmiał histeryczny ton. - Siedź po prostu tam, gdzie siedzisz!

Opadł znowu na kanapę.

Patrzył, jak układa ponownie rzeczy w szafkach i na półkach, jak podnosi z podłogi leżące na niej przedmioty. Kilka razy, gdy udało mu się spojrzeć jej w twarz, miał wrażenie, że z trudem powstrzymuje łzy.

Lecz była też wściekła. Emanowało to z jej ruchów, pleców, z upartego milczenia, z którym to wszystko robiła. Widział to i wolał się nie odzywać.

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Resztę ogarnie pani Ołena. Dobrze, że jutro przychodzi.

- Jutro? - spytał. W zasadzie tylko po to, żeby podtrzymać kontakt.

- A co, nie pasuje ci? - spytała z zimnym sarkazmem. Zapewne żeby podkreślić, że nic nie robi i nigdzie nie wychodzi.

- Nie, po prostu tego nie pamiętałem - odpowiedział najłagodniej, jak tylko potrafił. Było mu trochę wstyd za to wszystko.

- Znalazłeś przynajmniej to pierdolone zdjęcie? - spytała. W jej głosie pobrzmiwały jednocześnie złość i zniechęcenie.

- Nie, nie znalazłem - odparł.

Pokiwała głową z rezygnacją.

- Słuchaj - zaczął. Wiedział, że to nie najlepszy moment, ale nie mógł tego odłożyć na później. - Kiedy byliśmy na tych Karaibach, był tam jakiś chłopiec?

- Chłopiec? - powtórzyła ze zdziwieniem. - Jaki chłopiec? Było tam wielu chłopców.

- Blondyn, z jasnymi włosami - odpowiedział. - Więc raczej nie miejscowy. Musieliśmy go znać dosyć dobrze.

- O co ci znowu chodzi? - Spojrzała na niego z niepokojem.
- Taki, którego mógłbym trzymać za rękę.
- Po co miałbyś go trzymać za rękę? - spytała ostrożnie.
- Nie wiem - odparł cicho. - Może dlatego, że był mi w jakiś sposób bliski.

Podniósł na nią wzrok. Patrzyła na niego uważnie nieruchomym spojrzeniem.

- Nie przypominam sobie żadnego takiego chłopca - powiedziała powoli.

- Blondyn - powtórzył. - Mniej więcej takiego wzrostu. - Pokazał ręką. - Miał takie zmierzwione, pojaśnione od słońca włosy. - Poczuł, że coś ściska go za gardło.

- Ile miał lat? - spytała rzeczowo.

- Nie wiem. - Zmarszczył brwi. - Sięgał mi dotąd. To ile mógł mieć?

Usiadła ciężko na pufie stojącej obok kanapy.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała zmęczonym głosem. - Nie znam się na dzieciach.

- Ile my lat już jesteśmy po ślubie? - spytał. - Dziewięć? Dziesięć?

- Dziesięć - odparła.

- Mógł mieć jakieś dziesięć lat.

- I trzymałeś go za rękę? - upewniła się.

- Tak.

Siedziała po męsku, z łokciami opartymi o kolana i dłońmi ze splecionymi palcami. Opadające z czoła kosmyki włosów zasłaniały jej twarz. Nagle zrobiło się straszliwie cicho, tak to przynajmniej odebrał.

Odgarnęła dłonią włosy i założyła je za ucho.

- Krystian - powiedziała. - Musisz pójść do lekarza.

- No wiem - odpowiedział. - Mówiłaś.

- Jak najszybciej - dodała. - Umówię cię na jutro. Może być przez internet, jeśli nie chcesz wychodzić.

Wstała.

- OK - powiedział. - Na jutro.

Nie chciał jej się sprzeciwić po tym wszystkim.

Ruszyła w stronę sypialni.

- Mieliśmy porozmawiać - powiedział. Nie chciał, żeby odchodziła.

- Nieważne. - Machnęła ręką, nie odwracając się. - Zapomnij.

Była już prawie przy drzwiach.

- A sushi? - rzucił za nią.

- Jest twoje. Możesz zjeść sam. Ja wezmę wino.

Zgarnęła butelkę, przechodząc przez przedpokój.

- Weź chociaż korkociąg - krzyknął.

- Nie trzeba. Odkręca się - odpowiedziała.

Zamknęła za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 33

- Oczywiście, pani prokurator, proszę mi wybaczyć - odparła z godnością Salomea Bejtner, choć z tonu jej głosu można było wyczuć, że nie są to do końca szczerze przeprosiny.

- Dobrze, pani mecenas, zapomnijmy o tym. - Seredyńska się uśmiechnęła, dając tym samym znak, że ma zamiar wziąć tę wypowiedź za dobrą monetę. - Porozmawiajmy w takim razie o pani zięciu, Krystianie Zapale. Czym się zajmował w trakcie trwania małżeństwa z pani córką?

- On? - Jej rozmówczyni uniosła wysoko lewą brew. - Niczym.

- Jest, z tego co wiem, malarzem.

- Chyba tylko w swoich wyobrażeniach - prychnęła lekceważąco.

- Skończył Akademię Sztuk Pięknych.

- Nie sądzę, by można było powiedzieć, że wykonuje wyuczony zawód. Chociaż niewątpliwie stara się sprawiać takie wrażenie.

- Jak to?

- Jest leniem. I beztalenciem. - Mecenas Bejtner nie bawiła się w dyplomację, mówiąc o swoim zięciu.

- Dlaczego pani tak sądzi?

- Zorganizowałam mu kiedyś wystawę. Mówiłam pani. Jeszcze przed ich ślubem. Porozmawiałam z kim trzeba na tej jego uczelni, żeby zrobili ją właśnie jemu. Zaprosiłam na nią kilku znanych krytyków, a potem spytałam ich o zdanie. Postarałam się, by mówili szczerze. Jednogłośnie stwierdzili, że jego obrazy są wtórne, nieciekawe, często wprost skopiowane

od innych artystów.

- Może od tego czasu się rozwinął?

Salomea Bejtner wzruszyła lekceważąco ramionami.

- Może by się rozwinął, gdyby coś robił - odpowiedziała. - Z tego, co wiem, nie dał sobie tej szansy. Tamte prace pochodziły jeszcze z czasów studiów. Namalował je, bo musiał. Potem niestety nie miał już tej motywacji. Wie pani, jest taki rodzaj artystów, którym wystarcza samo to, że są artystami, nie muszą już niczego tworzyć. On należy do tej właśnie kategorii. Ożenił się z moją córką, by móc dalej utrzymywać się w tej iluzji. Gdyby nie to, musiałby prędzej czy później skonfrontować się z prawdziwym życiem. Na czymś zarabiać, z czegoś się utrzymywać. Skoro nie z malowania, to z czegoś innego. Pójść do jakiejś pracy. A tak nie musiał tego robić. Mógł sobie dalej żyć w tej swojej wyimaginowanej bańce, udawać wielkiego pana malarza za nie swoje pieniądze.

- Jak w takim razie spędzał czas?

- Na początku, tuż po ślubie, tak samo, jak wcześniej. Chodził do knajp, na imprezy, czy jak to się teraz nazywa. Chyba nawet częściej niż przedtem. Była taka półmelina na tyłach ASP, gdzie wszyscy bywali. Zjawiał się tam ze trzy razy w tygodniu. Jakby chciał zrekompensować sobie, że już nie jest wolny. Potem mu to zamknęli, więc włóczył się po innych miejscach. Ale zawsze takich, gdzie mógł brylować jako artysta. Córka w tym czasie robiła aplikację, więc prawie się nie widywali. Potem, po roku czy dwóch, się okazało, że wszyscy jego znajomi z uczelni, wszyscy, których znał i którzy jego znali i z którymi balował, powoli się wykruszyli. Poszli do pracy, założyli rodziny albo zaczęli poważnie traktować swoją karierę - i przestali chodzić na miasto. Został sam, bo ci nowi, którzy przyszli na ich miejsce, nie znali go i mieli w nosie. Więc on także przestał chodzić. A potem polecili z córką na Karaiby.

Oficjalna wersja była taka, że robią sobie wielkie wakacje, bo potem będą starać się o dziecko i nie wiadomo, kiedy pojedą następnym razem. Moim zdaniem chodziło o to, że moja córka po raz kolejny próbowała poprawić humor swojemu wiecznie niezadowolonemu mężowi i pokazać mu, że z nią też może się dobrze bawić.

- Bardzo dużo pani wie, jak na kogoś, kto rzadko się z nimi spotykał i, jak pani sama powiedziała, niezbyt interesował się ich życiem małżeńskim - zauważyła Seredyńska.

Salomea Bejtner spojrzała na nią kamiennym wzrokiem.

- Moja córka miała przejąć po mnie jedną z najlepszych kancelarii w Polsce - odpowiedziała z wyższością. - Musiałam wiedzieć, co robi człowiek, który został jej mężem. Gdyby władował się w jakieś kłopoty, mogłoby to rzutować na jej dobre imię, a ono, jak pani dobrze wie, jest w tym zawodzie podstawą. To kwestia biznesowa, nie osobista.

- Zatrudniła pani kogoś, by go śledził? - spytała.

- Nie musiałam. W mojej kancelarii są ludzie zajmujący się tego typu sprawami. Wy, prokuratorzy, macie policję, my też musimy sobie jakoś radzić.

- Rozumiem. Co w takim razie działo się dalej? Bo to pani też pewnie wie.

- W czasie pobytu na Karaibach doszło do jakiegoś wypadku podczas nurkowania. Mój zięć ucierpiał z jego powodu, moim zdaniem niezbyt mocno. Jak większość tego typu ludzi wpadł jednak po nim w histerię. Zdaje się, że po raz pierwszy w życiu zrozumiał, że nie jest nieśmiertelny i że świat nie został stworzony, by go bawić i zadowalać.

Mecenas Salomea Bejtner już nawet nie starała się ukryć swojego lekceważącego i pogardliwego stosunku do męża swojej córki. Ponieważ ją od początku też traktowała z wyniosłością i protekcjonalnością, Seredyńska nie mogła się

powstrzymać, by nie zacząć myśleć o tamtym człowieku z pewnego typu nieprofesjonalną sympatią.

- Jaki to był wypadek, wie pani? - spytała.

- Nastąpiła zdaje się jakaś awaria akwalungu. Krystian wpadł w panikę i poturbował się o rafę. Nie wiem dokładnie, co sobie uszkodził, w każdym razie po powrocie przez długi czas nie ruszał się z mieszkania. I jakoś tak mu zostało.

- Co to znaczy „tak mu zostało”?

- Przestał wychodzić. W ogóle.

- W ogóle?

- Podobno. Na początku po prostu się kurował, więc jakoś tam można to było zrozumieć. Coś go bolało, nie mógł chodzić - nie wiem dokładnie. Ale potem mijały miesiące, a on nic. Tkwiał w domu jak kamień.

- Czym to według pani było spowodowane?

- Słabością i tchórzostwem. Tak w największym skrócie.

- Mogłaby to pani jakoś rozwinąć?

- Z wielką chęcią. Mój zięć zawsze był słaby psychicznie. Brak mu było wewnętrznej siły i pewności siebie. Te dwie rzeczy wynikają zawsze albo z realnych osiągnięć, albo z prawdziwego talentu. On nie miał ani jednego, ani drugiego. Stworzył więc sobie własny świat, w którym był wielkim artystą i bożyszczem kobiet, supermenem niemalże. Ponieważ faktycznie jest dość przystojny i niepozbawiony uroku, zdołał przekonać do tej wizji wielu ludzi. W tym moją córkę niestety. W pewnym momencie jednak rzeczywistość powiedziała „sprawdzam” i okazało się, że nie jest ani wielkim artystą, ani supermenem. To pierwsze stało się po jego wystawie, to drugie po wypadku na Karaibach. Rozsypał więc się na kawałki. I zabił dwie osoby.

- Dowody, które zebraliśmy do tej pory, każą nam widzieć w nim bardziej ofiarę niż ewentualnego sprawcę - zauważyła

Seredyńska.

Salomea Bejtner skrzywiła wzgardliwie usta.

- Moim zdaniem mógł sam wejść do tej szafki i obsypać się śmieciami - powiedziała. - Gdy zrozumiał, że w prawdziwym świecie za to, co zrobił, grozi prawdziwe więzienie. To by było do niego podobne.

- Skąd pani zna takie szczegóły? - spytała Seredyńska. - Są objęte tajemnicą śledztwa.

- Powiedzmy, że się tego domyśliłam. - Mecenas Bejtner uśmiechnęła się z wyższością.

No tak, pomyślała Seredyńska, kobieta, która przez tyle lat miała tak wysoką pozycję w środowisku prawniczym, raczej nie powinna mieć problemu z dostępem do tego typu informacji.

- I myśli pani, że tak słaby człowiek, jak go tu pani odmalowała, mógłby dokonać tak strasznej zbrodni? - spytała.

- A ma pani lepszy pomysł, kto mógłby to zrobić? Bo ja nie.

ROZDZIAŁ 34

Tak, to ją uspokajało. Niezbyt szeroko rozstawione nogi, wyciągnięte przed siebie ręce i wstrzymany oddech. I powolne ściągnięcie spustu w oczekiwaniu na strzał.

- Świetnie, pani prokurator - usłyszała głos instruktora. - Ma pani dryg do tego. Wszystkie trafienia byłyby śmiertelne. Chce pani spróbować czegoś innego?

Wyjęła magazynek i odłożyła broń na stolik lufą w stronę tarczy. Zdjęła słuchawki. Sylwetka mężczyzny w kapeluszu zwana „francuzem” podziurawiona była kulami jak sito. Żaden otwór nie znajdował się jednak poza obwodem w kształcie klepsydry obejmującym głowę i środek klatki piersiowej.

- Nie - odpowiedziała. - Proszę tylko wymienić tarczę.

Policyjny walther P99 nie należał do jej ulubionych pistoletów. Znacznie lepiej strzelało jej się z czeskiej czetki, rewolwerów, już nie mówiąc o broni długiej. Ale to na nim głównie ćwiczyła. Na wszelki wypadek. Gdyby coś. Prawdopodobieństwo, że będzie musiała go użyć poza strzelnicą, było największe. Choć miała nadzieję, że jednak znikome.

Postanowiła zacząć ćwiczyć strzelanie po sprawie Julii Gierszewskiej. Znalazła się wtedy w paru dość niebezpiecznych sytuacjach, również takich związanych z bronią, i pomyślała, że warto byłoby posiadać elementarne umiejętności w tym zakresie. Początkowo planowała po prostu nauczyć się ją obsługiwać i mniej więcej trafiać do celu, jednak spodobało jej się to na tyle, że teraz już odwiedzała strzelnicę regularnie.

Lubiła to. Było w tym coś z medytacji. Maksymalna

koncentracja, skupienie się na sobie i swoim ciele, wyciszenie emocji, odcięcie się od wszelkich rzeczy znajdujących się poza linią łączącą oko i szczerbinę, a do tego ta paradoksalna, filozoficzna niemal zasada mówiąca, że aby trafić w cel, nie można tak naprawdę na niego patrzeć.

Poza wszystkim świadomość tego, że ona, drobna kobieta o wyglądzie nastolatki, jest w stanie kontrolować tak śmiercionośne narzędzie, że potrafi go używać i to używać bardzo skutecznie, dodawała jej pewności siebie i rozprawiała się z kilkoma dość starymi kompleksami.

Krótko mówiąc, strzelanie było zajebiste.

Podziurawiona tarcza została wymieniona na nową, która następnie odjechała na wyciągu w głąb toru strzeleckiego. Założyła z powrotem słuchawki i załadowała ponownie magazynek. Przeładowała. Odetchnęła głęboko i uniosła pistolet, trzymając go w obu rękach. Wyprostowała prawą, lewą wykorzystując do jej stabilizowania. Skupiła wzrok na muszce i szczerbinie, widząc rozmazaną tarczę gdzieś daleko przed sobą. Dopiero teraz położyła palec na spuście. Musiała już kończyć, więc ostatni magazynek postanowiła wpakować w cel za jednym razem, bez robienia przerw między strzałami. Wstrzymała oddech.

Stłumiony słuchawkami huk wystrzałów wciąż był jednak bardzo głośny. Odrzut raz za razem podbijał jej ręce do góry, lecz ona wciąż kierowała z powrotem lufę na cel. Poczucie mocy - tego doświadczała. Adrenalina płynęła do żył. Była jak Zeus, Thor lub prasłowiański Perun - miotająca gromy. I było to bardzo przyjemne.

Zamek zatrzymał się w końcu w tylnym położeniu, naboje się skończyły. Wyjęła magazynek i odłożyła pistolet. Zdjęła słuchawki.

- Całkiem niezłe skupienie jak na ogień ciągły - usłyszała.

I nie był to głos instruktora.

Odwróciła się. Stał za nią Rajmund Nowaczyk.

- Nie wiedziałem, że korpus prokuratorów też musi ćwiczyć strzelanie - powiedział z uśmiechem.

- Nie musi - odparła. - Lubi.

Przywitali się przyjaźnie. Obojgu było na rękę, by nie pamiętać tamtego epizodu z pierwszego dnia śledztwa.

- A ty co tu robisz? - spytała.

Skrzywił się żartobliwie.

- Czeka mnie okresowy sprawdzian - odparł. - Niby wiem, z której strony wylatuje pocisk, ale warto by było sobie trochę odświeżyć parę rzeczy.

- Masz chwilę? - spytała. - I tak chciałam z tobą porozmawiać. Na temat śledztwa - dodała na wszelki wypadek.

Chyba zrozumiał powód, dla którego tak szybko to dopowiedziała, bo uśmiechnął się smutno.

- Chodźmy na górę - powiedział. - Nie będę ci proponował kawy, ale są tam też inne napoje.

Usiedli przy stoliku w niewielkim barku. Kupiła sobie colę. Waniliową, bez cukru. Dawno już nie piła większego syfu. Smakowała jak lekarstwo. On wziął zwykłą, taką tuczącą, niezdrową. I na pewno bardzo smaczną.

- Chcesz moją? - spytał, widząc jej reakcję. - I tak nie powinienem jej pić. Przytyło mi się ostatnio.

Wyglądał bardziej na opuchniętego niż nadmiernie grubego. Jakby nadużywał alkoholu.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała. - Kupiłam, to wypiję. Trzeba ponosić konsekwencje swoich głupich wyborów.

Spojrzał na nią, jakby się zastanawiał, czy była to aluzja do jego sytuacji. Nie była. Tak po prostu palnęła, żeby zagadać swoje uczucie skrępowania.

- Albo wiesz co? Nie trzeba. Daj tę colę.

Sięgnęła po jego butelkę i nalała do swojej szklanki. Wypiła. I uśmiechnęła się do niego.

Odwzajemnił uśmiech. Atmosfera nieco się oczyściła.

- Słucham, pani prokurator - powiedział.

- To ja słucham - odparła. - Masz coś dla mnie?

Założył nogę na nogę.

- Wiesz, jak to jest. - Wzruszył ramionami. - Jeśli chcesz popełnić zbrodnię, zrób to w piątek, wtedy do poniedziałku nic się raczej nie ruszy.

- Naprawdę nic nie masz? - spytała.

- Analiza DNA jeszcze nie przyszła, a bez niej nie możemy zidentyfikować zwłok - zaczął wyliczać. - Bez tego z kolei nie wiemy, czyje odciski palców do kogo należą, bo żadne z tych, które znaleźliśmy, nie figurują w bazie danych. Podobnie jak inne ślady. Wyniki sekcji zwłok też raczej po weekendzie, tym bardziej że mamy dwa trupy. Więc być może nawet w grę wchodzi środek tygodnia. Chyba że masz znajomości w Zakładzie Medycyny Sądowej, to może przyspieszą.

- Nie mam - odpowiedziała. - Zawsze byłam kiepska w układy.

- Idź na jakiś kurs - rzucił. - Umiejętności interpersonalne przydają się w każdym zawodzie.

Czyżby mała złośliwość pod jej adresem?

- A inne rzeczy? - spytała.

- Podobnie. Analiza śladów krwawych też może jeszcze potrwać. Ten pieprzony automatyczny odkurzacz narobił tam sporo zamieszania. Analizujemy też nagrania z monitoringu. Ale to ogromny budynek, więc jest ich naprawdę sporo. A jak twoje przesłuchania?

- Pani mecenas Salomea Bejtner już wydała wyrok - odpowiedziała. - Uważa, że zabójcą jest jej zięć, który potem wcisnął się do szafki i obsypał śmieciami. W ogóle najchętniej

sama prowadziłaby śledztwo, oskarżała i sędziowała w tej sprawie.

- Trochę trudno jej się dziwić - stwierdził. - Jedną z ofiar jest jej córka.

- Nie wydawała się z nią jakoś szczególnie związana. Zaczynam myśleć, że może chodzić o coś innego.

- O co? - spytał.

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - To bardziej przecucie niż wnioski na podstawie jakichś przesłanek. Jedno jest pewne: pani mecenas bardzo nie lubi swojego zięcia i jest to uczucie o wiele żywsze i silniejsze niż problematyczna moim zdaniem miłość do zmarłej córki.

- To, że jest uprzedzona, nie znaczy, że nie może mieć racji - zauważył. - Mąż to zawsze pierwszy podejrzany.

- Wiem. - Kiwnęła głową. - Biorę to pod uwagę. Mimo że sama jestem do niej coraz bardziej uprzedzona. Na tym etapie nie można niczego wykluczyć. Jeśli to jednak był on, pojawia się parę pytań, na przykład kim jest druga ofiara i jaki ma związek ze sprawą. Nie należy do rodziny, więc jest to raczej nietypowe.

- Co masz zamiar robić dalej? - spytał.

Zastanowiła się.

- Po pierwsze, musimy zorganizować eksperyment śledczy - powiedziała. - Sprawdzić, czy rzeczywiście mężczyzna postury Krystiana Zapały byłby w stanie wcisnąć się sam do szafki kuchennej, zastawić koszem, obsypać śmieciami i zamknąć jeszcze za sobą drzwiczki. Zorganizuj to. Niech technicy sprawdzą też jeszcze raz dokładnie śmieci pod kątem tego, czy nie ma w nich czegoś, co mogłoby mu w tym pomóc. Nie wiem, jakiegoś sznurka, drutu czy czegoś w tym rodzaju.

- W porządku - odpowiedział.

- Z zeznań Salomei Bejtner wynika też, że jej córka mogła mieć romans. Nie powiedziała tego wprost, ale zasugerowała

taką możliwość. Musimy to sprawdzić. Przesłuchaj wszystkich jej współpracowników z kancelarii. Takie historie najczęściej dzieją się w pracy, a jeśli nawet nie, może miała tam jakąś przyjaciółkę, której się zwierzała. Tak samo oczywiście musimy prześwietlić jej męża.

- Romans w pracy, tak jest - potwierdził.

Zabrzmiało to w jego ustach nieco dwuznacznie. A może jej się tylko wydawało.

- To tyle - zakończyła. - Miłego strzelania.

Pożegnali się uściskiem dłoni. Starła się nie patrzeć mu w oczy. Zdecydowanie wolała, gdy ich relacje miały wyłącznie zawodowy charakter. Do tego powinna dążyć. Żadnej przyjaźni, żadnych bliższych stosunków, tylko praca. I to pomimo naprawdę wielu wspomnień, które ich łączyły. Tak będzie zdrowiej i dla niej, i dla niego.

ROZDZIAŁ 35

Obudził się. Ktoś chodził po mieszkaniu. Podniósł się z kanapy i obejrzał do tyłu. Sprzątaczką. Jednak wreszcie przyszła. Faktycznie, przypominał ją sobie. Jak miała mieć na imię? Ołena. Niska, szczupła kobieta z jakby nieco za dużą w stosunku do ciała głową. Z czarnymi włosami, brwiami i oczyma. W pewnym sensie nawet ładna. Ale tylko w pewnym.

Zauważyła go, musiała go zauważyć, lecz nie odezwała się nawet słowem. On też nic nie powiedział. Tak było prościej – traktować się jak powietrze. Ona w końcu była tu w pracy, nie dostawała pieniędzy za bycie rozmowną. Jemu też było na rękę, że się nie musi odzywać. Jakby ona była robotem sprzątającym, a on jednym z mebli. Bardzo wygodny układ.

Położył się z powrotem na kanapie. Jeśli przekręci teraz głowę w prawo, zobaczy przez tę wielką szybę niebo. Było puste i jasne, bez żadnej chmurki. Zawsze przerażało go takie niebo. Nie mógł przestać myśleć o miliardach lat świetlnych próżni, na które tak naprawdę patrzy. Chmury przynajmniej ją zasłaniały. Stwarzały pozory pewnej skończoności, a nawet przytulności. Były jak dach z koca w domku zbudowanym przez dzieci z krzeseł i stołu. Pogodne niebo było w rzeczywistości otchłanią.

Czy ostatnio nie padało? Padało. A tu nagle taki ładny dzień. Bez tego wiatru. Może to on zresztą przegnał te chmury. Wiatr zmian. *Élan vital*. *Pneuma*. Tchnienie Ducha Świętego. Przemieszczające się nad ziemią nic.

Gdyby się nad tym głębiej zastanowić, to świat składa się głównie z pustki. Jesteśmy tylko małą przerwą we

wszehświatowej nicości. Podobnie nasze życie. Miliardy lat przed nami, miliardy lat po nas. Zresztą nawet nie miliardy, miliardy miliardów. Czy biorąc to pod uwagę, można w ogóle mówić, że istniejemy? Że się wydarzyliśmy? Może nasze istnienie jest tak pomijalne, że w zasadzie nas nie ma. Tak pod względem przestrzennym, jak i czasowym. Jesteśmy jak drgnienie najmniejszej cząstki elementarnej, o którym nie wiadomo, czy w ogóle nastąpiło.

Więc czy naprawdę jest istotne, czy był w śpiączce, czy nie? Czy śnił to wszystko, czy żył w prawdziwym świecie? Może to też było pomijalne? Nie miało znaczenia. Bo w obu tych przypadkach jego życie było tą samą uludą, różniącą się co najwyżej tylko stopniem zaawansowania iluzji.

Zamknął oczy, potem je otworzył, potem znowu zamknął. Świat istniał albo znikał, albo znowu istniał. Sprzątaczką szurała, przesuwała przedmioty, odkręcała i zakręcała wodę w kranie. Ona zapewne nie miała takich dylematów. Po prostu żyła, nie zastanawiając się, czy robi to naprawdę. Albo po prostu mu się wydawała.

- Długo pani mieszka w Polsce? - spytał ją nagle.

Odgłosy ustały, lecz odpowiedzi nie było.

Uniósł się z kanapy i spojrzał na nią ponad oparciem. Patrzyła na niego zdezorientowana, jakby nie wiedziała, czy się nie przesłyszała.

- Pytałem, czy długo pani mieszka w Polsce - powtórzył.

Wytarła dłonie w szmatkę.

- Już prawie dziesięć lat - odpowiedziała niemal bez akcentu.

- Uważa pani, że świat istnieje? - spytał.

Wbrew oczekiwaniom nie usłyszał śmiechu.

- Oczywiście, że istnieje. Pytanie tylko jak? - odparła, odkładając szmatkę na szafkę.

- Co pani ma na myśli? - spytał.

- Czy Bóg istnieje, czy nie? Jak pan myśli?

- Myślę, że... nie wiem. I nie jestem w stanie tego rozstrzygnąć - odpowiedział.

- Jest pan. Bóg istnieje. Na pewno. Właściwe pytanie brzmi: w jaki sposób?

- Jak to? - Nie bardzo zrozumiał.

- Czy istnieje jako osobny, ontologiczny byt, czy jako powszechne archetypiczne wyobrażenie.

- Jeśli jest tylko wyobrażeniem, to przecież nie istnieje - zauważył.

- Dlaczego pan tak sądzi? Skoro jest obecny jako archetyp w umysłach wszystkich ludzi, nawet tych, którzy w niego nie wierzą, skoro wpływa na ich życie i postępowanie, to jak można mówić, że nie istnieje?

- Nie istnieje realnie.

- Co to znaczy realnie? - spytała. - Miliardy ludzi na całym świecie wierzą w niego, modlą się do niego, biorą jego wolę pod uwagę, podejmując decyzje, a nawet robią z jego powodu różne złe i dobre rzeczy. A pan? Na ilu ludzi ma pan rzeczywisty wpływ? Może więc nawet jako archetyp Bóg istnieje bardziej realnie od pana?

Nie odpowiedział. Nie tego się spodziewał, zadając to pytanie.

- Inna sprawa, że jeśli Bóg jest wszechmocny, może istnieć i nie istnieć jednocześnie. Co to dla niego - dodała i wróciła do ścierania kurzy.

Zatkało go. Może to też mu się wydawało.

- Proszę się nie dziwić - usłyszał. - Nie zawsze byłam sprzątaczką. Skończyłam akademię teatralną, miałam zajęcia z filozofii.

Nie zadał jej następnego pytania. Poczekał, aż skończy, nie

ruszając się ze swojej kanapy. Wrócili do wzajemnego ignorowania swojego istnienia. Dopiero gdy wyszła, wstał i poszedł do łazienki.

Oddając mocz, zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Czy rzeczywiście chodziło tylko o sposób zadania pytania? Czy faktycznie nie miało znaczenia, czy świat istniał naprawdę, czy tylko jako iluzja jego pogrążonego w śpiączce umysłu, skoro przecież nawet w tej iluzji jakoś egzystował, rozmawiał z ludźmi, robił różne rzeczy, a nawet myślał, tak jak teraz? Czy więc jest możliwe, że on również istniał i nie istniał jednocześnie?

Spuścił wodę i umył ręce. Twarz, którą zobaczył w lustrze, zmieniła się, co trochę w pierwszym momencie go zaskoczyło. Po ostatnim kontakcie z chodnikiem nie była już tą samą twarzą, do której widoku był przyzwyczajony. Spuchła i nabrzmiała, oczy stały się małe i uciekły jakby w głąb czaszki. Dawno niestrzyżony zarost zamienił się w pełnoprawną brodę. Podobny był teraz w jakiś niespodziewany sposób do tego portiera z dołu.

Wytarł ręce i wyszedł z łazienki. Nie, pomyślał, jest jednak wyraźna granica między istnieniem i nieistnieniem. Może w przypadku Boga da się ją unieważnić, ale nie w przypadku człowieka. Jest różnica, czy żyje naprawdę, czy tylko śni swoje życie, nawet jeśli jest to bardzo realistyczny sen. Cała reszta jest tylko zwykłą sofistyką.

Wrócił do salonu. Szafki wytarte i spryskane środkiem przeciw osiadaniu kurzu lśniły jeszcze bardziej niż zazwyczaj. W powietrzu unosił się subtelny zapach pszczelego wosku. Zapewne sztuczny, jak wszystko dzisiaj, niemniej jednak bardzo przyjemny. Ruszył w kierunku aneksu kuchennego. Warto by było coś zjeść. Może to ostatecznie przekona go o realności świata, jeśli jakiś jego fragment, pogryziony i przeżuty, znajdzie

się we wnętrzu jego organizmu. Poza tym był najzwyczajniej głodny.

Nie doszedł jednak do kuchni. Zatrzymał się w pół drogi. Przez chwilę jeszcze stał, zastanawiając się, czy naprawdę zobaczył to, co zobaczył. Potem powoli się odwrócił.

Na szafce pod telewizorem stało zdjęcie w metalowej ramce. To, którego jakiś czas temu szukał i nie mógł znaleźć. Podszedł do niego bliżej i podniósł, by lepiej mu się przyjrzeć.

Zobaczył dwie postaci - siebie i swoją żonę - uśmiechniętych, opalonych, tak jak zapamiętał. Na zdjęciu jednak był jeszcze ktoś. Obok nich stało dziecko. Trzymał je za rękę. Chłopiec z grzywą jasnych włosów. On też był uśmiechnięty. Widać było jego twarz.

ROZDZIAŁ 36

Mieszkanie było zaplombowane. Policjant zerwał papierowe taśmy z pieczęciami i otworzył drzwi. Weszli do środka. Nie musieli już mieć kombinezonów ochronnych, wszystkie ślady były dawno zabezpieczone.

Czuć było krwią. Wyschniętą, zwietrzałą, ale jednak krwią. Specjalna ekipa sprzątająca miejsca zbrodni nie została tu jeszcze wpuszczona. Na wszelki wypadek, gdyby trzeba było ponownie coś sprawdzić.

Właśnie to mieli teraz zrobić. Przeprowadzić eksperyment śledczy. Jeden z techników ustawił kamerę na trójnogu, by móc wszystko sfilmować. Drugi opróżnił szafkę, w której znaleziono nieprzytomnego Krystiana Zapałę. Policjant, którego wytypowano z powodu podobnego do Zapały wzrostu i wagi, rozebrał się do koszulki i bokserek. Sam Zapała nie mógł wziąć udziału w eksperymencie, gdyż jego lekarz nie wyraził na to zgody. Obawiał się, że może to pogłębić jego traumę, a nawet doprowadzić do ponownego popadnięcia w stan katatonii. Zawartość kosza na śmieci została wcześniej zabezpieczona do badań i przebywała w magazynie dowodów, więc do kosza włożono nowy worek i wypełniono go pustymi opakowaniami po różnych produktach. Pozostawało już tylko rozpocząć.

Seredyńska stanęła nieco z boku, tak by widzieć dobrze wewnątrz szafki. Policjantowi pokazano zdjęcie, które fotograf zrobił, gdy jeszcze myślano, że Zapała nie żyje, aby wiedział, jaką pozycję ma przybrać. Obejrzał je i spojrzał na Seredyńską. Kiwnęła głową. Technik włączył kamerę. Drugi stanął przed nią i wypowiedział stosowną formułkę: eksperyment śledczy,

numer sprawy i tak dalej. Brakowało tylko klapsu, takiego jak przy produkcjach filmowych. Ktoś powiedział „akcja”, ale tylko po to, by pospieszyć mężczyznę w bokserkach, który stał niepewnie, nie wiedząc, czy może już zacząć. Teraz w końcu ruszył. Opadł na kolana i niezdarne próbował się wcisnąć do szafki. Wszedł niemal cały, lecz nie potrafił przyjąć w niej pozycji widocznej na zdjęciu.

- Nie w ten sposób - rzuciła zniecierpliwiona. - Nie możesz tam wchodzić głową do przodu.

Najchętniej sama by to sprawdziła. Weszła tam i pokazała mu, jak powinien to zrobić. Nie mogła tego uczynić nie tylko z tego powodu, że nie licowałoby to z godnością prokuratora, lecz także dlatego, że była po prostu zbyt drobna, niższa i znacznie lżejsza od Krystiana Zapały.

Policjant w bokserkach wygramolił się z szafki i spróbował wsunąć się do niej w inny sposób - głowę i ramiona zostawiając na koniec.

Tym razem poszło mu znacznie lepiej. Najpierw wcisnął do środka tułów, potem podkurczył nogi, a na końcu, pomagając sobie rękami, spróbował schować głowę. To również nie do końca się udało, bo kolana, które miał teraz przy twarzy, blokowały jej wejście. Musiał więc wysunąć je z powrotem i spróbować, wyginając w karkołomny sposób szyję, wcisnąć do środka najpierw głowę. Gdy już to zrobił, wygięty jak paragraf z kodeksu karnego, przyciągnął do siebie nogi.

Aż zmęczyła się, patrząc na to. Mięśnie miała napięte, jakby to ona była w tej szafce. Odetchnęła głęboko, żeby się trochę rozluźnić.

Mężczyzna dał radę wreszcie umieścić całe swoje ciało w szafce pod zlewem. Teraz, macając nieco na oślep, odszukał lewą ręką kosz. Udało mu się go do siebie przyciągnąć i wstawić do środka. Potem bardzo nieporadnie, znów

wyginając w prawie niemożliwy sposób rękę w łokciu i w nadgarstku, obsypał się śmieciami. Teraz musiał już tylko zamknąć drzwiczki.

Wyciągnął rękę ponad koszem. Widać było, jak bardzo jest już spocony. Twarz miał czerwoną i skrzywioną z wysiłku. Prokurator Seredyńska poczuła, jak z napięcia sztywnieje jej kark. Wszyscy obecni wstrzymali oddech. W końcu koniuszki palców mężczyzny dosięgły górnej krawędzi drzwiczek, a potem przyciągnęły ją w stronę szafki.

Powstał jednak problem. Zawiasy drzwiczek znajdowały się z tej samej strony, co głowa siedzącego w środku mężczyzny. Jego palce blokowały więc możliwość całkowitego zamknięcia szafki. Co prawda jej drzwi pozostawały niedomknięte w chwili, gdy Seredyńska odnalazła Zapałę, ale rozwarcie wtedy było minimalne, nie tak szerokie jak teraz.

- Spróbuj je jakoś domknąć mocniej - polecił jeden z techników. - Jest tam za co złapać?

- Nie bardzo - dobiegło z wnętrza szafki.

- Może dasz radę sięgnąć do zawiasu?

- Nie - odparł z wysiłkiem mężczyzna. - Nie zegnę aż tak ręki.

- A do tej śruby przy gałce?

- Jest za daleko...

- Nie znaleźliście niczego w koszu na śmieci, co mogłoby w tym pomóc? - spytała Seredyńska.

- Raczej nie - odparł technik. - Zmięte papiery, opakowania po różnych produktach, ale niczego, z czego można by zrobić coś w rodzaju pętelki.

- Otwórzcie jeszcze raz te drzwiczki - poleciła.

Podeszła i kucnęła przy otwartej szafce. W środku wciąż tkwił policjant, wygięty i wymęczony.

- Mogę już wyjść? - spytał.

- Jeszcze nie... - odparła, lustrując wzrokiem wnętrze szafki.
- Zobacz, czy nie ma czegoś za zlewem, od tamtej, wewnętrznej strony - poleciała mu. - Dasz tam radę włożyć rękę?

- Chyba tak - stęknął.

Zrobił się jeszcze bardziej czerwony.

- Nie, nic tu nie ma - wysapał.

- A przy armaturze, tam od dołu?

- Też nie.

Ona też nie dostrzegła niczego, co mogłoby pomóc rozwikłać tę zagadkę. Wyprostowała się.

- Chyba nic więcej tu nie wymyślimy - zauważył technik.

- To mogę już wyjść? - spytał ponownie mężczyzna.

- Jeszcze nie - niemal warknęła.

Szukała rozwiązania. Jej mózg uparcie analizował i odrzucał kolejne pomysły. Ten upór był o tyle dziwny, że w zasadzie nie wierzyła, że faktycznie Krystian Zapała mógł tam wejść sam i upozorować to wszystko. Nie mogła jednak przestać, poddać się, zrezygnować. Jakby włączyła jej się jakaś chora ambicja.

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Chyba rzeczywiście to się nie uda.

- W porządku, wyłaź - rzucił technik w głąb szafki. - Kończymy.

- Poczekajcie - rzuciła nagle. - Sprawdźmy na koniec jeszcze jedną rzecz.

- Jaką? - W głosie policjanta w bokserkach dało się usłyszeć nutę zawodu.

W zasadzie było to bez sensu, bo skoro nie dało się domknąć szafki, to przecież nie miało to już znaczenia. Zawsze była jednak pedantyczna i nie lubiła zostawiać takich rzeczy niewyjaśnionych.

- Głowa Zapały wciśnięta była za armaturę, a jego noga w przestrzeń między ścianą a szafką - powiedziała. - Spróbuj

tak zrobić. Może to coś zmieni?

Mężczyzna sapnął, stęknął i z wielkim wysiłkiem spróbował spełnić jej prośbę. Wyglądał już naprawdę bardzo biednie. Zaczynała żałować, że mu to poleciła, bo szczerze mówiąc, sama nie bardzo wiedziała, co mogłoby to dać.

- Czekaście - usłyszała nagle. - Coś tu jest...
- Gdzie? - Technik nachylił się w stronę szafki.
- Tu, przy ścianie - odparł mężczyzna ze środka.
- Co? - spytała.
- Nie wiem. Ale czuję to pod stopą.

ROZDZIAŁ 37

Nie zarejestrował momentu, w którym ramka wypadła mu z dłoni i uderzyła kantem o podłogę. Dopiero dźwięk tłuczonego szkła przywrócił go do rzeczywistości.

Spojrzał pod nogi. Ramka leżała zdjęciem do dołu, widział jej tył ze skośną, drewnianą nóżką, wkoło leżały ostre kawałki szkła.

Stał nad nią jak sparaliżowany, nie mogąc się ruszyć ani odetchnąć, w stuporze przypominającym to, czego tak się obawiał – śpiączkę. Jak w tych snach, w których nie możesz uciec, mimo iż przerażenie wykręca cię na drugą stronę jak szmatę. Patrzył na te kawałki szkła i pytał sam siebie, czy jeśli odwróci ramkę i spojrzy ponownie na zdjęcie, znowu zobaczy tam tego chłopca?

Nie potrafił jednak tego zrobić, nie dał rady. Jakby coś wyłączyło w nim funkcję ruchu. Plecy nie chciały się zgiąć, ramię wyciągnąć, palce chwycić. Stał tylko i patrzył, a świat jakby się zatrzymał.

W końcu odszedł, bo to była jedyna rzecz, którą potrafił zrobić. W tamtą stronę blokada jak widać nie działała. Usiadł z powrotem na kanapie, a potem się na niej położył. Na lewym boku, z nogami podkurczonymi i rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała. Jeśli to był sen, to chciałby się już z niego obudzić.

Patrzył na miasto za oknem, widział długą perspektywę ulicy Emilii Plater, Pałac Kultury, Dworzec Centralny, hotel InterContinental, wieżowiec Libeskinda i Marriott, w którym zawsze zatrzymywali się amerykańscy prezydenci. Patrzył na to wszystko, leżąc na boku, i dlatego widział te wszystkie

wieżowce, jakby również leżały na boku. Może na tym to właśnie polega, pomyślał, na sposobie patrzenia?

Nie rozwinął jednak tej myśli, chciał zasnąć, może nawet umrzeć. Chciał unieważnić ten świat i obudzić się w jakimś nowym. Nieważne, czy prawdziwym czy nie. Niech to się po prostu skończy.

Zamknął oczy. Nie mógł jednak zasnąć. Nie było to takie proste po tym, co zobaczył. Starał się nie myśleć, ale nie potrafił. Podobno nie da się w ogóle nie myśleć, tak gdzieś kiedyś czytał. Można nie myśleć o niczym konkretnym, można nie ubierać myśli w słowa, zdania, w logiczne struktury, lecz młyn umysłu ciągle miele, nie zatrzymuje się. Mózg działa na okrągło, jak serce, nawet we śnie.

„Jak we śnie”. Cholera. Znowu to samo. Znowu przyszło mu to do głowy. Zacisnął mocniej powieki. Czy nie byłby to jakiś rodzaj samobójstwa?, pomyślał nagle. Gdyby udało mu się faktycznie przestać myśleć. Jesteśmy bowiem tak naprawdę tylko tym: tym czymś myślącym w naszej głowie. Jeśli kołowrót myśli ustanie, znikniemy. Bo niby skąd wiadomo, że dałoby się to potem odwrócić? Wznowić akcję mózgu? Skoro do przywrócenia akcji serca potrzebny jest masaż lub defibrylator, to może z mózgiem jest podobnie?

Czyli może dopóki myśli, żyje? Niezależnie od tego, czy jego mózg działa we śnie, czy na jawie. I niezależnie od tego, czym byłoby jedno i drugie. W sumie to pocieszające. Czy gdyby przeżył całe życie, będąc w śpiączce i nie wiedząc o tym, byłoby to gorsze życie niż to przeżyte w realnym świecie? Obiektywnie pewnie tak, ale subiektywnie? A gdyby tamto życie śnione było lepsze od tego nieśnionego? Gdyby w tym pierwszym kochał, był szczęśliwy, realizował się, a w tym drugim był żalonym, samotnym, sfrustrowanym człowiekiem? To co wtedy? Jak to ocenić?

Sęk w tym, pomyślał jednak, że jego życie, to, które zna, nie jest zbyt szczęśliwe. Gdyby okazało się snem, byłoby koszmarem. Może nie bardzo przerażającym, ale męczącym i dusznym, zamęczającym go na śmierć. Z takiego snu warto by się obudzić.

Przypomniawszy sobie postać chłopca z jasnymi włosami. Jego widok wzbudzał w nim dziwne uczucia. Jakiś rodzaj tęsknoty, żalu... ale też coś mu przypominał. Przynajmniej tak mu się teraz wydawało.

Może więc tamto życie było lepsze? To prawdziwe, które stracił. Mieli dziecko, kochali się, byli radosni. Nie to, co teraz. Kto wie, może nawet nie był w nim takim bezużytecznym pasożytem? Malował, robił coś, był spełniony?

Do takiego życia warto by wrócić. Tak.

Chyba że to ono właśnie było iluzją. Chyba że wmówił je sobie, może nawet wskutek jakiejś choroby psychicznej. Może gdy wstanie teraz i podniesie tę pieprzoną ramkę, zobaczy na niej tylko dwie postaci – siebie i ją? Bał się jednak to zrobić. Taka była prawda – bał się. Czego? Może właśnie tego, że tamtego chłopca tam nie będzie. Że tamto inne, szczęśliwe życie, jednak nie istnieje.

Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

Kiedy i jak się tak wpakował? Sam siebie uwięził w tym nierozwiązywalnym dylemacie, którego nie potrafił rozstrzygnąć. W zawieszeniu między prawdą a nieprawdą.

Odpowiedź – jakaś – leżała pod tą zbitą ramką. Problem tylko w tym, że nie wiadomo, czy była prawdziwa. A jeśli była, to czy potrafi to ocenić. Bo niby jak miałyby to zrobić?

Bo czy to nie nazbyt proste? Ten pomysł z odwróceniem jawy i snu? Łatwo pomyśleć, że nasze życie jest iluzją, zwłaszcza jeśli nie jest ono zbyt szczęśliwe. A gdzieś tam –

w innym świecie, w innej rzeczywistości, w innym wymiarze – toczy się to prawdziwe, szczęśliwe i spełnione. Na tej samej zasadzie niektóre dzieci wierzą, że zostały adoptowane i że gdzieś tam żyją ich prawdziwi mama i tata, którzy na pewno kochaliby je bardziej i byli dla nich lepsi. Kilka religii i parę systemów filozoficznych opiera się na podobnym założeniu. Czy więc i on nie wpadł w podobną pułapkę myślenia? Uwierzył, że jego prawdziwe życie jest tylko ułudą, bo po prostu nie za bardzo mu się podoba.

Ale przecież widział to. Widział tego chłopca. Najpierw na komputerze, a potem na zdjęciu. Mogło mu się co prawda wydawać, mógł być chory psychicznie, mieć omamy wzrokowe, halucynacje, schizofrenię czy co tam jeszcze. Ale jeśli przyjmie takie założenie, to już naprawdę wszystko jedno. I ono też jest w pewnym sensie łatwe. Kolejne zbyt proste wytłumaczenie, zwalniające z prób zrozumienia tego, co się dzieje, i będące czymś w rodzaju kapitulacji. Póki rozumuje w miarę jasno, a przynajmniej tak mu się wydaje, musi próbować to jakoś ogarnąć, dojść do prawdy. Dopóki to robi, zachowuje jakąś kontrolę nad swoim życiem, nad sobą i nad światem. Walczy.

Tak więc warto by mimo wszystko podejść i sprawdzić, co leży pod tą ramką. Wyeliminować chociaż jedną możliwość. Otworzył oczy, potem usiadł. Wieżowce za oknem wróciły do pionowej pozycji. Spojrzał w kierunku szafki. Nie widział stąd zbitej ramki, bo zasłaniała ją oparcie kanapy. W tym momencie wszystkie opcje były prawdopodobne, nawet taka, że w ogóle jej nie było.

Wstał. Trochę zakręciło mu się w głowie, pewnie od zbyt szybkiej zmiany pozycji. Odwrócił się w kierunku szafki. Ramki wciąż nie było widać. Zrobił trzy kroki do przodu. Teraz ją zobaczył. Leżała na podłodze. Poczował ucisk w sercu. Reakcję organizmu na stres, wzruszenie albo strach. Być może wszystko naraz. A więc istniała, przynajmniej to. Podeszedł bliżej, stanął

nad nią. Wystarczyło ją teraz podnieść i odwrócić. Z jakiegoś powodu odwlekał jednak tę czynność.

Za długo to robił. Za długo czekał. Gdyby to zrobił od razu, już by wiedział. Stracił jednak tę szansę.

Usłyszał dźwięk otwieranych drzwi. Potem ciche mlaśnięcie, gdy się zamykały. Spojrzał w ich stronę. W przedpokoju stała jego żona. Patrzyła na niego z tym samym wyrazem nieufności i niepokoju, co ostatnio.

ROZDZIAŁ 38

- Co się stało? - spytała.

- Skąd wiesz, że coś się stało? - odparł.

- Ostatnio ciągle coś się dzieje - rzuciła chłodno. - Poza tym drzwi nie były zamknięte na klucz. Wychodziłeś?

Wychodził? Miał problemy z przypomnieniem sobie tego. Zmarszczył czoło.

- Pewnie Ołena nie zamknęła, jak wychodziła. - Udało mu się w końcu wygenerować z siebie w miarę prawdopodobną odpowiedź.

- Ołena? - Usłyszał w jej głosie zdziwienie.

- Sprzątaczką.

- Wiem, kim jest Ołena - zareagowała zniecierpliwieniem. - Była tu?

- Sama mówiłaś, że przyjdzie - przypomniał jej.

- Dziwne - powiedziała.

- Co jest w tym takiego dziwnego? - Nie bardzo rozumiał.

- Przysłała wiadomość, że jest chora i nie da rady - odpowiedziała.

Ich spojrzenia się spotkały. W jej było coś, co nie za bardzo mu się spodobało.

- Była tu. Sprzątała - powtórzył z naciskiem.

- W porządku - odparła i zdjęła płaszcz.

- Co to znaczy: „w porządku”? - zirytował się.

- W porządku to w porządku - odpowiedziała. - Może nagle poczuła się lepiej.

- Najwyraźniej.

Poszła do sypialni. Spojrzał pod nogi. Może teraz?

- Nie wygląda na posprzątane - usłyszał. Była już z powrotem.

- Jak to nie wygląda? - zdziwił się.

- Szyba jest ciągle brudna - powiedziała.

- Jaka szyba?

- W oknie. Tam gdzie się na nią rzuciłeś. Rozmazany, tłusty maziaj na samym środku. Rzygać się chce.

Powiedziała to ostro, niemal napastliwie.

- Może to przeoczyła. - Próbował to jakoś wytłumaczyć.

- Jak można przeoczyć coś takiego? - W jej głosie pojawił się histeryczny ton. - Taką ohydłą tłustą plamę?

- Nie wiem - odpowiedział. - Może słońce inaczej padało i nie było jej widać?

- A to? - Wskazała palcem na podłogę.

Spojrzał na rozbitą ramkę.

- To już się stało, jak ona poszła.

- Kurwa mać! - wycedziła przez zęby. - Siedzisz tu całymi dniami, nic nie robisz i nie potrafisz nawet dopilnować tak prostej rzeczy jak sprzątanie?

- O co ci chodzi? - spytał. - Miałem za nią chodzić i pilnować, czy dobrze sprząta?

- Naprawdę wszystko muszę robić sama w tym domu?

Przykucnęła i zaczęła zbierać z podłogi porozrzucone kawałki szkła.

Patrzył na to jak zahipnotyzowany. Widział, jak podnosi ostre fragmenty zbitej szyby i ostrożnie układa je w lewej dłoni. Jeszcze chwila i uniesie do góry ramkę.

- To jest to zdjęcie, którego szukałem - powiedział.

- Wspaniale - odparła, nie podnosząc wzroku.

- Znalazło się.

- Wprost nie mogę się nacieszyć.

- Też je widzisz, prawda?

Dopiero teraz na niego spojrzała. Niepotrzebnie się odezwał. Mógł po prostu poczekać, aż podniesie to cholerne zdjęcie.

Patrzyła na niego teraz z dołu, tymi swoimi wielkimi oczami, które z tej perspektywy wydawały się jeszcze większe. Poczuł nagle ochotę, by wyciągnąć rękę i pogłaskać ją po włosach.

- Zapomniałam o tym lekarzu - powiedziała. - Miałam cię do jakiegoś umówić. Przepraszam.

- Nic nie szkodzi - odparł.

- Straszny był dzisiaj dzień w kancelarii. Zupełnie wyleciało mi z głowy.

Pewnie dlatego była taka zdenerwowana. Nieważne. Niech już podniesie tę ramkę.

- OK - odpowiedział. Żeby już nie przedłużać.

To jednak znowu ją zirytowało.

- Super - rzuciła. - Dzięki za wsparcie. Widzę, że jak zwykle mogę na ciebie liczyć. Mógłbyś chociaż zapytać, co się stało.

Patrzył na jej nieruchomą dłoń i na leżącą pół metra od niej ramkę. Już tylko ona została na podłodze.

- Co się stało? - spytał.

Nie zdołał najwyraźniej ukryć, że w tym momencie nie za bardzo go to obchodziło.

- Nieważne. - Westchnęła. - Powinnam już dawno się przyzwyczaić, że dla ciebie liczysz się tylko ty i nikt inny. A już na pewno nie ja.

Nie odpowiedział. Żeby nie przedłużać.

Sięgnęła wreszcie po ramkę. Podniosła ją. Nie odwróciła jej jednak, tylko trzymała zdjęciem do dołu.

- Zawsze tak było - powiedziała. - Twoja sztuka, twoje obrazy, twoje nastroje, twoja potrzeba wolności i wyjścia na miasto... a teraz do tego twój wydumany problem

z rzeczywistością. A ja?? A moje coś?? Nawet teraz myślę, kurwa, o twoim lekarzu, a nie o sobie. – Wyprostowała się. Ramkę wciąż trzymała zdjęciem do dołu. – Wiesz, co jest najgorsze? – powiedziała. – Że mam wrażenie, jakby nic się nie zmieniło. Wysłałam za ciebie, żeby się uwolnić od matki, żeby móc wreszcie żyć na własny rachunek, a wpadłam z deszczu pod rynnę. Znowu spełniam czyjeś oczekiwania, znowu martwię się cudzymi problemami, znowu czyjeś plany i potrzeby są ważniejsze od moich. Mam tego dość, Krystian, naprawdę serdecznie dość.

Odwróciła się i ruszyła w stronę kuchni. Poczuli nagłą panikę.

– Poczekaj! – niemal krzyknął. – Co chcesz z tym zrobić?

Odwróciła się zdziwiona.

– Wyrzucić do kosza – odpowiedziała.

– A zdjęcie?

– Zdjęcie też.

– Ale to... nasze zdjęcie – powiedział.

– Nie jest mi już do niczego potrzebne – odparła zimno.

Wykonała ruch, jakby znowu chciała się odwrócić. Chwycił ją za rękę. Chyba żeby ją powstrzymać, sam w sumie nie wiedział, po co.

Syknęła z bólu. Jej twarz wykrzywiła się w nagłym grymasie.

– Uważaj... – jęknęła.

Po odłamkach szkła w jej dłoni pociekła krew. Puścił jej ramię jak oparzony.

Zobaczył, jak jej krew kapie na podłogę, ona też zamarła, jakby zdziwiona tym, co się stało. Wnętrze jej dłoni, trzymającej wciąż odłamki szkła, wypełniło się czerwoną cieczą. Patrzyli na to oboje zafascynowani. Duże, ciężkie, czerwone krople spadały na jesionowe deski posadzki, rozbijając się o nie i rozbryzgując. Jakby to była farba.

On ochłonął pierwszy.

- Daj mi to - powiedział i wyjął ramkę z jej dłoni. Potem ostrożnie chwycił palcami za szkło, które trzymała w drugiej ręce. Gdy rozprostowała palce, by je puścić, krew z wnętrza jej dłoni wylała się na podłogę jeszcze większą strużką.

Poszedł do kuchni i wrzucił to wszystko do zlewu. Wziął ręcznik papierowy i oderwał z niego kilka listków. Wrócił do niej. Ciągle stała nieruchomo.

Przycisnął zwinięty papier do jej dłoni, by zatamować krwotok.

- Poszukam bandaża - powiedział.

Bandaża jednak nie było. W szafce, gdzie trzymali leki, był tylko komplet plastrów. Niewielkich, wystarczających co najwyżej do zaklejenia zacięcia od noża lub obtartej pięty. Spojrzał na nią. Wpatrywała się w wyciągniętą przed siebie dłoń, jakby zahipnotyzowana tym widokiem. Krew zaczynała już przeciekać przez papier i kapać znów na podłogę. Pod jej stopami utworzyła się niewielka, czerwona kałuża. Jej twarz pobladła. Nie wiedział, co robić. Naprawdę. Nie był nawet przestraszony, nie odczuwał paniki, po prostu był w jakimś rodzaju odrętwienia.

- Krystian, słabo mi - usłyszał.

ROZDZIAŁ 39

- Wyjdź stamtąd - poleciła.

Policjant wygramolił się z wnętrza szafki. Był czerwony i spocony.

- Sprawdźcie, co tam jest - rzuciła do techników.

Jeden z nich założył na dłoń lateksową rękawiczkę, klęknął i wsunął się do środka szafki. Widać było, jak usiłuje sięgnąć ręką za jej tył i wymacać tam to coś, na co natknął się policjant. Po chwili wyciągnął dłoń. Trzymał w niej białą foliową torebkę. Była zawiązana na supeł i czymś wypełniona.

- Zobacz, czy nie ma tam jeszcze czegoś - rozkazała.

Technik przekazał torebkę swojemu koledze i ponownie zanurkował pod blatem kuchni. Jego twarz wykrzywiła się z wysiłku.

- Chyba tak - wysapał. - Ale nie wyjmę tego. Jest za głęboko. Trzeba rozmontować szafkę.

- Dobra, wyłaź - powiedziała.

Spojrzała na torebkę trzymaną przez drugiego technika. Wyglądała, jakby w jej środku była kolejna torebka i dopiero w niej było coś schowane.

- Może mi ktoś łaskawie wytłumaczyć, jak mogliście coś takiego przeoczyć?! - spytała lodowatym głosem. - Nie sprawdzaliście tam wcześniej?

Twarz technika wyrażała zakłopotanie.

- Sprawdzaliśmy, ale nie aż tak głęboko - odpowiedział, nie patrząc na nią.

Poczula narastający gniew.

- Znaleźliśmy tam półżywego człowieka - wycodziła przez zęby. - To chyba jasne, że takie miejsce traktuje się ze szczególną starannością.

- Zazwyczaj nie odsuwa się szafek - odparł, jakby próbował się bronić.

- Do kurwy nędzy - postanowiła dać upust swojej irytacji. - Była tam jego noga! Za tą pieprzoną szafką! W takiej sytuacji nie ma żadnego „zazwyczaj”. Trzeba było ją rozkręcić do ostatniej śrubki!

- Była tu pani wtedy - zauważył, sugerując jednocześnie, że to ona, jako prokurator, nadzoruje oględziny miejsca zdarzenia i część odpowiedzialności spoczywa również na niej.

Spojrzała na niego, jakby chciała go zabić.

- Nie wiedziałam, że muszę wam wszystko pokazywać palcem - odparła chłodno. - Jeśli wydaję polecenie zbadania miejsca, w którym znaleziono poszkodowanego, to nie wyliczam wszystkich dokładnie czynności, które powinniście w związku z tym przeprowadzić. Ufam, że na tej części naszej wspólnej pracy znacie się lepiej ode mnie. Teraz zaczynam wątpić, czy słusznie.

Na to już nic nie odpowiedział.

- Dobrze - powiedziała. - Zostawmy to. Zobaczcie, co jest w środku. - Wskazała na pakunek wyciągnięty z za szafki.

- Wolałbym tego nie rozbić - odpowiedział technik.

Poczuła, jak znowu ogarnia ją złość.

- A to niby dlaczego? - spytała niezbyt przyjaźnie.

- Nie jesteśmy przygotowani - odparł. - Nie mamy kombinezonów ochronnych. Robiąc to tutaj, możemy zniszczyć lub zafałszować istotne ślady. Sugerowałbym, by zabrać to do laboratorium.

Z jednej strony miała ochotę się kłócić, lecz nie mogła nie zauważyć, że miał rację. Całkiem sporo spraw pozostało nigdy

niewyjaśnionych przez tego typu błędy. Z drugiej jednak strony oznaczało to, że nie dowie się, co jest w środku, co najmniej do jutra.

- W porządku - odparła spokojniejszym tonem. - Proszę tak zrobić.

Patrzyła, jak foliowe zawiniątko ląduje w dużej, przezroczystej torbie na dowody, jak zostaje opisane i wpisane do protokołu, później zaś znika w metalowym kejsie techników. A razem z nim wyjaśnienie zagadki, które bardzo chciałyby już poznać.

- Rozumiem, że nie macie przy sobie także reszty sprzętu? - spytała zrezygnowana.

- Jechaliśmy na wizję lokalną, zabraliśmy tylko kamerę - usłyszała w odpowiedzi.

Westchnęła. Niby można było to zrozumieć, ale trudno było się nie wkurwić. Postanowiła jednak nie wyzywać się już na szefie techników. I tak nic by to już w tym momencie nie dało, a lepiej było go do siebie nie zrażać. Wiedziała aż nazbyt dobrze, że nawet takie pozornie błahe okoliczności jak osobiste animozje pomiędzy członkami ekipy a prokuratorem mogą wpłynąć negatywnie na wynik śledztwa.

- OK - powiedziała. - Za ile możecie tu być z powrotem z całym majdanem?

- Za godzinę. Biorąc pod uwagę korki, może nawet za półtorej.

No tak. Cholerne centrum. Wyjechać stąd i wrócić o tej porze to prawdziwa mordęga.

- W takim razie jedźcie - poleciała. - Reszta ma wolne do tego czasu.

Reszta, czyli również ona. Spojrzała na zegarek. Wracać do prokuratury nie było sensu. Dokładnie z tych samych powodów, dla których tyle czasu musiała czekać na powrót ekipy. Jedyne,

co można było zrobić, to pójść coś zjeść.

Wyszła z mieszkania, pozostawiając jednego z policjantów na straży. Zjechała windą na dół. Na parterze budynku były dwie restauracje. Jedna specjalizująca się w kuchni południowoamerykańskiej, w której menu królowały ryby i ceviche; druga nieco mniej snobistyczna i znacznie tańsza, za to modna, pełna naturalnych, organicznych produktów, oferująca własne wypieki i rozbudowane śniadania. Wybrała tę drugą.

W karcie przeważały potrawy stanowiące luźną wariację na temat kuchni orientalnej lub bliskowschodniej, w większości w wersji wege, choć nie tylko. Nie była miłośniczką tego typu kuchni, za to od dziecka pałała szczerą miłością do świeżego, dobrego pieczywa i ziemniaków w każdej postaci, w co trudno było uwierzyć, widząc jej nienaganną figurę. Nie namyślając się specjalnie, wybrała pieczone ziemniaki z chorizo i papryką. Była to przystawka, więc coś w sam raz na jej niezbyt nachalny o tej porze dnia głód.

Czekając na przyniesienie zamówienia, patrzyła przez okno na ulicę i widoczny nieco po skosie plac Grzybowski. Warszawa stanowiła czasami urokliwy, a czasem irytujący zlepek pięknej, dawnej architektury, brzydkich, klockowatych budynków rodem z PRL-u i zapierającej dech w piersiach wielkomiejskiej nowoczesności. W widoku, który miała teraz przed oczami, było tego wszystkiego po trochu. Stary, wielki kościół na końcu ulicy należał w czasie drugiej wojny światowej do warszawskiego getta. Chodzili do niego ci jego przymusowi mieszkańcy, którzy przez Niemców uznani byli za Żydów, mimo że sami uważali się za Polaków i katolików. Na tyłach wieżowca, w którym się znajdowała, stała ostatnia warszawska, jakimś cudem niezburzona przez Niemców synagoga. Nad dachami socjalistycznych brzydkich bloków po drugiej stronie ulicy widać było Pałac Kultury i Nauki – dar narodu radzieckiego dla

narodu polskiego, symbol dominacji imperium Stalina nad Polską. Piętno tragicznej historii widać było w Warszawie na każdym kroku.

Dziwne, piękne i niezwykle to było miasto. Zburzone prawie do fundamentów, wymordowane niemal w jednej trzeciej, pełne tablic i pomników upamiętniających zabitych i rozstrzelanych w ulicznych egzekucjach, podniosło się, odbudowało i stało prawdziwą, europejską, nowoczesną metropolią na światowym poziomie. Mimo tak nieubłaganego bagażu przeszłości, spoglądało w przyszłość. I robiło to z pewnością siebie, a nawet z pewnego typu bezczelnością.

Seredyńska mieszkała tu dopiero kilka lat, ale coraz bardziej je lubiła. Lubiła majestatyczną Wisłę i bulwary nad nią, dające miastu oddech i otwierające je na niezmierzone, dzikie przestrzenie; lubiła Stare Miasto, Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat – eleganckie i piękne, a jednocześnie pozbawione tego imperialnego zadęcia charakterystycznego dla Wiednia, Paryża czy Londynu; lubiła wreszcie nowoczesne centrum, warszawski Manhattan, choć nie bardzo mogła zrozumieć, jak można było w nim mieszkać.

Wychowała się w mieście, w którym najwyższe budynki miały najwyżej dziesięć pięter, a i to wydawało jej się strasznie dużo. Gdy przychodziła do swoich koleżanek mieszkających na najwyższych kondygnacjach, nie mogła oprzeć się poczuciu niepokoju, jakby bała się, że wypadnie albo że te monstrualnie wielkie bloki mieszkalne przewrócą się zaraz z powodu swojej nieludzkiej wysokości. Tu niektóre wieżowce były cztery, pięć razy wyższe i mimo tego mieszkali w nich ludzie. Skojarzenie z wieżą Babel nasuwało się samo.

W biblijnej opowieści Bóg pomieszał w trakcie jej budowy ludziom języki. Może tkwiła w tej starożytnej historii jakaś psychologiczna prawda? Mieszkanie w takich nienaturalnych

warunkach musi wywoływać w człowieku poczucie alienacji, oderwania od świata i od rzeczywistości. Jeśli patrzy się na wszystko z takim kilkusetmetrowym dystansem, zapewne wpływa to w jakiś sposób na psychikę. Raczej nie najlepszy. Nie była psychologiem, mogła więc tylko to podejrzewać, lecz wydawało jej się dość prawdopodobne, że takie wieczne spoglądanie na świat z góry musi zmieniać w podświadomy sposób ludzkie myślenie. Stosunek do innych ludzi, do siebie samego i do swojego otoczenia ulega metamorfozie.

Jak ona sama czułaby się, mieszkając tam, na trzydziestym piętrze tego potwora? Osamotniona? Wywyższona? Odizolowana? Może pojawiłby się u niej syndrom deus otiosus, jakiś rodzaj megalomanii połączonej z poczuciem odseparowania od spraw zwykłych ludzi? Mit wieży Babel uzupełniany jest przez inny mit – o Antajosie, gigancie, który odzyskiwał siły, gdy dotykał ziemi. To nie jest takie głupie, pomyślała. Kontakt z przyziemnymi problemami, z normalną, codzienną egzystencją, z innymi, podobnymi do nas ludźmi jest nam potrzebny, by dostrzegać wszystko we właściwych proporcjach. Wszystko to, co w naszym życiu zwierzęce – jedzenie, miłość, płodzenie potomstwa – musi równoważyć szaleństwa naszego nazbyt przerośniętego mózgu, który jest jak zbyt skomplikowany system komputerowy w samochodzie – zazwyczaj ułatwia, lecz jest podatny na awarie i często tworzy dodatkowe problemy.

Czy to właśnie wydarzyło się w mieszkaniu, z którego przed chwilą wyszła? Odcięcie od świata trzydziestopiętrową przepaścią, brak dzieci, nazbyt łatwe życie uwolniło czyjś umysł z więzów, które są mu jednak potrzebne, by się nie zdegenerował? To była jej pierwsza intuicja, gdy tam weszła, to, że ta szklana wieża może być jednym ze sprawców. Takim, którego nie da się umieścić w akcie oskarżenia. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że coś było na rzeczy.

Dalsze rozważania, i Bogu dzięki, przerwało jej przyniesienie ziemniaczków. Były przepyszne, tylko lekko ostre, z genialnym majonezowo-czosnkowym sosem. Najpierw zjadła je wszystkie, pozostawiając chorizo. Jednak i jemu nie mogła się oprzeć. Na koniec poprosiła jeszcze o kawałek miejscowego, pachnącego świeżością chleba i wykorzystała go, by wytrzeć miskę z pełnej smaku oliwy i dokończyć resztkę majonezowego sosu.

Teraz mogła wracać do pracy.

ROZDZIAŁ 40

Krew wciąż kapiała, a jej twarz robiła się coraz bardziej blada. Kałuża na podłodze powiększała się. Musiała uszkodzić szkłem jakieś większe naczynie krwionośne. W dłoni, więc raczej nie stanowiło to zagrożenia dla życia. Nawet gdyby przecięła sobie żyły w nadgarstku, śmierć nie byłaby pewna; podobno większość prób samobójczych dokonywanych w ten sposób kończy się niepowodzeniem.

Niemniej prezentowało się to dość przerażająco. Ale i w jakiś sposób ładnie. Błada twarz pięknej kobiety, cieknąca krew, czerwona plama na jasnej podłodze. A w tle te ogromne okna i krajobraz wielkiego miasta. Odsunął się o dwa kroki. Wyglądało to trochę jak obraz. Mógłby go namalować. Nieco w stylu Edwarda Hoppera, choć on akurat preferował znacznie mniej dramatyczne tematy. Poczul nagle niezwykłą ochotę, by pójść po sztalugi lub chociaż po szkicownik. Nawet kompozycja była perfekcyjna.

Wszystko to wydawało się w jakiś sposób nierzeczywiste. Nagle zapadła cisza. Słyszeć było tylko dyskretny szum lodówki. Świat się zatrzymał na tej jednej chwili. Chłonał ją całym sobą, próbował zapamiętać. Jakby doznał jakiejś iluminacji, nagłego przebłysku otwierającego wszystkie zamknięte drzwiczki w mózgu. Jakby odblokowało się w nim coś, co od dawna było stłumione. Natchnienie? Talent? Jego własny, wewnętrzny głos?

Krew pachniała, czuł wyraźnie jej zapach. Pożałował, że nie można tego zawrzeć w obrazie. A gdyby tak zmieszać ją z farbą i nanieść na płótno? Nowatorska technika, nikt tego chyba

wcześniej nie próbował. Ogarnęło go podekscytowanie. Tak, to byłoby naprawdę coś.

Tylko ten papier w jej dłoni przeszkadzał. Psuł całość, był niepotrzebny. Wyciągnął rękę i wyjął go delikatnie z jej zaciśniętej pięści. Spojrzała na niego z półprzytomnym zdziwieniem. Krew popłynęła silniejszą strugą. Teraz było idealnie.

Zwłaszcza ta czerwona plama go fascynowała. Wyciekające powoli z ciała życie. Ktoś mu kiedyś powiedział, że krwi wydaje się zawsze znacznie więcej, niż jest jej naprawdę. Jest krzycząca do nieba, gęsta, intensywna, plami bardziej niż jakakolwiek inna substancja. Wydaje nam się, że człowiek, który ją traci, powinien już dawno umrzeć, tymczasem jemu wyciekło jej raptem pół kubka. Ale wszyscy wokół, w tym on sam, są sparaliżowani grozą, jakby objawił im się Bóg w tej gorejącej cieczy.

Tak też właśnie czuł się teraz on. Jakby był świadkiem epifanii, jakiegoś cudownego przeistoczenia. Jakby ukazała mu się sama istota rzeczywistości. Może dlatego, że tak wiele ostatnio o niej myślał, tak często wątpił w jej realność. Tymczasem to, na co patrzył, było prawdziwe, najprawdziwsze; nie istniało, nie mogło istnieć nic prawdziwszego niż to.

Jego żona zachwiała się, postąpiła krok do przodu. Jakby miała zamiar przewrócić się w kałużę swojej własnej krwi. Tylko dlatego jej pomógł, przytrzymał ją. Żeby nie zniszczyć tej cudownej, idealnej plamy czerwieni, tego boskiego, metafizycznego wycieku.

- Kurwa, Krystian, pomóż mi - usłyszał.

Z żalem zrozumiał, że musi to zrobić. Zakończyć tę boską chwilę objawienia. Ten moment nierzeczywistej niemal realności. To buddyjskie tu i teraz. Miał do niej o to w jakiś sposób pretensję.

- Poczekaj - powiedział.

Zakończyć to nie znaczy zepsuć. Musi ochronić przynajmniej tę piękną plamę na podłodze. Zachować ją taką, jaka jest teraz - idealną, nienaruszoną, perfekcyjną.

Pobiegł do kuchni. Znów sięgnął po papierowy ręcznik, lecz tym razem oderwał go dużo, znacznie więcej niż za pierwszym razem. Wrócił do niej i najpierw zacisnął jej z powrotem dłoń, a potem owinął ją ciasno kilkoma warstwami papieru.

Miał teraz niewiele czasu, zanim krew zacznie przesiąkać przez zaporę i kapać znowu na podłogę. Uniósł przedramię żony ku górze i uciskając dla pewności papier, pociągnął ją w kierunku zlewu. Ostrożnie, żeby broń Boże nie wdepnęła niechcący w plamę na podłodze.

W kuchni odwinął papier i odkręcił kran. Krew zmieszana z zimną wodą popłynęła w kierunku odpływu. Krew i woda, pomyślał. Jak symbolicznie.

Wyjął z zamrażarki w lodówce torebkę z kostkami lodu i przycisnął ją do rany. To powinno ograniczyć krwawienie.

- Musimy pojechać do szpitala - powiedziała.

Spojrzał na nią. Wciąż była blada, ale patrzyła już nieco przytomniej.

- OK - odpowiedział.

Teraz to ona na niego spojrzała.

- Sama nie pojedę - powiedziała. - Nie jestem w stanie prowadzić. Musisz mnie zawieźć.

Poczuł nadciągający atak paniki.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio jeździłem samochodem - odpowiedział. - Zamów taksówkę.

Dostrzegł w jej wzroku i wyrazie twarzy coś, co w najlepszym wypadku można by zinterpretować jako zawód.

- W porządku - powiedziała. - Ale jedziesz ze mną.

Panika wcale nie minęła.

- Ja? - wydusił z siebie. - Po co?

To „po co?” było niepotrzebne. Mógł to jakoś inaczej powiedzieć. Zobaczył, jak jej usta wykrzywiają się w bardzo nieprzyjemny sposób.

- Jesteś moim mężem - odparła z narastającym wzburzeniem. - A ja jestem ranna. I jadę do szpitala.

Wiedział, o co jej chodzi, i oczywiście miała rację. Powinien z nią pojechać. Ale to by znaczyło, że musi stąd wyjść.

- To tylko skaleczenie - odpowiedział. - Poradzisz sobie.

Musiała już całkiem wrócić do siebie, bo aż poczerwieniała. Przynajmniej taka była z tego korzyść.

- Kurwa mać! - Nie wrzasnęła tego, wręcz przeciwnie. Mówiła wolno i dobitnie artykułowała każdą głoskę. Może dlatego aż przeszedł go dreszcz. - Jestem twoją żoną! Chcesz mnie wysłać samą, krwawiącą, taksówką do szpitala?!

Nie bardzo wiedział, co na to odpowiedzieć. To znaczy wiedział, ale próbował sformułować to tak jakoś, żeby...

- Tak - usłyszał nagle swój głos. Bardzo dziwnie było patrzeć na to, co się z nią teraz dzieje. Obserwował to z pewnego rodzaju fascynacją, jakby wszystkie uczucia malujące się na jej twarzy nie odnosiły się wcale do niego. Niektórych z nich nie potrafiłby nawet zidentyfikować ani nazwać.

- Rozumiem - powiedziała.

Tylko kobieta jest w stanie zawrzeć tyle pogardy, zawodu, gniewu i złości w jednym słowie.

Gdy już wyszła, podszedł z powrotem do czerwonej plamy na podłodze. Była piękna. Wprost idealna. I nienaruszona.

ROZDZIAŁ 41

Zobaczyła przez okno parkujący samochód techników. Zapłaciła szybko i wyszła. Razem wjechali na trzydzieste piętro. Po drodze żartowali nawet trochę. Ta przerwa przydała im się również po to, by oczyścić atmosferę.

W mieszanu przywitał ich bardzo znudzony policjant, który został, by pilnować miejsca zbrodni. Zwolniła go i pozwoliła również wyskoczyć coś zjeść. Pełny brzuch całkiem dobrego jedzenia nastawiał ją znacznie przyjaźniej do świata.

Przebrali się wszyscy w białe kombinezony. Nie cierpiała tego. Kiedyś prokuratorzy zwolnieni byli z tego obowiązku, dziś musieli je nakładać na równi z innymi. Fatalnie działało to na makijaż i włosy.

Technicy rozłożyli swój sprzęt. Fiolki, odczynniki, torebki na dowody, narzędzia. Także te, za pomocą których mieli zdemontować szafki. Wyglądali jak skrzyżowanie ekipy skręcającej meble z wojskami ochrony radiologicznej.

Gdy byli gotowi, spojrzeli na nią. Skinęła głową.

Rozpoczął się demontaż. Mogło to chwilę potrwać, więc odeszła trochę na bok. Jej wzrok padł na zaschniętą plamę krwi wciąż widniejącą na środku salonu. Podeszła do niej. Ciemnobrunatny kolor zmatowiał i pokrył się kurzem. Na środku widać było okrągły odcisk w miejscu, w którym leżała głowa jednej z ofiar.

Z boku widać było jeszcze jedną skazę na gładkiej, choć przykurzonej powierzchni. Małe wgłębienie znaczące punkt, w którym technicy pobrali próbkę. Krew musiała już wtedy porządnie zgęstnieć, więc nie do końca zalała powstałą dziurę.

Z drugiej strony było miejsce, w którym na płamę najechał automatyczny odkurzacz. Aż się wzdrygnęła na to wspomnienie. Mimowolnie przejechała językiem po wargach. Wydało jej się, że znowu czuje tamten metaliczny smak. Choć oczywiście nie było to możliwe.

Rozejrzała się po pomieszczeniu, szukając śladów krwawego deszczu, który wtedy ją opryskał. Nie było ich wcale aż tak dużo. Krwi zawsze wydaje się więcej, niż jest jej w rzeczywistości. Zwłaszcza jeśli spada właśnie na twoje ubranie i twarz.

Kucnęła i nachyliła się nad plamą. Esencja życia wyglądała jak kałuża farby, w którą ktoś nieopatrznie wlał. Kiedyś wierzono, że w krwi ma siedzibę ludzka dusza. Dlatego żydzi nie mogą jej spożywać, a świadkowie Jehowy przetaczać. Jeśli to prawda, to czyjaś dusza leżała uwięziona u jej stóp. Wyschnięta i poczerniała. Ktoś ją kiedyś zmyje i wyleje do sedesu.

Dlaczego ten zdewastowany okrąg stężałej cieczy tak ją do siebie przyciągał? Przecież został już zbadany, próbki pobrano. Może dlatego, że był tak bezwstydnie wyeksponowany jak na jakiejś wystawie. Krew nie była rozmazana, rozpryskana, wsiąknięta w ubranie, jak to zazwyczaj na miejscach zbrodni. Była osobna, jakby wyrwana z kontekstu, przeniesiona z innej rzeczywistości. Niepasująca do reszty otoczenia.

Usłyszała przeciągły trzask. Uniosła głowę. Technicy wciąż próbowali rozebrać kuchnię. Nie wyglądało na to, by proces ten posuwał się spektakularnie do przodu.

Wstała i podeszła do nich.

- Jak idzie? - spytała.

- Cholerny blat! - usłyszała w odpowiedzi. - Jest z granitu, waży chyba z trzysta kilo...

- Nie da się tam dostać jakoś inaczej? - spytała.

- Tam już jest ściana - wyjaśnił szef techników. - Cokolwiek to jest, utkwilo w załomie muru. Gdyby to było z drugiej strony, odsunęlibyśmy po prostu lodówkę...

Przyjrzała się krytycznie konstrukcji z kamienia, szkła i płyt MDF.

- Opróżnijcie ostatnią szafkę - poleciała. - A potem wytnijcie dziurę w jej tylnej ściance. Najwyżej mecenas Bejtner oskarży nas o zniszczenie mienia.

A podobno kobiety nie mają zmysłu technicznego, pomyślała.

Technicy spojrzeli po sobie. Ciekawe, czy było im głupio, że nie wpadli na tak prosty pomysł?

Zaczęli wyjmować zawartość szafki i kłaść to na granitowym blacie, który jeszcze niedawno chcieli zdemontować. Gdy już była pusta, wyjęli także wewnętrzną, przedzielającą ją półkę. Potem jeden z nich chwycił niewielką, ręczną wyrzynarkę do drewna i zanurkował we wnętrzu szafki. Dał się słyszeć stłumiony, przeciągły odgłos cięcia. W powietrzu rozszedł się zapach przecinanej pilśniowej płyty.

Po jakimś czasie mężczyzna wypełził na zewnątrz.

- W porządku - powiedział. - Nie chciałem przecinać do końca, żeby czegoś nie zniszczyć. Resztę by już trzeba ręcznie.

Wymienił elektryczną wyrzynarkę na małą, przypominające sekator nożyce i ponownie dał nura w otchłań pod kamiennym blatem.

Seredyńska poczuła mrowienie. Mięśnie miała napięte, jakby szykowała się do ataku. Miała ochotę ziewnąć, jak lwica czekająca w trawie na antylopę. Z wnętrza szafki dobiegł dźwięk powolnego, ostrożnego przecinania. Cholernie długo to trwało. Bezwiednie wstrzymała oddech. Inni też znieruchomieli.

- Faktycznie coś tu jest - dobiegł ich stłumiony głos. Przestrzeń pod blatem rozjaśniła się, gdy mężczyzna tam

tkwiący włączył latarkę.

Nachyliła się, by móc coś zobaczyć. Ciało technika skutecznie zasłaniało jednak wszystko.

- Co to jest? - spytała. Miała ochotę wyciągnąć go stamtąd i sama tam wejść.

- Nie wiem - usłyszała. - Wygląda jak... pies.

ROZDZIAŁ 42

Mężczyzna wycofał się na kolanach z szafki. W rękę trzymał zawiniątko z grubej folii obwiązane brązową, samoprzylepną taśmą. Szef techników odebrał je od niego i przyniósł do Seredyńskiej. Wszyscy zebrali się dookoła.

Pakunek był wielkości niemowlęcia. Folia, mimo iż przezroczysta, była na tyle gruba i do tego obwinięta wokół zawartości co najmniej dwa razy, że trudno było rozpoznać, co jest w środku.

- Nie możemy tu tego otworzyć, prawda? - zadała retoryczne pytanie.

- Nie - odparł szef techników, lecz po tonie jego głosu można było poznać, że i on miałby na to wielką ochotę.

W środku było coś, co faktycznie wielkością i kształtem przypominało małego psa. Z dużą głową, krępy tułowiem i krótkimi nóżkami. Mopsa albo buldoga francuskiego.

To coś było czarne i wilgotne. Od wewnątrz folię pokrywały krople ciemnej cieczy, będącej prawdopodobnie skutkiem rozkładu.

- Może i lepiej - odezwał się ktoś. - Nie wygląda to na zbyt świeże. Niech się tym lepiej zajmą w laboratorium.

Patrzyli na to coś z mieszaniną fascynacji i grozy. Nawet dla tych ludzi, obznajomionych przecieź ze zwłokami w różnych stadiach i stanach, widok tego biednego zwierzęcia był czymś mimo wszystko wstrząsającym. Może właśnie dlatego, że nie był to człowiek.

- Dobrze, zabierzcie to - przerwała wreszcie to czuwanie przy zwłokach. - Nic więcej tam nie było? - spytała.

- Oprócz jakichś śmieci pozostałych pewnie jeszcze po montażu kuchni, nic - odpowiedział technik, który wyciągnął pakunek.

- Wymiećcie mi stamtąd wszystko, aż do najmniejszej drobiny kurzu - poleciła. - I też do laboratorium.

Zawiniątko z folii powędrowało do walizki na dowody. Odprowadziła je wzrokiem, zanim zniknęło w metalowej czeluści. Ten okręcony taśmą samoprzylepną pakunek z martwym zwierzęciem w środku przypominał jej egipskie mumie kotów, które widziała kiedyś w muzeum w Luwrze. Czy to skojarzenie coś wносиło do sprawy? Na pierwszy rzut oka nie, lecz doszła do wniosku, że warto je zapamiętać.

Technicy zajęli się wykonywaniem jej drugiego polecenia. Jeden z nich ponownie zanurkował pod blatem.

Nie była tu już raczej potrzebna, choć oczywiście musiała zostać aż do zakończenia wszystkich czynności. Odeszła na bok, w miejsce, skąd mogła widzieć całość pomieszczenia.

W głowie miała zamęt. Każde kolejne odkrycie w tym przeklętym mieszkaniu zamiast rzucać nowe światło na śledztwo, zdawało się jeszcze bardziej zaciemniać obraz sytuacji. Miała szczerą nadzieję, że to, co wyciągnę z za szafki z kuchni, pozwoli jej jakoś ruszyć do przodu, tymczasem stało się dokładnie odwrotnie.

Co się tu wydarzyło? Dlaczego? Kto to zrobił i z jakiego powodu? Wciąż nie miała pomysłu, jak choćby zacząć odpowiadać na te pytania. Nawet podstawowa kwestia - kogo uczynić podejrzanym? - pozostawała nierozstrzygnięta. Eksperyment z szafką nie dał jednoznacznych rezultatów. Zamiast dowiedzieć się, czy mąż Agnieszki Bejtner mógł tam wejść sam, by ukryć swój udział w zbrodni, odkryli coś, co otworzyło zupełnie nowe przestrzenie dla spekulacji.

Wszystko, co tu znaleźli, było nie do końca normalne. To

niezbyt profesjonalne spostrzeżenie, lecz nie pisała przecież aktu oskarżenia, próbowała po prostu zrozumieć. Próżno by tu szukać typowych, łatwych do zinterpretowania śladów charakterystycznych dla innych miejsc zbrodni. Wszystko było jakieś... dziwne. Tak, dziwne, nie znajdowała lepszego słowa. Jeśli krew, to rozlana w niemal idealny okrąg; jeśli zwłoki, to albo pozbawione jakichkolwiek oznak wskazujących na przyczynę śmierci, albo zmasakrowane z kolei w absurdalny sposób. Teraz jeszcze ten pies. Zabity, a potem schowany nie wiadomo dlaczego. Ukryty tak, jak ukrywa się zwłoki ludzi.

Myśl o chorobie psychicznej jako przyczynie zdarzeń, które tu zaszły, narzucała się sama. Komu jednak można by ją przypisać? Krystianowi Zapale? Tyle tylko, że dotychczas nie znaleziono żadnego dowodu na to, że to on jest sprawcą. Może więc komuś innemu? Równocześnie nie mogła oprzeć się wrażeniu, że był w tym wszystkim jakiś sens, którego na razie nie mogła jednak odkryć.

To oczywiście nie wykluczało się wzajemnie. Nawet w działaniach szaleńców bywa zawarta przecież jakaś logika. Lecz nie o taki rodzaj racjonalności jej chodziło. Czuła podskórnie, intuicyjnie, że wytłumaczenie, powiązanie tych wszystkich faktów, jest w jakiś sposób do ogarnięcia rozumem. Że nie jest ono poza jej zasięgiem. Musi tylko odnaleźć punkt widzenia, z którego patrząc, będzie umiała dostrzec przyczynę i połączenia. To, że nie potrafiła tego zrobić, budziło w niej niewypowiedzianą frustrację.

Zmieniła miejsce. Przeszła z jednego końca pokoju na drugi. Czy coś to dało? Odnalazła wzrokiem wszystkie te punkty, w których ujawnili istotne dla dochodzenia ślady. Czy z tej perspektywy nabierały one jakiegoś nowego sensu? Być może, lecz ona tego nie widziała. Zresztą nie chodziło jej przecież o punkt widzenia w sensie dosłownym. Choć i to warto było sprawdzić. Czasem taka czysto fizyczna zmiana pobudza mózg

i powoduje, że dostrzega on zależności, których wcześniej nie widział. Nie tym razem najwyraźniej.

Musi spojrzeć na to z innej perspektywy mentalnej. Cokolwiek by to mogło oznaczać. Odnaleźć punkt widzenia, który sprawi, że wydarzenia i powiązania między nimi przestaną być bezsensowne. Nawet gdy sprawcą okaże się Krystian Zapała, a przyczyną jego choroba psychiczna, ona, jako prokurator, ma obowiązek ustalić, co tu naprawdę zaszło, a nie wymigiwać się stwierdzeniem, że to wszystko robota wariata. Obowiązek nie tylko wobec prawa, ale przede wszystkim wobec ludzi, którzy tu zginęli. Należy im się ustalenie prawdy. Im i ich rodzinom. W tym także irytującej, nadętej mecenas Salomei Bejtner.

Poza tym było to ciekawe. Naprawdę chciałyby wiedzieć, jaka była sekwencja zdarzeń i co ją wywołało. Im dziwniejsze rzeczy tu odkrywała, tym bardziej ją to interesowało.

ROZDZIAŁ 43

Podszedł i stanął nad okrągłą, czerwoną plamą. Błyszczała metalicznie, jakby była ze szkarłatnej rtęci. Refleksy z okna odbijały się w niej jak w lustrze.

Spróbował wzbudzić w sobie, przypomnieć tamto uczucie – ten powiew natchnienia, który ogarnął go, gdy widział stojącą nad nią swoją żonę, z której dłoni krew ściekała i spadała wielkimi kroplami na dół.

Tak, miał to. Przywołał tamten obraz i tamten stan. I to mrowienie w palcach i na skórze głowy, które mu wtedy towarzyszyło.

Teraz tylko nie zgubić tego, nie zaprzepaścić. Pobiegł szybko do sypialni, otworzył szafę. W jej kącie, złożone i zapomniane stały jego sztalugi. Wyciągnął je gwałtownie, niecierpliwie. Odnalazł zagruntowane, czyste płótno. Zgarnął przykurzone, stojące na podłodze farby i pędzle. Te ostatnie pokryte były pajęczyną. Dowód na to, na jak długo je opuścił.

Chwycił to wszystko i zaniósł do salonu. Nerwowo rozłożył stojak i umieścił na nim ramę z naciągniętym na nią białym materiałem. Na podłodze rozłożył tubki z farbą. Wybrał odpowiedni pędzel i wytarł go pospiesznie w koszulę, którą miał na sobie.

Czerwień, potrzebował czerwieni. Nie, nie tej, inny odcień. Ta chyba będzie dobra. Zacznie od tej plamy, ona jest najważniejsza. Potem domaluje resztę. Postać kobiety, wielkie okna z tyłu i widmowe wieżowce za nimi.

Wycisnął farbę na paletę. Boże, jak dawno tego nie robił! Poczł podniecenie, takie jak kiedyś, a może nawet jeszcze

większe, niemal seksualnej natury.

Był gotowy. Mógł zaczynać. Jakże to było wspaniałe uczucie! Odetchnął głęboko. Miał lekką treść. Czy jeszcze potrafi? Czy nie zapomniał? Nie dowie się, póki nie zacznie.

Dobrze, teraz. Wyjrzał zza płótna, by rzucić okiem na swój model. Rozpocząć to cudowne przeistoczenie realnego przedmiotu (tak, realnego!) w jego malarskie odwzorowanie.

Nagle zamarł. Zaraz, co to? Powierzchnia płamy zaczynała blaknąć. Świetliste refleksy na jej lustrze gasły. Czerwień ciemniała, traciła życie, przestawała mówić.

Odłożył paletę i pędzle. Uklęknął przy niej na obu kolanach. Krew krzepła, tężała, na razie tylko z wierzchu, lecz mimo wszystko nie zdawał sobie sprawy, że będzie to działało się aż tak szybko.

Poczuł pustkę, zagubienie. Boska chwila natchnienia minęła. Spróbował jeszcze wstać, odtworzyć tamten widok z pamięci. Stanął ponownie za sztalugami, wziął w dłonie pędzel i paletę, lecz wszystko na nic. Maznął nawet czerwienią po zagruntowanym płótnie, lecz smuga, która dzięki temu powstała, była martwa, nie miała żadnego znaczenia. Była tylko nieistotnym zabrudzeniem równie nieistotnej powierzchni, nie opowiadała żadnej historii, nie była jej początkiem.

Spojrzał ponownie na przestrzeń za sztalugą. Tam było tak samo. Coś, co miało szansę zostać obrazem, już nim nie było. Było zwykłym pokojem, wypełnionym zwykłymi meblami, ze zwykłym widokiem za oknem.

Odłożył po raz drugi pędzel. Poczuł, jak do oczu napływają mu łzy. Do tych niepotrzebnych mu oczu, które widziały znowu tylko przedmioty i ściany, które patrzyły jak oczy wszystkich innych ludzi.

Usiadł na kanapie. Ukrył twarz w dłoniach. Miał ochotę zapłakać i po chwili zrozumiał, że już to robi. Krople wody

wypływały mu z oczu i ściekały wzdłuż nosa aż do ust. Poczł ich słony smak.

Tego też nie robił już dawno. Nie płakał. Ostatni raz chyba jeszcze w szkole i to podstawowej, ale nie pamiętał, z jakiego powodu.

Spojrzał na swoje ręce. Były wilgotne od łez. Nagle coś przyszło mu do głowy. Wstał i wrócił nad czerwoną plamę. Wyciągnął nad nią dłoń i zacisnął ją w pięść. Spróbował wycisnąć z niej choć jedną kroplę, by spadła w dół i powiększyła kałużę na podłodze. Nic to jednak nie dało. Łez było zbyt mało i zaczynały już obsychać.

To nie było to. To nie o to chodziło. Zresztą wydało mu się to nagle straszliwie tandetne. Ale kierunek zdawał się dobry. Coś świtało, coś dzwoniło, ale nie wiedział gdzie.

Poszedł do kuchni, wyjął nóż ze stojaka na blacie. Największy, jaki tam był. Wrócił nad plamę. Przyłożył ostrze do skóry na wewnętrznej stronie dłoni. Nacisnął.

Skóra okazała się zbyt mocna albo nóż zbyt tępy, bo nic się nie stało. Musi nacisnąć mocniej, przejechać ostrzem po skórze. Coś go jednak przed tym powstrzymywało. Strach? Nie, nie czuł strachu. Obawa przed bólem? Już prędzej. Choć gdyby to zrobił szybko i zdecydowanie, prawdopodobnie by go nawet nie poczuł. Może więc to ta naturalna dla każdego żywego stworzenia blokada przed uczynieniem sobie samemu krzywdy, przed naruszeniem integralności własnego ciała.

Odsunął ostrze od dłoni. Nie da chyba rady. Ale poczucie pustki i zagubienia zniknęło. Jakby odnalazł jakiś nowy sens. Tylko nie wiedział jeszcze jaki.

Usłyszał za plecami jakiś odgłos. Odwrócił się.

Przy drzwiach stała jego żona. Dłoń miała obwiązaną bandażem. Ile czasu minęło, odkąd wyszła? Dziesięć minut, piętnaście?

- Już wróciłaś? - spytał zdziwiony.

Nie odpowiedziała od razu. Patrzyła na niego bez słowa. W zasadzie nie na niego, na jego rękę.

- Nie byłam w szpitalu - powiedziała w końcu. - Portier na dole miał apteczkę. Spryskał mi czymś ranę i założył bandaż.

- Aha. - Tylko tak był to w stanie skomentować.

Wciąż patrzyła na jego rękę.

- Co robisz? - spytała. Z rezerwą, a może nawet z obawą.

Powiodł wzrokiem za jej spojrzeniem. W dłoni wciąż trzymał nóż. To na niego tak patrzyła. Zupełnie o nim zapomniał.

- Ja tylko...

No właśnie, co tylko? Jak można było wyjaśnić, że stał z wielkim kuchennym nożem nad kałużą jej krwi, a obok były rozłożone sztalugi?

- ...chciałem coś sprawdzić - dokończył.

I to w zasadzie była prawda.

- Aha - tym razem to ona wypowiedziała to słowo.

Czy ona się go bała? Dopiero teraz przyszło mu to do głowy. Obawiała się stojącego z nożem skierowanym w jej stronę mężczyzny, który ostatnio tak dziwnie się zachowywał?

- Co chciałeś sprawdzić? - spytała po chwili.

Popatrzył na czubek ostrza.

- Czy potrafię ciągle coś stworzyć - odpowiedział.

- I co?

Opuścił dłoń z nożem.

- Na razie jeszcze nie wiem - odparł.

ROZDZIAŁ 44

- Hmm - usłyszała. - Szczerze mówiąc, nie wykonywałem jeszcze nigdy autopsji zwierzęcia.

Patolog stał nad stołem sekcyjnym z mieszaniną rozbawienia i niepewności na twarzy.

- To znaczy na studiach oczywiście, w charakterze ćwiczeń z anatomii, ale od czasu gdy tu pracuję, nie.

- Czy to jakiś problem? - spytała Seredyńska.

- Zobaczymy. - Patolog uniósł brwi. - W zasadzie też jesteśmy zwierzętami. Nie różnimy się aż tak bardzo od naszych braci mniejszych. Z samą sekcją nie powinno więc być problemu. Ale w kwestii przyczyny zgonu być może będę musiał skonsultować się z lekarzem weterynarii. O ile rzecz jasna nie będzie oczywista.

Przy słowie „zgon” patolog zawahał się nieco. Najwyraźniej termin ten, zarezerwowany dla ludzi, nie do końca mu tu pasował.

- Zacznijmy już - ponagliła go.

Miała dziwne wrażenie, że wszystko się w tym śledztwie odwleka, że ciągle nie może doczekać się żadnych istotnych ustaleń. Powoli zaczynało ją to denerwować.

Patolog ułożył truchło psa na plecach. Chwycił w dłoń skalpel i wykonał cięcie. Takie samo, jakie zrobiłby w przypadku człowieka, tylko mniejsze. W pomieszczeniu rozszedł się charakterystyczny zapach. Też podobny, choć jednak nieco inny, niż gdyby otworzono ludzkie ciało.

- Wiadomo coś już w przypadku tych dwóch poprzednich zwłok? - spytała. Na to też już czekała nie wiadomo ile.

- A tak - odparł patolog, nie przerywając pracy. - Wczoraj wieczorem skończyłem sekcje, właśnie miałem zabierać się za raport, no ale pani przyjechała z tym pieskiem...

- Mogę poznać ustalenia? - przerwała mu niecierpliwie.

Spojrzał na nią ponad zsuniętymi na nos okularami.

- Nie woli pani poczekać na pełną i oficjalną wersję? - spytał.

- Nie - odpowiedziała stanowczo.

- Lubię pracować z młodymi prokuratorami - skomentował.

- Takimi, którzy jeszcze sądzą, że ich osobiste zaangażowanie ma jakiegokolwiek znaczenie.

- Pan uważa, że nie ma? - spytała nieco zdziwiona.

- W przypadku konkretnej sprawy na pewno, ale ogólnie znaczenie ma tylko sprawność systemu i ergonomia jego procedur - odpowiedział. - Przy świadomości, że choćbyśmy wyszli ze skóry, świata nie naprawimy; możemy tylko sprawić, że nie popsuje się do końca. W pracy dla wymiaru sprawiedliwości zawsze jest pewnego rodzaju fatalizm: jesteśmy jak marynarze wybierający kubkami wodę z dna okrętu. Choćbyśmy nie wiem ile wylali, zawsze na jej miejsce pojawi się nowa. Lecz dzięki nam jej przynajmniej nie przybywa.

Z trudem powstrzymała się, by mu nie przerwać i to w nie do końca uprzejmy sposób. Ten przydługi wywód zapewne był bardzo mądry i kiedyś na pewno się nad nim zastanowi, ale teraz chciała tylko, by wreszcie go skończył i przeszedł do meritum.

- Mnie interesuje w tym momencie właśnie ta konkretna sprawa - powiedziała. - Mógłby pan w związku z tym się na niej skupić?

Patolog spojrzał na nią ponownie znad okularów. Jak zauważyła z pewnym zdziwieniem, w jego wzroku więcej było

rozbawienia niż urazy.

- Ależ oczywiście, pani prokurator - powiedział. - Proszę wybaczyć starszemu mężczyźnie, że nie oparł się pokusie, by nieco się powymądrzać przed młodą i atrakcyjną kobietą. Gdy się częściej przebywa z trupami niż z ludźmi, takie urozmaicenie bywa nie do przecenienia.

Odłożył skalpel. Ona z kolei postanowiła nic już więcej nie mówić i to nie tylko dlatego, że każda próba pospieszenia rozmówcy odnosiła wręcz odwrotny skutek.

- No cóż - zaczął z nieodgadnionym wyrazem twarzy. - Muszę przyznać, że dostarczyła mi też pani sporo rozrywki, jeszcze zanim pani tu przyszła.

- W jakim sensie? - spytała ostrożnie.

- To były dwa bardzo ciekawe przypadki, choć z zupełnie różnych powodów - odparł. - A teraz jeszcze ten pies... Mógłbym powiedzieć, że dawno się tak dobrze nie bawiłem, gdyby nie to, że w tej sytuacji byłoby to trochę niestosowne.

Powstrzymała się. Tym razem się powstrzymała. Niech mówi. Niech mówi jak tylko chce, byleby w końcu to powiedział.

Pauza jednak, która teraz nastąpiła, świadczyła wymownie, że pan patolog oczekiwał jej reakcji.

- Dlaczego? - wydusiła z siebie. Miała nadzieję, że nie przez zaciśnięte zęby.

- Dlatego, pani prokurator, że w obu przypadkach przyczyna śmierci okazała się zupełnie różna, niż wydawało się to na pierwszy rzut oka.

To już było coś. Zapomniała w jednej chwili o całym poirytowaniu na tego człowieka.

- Co pan ma konkretnie na myśli? - spytała.

Patolog uśmiechnął się lekko.

- Zaczniemy od ciała numer dwa - powiedział. - Tego, które

znaleziono w kałuży krwi. Moja koleżanka, która dokonywała oględzin zewnętrznych ciała w miejscu jego ujawnienia, wpisała w protokole, że brak jest na nim widocznych śladów mogących wskazywać przyczynę śmierci.

- Pana koleżanka się myliła?

- W żadnym wypadku nie można tak powiedzieć. Sam bym tego lepiej nie ujął. Faktycznie brak tam tego typu śladów. Żadnych ran, zadrapań, podbiegnięć krwawych, nic. Ciało było, można powiedzieć, w idealnym stanie. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

- Jaka wobec tego była przyczyna śmierci?

- Moim zdaniem upadek z dużej wysokości.

Zamrugła oczami. Czyżby ten irytujący, lecz z drugiej strony w pewien sposób sympatyczny starszy mężczyzna znowu z nią pogrywał?

- Sam pan powiedział, że brak było na ciele śladów urazów - zauważyła. - Jak to w takim razie możliwe?

Patolog wzruszył ramionami.

- Ludziom wydaje się, że gdy ciało uderza o ziemię, skutki tego muszą być makabryczne - powiedział. - Roztrzaskana czaszka, otwarte złamania kości, wokół pełno krwi. Tymczasem wcale nie musi tak być. Wiele zależy od powierzchni, na którą spadnie. Jeśli jest to na przykład trawa lub piasek, obrażeń zewnętrznych może nie być w ogóle. Człowiek wygląda, jakby po prostu leżał. Prawdziwa makabra rozgrywa się w środku. Pęknięte serce i wątroba, złamane żebra, które przebijają płuca, mnóstwo krwi w jamach ciała. Dokładnie coś takiego odkryłem podczas autopsji.

- Czy jest prawdopodobne, by obrażenia te powstały w inny sposób? - spytała.

- Jeśli pyta pani o jakiś rodzaj przemocy, na przykład pobicie, to absolutnie nie - odparł. - Podobne skutki może dać

wypadek samochodowy. Ale wtedy pojawiają się dość charakterystyczne urazy, takie jak pęknięty obojczyk i mostek, będące wynikiem działania pasów bezpieczeństwa. Tu niczego takiego nie stwierdziłem. Bazując na mojej wiedzy i doświadczeniu, mogę więc stwierdzić z dużą dozą pewności, że upadek ze znacznej wysokości na jakąś w miarę miękką, amortyzującą powierzchnię jest najbardziej prawdopodobną, jeśli nie jedyną przyczyną tego typu obrażeń.

- Z jak dużej wysokości? - spytała. - Mieszkanie, w którym znaleziono zwłoki, znajduje się na trzydziestym piętrze.

Mężczyzna się zastanowił.

- To, jak sądzę, około stu metrów - powiedział. - Musiałbym sprawdzić wyniki eksperymentów, jakie zapewne przeprowadzano w tej materii na różnego typu trupich farmach, ale tak na szybko to nie wydaje mi się. Upadek z aż tak wielkiej wysokości musiałby dać jednak o wiele bardziej spektakularne skutki.

- Więc jakiej? - drążyła.

- Naprawdę trudno mi to określić - odparł. - Może pięćdziesiąt, może trochę więcej? W grę wchodzi zbyt wiele czynników. Mogę za to pomóc w ustaleniu powierzchni, na którą spadła ofiara i która mogła faktycznie nieco zamortyzować jej upadek. Prawdopodobnie był to gruby żwir. Znalazłem małe kamyczki za ubraniem w okolicach szyi.

ROZDZIAŁ 45

Położył się koło niej. Ich duże, małżeńskie łóże lekko skrzypnęło. Czy meble za dwadzieścia tysięcy powinny skrzypieć? W każdym razie skrzypią. Może mniej niż te za cztery, ale jednak.

Nie spała, wiedział to. Nie poruszyła się ani nie dała mu żadnego innego powodu, by tak pomyślał, ale był pewien, że nie śpi. Wyczuwał z tamtej strony łóżka wyraźne napięcie. Chyba naprawdę się go bała, a przynajmniej obawiała. Może dlatego nie mogła albo nie chciała zasnąć.

Już od dawna ich łóżko nie było łóżem miłości. Już raczej obojętności, rezygnacji, zniecierpliwienia. Pozostawało jednak póki co bezpiecznym azylem; miejscem, gdzie każde z nich po swojej jego stronie i odwrócone do siebie plecami mogło się odprężyć, odpocząć, zapomnieć o reszcie świata. Dziś najwyraźniej się to zmieniło. Przynajmniej jeśli o chodzi o nią. Pewnie wolałaby go stąd wyrzucić i zamknąć drzwi sypialni na zamek.

Spojrzał na wieżowce za oknem. Tu też nie było firan ani zasłon. Gdy urządzali to mieszkanie, uznali, że nie ma takiej potrzeby. Że trzydzieste piętro wystarczająco chroni ich przed wścibskimi spojrzzeniami innych ludzi. Przez długi czas bardzo mu się to podobało. Ten oszałamiający widok przed zaśnięciem sprawiał, że każda noc wydawała się wyjątkowa. Każdy seks był jak scena z hollywoodzkiego filmu.

Potem oczywiście się do tego przyzwyczaił. Przestał zauważać, na co patrzy przed położeniem się do łóżka. Zasnęła tak jak wszyscy inni ludzie we wszystkich innych mieszkaniach

na świecie, niezależnie od tego, czy ich okna wychodzą na las, morze, ścianę sąsiedniego bloku czy schody wiodące do ich sutereny. Normalnie.

Teraz jednak było inaczej. Patrzył w tę ciemną, rozświetloną tysiącami świateł przestrzeń i odczuwał niepokój. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jego ciało ciąży ku tej otchłani, że posłanie jest krzywe, opada w tamtą stronę, przechyla się, jakby chciało go tam zrzucić.

Brak firanek potęgował to uczucie. Nie istniało nic, co oddzielałoby go od przepaści. Szyby w oknie nie było widać; w nocy, w świetle docierającym z zewnątrz nikła zupełnie. Za dnia można było dostrzec na niej refleksy, zabrudzenia; zamykała pokój z tej strony, tworzyła przezroczystą, ale jednak wyraźną granicę. W nocy ta bariera w magiczny sposób się dematerializowała.

Leżał więc jakby na granicy przepaści. Naprawdę trudno jest się odprężyć w takim miejscu. Może powinien przywiązać się liną, jak to robią podczas noclegu wspinacze w Himalajach? Jego żona spała po drugiej stronie, odwrócona do niego plecami – tak jakoś to kiedyś wybrali, nie umawiając się nawet specjalnie – ona więc nie miała pewnie takich problemów.

Wstał i podszedł do tej krawędzi. Było to wbrew jego lękowi, więc nieco go to zdziwiło. Stał tuż przy szybie, dotykając czubkami nagich palców u stóp jej zimnej powierzchni. Może zrobił to, by przekonać się, że jednak tam była? Bo była, teraz ją czuł. Oparł o nią czoło.

Chyba jeszcze nigdy nie patrzył w dół z tej perspektywy. Teraz naprawdę stał na brzegu otchłani. Wystarczyło zrobić krok, jeden krok do przodu. Gdyby nie było oczywiście tej przezroczystej ściany ze szkła.

Naraz przypominał sobie to wszystko, co zaprzętało jego głowę przez ostatnie dni. Teorię wielkiej iluzji, jak ją właśnie

w tym momencie nazwał. Może ta niewidoczna membrana jest tylko w jego głowie? Jasne, próbował ją już sforsować, ale może wybrał zły sposób? Zastosował rozwiązanie siłowe, rzucił się na nią z całym impetem i widocznie to był błąd. Może gdyby spróbował to zrobić na spokojnie, z otwartym, rozluźnionym umysłem, przyniosłoby to lepsze efekty? A on był spięty, miał głowę zaciśniętą jak pięść, nic dziwnego, że mu się nie udało. W końcu pasy bezpieczeństwa też się blokują, gdy szarpnie się je za gwałtownie.

Położył obie dłonie na szybie, lekko nacisnął. Czy mu się wydawało, czy szkło nieco ustąpiło? Poczł coś dziwnego, jakby granica między jego skórą a powierzchnią okna zacierała się, jakby komórki jego ciała i cząsteczki struktury szkła zaczęły się przenikać.

Niestety, potem następował opór. Może problemem było to, że o tym myślał? Sam w ten sposób włączał blokadę w swoim mózgu, niebędącym w stanie zaakceptować pokonania przeszkody, którą wcześniej sobie wyobraził. Przypomniał sobie opowieść o Buddzie pod drzewem oświecenia. W momencie, gdy uświadomił sobie, że demony, które go atakują, nie istnieją, więc nie musi się przed nimi bronić, demony zniknęły. Z tą szybą musi postąpić tak samo. Jeśli ten świat istnieje tylko w jego głowie, musi po prostu go wyłączyć.

Zdjął koszulkę i przykleił się do zimnej szyby. To jednak wciąż było za mało. Ściągnął więc też spodenki i odrzucił je stopą do tyłu. Teraz już cały mógł przylgnąć do powierzchni szkła: dłońmi, skórą przedramion, policzkiem, torsem, a nawet udami. Pozostawało tylko wyłączyć głowę, przestać myśleć, pozwolić, by jego ciało wtopiło się i przetopilo na drugą stronę. Co będzie potem? O tym też nie może myśleć. Gdy zacznie się bać, jego umysł wciśnie wszystkie dostępne hamulce i z całego procesu nici.

Pozwolił więc myślom płynąć, jak chcą, swobodnie. Nie naciskał już na szybę, po prostu się o nią oparł, by mogła zadziałać siła ciężenia. Na początku czuł ją jeszcze, bo była zimna, nieprzyjazna, lecz po jakimś czasie temperatury jego skóry i jej powierzchni wyrównały się. Był gotowy.

Coś mu jednak ciągle przeszkadzało. Jakiś bezpiecznik w jego mózgu nie dezaktywował się. Nie potrafił się całkiem wyłączyć, zapomnieć o sobie, o tej tafli, w którą próbował wniknąć, i o tym, co było za oknem. Był jakiś problem, jakiś szum, coś, co przypominało o sobie w niemal niedostrzegalny, ale wystarczająco dekoncentrujący sposób.

Po chwili zrozumiał, co to było. Odwrócił się. Jego żona siedziała na łóżku, patrzyła na niego. Nie widział dokładnie jej twarzy, bo ocieniały ją spływające po obu stronach policzków włosy, lecz jej pełen niepokoju oddech i napięcie wprost aż bijące z ułożenia jej ciała mówiły wyraźnie, że się boi.

To ona, to jej wzrok wbity w jego plecy wytrącał go tak z równowagi. Dalsze próby nie miały więc sensu.

Podniósł koszulkę i spodenki z podłogi. Musiał naprawdę dziwnie wyglądać, gdy tak stał nagi przy oknie. Poczuł nagle wstyd i zażenowanie.

- Pójdę spać do salonu - powiedział. Powinien od razu tak zrobić.

Zakrył się ubraniem i wyszedł. Po drodze zgarnął jeszcze poduszkę i kołdrę. Całe szczęście od zawsze spali pod dwiema. Po chwili usłyszał, jak zamyka drzwi od sypialni na klucz.

Ubrał się i rozłożył pościel na kanapie. Spojrzał na wielkie okno, które przecież też tu było. Mógłby spróbować teraz jeszcze raz, ale już nie miał na to ochoty. Nagle wszystko wydało mu się strasznie głupie. Na wszelki wypadek położył się plecami do szyby. Jeszcze przez jakiś czas ta otchłań go wzywała. Czuł na plecach jej spojrzenie. Nieme pytanie

dobiegające z tamtej ciemnej, choć roziskrzonej światłami miasta pustki. W końcu jednak zasnęł.

ROZDZIAŁ 46

Obudził się. Znowu. To zadziwiające, pomyślał, że człowiek codziennie się budzi, że jest to takie powtarzalne. Sen, jawa, sen, jawa, sen, jawa. I tak bez końca, aż do śmierci. Monotonny, usypiający rytm.

Przyjmujemy to bezrefleksyjnie, nawet nie wyobrażamy sobie, że może być inaczej. A przecież, gdy się nad tym głębiej zastanowić, jest w tym coś dziwnego. To regularne wyłączanie się, przechodzenie jedną nogą w niebyt, to jestem-nie jestem, jestem-nie jestem, spędzanie połowy życia poza wszelką kontrolą umysłu, bez świadomości, nie wiedząc nawet, co się z nami dzieje.

Czy jeśli kiedyś w końcu umrzemy, będziemy potrafili dostrzec różnicę?

A może właśnie jej nie dostrzeżemy? Może to wielkie, ostateczne wyłączenie odbywa się tak samo jak wszystkie poprzednie? Żyjemy, żyjemy i potem – nie rejestrując nawet dokładnie samego momentu – nagle żyć przestajemy. A później coś nam się śni. Przynajmniej przez jakiś czas.

Tylko – przekręcił się na plecy, by rozprostować nieco nogi – po czym poznać, po której stronie się jest? Może on już dawno umarł, a to, co mu się wydaje życiem, to tylko ostatnie podrygi jego dogasającej powoli świadomości? Ostatni sen, którego nawet nie będzie pamiętał, bo żeby go zapamiętać, musiałby się przecież obudzić, a on nie obudzi się już nigdy. Prawdziwe tu i teraz, pomyślał z sarkazmem.

Może utkwiał w tej szczelinie między życiem a niezyciem, w tym kilku-, najwyżej kilkunastominutowym przedziwnym

okresie między utratą świadomości a całkowitym zaprzestaniem jakiegokolwiek aktywności mózgu? Na tej ziemi niczyjej, gdzie twoje ciało jest już martwe, ale po synapsach w mózgu tłuką się jeszcze ostatnie niedobitki elektrycznych impulsów. Może wydaje mu się tylko, że to trwa dni, tygodnie, a nawet lata?

Coś zastukało za jego plecami. Jakiś dźwięk przebił się przez jego myśli i nakierował je na inną stronę. Wyteżył mimowolnie słuch. Ktoś tam był, chodził, coś robił. Pewnie jego żona. I pewnie to go obudziło.

Nie chciało mu się wstawać i tego sprawdzać. Musiałby wtedy coś do niej powiedzieć, nawiązać jakiś kontakt, zacząć rozmawiać, a nie miał na to ochoty. Wolał poczekać, aż sobie pójdzie. Do pracy czy gdzieś. Miał nadzieję, że dziś nie była sobota i że nie zostanie przez to w domu.

Nie było tu zegarka, a swój telefon zostawił gdzie indziej; nie wiedział więc, która jest godzina. Jeśli było w miarę wcześnie, znaczyło, że zbierała się do pracy; jeśli później, mogło to świadczyć o tym, że zaczął się weekend. Kanapa coraz bardziej go uwierała, wypychała go ze swojego nazbyt twardego posłania. Nie da rady tak spędzić całego dnia.

Usiadł. Dotknął bosymi stopami chłodnej podłogi. W całym tym pieprzonym mieszkaniu nie było nigdzie dywanów. Jego żona uważała, że nie pasują do nowoczesnego wnętrza. Poza tym dywany to siedliska kurzu i roztoczy. Tak twierdziła. Może to i prawda, ale efekt był taki, że ta nieludzka przestrzeń stawała się przez to jeszcze bardziej zimna i trudna do oswojenia. Przypominała pudełko postawione wysoko na półce z otwartym jednym bokiem. Jakby żyli w gigantycznym domku dla lalek bez przedniej ściany.

Na domiar złego nie pozwalała mu chodzić w kapciach. Kapcie kojarzyły się jej z biedą, obciachem i z tanimi

mieszkaniami w blokach. W takich apartamentach powinno się chodzić w butach albo w samych skarpetkach. W butach po własnym domu chodzić nie miał zamiaru; dom polega przecież między innymi na tym, że można w nim zdjąć buty. A skarpetek nie miał teraz na stopach i nie mógł ich nigdzie znaleźć.

Odgłosy zza jego pleców nie ustawały. Były do tego jakieś dziwne, nieco zbyt intensywne. Ktoś, kto robi i je śniadanie, nie zachowuje się aż tak głośno. Słyszał szuranie i stuki, jakby ktoś przestawiał meble. Odsuwał je i przysuwał. Znowu sprzątaczką?, zdziwił się. Przecież niedawno była.

Postanowił w końcu skonfrontować się z tym intrygującym zjawiskiem. Za oknem padało. Wielkie szyby pokryte były spływającymi po nich kroplami deszczu. Świat był zamazany i ciemny. Teraz dla odmiany poczuł się, jakby mieszkał w akwarium.

Wstał i się odwrócił. Ktoś tu faktycznie był, lecz nie była to jego żona. Ani sprzątaczką.

W kuchni, za wyspą kuchenną, krzątała się jakaś kobieta. Starsza, nieco zgarbiona, ubrana jak ktoś, kto przegapił ostatnie dwadzieścia lat.

- Przepraszam, kim pani jest? - spytał zdziwiony.

Kobieta aż podskoczyła.

- Jezus Maria! Aleś mnie przestraszył! - krzyknęła, przyciskając ręce do piersi. - O mało zawału nie dostałam! Czy ty zawsze musisz chodzić tak cicho?

Odwróciła się w jego stronę. Włosy miała mocno już przetykane siwizną, spięte z tyłu w kok.

- No tak - powiedziała, obrzuciwszy go wzrokiem. - Jak zwykle bez kapci! Chcesz się przeziębic? Ile razy ci mówiłam: od zimnych stóp zaczynają się wszystkie choroby. Zimne stopy albo mokre buty to choroba murowana. Nawet skarpetek nie masz! - dodała z wyrzutem.

Był zbyt zaskoczony jej widokiem i tym, co mówi, żeby jakoś się do tego odnieść. Zdołał wydusić tylko:

- Czy my się znamy?

Popatrzyła na niego jak na wariata.

- Czy my się znamy? - powtórzyła. - Dobrze sobie! To już taki jesteś ważny, że własnej matki nie poznajesz?

ROZDZIAŁ 47

Zatkało go. Zamrugał powiekami. Co tu się znowu odwała?

- Proszę tak nawet nie żartować - odpowiedział. - Moja matka od dawna nie żyje.

Prychnęła i przewróciła oczami.

- Nie żyje! Chciałbyś! - skomentowała. - Tak ci spieszno do mojego pogrzebu? To, że o mnie zapomniałeś, że nie odwiedzasz mnie ani nawet nie dzwonisz, nie znaczy jeszcze, że umarłam. Pewnie wolałbyś tak, nie? Raz na zawsze kłopot z głowy. Ale nie, nie, kochany. Ja się na tamten świat jeszcze nie wybieram.

Odwróciła się z powrotem w stronę blatu.

- Ale tu masz syf - rzuciła zza pleców. - Sprzątacie tu w ogóle kiedyś? Ty i ta twoja adwokatka?

Dopiero teraz zauważył, że ma w ręku ścierkę.

Wróciła do czynności, którą najwyraźniej wykonywała, zanim się tu zjawił.

Podszedł bliżej. Zgarbione plecy okryte niebieską, spłowiałą podomką. Wszystko to było mu w jakiś sposób znajome, choć jednocześnie też obce.

- Kim pani jest? - powtórzył pytanie. - I jak się pani tu znalazła?

Kobieta odwróciła się ponownie. Spojrzała na niego ze smutkiem.

- Naprawdę nie wiesz, kim jestem? - spytała.

- Nie - odpowiedział. - Nie mam zielonego pojęcia - dodał z naciskiem.

- Mój Boże. - Westchnęła. - Czyli jednak mieli rację...-
Rzuciła ścierkę na blat.

- Kto miał rację? I w czym? - Starał się zachować rozsądek.
I spokój.

- Lekarze - odpowiedziała. - Że to postępuje.

- Co postępuje? - Wzmianka o lekarzach wyprowadziła go
nieco z równowagi.

- To wszystko - Zrobiła nieokreślony ruch ręką.

- Co wszystko? - Poczul nadciągającą panikę.

- Zmiany w mózgu - odpowiedziała najnormalniej w świecie.

- To po to cię wychowałam, ręce po łokcie urabiałam... -
Zaczęła nagle płakać.

Nie wiedział, jak na to zareagować. Spróbował ją objąć,
jakby była naprawdę jego matką. Strząsnęła jego dłoń ze
swoich pleców z irytacją.

- Aaa tam! - rzuciła z pretensją. - Ale ty zawsze taki byłeś!
Nic ci się nie dało wytłumaczyć!

- Co mi się nie dało wytłumaczyć? - Zgłupiał już kompletnie.

- No właśnie mówię, że nic! - fuknęła. - Zawsze
najmądrzejszy, a stara matka najgłupsza. Jasne, że wsi jestem,
na świecie się nie znam, co ja mogę wiedzieć? Ten twój brat
zresztą taki sam...

- Jaki znowu brat? - Był już całkiem oszołomiony.

- Jaki brat? Twój brat. Przyjechał tu nawet do ciebie. Aż
z Anglii. Mówiłam, żeby nie przyjeżdżał, bo pewnie nie ma już
po co, ale się uparł.

- Jaki znowu brat?? - powtórzył z naciskiem.

- Radek - odpowiedziała. - Nie mów, że jego też nie
pamiętasz? To jakbyś zapomniał, że masz drugą rękę.

- Mam brata? - Nie mógł uwierzyć.

- I to bliźniaka. - Kiwnęła głową. - Co prawda nie jesteście
jednojąjowi jak tych dwóch Kaczyńskich, ale i tak do siebie

podobni. To znaczy kiedyś tak było. Zanim się Radek tak nie upaś w tej Anglii.

Spróbował się nieco ogarnąć. Za daleko to się posunęło. Nawet biorąc pod uwagę te wszystkie bzdury, które działy się tu ostatnio.

- Dobrze, stop - zareagował stanowczo. - Nie wiem, kim pani jest, i szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to - powiedział. - Nie mam i nigdy nie miałem żadnego brata, a moja matka nie żyje. Proszę stąd wyjść. Do widzenia.

Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego policzka zimnymi, mokrymi palcami. Pachniały wilgotną ścierką i jedzeniem. I był to zapach w jakiś sposób znajomy.

- Co to się z tobą, synku, porobiło... - szepnęła z troską. - Lekarze mówili mi, że tak będzie, ale im przecież nie wierzyłam. Że czas działa na twoją niekorzyść, że wszystko się tam będzie w tobie powoli psuło, degenerowało... Że jak się nie pospieszymy, to już nie będzie powrotu... Ale jak tu uwierzyć w coś takiego?

Coś ścisnęło go za gardło.

- Tak mówili? - spytał.

- No tośmy do ciebie tu wszyscy przyjechali. Ja, Radek z tej całej Anglii, tylko ojciec nie mógł, bo ktoś musi przecież gospodarki pilnować. I twoja żona też tu cały czas jest. Nawet urlop wzięła, żeby przy tobie siedzieć. Kiedyś ci powiem, to ja jej nie lubiłam. Bo taka ważna, nosa zadziera, nas prostych ludzi ma za nic. Ale teraz widzę, że ona cię kocha. Po swojemu, ale kocha. I trochę się do niej przekonałam. A już ten twój syn to w ogóle. Siedzi przy twoim łóżku i książki ci czyta. Od razu po szkole do ciebie leci. Dobry chłopak, ci powiem, nie taki jak ty.

Poczuł, jak łzy napływają mu do oczu, nie mógł tego powstrzymać.

- I co tam u niego, wszystko dobrze? - spytał.

- A dobrze, dobrze. - Pokiwała głową. - Młody jest, to jak ma być? Dobrze. On chyba nie bardzo to wszystko rozumie. Myśli, że tata jest chory i śpi. Ale się niedługo obudzi. Jak zrozumie, jak jest, to może być gorzej. Ale nie martw się, i do tego się przyzwyczai. Do wszystkiego się można przyzwyczaić, to ci powiem. I do życia, i do nieżycia.

Krople łez zaczęły mu spływać po policzkach, obtarła je chłodną dłonią.

- Nie płacz, synku, nie trzeba - powiedziała łagodnie. - Co ma być, to będzie. Czy do nas wrócisz, czy nie wrócisz. Tylko już byś się mógł zdecydować. W tę albo we w tę. Najlepiej jakbyś wrócił, to wiadomo. Ale jakbyś już umarł tak całkiem, to też nie byłoby takie złe. Na pewno lepsze niż to teraz. Bo tak jest najgorzej. Tylko się wszyscy męczą - i my, i ty. Ta twoja żona to chyba najbardziej. Żebyś ty widział, jak ona zmarniała. Schudła, zapadła się w sobie, aż szkoda patrzeć. A tak jej kiedyś nie lubiłam, tak jej nie lubiłam...

ROZDZIAŁ 48

- A co z tym drugim ciałem? - spytała.

- Kobiety z nożem wbitym w twarz? - odpowiedział pytaniem. - Tu też miałem niezłą zabawę. Choć wydawało się, że raczej wszystko jest jasne.

- A nie było?

Patolog uśmiechnął się.

- Świat pełen jest tajemnic, pani prokurator - powiedział. - Że zacytuję słowa piosenki pewnej wokalistki, która była młoda, gdy ja byłem młody.

- „I ciepłych, lekkich brązów” - dokończyła cytat. - Je również pan znalazł?

Mężczyzna roześmiał się.

- Ironia i sarkazm! - skomentował, jakby się ucieszył. - Obie są klinicznym objawem inteligencji. Ale ma pani rację, powinienem powściągnąć swoje gadulstwo. To niestety nasila się z wiekiem. Czasami czuję się jak babcia, która przysłała do apteki i przy okazji wykupienia recepty opowiada farmaceutce całą historię swojej rodziny. Kiedyś taki nie byłem.

- Drugie zwłoki - przypomniała mu, o czym w ogóle rozmawiają.

- A tak, drugie zwłoki - przytaknął. - Już mówię.

Biedny pies tymczasem leżał cały czas na stole. Naprawdę dobrze, że nie był żywy, pomyślała.

- Żeby już nie przedłużać - zaczął. - Na początku zwróciło moją uwagę, nawet przy pobieżnym oglądzie, że żaden z tych pozornie straszliwych ciosów nożem nie powinien być

śmiertelny.

- Jak to? - zdziwiła się po raz drugi. - Ktokolwiek to przecież zrobił, zmasakrował jej całkowicie twarz.

Patolog wyciągnął w jej stronę palec.

- Trafiła pani w sedno - powiedział. - Twarz. Wszystkie obrażenia znajdowały się w obrębie twarzoczaszki i mimo że wyglądały naprawdę potwornie, nie dotykały żadnych istotnych narządów. Ani tętnica szyjna, ani mózg, ani tchawica nie zostały uszkodzone.

- Chwileczkę - zaproponowała - gdy ją znaleźliśmy, nóż, i to dość spory, był przecież wbity w oko - zauważyła.

- W oczodół - poprawił ją. - Ostrze jednak nie dotarło do mózgu. Kąt, pod którym został zadany cios, sprawił, że spenetrowało zatoki nosowe i zmasakrowało podniebienie. Ale mózgu nie uszkodziło.

- Może umarła po prostu z wykrwawienia? - podsunęła.

Mężczyzna pokiwał głową z uznaniem.

- Bardzo dobry tor rozumowania, pani prokurator - powiedział. - Niestety, w tym konkretnym przypadku raczej chybiony. Rzeczywiście tak rozległe obrażenia musiały doprowadzić do obfitego krwawienia, nawet jeśli żadne duże naczynie krwionośne nie zostało uszkodzone. A to z kolei, przy braku odpowiedniej pomocy, mogłoby doprowadzić do śmierci. Analiza ilości krwi w ciele denatki wyklucza jednak tę hipotezę. Jest jej stosunkowo dużo, czyli zgon musiał nastąpić wcześniej i z innego powodu.

- Jaka wobec tego była jego przyczyna? - spytała.

Patolog uniósł do góry brwi, jakby się namyślał.

- Moim zdaniem zatrzymanie akcji serca - odpowiedział. - Ale to bardzo trudno stwierdzić, bo coś takiego, w odróżnieniu od zawału, nie pozostawia żadnych śladów.

- Słucham? Chce mi pan powiedzieć, że kobieta z nożem

wbitym w twarz umarła na serce?

- Tak jak mówiłem, moim zdaniem nie da się tego stwierdzić z całą pewnością. Można tylko wysnuwać przypuszczenia na podstawie pewnych przesłanek. A są one takie, że obrażenia, których doznała, mimo iż przerażające, nie powinny doprowadzić do jej śmierci. Znany jest przypadek myśliwego z syberyjskiej tajgi, którego zaatakował niedźwiedź. Miś odgryzł mu pół twarzy, pozbawiając go dolnej i górnej szczęki, podniebienia, nosa i jednego oka. A mimo tego nasz zuch-myśliwy żyje do tej pory. To jednak, że te obrażenia nie doprowadziły bezpośrednio do śmierci ofiary, nie oznacza jednak, że się do niej nie przyczyniły.

Miała ochotę głęboko westchnąć. Powstrzymała się jednak i zamiast tego powiedziała:

- Mógłby pan mimo wszystko mówić odrobinę jaśniej? Dlaczego ta kobieta umarła? To jest proste pytanie i oczekuję na nie w miarę prostej odpowiedzi.

- Oczywiście. - Patolog kiwnął głową. - Jak pani sobie życzy. Moim zdaniem umarła w wyniku szoku wywołanego rozległymi obrażeniami, który spowodował z kolei zatrzymanie akcji serca. Obu jednak tych rzeczy nie da się udowodnić, bo nie pozostawiły śladów w materiale dowodowym, czyli w ciele ofiary.

Jednak westchnęła. Tym razem z ulgą. Nie wierzyła, że ten człowiek wreszcie to powiedział.

- Bardzo dziękuję - powiedziała. - Wszystkie wątpliwości i zastrzeżenia, które pan zgłasza, będą mnie bardzo zajmować podczas ustalania kwalifikacji czynu. Na tym etapie śledztwa jednak zupełnie mi wystarczy stwierdzenie, że ktoś zadał tej kobiecie wiele ciosów nożem w twarz, a ona potem umarła. I że jest między tymi wydarzeniami jakiś związek.

- Na pewno jednak chciałaby pani też wiedzieć, i to już na

tym etapie śledztwa, kto to zrobił, prawda? - spytał patolog z niewinną miną.

Popatrzyła na niego z uwagą, ale i z nieufnością. Naprawdę coś dla niej miał czy to tylko jego kolejna sztuczka, żeby przedłużyć rozmowę?

- Tak, chciałabym, i to bardzo - powiedziała.

Mężczyzna uśmiechnął się życzliwie.

- Ale zapewne nie powie mi pan tego tak po prostu? - spytała ostrożnie.

Roześmiał się.

- Mogę obiecać, pani prokurator, że spróbuję - odparł. - Wszyscy jesteśmy jednak tylko ludźmi i mamy swoje ograniczenia, poza które bardzo trudno nam wyjść, zwłaszcza gdy jesteśmy już w podeszłym wieku. Moim ograniczeniem jest to, że muszę zawsze wszystko wyjaśniać bardzo dokładnie i że lubię imponować młodszym swoją wiedzą. Nawet jeśli wiem, że tak naprawdę ich tym irytuję.

ROZDZIAŁ 49

Kobieta poszła. Powiedziała, że nie może tu przecież tak siedzieć przez cały dzień, i wyszła. Normalnie, przez drzwi.

Od tamtej pory nie bardzo wiedział, co się z nim działo ani ile czasu upłynęło. Pamiętał tylko, że zastanawiał się nad tym, czy to mu się przypadkiem nie śniło i jak próbował odnaleźć jakiś moment przejścia, nieciągłości w czasie, między tym, co jest teraz, a tamtym.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek do drzwi. Spojrzał za okno, było już ciemno. Spędził tak kilkanaście godzin.

Podszedł do wejścia. Otworzył. Na korytarzu stał portier. Ten z dołu.

- Tak? - spytał. - Stało się coś?

Ubrany był tylko w koszulkę i spodenki, dopiero teraz to sobie uświadomił. W zasadzie nie powinno się otwierać w takim stroju. Nawet portierowi.

- Chciałem tylko spytać, czy wszystko w porządku - usłyszał.

- Dlaczego? - spytał. - Dlaczego pan o to chciał spytać? Czy to należy do pana obowiązków?

Był nieuprzejmy. Pewnie dlatego, że stał tu w samych gaciach i że spędził noc na kanapie. I że niedawno odwiedziła go jego zmarła matka. Lecz najważniejszą przyczyną - właśnie to sobie uświadomił - było chyba to, że już w to wszystko nie wierzył. A skoro tak, to jakie to miało znaczenie, jak się zachowywał?

- Nie, po prostu... - Portier najwyraźniej się spieszył. - Pana żona u mnie wczoraj była i chciałem się dowiedzieć, czy wszystko u niej w porządku...

No tak, zapomniał o tym. Faktycznie.

- Tak, poszła już do pracy - odpowiedział znacznie już łagodniej. I nawet nieco przeproszającym tonem. - Wszystko u niej dobrze.

W zasadzie powinna już dawno wrócić, pomyślał.

- To świetnie - odparł portier. - Bardzo była wczoraj przestraszona.

Powinien już sobie iść. To bardzo miło, że zainteresował się losem kobiety, której wczoraj pomógł, ale to by było na tyle. Nie oczekuje chyba nagrody? Na filmach wręcza się portierom napiwki. Ale to tylko za niesienie walizki. Czy za uratowanie życia żonie też się powinno coś dać?

- Poza tym zostawiła u mnie to. - Mężczyzna uniósł do góry mały, złocisty okrąg.

Spojrzał na przedmiot trzymany przez niego w palcach. Dopiero po chwili zorientował się, że była to obrączka.

- Zdjęła ją pewnie, gdy zakładałem jej opatrunek - wyjaśnił stojący przed nim mężczyzna. - I zapomniała zabrać.

Obrączka. Też powinien mieć taką. Odruchowo sprawdził swoją prawą dłoń. Niczego tam nie było. Nigdy niczego tam nie było, bo nigdy jej nie założył. To znaczy raz, wtedy, w kościele, ale to ona przecież wsunęła mu ją na palec. Przechodził w niej tylko jeden dzień. Gdy kładli się spać w noc po weselu, zdjął ją i już nigdy więcej nie założył. Tłumaczył jej, że mu przeszkadza i że boi się ją zgubić. Prawda była taka, że po prostu nie chciał.

Ta jej ciągle tymczasem błyszczała w uniesionej dłoni portiera. To zadziwiające, że po tych wszystkich latach wciąż wyglądała jak nowa. Powinien ją chyba teraz od niego odebrać.

- Bardzo dziękuję, że pan ją przyniósł - powiedział. - Żona na pewno będzie panu wdzięczna.

Nie wyciągnął jednak ręki i nie wziął jej od niego. Jakby się bał jej dotknąć. To swoją drogą niezwykle, że ona ciągle ją

nosiła. A może właśnie nie? Może naprawdę dziwne było dopiero to, że on nie nosił swojej?

Mężczyzna opuścił rękę.

- Mam ją oddać panu żonie osobiście? - spytał.

- Nie, nie - odpowiedział pospiesznie. - Proszę położyć ją na stoliku w salonie. Przepraszam, że nie biorę jej od pana, ale... - no, właśnie, co ale? - ale posmarowałem właśnie dłonie maścią i nie chcę jej ubrudzić.

Portier spojrział na niego ze zdziwieniem. Faktycznie, nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. Nie skomentował tego jednak ani słowem.

Odsunął się, by go przepuścić. Mężczyzna wszedł do środka.

Obserwował go, jak idzie w głąb salonu. Wyglądał teraz lepiej, zgrabniej, nie tak karykaturalnie. Czy to możliwe, że schudł przez te parę dni? A może po prostu dostał lepiej dopasowane ubranie?

Zobaczył, jak mężczyzna kładzie obrączkę na stoliku. Usłyszał charakterystyczny dźwięk, gdy przedmiot przez moment jeszcze obracał się na szklanym blacie. Portier odwrócił się.

- Wie pan, dlaczego złoto jest takie drogie? - spytał.

Zaskoczyło go to pytanie. Myślał, że mężczyzna po prostu teraz wyjdzie.

- Dlaczego? - Mimo wszystko głupio by było go zbyć.

- Bo jest jednym z niewielu materiałów dostępnych człowiekowi, które nie ulegają zniszczeniu wraz z upływem czasu - usłyszał odpowiedź. - Złoto nie butwieje, nie śniedzieje, nie rdzewieje, nie pokrywa się żadnym nalotem, nie wietrzeje, jak na przykład skała, nie reaguje ani z powietrzem, ani z wodą. Można je wykopać z ziemi po tysiącach lat i będzie wyglądało tak samo jak w momencie, gdy do niej trafiło. Jest w pewnym sensie wieczne, także dlatego, że złota się nie wyrzuca. Nawet

gdy przedmiot z niego wykonany ulegnie zniszczeniu, materiał, z którego go stworzono, zostanie przetopiony i wykorzystany lub ukryty w banku w formie sztaby. Być może złoto, z którego jest ta obrączka, wisiało kiedyś na szyi jakiegoś króla lub nawet faraona w Egipcie.

Spojrzał na leżący na szkle błyszczący, żółty okrąg. Z tej odległości nie prezentował się zbyt okazale.

- Albo pozyskano je parę lat temu jako produkt uboczny przy produkcji miedzi - zauważył.

Mężczyzna roześmiał się.

- W takim razie to państwo, biorąc ślub, puścili je w obieg - odparł. - I powołali je w pewnym sensie do wiecznego życia. Nawet za kilka tysięcy lat, gdy was już dawno nie będzie, ktoś prawdopodobnie będzie tego złota w ten czy inny sposób używał. Być może będzie je nosił na palcu lub na szyi. Mało co jest w ludzkiej historii równie niezmiennie, co zamiłowanie do złota. Nie ma powodu przypuszczać, że w przyszłości to się zmieni. Niezwykła perspektywa, prawda?

Wzruszył ramionami w odpowiedzi.

- Nieco przerażająca - skomentował. - Oto jesteśmy w posiadaniu czegoś, co przetrwa nas, nasze dzieci, wnuki i prawnuki, a zapewne także nasz kraj i naród. Nie wiem, czy jest się z czego cieszyć.

- Gdy masz do wyboru cieszyć się z czegoś albo tym martwić, zawsze lepiej wybrać pierwszą opcję - usłyszał w odpowiedzi. - Przeczytałem to kiedyś w jakimś poradniku.

Mężczyzna nie sprawiał wrażenia, jakby miał zamiar szybko opuścić jego mieszkanie. Uznał zdaje się, że pomoc udzielona najpierw jemu, a potem jego żonie sprawiła, iż stał się dla nich kimś więcej niż tylko portierem w budynku, w którym mieszkają.

Postanowił zasugerować mu, że może nie do końca miał

rację.

- Nie powinien pan już wrócić na dół? - spytał. - Nie chciałbym, żeby miał pan przeze mnie kłopoty, gdy ktoś zorientuje się, że nie ma pana na portierni.

Mężczyzna machnął ręką.

- Skończyłem swoją zmianę - odpowiedział. - Nawet już się przebrałem. - Wskazał na swoje ubranie. Rzeczywiście nie miał już na sobie zwykłego uniformu. - Dlatego przyszedłem dopiero teraz.

ROZDZIAŁ 50

Stał wciąż przy drzwiach, czekając, aż tamten człowiek wreszcie sobie pójdzie. Stojąc tak i nie wchodząc za nim w głąb mieszkania, pokazywał mu, iż oczekuje, że jego wizyta będzie krótka i zaraz się skończy. Na tyle krótka, że nie warto odchodzić od drzwi. Ta niema sugestia nie została jednak najwyraźniej zrozumiana.

Mężczyzna zamiast do wyjścia podszedł do okna.

- Niezwykły widok - powiedział, patrząc na rozjarzoną światłami Warszawę. - Niby pracuję w tym budynku, lecz rzadko go oglądam. A jest na co popatrzeć. Z perspektywy mojej portierni na dole nie wygląda to tak dobrze.

Nie odpowiedział.

- Nie boi się pan? - usłyszał pytanie. - Ta przestrzeń i ta wysokość jest jednak odrobinę przerażająca. I to, że oddziela nas od niej tylko ta szyba. Ktoś z lękiem wysokości nie mógłby raczej tu mieszkać. Ale światło z kolei na pewno wspaniałe. To znaczy za dnia oczywiście. Idealne miejsce na pracownię malarską. Do tego okna skierowane na południe... Pewnie dlatego zresztą kupił pan to mieszkanie, prawda? Moje jest pod tym względem fatalne.

Wciąż milczał, żeby nie dawać temu człowiekowi pretekstu do dalszego przeciągania wizyty. Jego gość najwyraźniej jednak nie potrzebował współrozmówcy. Doskonale dawał sobie radę sam.

- Nie dość, że na parterze, to jeszcze w takiej studni między trzema budynkami - kontynuował swoją przemowę. - Samo mieszkanie nawet ładne, ale ciemne jak tylko może być.

Praktycznie zawsze trzeba palić światło. W takich warunkach nie da się malować. Musiałbym wynająć sobie oddzielną pracownię, ale mnie nie stać. Może powinienem przerzucić się na rzeźbę? Albo, o, wiem! Ceramikę artystyczną! – Zaśmiał się sam do siebie. – Zawsze wydawało mi się, że ci, co się tym zajmują, siedzą w piwnicach.

Dopiero teraz odwrócił się od okna.

– A pan maluje? – spytał. – Głupie pytanie, oczywiście, że tak – odpowiedział sam sobie. – Nawet sztalugi ma pan rozłożone. Mogę rzucić okiem?

Teraz już musiał odpowiedzieć.

– Dopiero zacząłem – powiedział. – Nie ma jeszcze na co patrzeć.

– A jakiś wcześniejszy obraz? Może poprzedni? Coś, nad czym pracował pan ostatnio. Pamiętam pana obrazy jeszcze z tej wystawy w Kordegardzie. Ciekaw jestem, w którą stronę się pan rozwinął.

W żadną, pomyślał.

– Nie mam tu obrazów, nad którymi pracowałem ostatnio – odpowiedział.

Zadziwiająco, że można powiedzieć prawdę, jednocześnie kłamiąc.

– Są w jakiejś galerii? Można wiedzieć w której? – Mężczyzna nadal drążył temat. – Chętnie bym poszedł i je zobaczył.

Mógłby go zabić, byleby tylko przestał zadawać te pytania. Te konkretne pytania dotyczące tej konkretnej dziedziny.

– Nie, nie ma ich w żadnej galerii – odpowiedział.

– Ktoś je kupił? A może szykuje się jakaś wystawa? – Ten człowiek nie potrafił odpuścić. – Przepraszam, że tak dopytuję, ale próbuję sobie przypomnieć w ten sposób, że też jestem malarzem.

Na to pytanie nie dało się odpowiedzieć, zachowując przed samym sobą pozory prawdomówności. Mógł tylko skłamać albo powiedzieć wreszcie całą prawdę. Że nie, nic nie maluje, i to od dawna.

Właśnie rozważał, którą opcję wybrać i jak to się ma do jego podstawowego dylematu dotyczącego istnienia bądź nieistnienia rzeczywistości, a więc również pytającego mężczyzny, gdy – szczęśliwie lub nie – inna sprawa wyszła nagle na pierwszy plan.

- Co to, krew? – Portier widocznie dopiero teraz zauważył czerwoną plamę na podłodze.

Podszedł do niej. Pytania dotyczące obrazów na razie musiały poczekać.

- To pana żony? – spytał. – Naprawdę sporo z niej wyciekło. Nie wiedziałem, że aż tyle. Może naprawdę powinna pojechać do szpitala...- Kucnął, by się lepiej przyjrzeć.

- Przeżyła, więc najwyraźniej nie było to konieczne – odpowiedział.

Mężczyzna podniósł na niego wzrok.

- Zabrzmiało to tak, jakbyście nie byli aktualnie w zbyt dobrych relacjach – zauważył.

Czy to nie dobry moment, żeby mu powiedzieć, że to nie jego sprawa i że powinien już sobie iść?

- Przepraszam, to nie moja sprawa – wyręczył go przynajmniej w tej pierwszej kwestii. – Zresztą, które małżeństwo nie przechodzi takich okresów?

Teraz już niech tylko powie, że powinien sobie iść i...

- No nic, chyba już pójdę. I tak zająłem panu zbyt dużo czasu...

Czy to się zdarzyło naprawdę? Zamrugał oczami.

Mężczyzna wstał.

Spróbował przypomnieć sobie, odtworzyć w pamięci

ostatnich kilkadziesiąt sekund. Tak, był tego pewien, to wydarzyło się naprawdę. Dwa razy pomyślał coś, a potem ten portier prawie dokładnie powtórzył jego słowa. Wypowiedział na głos jego myśli.

Teraz już nie chciał, żeby on wychodził.

- Pana małżeństwo przechodziło takie okresy? - spytał, by go zatrzymać.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Przechodziło, a jakże - odparł. - Czasami lżejsze, czasami cięższe. Wie pan, jak to jest.

- Za pierwszym razem, gdy rozmawialiśmy, wydawało mi się, że jest pan szczęśliwy w małżeństwie - zauważył.

Odkleił się wreszcie od drzwi i wszedł do salonu. Jeśli naprawdę przed chwilą udało mu się włożyć w usta tego człowieka swoje myśli i sprawić, że je wypowiedział, byłby to chyba jakiś dowód. Albo przynajmniej solidna poszlaka. To w snach dzieją się przecież takie rzeczy, nie na jawie.

- Za pierwszym razem - stwierdził portier - spotkaliśmy się po długiej przerwie, podczas której ja zostałem portierem, a pan mieszkańcem apartamentu z widokiem na całą Warszawę. Zależało mi, by chociaż jeden aspekt mojego życia nie wyglądał jak totalna katastrofa.

Powinien powtórzyć to, pomyślał. Spróbować jeszcze raz przemówić ustami tego człowieka. Tym razem w pełni świadomie.

Tylko co to by miały być za słowa? Choć z drugiej strony to chyba wszystko jedno.

- No dobrze, zanudzam pana - usłyszał nagle zupełnie inne słowa. - Każdy ma swoje problemy, tak? Idę.

Ruszył w stronę wyjścia.

Nie, nie, chwileczkę! Spróbował zatrzymać portiera mocą swojego umysłu, lecz nie za bardzo to się udało. Widocznie tak

na szybko i do tego w panice nie było to możliwe.

- Niech pan jeszcze zostanie - powiedział. - Skoro i tak skończył pan pracę. Ja też nie mam specjalnie wiele do roboty.

ROZDZIAŁ 51

- Dobrze - odparła z rezygnacją. - Niech pan mówi. - Bardzo dziękuję. - Patolog ceremonialnie skinął głową. - I obiecuję spróbować znaleźć zgniły kompromis pomiędzy moją kompulsywną potrzebą objaśniania wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach a pani chęcią, by usłyszeć tylko najważniejsze fakty i konkluzje.

Wszystko, co mówił, wypowiedane było w nieco żartobliwy sposób, tak że nie do końca było wiadomo, czy mówi poważnie, czy też lekko się z niej naśmiewa. Pomimo tego i mimo jej narastającej irytacji jego rozwlekłym sposobem prezentacji wyników własnej pracy, trudno go było nie lubić.

- Bardzo słusznie - odpowiedziała. - Tylko proszę to zrobić jak najszybciej, bo czuję, jak zaczynam powoli się starzeć.

- W tej konkurencji już mnie pani raczej nie dogoni. - Pokazał zęby w uśmiechu. - Dobrze, a więc do puenty. O czym to ostatnio mówiliśmy?

Ciekawe, czy robił to specjalnie, czy też rzeczywiście nie pamiętał.

- Drugie ciało - przypomniała mu po raz kolejny. - Obiecał mi pan podać mordercę na tacy.

- A, tak! Faktycznie. Sprawca. Na nim się skupmy. - Patolog przybrał poważną minę. - Tak, niewątpliwie jestem w stanie podać go pani na tacy, choć z drugiej strony nie jestem do końca pewien, czy będzie pani z tego zadowolona.

Nie zareagowała, nie odpowiedziała, nie skomentowała. Niech po prostu mówi. Może kiedyś mu się uda skończyć.

- Zna pani opowiastkę o tym, jak nie zostać rozpoznanym

podczas napadu na bank? – spytał. – Trzeba wejść do środka bez gaci. Wszyscy skupią się na braku dolnej części garderoby i nikt nie będzie zwracał uwagi na twarz. W tym wypadku było trochę podobnie, choć niejako odwrotnie. Obrażenia twarzy u ofiary były tak spektakularne, że wszyscy nieświadomie i z góry przyjęli, że są one najważniejsze dla wyjaśnienia tej sprawy. Lekarz sądowy musi jednak dokonać autopsji całego ciała, nie tylko jego najbardziej zmasakrowanych elementów. Choćby dlatego, by się przekonać, czy najbardziej narzucająca się odpowiedź jest tą najprawdziwszą.

– Rozumiem, że pan to zrobił i że nie była – stwierdziła.

– To raczej oczywisty wniosek po tym, co powiedziałem, ale dziękuję, że zechciała się pani włączyć do rozmowy – odpowiedział. – Tak. Musiałem na własne oczy zobaczyć, czy na ciele bądź w ciele denatki nie ma żadnych innych śladów mogących wiązać się z jej śmiercią.

– Były – zgadła.

– Widzę, że słucha pani ze zrozumieniem. Tak, były. Badanie mięśni szyi po odchyleniu i odciągnięciu powłok skórnych ujawniły ślady duszenia. Mogłem wręcz policzyć palce tego, który to robił.

Zrobiła się czujna.

– Mówił pan przecież przed chwilą, że przyczyną śmierci ofiary był szok – zauważyła. – I to też tylko najprawdopodobniej.

– I się z tego nie wycofuję – odpowiedział patolog. – Ślady duszenia wskazują tylko, że ktoś ją dusił, a nie, że udusił. Moim zdaniem pochodzą co najmniej z dnia poprzedzającego zgon. Świadczy o tym między innymi to, że przestały już być widoczne na samej skórze, zachowały się jedynie w głębszych warstwach. Ale nie tylko to. Jedna z ran zadanych nożem nachodziła na ślad duszenia. Gdyby ktoś dusił ofiarę już po jej

zadaniu, rana wyglądałaby inaczej. Gdyby z kolei duszenie zakończyło się zgonem, a rany od noża zadano później, nie byłoby tak wiele krwi na przykład w jamie ustnej ofiary. Stąd wniosek, że jedyna możliwa sekwencja wydarzeń jest następująca: najpierw duszenie, potem, po dłuższej przerwie, za przeproszeniem, dźganie.

- Brzmi rozsądnie - zgodziła się.

- Pewnie, że tak. - Uśmiechnął się. - Ale to nie wszystkie niespodzianki, jakie skrywało dla nas ciało denatki.

- Co było jeszcze?

- Znalazłem kolejne ślady obrażeń zadanych ostrym narzędziem. Nieumiejscowione tym razem w okolicach głowy.

- A gdzie?

- Na rękach.

- Może się broniła? - spytała. - Rany na przedramionach są dość typowe w sytuacji ataku ostrym narzędziem - zauważyła. - Ale rozumiem, że to zbyt prosta odpowiedź i gdyby tak było, sam by mi pan o tym od razu powiedział - dodała po chwili.

- Dokładnie - przytaknął mężczyzna. - Widzę, że zaczyna już pani łapać reguły tej gry. Rany te nie były skutkiem obrony i to co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, ich rodzaj oraz umiejscowienie temu przeczy, po drugie, zadane zostały znacznie wcześniej, może nawet przed kilkoma tygodniami i zdążyły się już zabiżnić.

Pokiwała głową.

- Czyli można domniemywać, że sprawca znał ofiarę i że być może z nią mieszkał, skoro był w stanie zadawać jej różnego typu obrażenia w ciągu dłuższego czasu - stwierdziła. - W grę wchodzi więc najprawdopodobniej znęcanie się i przemoc domowa, a sprawcą jest zapewne mąż lub partner ofiary. To miał pan na myśli, mówiąc, że wie, kto to zrobił? - spytała.

Patolog ponownie się uśmiechnął, lecz był to tym razem

uśmiech w niepokojący sposób zabarwiony tryumfem.

- Jest pani inteligentna, pani prokurator, i szybko kojarzy pani fakty - powiedział. - Lecz wyciąga pani wnioski zbyt prędko, nie czekając na poznanie pełnego obrazu sytuacji - dodał. - Niedobrze. Zawiodłem się na pani. - Zrobił żartobliwie zafrasowaną minę. - No ale cóż, niecierpliwość jest cechą młodości. Nie mogę mieć do pani pretensji, że jest pani młoda.

Cokolwiek by o nim mówić, facet umiał stopniować napięcie.

- OK - powiedziała ostrożnie. - Proszę mi w takim razie podać pełen obraz sytuacji. Jakie to były rany i gdzie umiejscowione?

- Brawo, pani prokurator! I to są właściwe pytania! - ucieszył się mężczyzna. - W naszej branży są one podstawą sukcesu. Zresztą nie tylko w niej. Gdy się zadaje niewłaściwe pytanie, trudno oczekiwać zadowolającej odpowiedzi, prawda? No więc rany były umiejscowione na nadgarstkach. Długie, cięte, w poprzek ręki.

- Próba samobójcza?

- Otóż to. Nieudana, bo zazwyczaj tego typu próby kończą się niepowodzeniem. Cięcie wykonane w ten sposób rzadko jest w stanie doprowadzić do tak dużego upływu krwi, by zakończyło się śmiercią. Trzeba by zastosować zupełnie inną technikę, którą się jednak z panią nie podzielę, w razie gdyby miała pani ochotę kiedyś z niej skorzystać, o co oczywiście pani nie podejrzewam.

- Skąd jednak pewność, że to faktycznie próba samobójcza? - spytała. - Może ktoś jej w tym pomagał?

- Rozumiem pani rozumowanie, pani prokurator. - Lekarz sądowy lubił zdaje się sformułowania zawierające pokrewne wyrazy, bo za każdym razem, gdy je wypowiadał, robił minę, jakby opowiadał dowcip. - Oto nasz teoretyczny sprawca najpierw próbuje upozorować samobójstwo, a gdy to się nie

udaje, po kilku tygodniach postanawia dokończyć swe dzieło, tym razem w znacznie mniej subtelny sposób. Jest jednak pewna rzecz, która świadczy przeciwko temu.

- Jaka?

- Widzi pani, nie jest łatwo przeciąć sobie samemu skórę. I to nie tylko dlatego, że gdy tego próbujemy, okazuje się ona znacznie bardziej wytrzymała, niż sądziliśmy, a w stanie, w jakim jest człowiek tuż przed takim działaniem, mało kto myśli o porządnym naostrzeniu noża. Podstawowy problem jest natury psychologicznej. Takiego problemu nie mamy, gdy chcemy przeciąć skórę innego człowieka, zwłaszcza gdy żywimy wobec niego niezbyt przyjazne uczucia. Dlatego ślady powstałe w wyniku prawdziwej próby samobójczej tego typu są bardzo charakterystyczne. Nie są czyste i pojedyncze, będące skutkiem jednego, pewnego ruchu ręką. Wyglądają, jakby ich autor przymierzał się do cięcia lub nie był w stanie wykonać go za pierwszym razem odpowiednio mocno. Dokładnie takie ślady są na nadgarstkach ofiary.

ROZDZIAŁ 52

- Jest pan pewien? - spytał. - Na pewno nie będę przeszkadzał?

- Ależ skąd. - Machnął lekceważąco dłonią. - Moje plany na dzisiejszy wieczór i tak były bliskie zeru.

- Może chciał pan malować? - Wskazał na rozstawioną sztalugę. - Dokończyć to, co już pan zaczął?

- To może poczekać - odpowiedział. - Zresztą po tym, co się wczoraj stało, nie bardzo jestem w nastroju. Szczerze mówiąc, przyda mi się odrobinę rozmowy.

- Jeśli tak, to czemu nie? Bardzo chętnie.

- To świetnie. Napije się pan czegoś?

- Jeśli mógłbym prosić o kawę, to byłbym bardzo wdzięczny.

- Z mlekiem czy czarną?

- Najchętniej cappuccino z dodatkowym espresso i brązowym cukrem. Jeśli to nie kłopot. Bo może być też zwykła z mlekiem.

Portier usiadł na kanapie. Najwyraźniej w dalszym ciągu fascynował go widok za oknem.

- Żaden kłopot - odpowiedział mu. - Przecież i tak ja nie będę tego robił. To tylko kwestia wciśnięcia odpowiedniego przycisku.

Poszedł do kuchni. Włączył ekspres do kawy. Rozstawił filiżanki. Otworzył lodówkę, by sięgnąć po mleko. Uderzył go w nozdrza jakiś dziwny zapach. Wciągnął głębiej powietrze. Coś jakby stęchlizna. W każdym razie nic przyjemnego.

Obrzucił wzrokiem półki. Nie za wiele na nich stało. To on odpowiadał za zakupy, zamawiał je przez internet z dostawą do

domu, lecz ostatnio zupełnie nie miał do tego głowy, zostały więc same nędzne resztki. Jakiś otwarty serek do smarowania, obeschnięty łosoś w plasterkach, hummus w plastikowym pojemniku, przez który widać było wyraźnie białą watę pleśni. Czyli to pewnie stąd.

Później się tym zajmie, wyrzuci, dokupi, teraz kawa. Sięgnął po butelkę z mlekiem. Odkręcił korek. Zapach stęchlizny wprost eksplodował. Aha. A więc z mleka nici. Nic w sumie dziwnego, on przecież zawsze pijał czarną, a jego żona i tak żywiła się i piła kawę poza domem. Ta butelka mogła tu stać od niepamiętnych czasów.

Zakręcił ją szybko. Spojrzał jeszcze z ciekawości na datę ważności. Dziwne. Jeszcze nie upłynęła. Mleko było stosunkowo świeże. Nawet otworzone powinno być wciąż dobre.

Była jeszcze śmietanka w kartoniku. Trzydziestoprocentowa, do cappuccino więc się raczej nie nadawała, ale można by jej po prostu dolać do kawy. Chwycił opakowanie w dłoń i odkręcił plastikową, niebieską zakrętkę. Powąchał na wszelki wypadek. Ona też pachniała dziwnie, jakoś inaczej niż powinna.

Wlał biały płyn do jednej z ciągle pustych filiżanek. Razem z nim z otworu wyskoczyła mała szara wysepka. Popatrzył na nią ze zdumieniem. Tu też? Naprawdę? Czyżby w jego lodówce wybuchła jakaś epidemia pleśni?

- Przepraszam, ale nie mamy mleka - powiedział, nie odwracając się. - Mogę panu zrobić czarną?

Przysunął kartonik do oczu. Absurdalnie długa data ważności. Jeszcze dwa lata można byłoby ją wlewać do kawy. O co tu chodzi?

- Nie ma sprawy - usłyszał zza pleców. - Jeśli tylko dobrze pan posłodzi, może być i czarna.

Zamknął lodówkę. Sięgnął do szafki, w której zawsze stał cukier. Plastikowy, okrągły pojemnik wypełniony brązowymi

kryształkami stał z samego brzegu. Wyjął go i otworzył. Tu też zajrzał przewrażliwiony po poprzednich przygodach.

Cukier całe szczęście wyglądał dobrze. Pachniał też normalnie, słodkawo, nieco ostro, melasą. Wyjął nową filiżankę i zastąpił nią tamtą, która była zabrudzona popsutą śmietanką, potem obie czyste podstawił pod ekspres.

Nacisnął odpowiedni przycisk. Maszyna zaszumiała, rozpoczynając proces parzenia. Tu także wszystko wyglądało w porządku. W powietrzu uniosła się woń kawy.

Ten zapach też był jednak jakiś inny – zwietrzały, wilgotny, papierowo-ziemisty. Jakby zaparzał torf, a nie kawę. Począł, aż woda przestanie lecieć i spróbował ciemnego płynu z jednej z filiżanek. Smakował ciągle jak kawa, ale z nim też było coś nie tak. Odsunął pojemnik na fusy. Tu również wszystko pokryte było kożuchem szaro-białej pleśni.

Co tu się dzieje?, pomyślał. Wszystko było zepsute albo zwietrzałe. To oczywiście mógł być przypadek związany z tym, że ostatnio naprawdę zaniedbał różne domowe obowiązki, ale żeby tak wszystko naraz?

Uznał, że kawa mimo wszystko da się wypić. Sięgnął po cukier.

- Ile pan słodzi? - spytał.

- Na filiżankę półtorej łyżeczki, na kubek dwie i pół - odpowiedział portier.

Włożył łyżeczkę do pojemnika i nabrał na nią lśniących kryształków. W dołku powstałym na powierzchni cukru coś się pokazało.

Nachylił się nad pojemnikiem, żeby lepiej się temu przyjrzeć. Zobaczył małe, szarobrązowe skrzydła.

Odsunął się od blatu. W dłoni wciąż trzymał łyżeczkę, z której drobiny cukru osypywały się na podłogę.

- Jakiś problem? - usłyszał pytanie.

- Cukier też się skończył - odpowiedział. - Mogę panu posłodzić miodem - dodał po chwili.

O ile w miodzie też nie znajdzie jakiejś niespodzianki.

- Może być i miód - odparł mężczyzna. - Nigdy jeszcze nie piłem kawy słodzonej miodem. Wie pan, że miód jest jedyną substancją spożywczą, która nigdy się nie psuje? Może skrzystalizować, stwardnieć, ale wciąż jest dobry do jedzenia. Ma naturalne własności antyseptyczne. W dawnych czasach używano go do konserwowania żywności. Albo na przykład odciętych głów wrogów, które wysyłano władcom z pola bitew - zakończył ze śmiechem.

- To świetnie - powiedział.

Schował pojemnik z cukrem i wyciągnął słoik miodu. Odkręcił go z trudem. Gęsty płyn w środku wyglądał i pachniał znakomicie. Chyba faktycznie nie był ani trochę zepsuty.

Nabrał go na łyżeczkę i wlał do filiżanki z kawą. Zamieszał. Potem zaniósł do salonu i postawił przed portierem na szklanym stoliku.

- Pan nie pije? - spytał mężczyzna. - Wydawało mi się, że też pan sobie zrobił.

- Tak, ale przypomniałem sobie, że to już by była moja trzecia kawa dziś - skłamał. - Nie można aż tak bardzo sobie dogadzać.

Nie mógł przecież powiedzieć, że całkowicie stracił na nią ochotę.

ROZDZIAŁ 53

Zastanowiła się.

- Próba samobójcza, potem duszenie, a na koniec kilkanaście ciosów nożem w twarz - powiedziała. - Jak dla mnie to ciągle wygląda na skutki przemocy domowej. Jej ofiary często próbują odebrać sobie życie.

Patolog teatralnie westchnął.

- I znowu nie poczekala pani na pełen obraz sytuacji - skomentował. - Ach, ta młodzieńcza niecierpliwość... Zaraz mi pani pewnie powie, że nie jest wcale taka młoda, ale uprzedzę tę uwagę: z mojej perspektywy jest. Mogę mówić dalej czy już pani sformułowała akt oskarżenia? - spytał z rodzajem dobroduszej złośliwości.

- Proszę mówić dalej - zgodziła się pokonana.

- Bardzo dziękuję. - Ukłonił się lekko. - A więc wracając do naszej ofiary: ta informacja, informacja o dokonanej wcześniej próbie samobójczej, kazała mi dokładniej przyjrzeć się śladom duszenia. Oczywiście i tak bym się im przyjrzał dokładnie, ale to był dodatkowy, że tak powiem, czynnik motywacyjny. I proszę sobie wyobrazić, że podczas ich badania odkryłem bardzo ciekawą rzecz. Były one, krótko mówiąc, w pewien sposób nietypowe.

- Co to znaczy? - spytała.

- Już mówię. Proszę wyobrazić sobie, że dusi pani człowieka. Na przykład mnie - ciągnął. - Wiem, że miałyby pani ochotę, więc proszę się nie krępować. - Puścił do niej oko. - Zazwyczaj dusimy innych ludzi, stojąc lub leżąc wobec nich w pozycji twarzą w twarz. Obejmujemy wtedy ich szyję czterema

dłuższymi palcami od tyłu, a kciukami od przodu. I to właśnie oboma kciukami naciskamy na tchawicę. Dalej, proszę się nie wstydzić, proszę unieść dłonie i ułożyć je tak, jakby pani obejmowała nimi moją szyję – polecił.

Nigdy jeszcze nie spotkała się z takim sposobem prezentowania wyników sekcji, ale zrobiła, co kazał.

- Proszę łaskawie zwrócić swoją uwagę na ułożenie palców – patolog kontynuował swój niezwykły wykład. – Palce wskazujące i palce, jak to ja je nazywam „fuckoffowe”, znajdują się u góry, a małe palce u dołu, prawda?

- Tak – odpowiedziała, bo faktycznie tak było.

- Więc niech sobie pani wyobrazi, że ślady na szyi ofiary układały się dokładnie odwrotnie. Odciski palców wskazujących były na dole, a ledwo widoczne ślady po małych palcach na górze. O czym to pani zdaniem świadczy?

Uniosła brwi do góry.

- O innym ustawieniu względem siebie sprawcy i ofiary – odpowiedziała.

- Bardzo dobrze! – wykrzyknął mężczyzna. – A w zasadzie prawie bardzo dobrze – dodał po chwili. – Niech pani spróbuje wyobrazić sobie bowiem takie ustawienie. Dla ułatwienia proszę przekręcić swoje dłonie tak, by palce wskazujące były u dołu.

Wykonała jego polecenie. Musiała przyznać, że to dziwne przedstawienie przestawało ją irytować, a zaczynało wciągać.

- No więc jaką pozycję musiałyby przyjąć sprawca? – ponaglił ją.

- Musiałyby wisieć nad ofiarą głową do dołu, co oczywiście jest mało prawdopodobne, albo... – wyobraziła to sobie – albo leżeć, opierając się na łokciach, za jej głową w sytuacji, gdy ona również leży, tyle że na plecach.

- Brawo! – Wyraził swoje uznanie mężczyzna. – Czy wydaje

się to pani możliwe? – drążył dalej.

Zastanowiła się.

- Raczej dosyć niezwykle, lecz teoretycznie możliwe – odpowiedziała.

- Też tak myślę. – Kiwnął głową. – Lecz czy potrafiłaby pani znaleźć inne wytłumaczenie takiego ułożenia palców? Proszę przy tym wziąć pod uwagę wszystko to, czego się dotychczas dowiedzieliśmy.

Pograżyła się w rozmyślaniach. W jej umyśle fantomowe wyobrażenia dwóch sylwetek wirowały wokół siebie i zmieniały wzajemne ułożenie względem siebie. Żadna z nich jednak nie okazywała się jednak właściwa.

- Nie... – zaczęła powoli. – Nie wydaje mi się...

Nagle coś rozbłysło w jej głowie.

- Chyba, że zrobiła to sobie sama – powiedziała.

Twarz starszego mężczyzny rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

- Bardzo dobrze, pani prokurator – odparł z uznaniem. – Nietypowe ułożenie dłoni plus informacja o wcześniejszej próbie samobójczej prowadzi nas właśnie do tej odpowiedzi. Świetnie! Byłby z pani dobry patolog. Żeby już nie przedłużać, powiem tylko, że zmierzyłem rozstaw i długość śladów pozostałych na mięśniach szyi ofiary i porównałem je z wielkością jej dłoni. Pasowały idealnie.

- Czyli sama się dusiła? – spytała z niedowierzaniem.

- Moim zdaniem wszystko na to wskazuje – opowiedział patolog. – Świadczy o tym również brak widocznych śladów na skórze. Niezbyt wygodne skręcenie rąk znacznie osłabiało ucisk, który i tak nie był zbyt silny, bo była kobietą.

- W dalszym ciągu pozostaje nam jednak kwestia obrażeń zadanych nożem – zauważyła. – Tego raczej nie zrobiła sobie sama. Czyli co? Mamy dwie próby samobójcze i następujące po

nich brutalne zabójstwo? To nie układa się w zbyt logiczny wzór.

- Ma pani rację - zgodził się lekarz sądowy. - Teoretycznie można by było sobie wyobrazić sekwencję wydarzeń, która by do tego doprowadziła, ale musiałaby być ona dość karkołomna. Jak to mówią: „Gdy słyszysz tętent kopyt, spodziewaj się raczej koni, nie zebr”. Choć, z drugiej strony, zebr do końca wykluczyć nie można.

Nie bardzo wiedziała, co chciał przez to powiedzieć, lecz na wszelki wypadek wołała nie dopytywać.

- Oczywiście - skomentowała.

- Musimy więc moim skromnym zdaniem wrócić do wcześniejszych prób samobójczych - ciągnął. - Zapytać o ich rodzaj i charakterystykę. Pierwsza jest dość typowa. Podcięcie żył to sposób praktykowany od tysiącleci. W zasadzie o niczym nie świadczy. W krajach z ograniczonym dostępem do broni palnej należy do jednych z najczęściej wybieranych sposobów. Druga próba jest już znacznie dziwniejsza. Ten rodzaj samouduszenia nie wchodzi prawdopodobnie nawet do pierwszej setki w policyjnych statystykach. Ja, szczerze mówiąc, spotkałem się z nim pierwszy raz. O czym pani zdaniem może świadczyć wybranie przez denatkę tak osobliwej metody?

Wzruszyła ramionami.

- O chorobie psychicznej, autoagresji, być może halucynacjach... - zaczęła wyliczać. Nagle pojęła, na co próbuje ją nakierować. - Sugeruje pan, że obrażenia twarzy też mogłyby być jej dziełem? - spytała.

Uśmiechnął się.

- Twierdzę, że biorąc to pod uwagę, powinniśmy przynajmniej rozważyć taką możliwość - powiedział. - W tym wypadku zebr jednoznacznie wykluczyć nie można.

ROZDZIAŁ 54

Portier podniósł filiżankę do ust. Upił łyk kawy.

- Dobra - powiedział. - Trochę dziwny smak, ale dobra. Na pewno słodka. I antyseptyczna - dodał po chwili.

- Dlaczego? - Spojrzał na mężczyznę ze zdziwieniem.

- Z powodu miodu - wyjaśnił portier. - Mówiłem przecież, że ma działanie antyseptyczne.

Zapadła cisza. Mężczyzna zajął się piciem kawy, choć tak naprawdę wyglądało to, jakby próbował maskować tą czynnością swoje zmieszanie. Chyba nie czuł się zbyt komfortowo w tej sytuacji, w mieszkaniu kogoś, kto kiedyś był jego idolem, a do tego teraz tak wyraźnie wysforował się przed niego na drabinie społecznej hierarchii.

Mógłby mu to jakoś ułatwić, zagadać do niego, rozpocząć rozmowę na jakiś błahy temat, ale nie był w tym momencie w stanie. Sam był zbyt mocno pogubiony. Nie tylko tym, co działo się w jego życiu w ciągu ostatnich kilku dni, ale też tym, co wydarzyło się przed chwilą.

Chciał zatrzymać tu tego człowieka, bo wydawało mu się przez moment, że potrafi panować nad tym, co on mówi, że ma nad nim jakąś władzę. Władza ta musiałaby wynikać z jakiegoś połączenia między nimi, na przykład obaj mogliby być wytworem tego samego mózgu. Historia z popsutymi rzeczami w lodówce zupełnie go jednak wytrąciła z równowagi.

Miał kompletny mętlik w głowie, do tego stopnia, że nie potrafił wyciągnąć z tamtego wydarzenia wniosków, a właściwie bał się je sformułować wprost. Dzwonne to było wszystko i mocno konfundujące.

A tamten facet ciągle pił. Siorbał kawę małymi, krótkimi łykami, jakby to była jedyna ważna rzecz na tym świecie. Może automatyzm i powtarzalność tej czynności jakoś go uspokajały? A może... - ta myśl stanęła bezczelnie w swojej pełnej bezwstydu jasności - może dlatego ten człowiek tak się zawiesił, bo umysł, który go wymyślał, był zagubiony i skonfundowany? Jego umysł...

Przyjrzał mu się uważnie. Czy to, że noszą takie samo imię, obaj byli studentami Akademii Sztuk Pięknych, a nawet to, że jakby się do siebie z biegiem czasu upodabniali, było tylko i wyłącznie przypadkiem? Może myślał go po prostu, stworzył sobie swój własny awatar, alternatywną wersję siebie? A tamte przebłyski z powtarzaniem jego myśli i to obecne katatoniczne zawieszenie na mechanicznie powtarzanym geście są tego syndromami.

Mężczyzna przerwał nagle swój monotony rytuał i zwrócił na niego wzrok. Ich spojrzenia się spotkały.

- Dziwne, co? - powiedział.

Przeszedł go dreszcz. Dokładnie o tym przecież teraz myślał.

- Co jest takiego dziwnego? - spytał mimo to.

- To, że tu razem siedzimy. Kiedyś studiowaliśmy razem na ASP, mieliśmy podobny punkt startu, byliśmy w pewnym sensie równi, a teraz... - Przerwał na chwilę. - A teraz ja jestem portierem, siedzę u pana w mieszkaniu, które jest i będzie zawsze poza moim zasięgiem i czuję się jak lokaj, któremu pan pozwolił usiąść na swojej kanapie.

Nie odpowiedział, czekał. Jeśli ich dwóch obsługuje ten sam mózg, nie należy mu dokładać pracy.

- Nawet imiona mamy przecież takie same - usłyszał.

Poczuł, jak zimny pot wychodzi mu na czoło. O tym też przed chwilą myślał.

Nagle coś przyszło mu do głowy.

- Mówił pan, że ma pan dzieci. Ile dokładnie? - spytał.

- W zasadzie to nie dzieci, tylko dziecko. Syna.

Znowu ten zimny pot.

- Ile ma lat?

- Dziesięć.

Mniej więcej tyle, ile tamten chłopiec na fotografii z Karaibów.

- Ma pan jakieś jego zdjęcie? - spytał.

Mężczyzna zaśmiał się krótko.

- W portfelu nie noszę, ale na telefonie coś powinno być - odpowiedział.

Wyjął aparat z kieszeni spodni.

- A nie, przepraszam - powiedział. - Ostatnio zmieniłem komórkę i wszystkie zdjęcia zostały na starej. Muszę je jakoś przekopiować, ale ciągle o tym zapominam.

- Są do tego specjalne aplikacje - zauważył. - Łączy się nowy telefon ze starym za pomocą sieci i wszystko przenosi się automatycznie. Nie ma pan takiej?

- Naprawdę? - zdziwił się portier. - Nie, nie mam. Nigdy nie byłem dobry w kwestiach technicznych.

On też nie był dobry w sprawach technicznych. Takie rzeczy jednak ogarniał bez problemu. Może więc wcale nie o to chodziło? To jednak trochę dziwne nie mieć w telefonie żadnego zdjęcia własnego dziecka.

- Jak wygląda? - spytał.

- Kto?

- Pański syn.

- Czy ja wiem? - Mężczyzna uniósł do góry brwi. - Normalnie. Jak zwykły chłopiec. Dosyć szczupły. Ja też taki byłem w jego wieku.

- Jaki ma kolor włosów?

- Włosów? - Zastanowił się przez chwilę. - Blond. Jest blondynem.

- Ciemnym czy jasnym?

Portier popatrzył na niego zdziwionym wzrokiem.

- Raczej jasnym - odpowiedział. - A jak jest lato i świeci słońce, to już całkiem. Włosy ma wtedy prawie białe. Dlaczego pan o to pyta?

Słońce, prawie białe włosy. Poczł nagłe wzruszenie.

- Po prostu wydawało mi się, że go tu kiedyś widziałem - wymyślił naprędcę. - Nie przychodzi czasem do pana do pracy?

- Czasem przychodzi - potwierdził portier. - Ma niedaleko szkołę.

- No właśnie.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że ramka i tamto zdjęcie wciąż jeszcze leżą u niego w zlewku. Wczoraj włożył je tam, gdy jego żona zraniła się w rękę. Zrobił to, by móc je później znowu obejrzeć. Później, kiedy już skończy się tamto zamieszanie. A potem... a potem o nich zapomniał. Poczł suchość w ustach. To zdjęcie tam ciągle było. Zdjęcie z tym chłopcem o zbielałych włosach.

- Napiję się wody - powiedział ze ściśniętym gardłem. - Przepraszam na chwilę.

- To pana mieszkanie. - Gość wzruszył ramionami. - I pana woda.

Poszedł do kuchni. Wziął szklanke i ruszył z nią w stronę zlewu. Wcześniej nie pomyślał, żeby do niego zajrzeć. Lodówka i ekspres do kawy były trochę dalej. Gdyby od razu wyrzucił spleśniałe mleko, zapewne wewnątrz zlewu i wszystko, co się w nim znajdowało, samo podeszłoby mu pod oczy, lecz on odstawił butelkę z powrotem do lodówki.

Stanął przy zlewku. Żadnego zdjęcia nie było.

ROZDZIAŁ 55

- Zakładam, że już pan tę możliwość rozważył, a nawet sprawdził - powiedziała. - I zaraz poznam tego wyniki.

Patolog zmarszczył zabawnie nos.

- Popsuła mi pani niespodziankę - stwierdził z wyrzutem - ale ma pani rację. Za chwilę pani je pozna.

- Umieram z niecierpliwości - odparła i wbrew pozorom nie było w tym ani cienia ironii.

- No cóż - zaczął patolog - zacznijmy od kąta, pod którym były zadawane ciosy. Jeśli chcemy pchnąć kogoś nożem lub innym podobnym narzędziem, na przykład śrubokrętem, mamy dwie możliwości, by to zrobić. Możemy chwycić to narzędzie tak, by nasz kciuk znajdował się od strony ostrza, albo odwrotnie: tak, by bliżej ostrza był mały palec. Pierwszy sposób to tak zwany chwyt szermierczy, nazwany tak, gdyż w ten właśnie sposób trzyma się broń białą, taką jak szpada, rapier, szabla czy miecz. Trzymając nóż chwytem szermierczym, wyprowadzamy pchnięcia od dołu, z okolicy bioder lub ewentualnie na wprost z okolic piersi, choć jest to znacznie mniej wygodne. - Opisując to, lekarz sądowy nie omieszkał pokazać, jak się to robi za pomocą trzymanego w dłoni skalpela. - Drugi chwyt nie ma specjalnej nazwy, choć czasem określa się go mianem „sopła lodu”. Używany jest głównie w walce nożem, bardzo trudno bowiem byłoby władać w ten sposób szpadą lub szablą. Jeśli trzymamy nóż w ten sposób - mężczyzna przełożył ostrze skalpela na drugą stronę swej dłoni - zadajemy ciosy z góry, zazwyczaj znad głowy, wyprowadzając je z ugiętego łokcia. Możemy wyprowadzać je również na

wprost, ale wtedy musimy trzymać broń w okolicy policzka - lewego, gdy jesteśmy praworęczni i prawego, gdy jesteśmy leworęczni - dźgamy wtedy niejako zza ucha, trafiając nasz cel z boku.

Na wszelki wypadek odsunęła się trochę, bo i tym razem patolog pokazał dokładnie i dość dynamicznie, jak wykonuje się takie dźgnięcie.

- Zapewne zastanawia się pani teraz, która z tych technik została zastosowana w tym przypadku? - Pytanie było raczej retoryczne, więc nie uznała za potrzebne, by na nie odpowiadać. - Badając twarzoczaszkę ofiary, powinniśmy umieć to określić na podstawie rodzaju ran i kąta ich zadawania, prawda? obrażenia także i w tym przypadku są jednak nie do końca typowe i dają nam niejednoznaczne odpowiedzi. Kanały, jakie ostrze noża pozostawiło w mięśniach i kościach twarzy denatki, mówią nam bowiem następujące rzeczy: po pierwsze, pchnięcia nie były wyprowadzone z dołu, po drugie, nie były wynikiem dźgania od góry, po trzecie, otwory wlotowe ran zorientowane są pionowo względem osi ciała, co wyklucza wyprowadzenie ciosu na wprost w chwycie szermierczym lub z okolicy ucha w drugiej technice. W zasadzie nie ma takiej pozycji, w której sprawca, nazwijmy go „zewnątrznym”, mógłby zadać takie obrażenia, chyba że postanowił zabić ofiarę w wyjątkowo niewygodny dla siebie sposób.

- Rozumiem, że problemy te znikają, gdy założymy, że ofiara sama trzymała nóż? - spytała.

- Otóż to. - Mężczyzna z powagą pokiwał głową. - Jeśli przyjmiemy, że trzymała go chwytem szermierczym i wyprowadzała ciosy od dołu, ale kierowała je w swoją własną twarz, otwory i kanały ran powinny być dokładnie takie, jakie są teraz. Czyli mniej więcej pod kątem dziewięćdziesięciu

stopni względem twarzy i zorientowane pionowo.

- Chwileczkę... - Dała się chyba ponieść temu rekonstrukcyjnemu widowisku, ponieważ zacisnęła dłoń w pięść, jakby trzymała w niej nóż, i wykonała nią kilka imitujących pchnięcia ruchów do przodu. - Załóżmy, że ciosy wyprowadzone były chwytem szermierczym z okolicy piersi. - Patolog uniósł na chwilę ledwo dostrzegalnie lewą brew przy tym słowie, co u kogoś innego mogłoby być uznane za przekroczenie granic dopuszczalnego zachowania względem kobiety, z którą pozostaje się w stosunkach służbowych, u niego zaś było tylko sympatycznym żartem balansującym na tej granicy. - Nie jest chyba tak do końca niemożliwe, by rany w ten sposób zadane miały otwory wlotowe zorientowane pionowo?

Zaprezentowała mu to w taki sam sposób, w jaki on wcześniej prezentował to jej.

- Bardzo słusznie - zgodził się lekarz. - Do końca nie jest to niemożliwe. Naturalne ułożenie dłoni byłoby zapewne nieco inne, przekręcone względem osi o co najmniej dwadzieścia pięć stopni, ale faktycznie można by sobie wyobrazić sytuację, by ktoś dźgał nożem właśnie tak. Zwłaszcza motoryka kobiet sprzyjałaby takiemu zadawaniu ciosów, więc nie dziwię się, że zwróciła pani na to uwagę. Oczywiście też o tym pomyślałem, postanowiłem więc rozwiać i tę wątpliwość.

- Jak pan to zrobił? - spytała.

- Bardzo prosto i tak jak zawsze - odparł. - Badając zwłoki. Jeśli robi się to uważnie i z otwartym umysłem, takie badanie potrafi odpowiedzieć nam naprawdę na wiele pytań. Zwróciłem na przykład uwagę na jej prawą dłoń. Jest ona pokryta niemal całkowicie zaschniętą krwią. Ale, uwaga! - Uniósł rękę ze skalpelem do góry. - Tylko od zewnętrznej strony. Strona wewnętrzna jest niemal czysta. O czym to może świadczyć?

- Że dłoń była zaciśnięta lub że ofiara coś w niej trzymała - odpowiedziała niczym pilna uczennica na wykładzie profesora.

- Dokładnie - potwierdził. - Oraz że w chwili, gdy następowało silne krwawienie z ran, jej dłoń była na tyle blisko jego źródła, że, jak mówi poeta, skąpała się cała w krwawej posoce. Odpowiada to bardzo dobrze sytuacji, gdy ofiara trzyma w zaciśniętej dłoni rękojeść noża i dźga nim się sama w twarz.

- Nie wspomniał pan nic o śladach daktyloskopijnych - zauważyła. - One chyba najłatwiej potwierdziłyby lub wykluczyły hipotezę o tym, że denatka sama zadała sobie te rany.

- Znowu słusznie. - Kiwnął głową. - Nie wspomniałem, bo nie ma za bardzo o czym - wyjaśnił. - Rączka noża pokryta była antypoślizgową wykładziną o strukturze siatki. To w połączeniu z dużą zapewne dynamiką zadawania ciosów sprawiło, że odciski palców, jakie udało się zabezpieczyć, były bardzo rozmazane i niepełne. Nie znaleźliśmy ani jednego, który dałoby się porównać z odciskami palców denatki i jednoznacznie potwierdzić, że są tożsame. Czasem tak bywa, sama pani wie. I nie jest to takie znowu rzadkie. Ludziom się wydaje, że odcisk palca jest zawsze pewnym i niezbitym dowodem. Wcale nie. Ale pozostałe wnioski są moim zdaniem bardzo przekonujące. Trudno byłoby zinterpretować tę siatkę śladów w inny sposób. To było samobójstwo, pani prokurator.

ROZDZIAŁ 56

Zamrugnął oczami. Jak to? Przecież pamiętał, jak sam je tu wkładał. To cholerne zdjęcie. Kawałki stłuczonej szybki wraz z ramką wciąż jeszcze leżały na dnie zlewu. Lecz zdjęcie też chyba tu położył. Z tą myślą, że jak tylko zatamuje krwawienie, jak sytuacja nieco się uspokoi, wróci tu i je obejrzy dokładnie. Sprawdzi, czy jest na nim ten chłopiec o jasnych włosach, czy go nie ma.

Lecz zdjęcia nie było.

Może się pomylił, źle to zapamiętał? Może wyrzucił je jednak do kosza? Zaaferowany sytuacją, cieknącą krwią i raną, zadziałał automatycznie, nie myśląc. Zrobił to, co się zawsze robi, gdy niesie się takie rzeczy do kuchni. Otworzył szafkę i wywalił zdjęcie do śmieci.

Postawił szklanekę na blacie i otworzył drzwiczki pod zlewem. Zaczął grzebać w koszu, ale tam również go nie było. Może ktoś je wyrzucił?

Jego żona? Rano, gdy jeszcze spał, gdy szła do pracy? Naprawdę miała po tym wszystkim do tego głowę? Z tą ręką obwiązaną bandażem – chciało jej się, pomyślała w ogóle o tym? I dlaczego nic nie słyszał? Przecież spał na kanapie, w tym samym niemal pomieszczeniu.

W sumie kto inny mógłby to zrobić, jak nie ona? Jego matka? Krzątała się przecież przy zlewie w kuchni. Tylko że ona... Przecież nie żyje. Czy może ukraść zdjęcie ktoś, kto dawno umarł? Ktoś, kto jest zjawą nawet przy założeniu, że wszystko inne jest prawdziwe? Chyba że... że to kolejny dowód na nieciągłość, na błędy w jego wymyślonym świecie. Przypomniał

sobie spleśniałe mleko w lodówce. Może tak to działa? Jego iluzja rozsypuje się, jak o tym kiedyś myślał. Rzeczy psują się lub znikają, bo jego umysł nie jest już w stanie zapanować nad wykreowaną przez siebie rzeczywistością, zalicza błąd za błędem.

Odwrócił się i spojrzał na swojego gościa. Siedział bez ruchu na kanapie i patrzył przez okno. Jakby ta część halucynacji zacięła się, jakby to był jej kolejny błąd.

Jego wzrok najwyraźniej ożywił ją jednak. Jego uwaga skierowana w tamtą stronę odblokowała proces. Portier popatrzył na niego. Ciekawe, co teraz powie?

- A tak w zasadzie, to czym pana żona tak się zacięła? - spytał. - Aż dziwne, że do tej pory o to nie spytałem.

Bo do tej pory o tym nie pomyślałem, przemknęło mu przez głowę.

- Stłuczoną szybką z ramki na zdjęcie - odpowiedział.

- Aż tak mocno? - zdziwił się. - I stąd tyle krwi?

- Musiała przeciąć jakieś większe naczynie krwionośne - odparł.

- Kiedyś przeszedłem przez szybę w drzwiach - powiedział mężczyzna. - Takich starych, wie pan, wewnętrznych. Kiedyś we wszystkich mieszkaniach były takie. Zbiła się i przez długi czas nikt nie wstawiał nowej, więc nauczyłem się wchodzić do swojego pokoju przez dziurę po niej. No i w końcu rodzice postanowili to naprawić. Ja akurat tego dnia byłem długo poza domem. Wróciłem, patrzę - nowa szyba, no OK. Ale kiedy w nocy wstałem do łazienki, zapomniałem o niej i zamiast otworzyć drzwi, spróbowałem znowu przejść przez tę dziurę. Do dziś mam taką bliznę na nodze. - Pokazał jej długość rozsuniętymi dłońmi. - Krwi też było wtedy naprawdę sporo. Nigdy wcześniej ani później nie widziałem mojej matki tak przestraszonej.

Nie skomentował tego. Postanowił, że pozwoli awatarowi mówić. Nie będzie go naprowadzał żadnymi wskazówkami.

- Co było na zdjęciu? - spytał portier.

Zamyślił się, więc nie od razu dotarł do niego sens pytania.

- Słucham?

- Co było na tym zdjęciu? - powtórzył mężczyzna.

- Ma to jakieś znaczenie? - spytał.

- Nie, no żadne. - Portier wzruszył ramionami. - Spytałem z ciekawości i, jak to mówią Rosjanie, dla paddzierzki razgawora.

- To była fotografia z wakacji - powiedział. - Znad morza.

- Fajnie - usłyszał. - Lubię morze. Ale dawno nie byłem.

- Niech mi pan opowie coś o swoim synu - powiedział nagle.

Mężczyzna spojrzał na niego zdziwiony.

- Dlaczego on pana tak interesuje? - spytał.

- Nie interesuje. - Tym razem to on wzruszył ramionami. - Pytam dla podtrzymania rozmowy. I może dlatego, że sam nie mam dzieci - dodał po chwili.

- No cóż. - Portier uniósł brwi. - Chłopiec jak chłopiec, co mam panu powiedzieć? Lubi grać w piłkę. Interesuje się piłkarzami. Nie ma tego raczej po mnie - skomentował. - Pewnie ze szkoły to przyniósł, jak inne choroby. - Zaśmiał się krótko.

- Ile ma wzrostu? - spytał.

- Czy ja wiem? Gdzieś tyle. - Mężczyzna uniósł dłoń nad podłogę.

- Jaki ma kolor oczu?

Portier zastanowił się.

- A tu mnie pan zagiął - powiedział. - Nie wiem. Jak się urodził, to miał niebieskie, ale większość dzieci takie ma na początku. Potem mu ściemniały. Teraz ma... brązowe chyba.

- Waga?

Mężczyzna popatrzył na niego nieco podejrzliwie.

- Chce go pan kupić? - spytał z ironią. - To raczej niemożliwe. Nawet pana nie byłoby stać.

- Nie, nie chcę go kupić - odpowiedział. - Nie miałbym go gdzie postawić - zażartował. - To małe mieszkanie, nawet z żoną jest nam w nim czasem ciasno - dodał cierpko. - Z ciekawości pytam. Jak już mówiłem, nigdy nie miałem dzieci.

Portier nie wydawał się specjalnie przekonany.

- Myślę, że koło dwudziestu, dwudziestu pięciu kilo - odparł jednak. - Jest dosyć szczupły. Ale nie ważę go codziennie.

- Naprawdę nie ma pan jego zdjęcia?

Mężczyzna nieco zeszywniał.

- Nie, nie mam - odpowiedział. - I jeśli jest pan jednym z tych bogaczy, którzy próbują wykorzystać swoją pozycję...

- Niczego nie próbuję wykorzystać - przerwał mu. - Zupełnie nie o to mi chodziło. Poza tym już to panu tłumaczyłem: nie ja jestem bogaty, tylko moja żona. A w zasadzie nawet nie ona, tylko jej matka. Moja pozycja jest więc wysoce dyskusyjna.

Zrobiło się nieco nieprzyjemnie. Pomyślał, że to dobrze. Jeśli chce przetestować swoją hipotezę, nie powinien unikać sytuacji skrajnych. Wtedy najszybciej wychodzą błędy. Może wręcz powinien zorganizować swojej rzeczywistości rodzaj crash testu?

- Chyba już powinienem iść - stwierdził portier.

- Niech pan jeszcze zostanie - powiedział.

- Nie, naprawdę, będę już leciał. - Mężczyzna uniósł się z kanapy.

- Proszę. Jeszcze. Zostać - powiedział wolno i dobitnie. - Nalegam.

ROZDZIAŁ 57

- No dobrze, to też skończone. - Lekarz sądowy odłożył skalpel. Tym razem, jak się wydawało, definitywnie. Truchło zwierzęcia leżące na stole sekcyjnym, porozkrawane i poddane tym wszystkim zabiegom, którym zazwyczaj poddawano zwłoki ludzkie, wyglądało nieco surrealistycznie. - Grzeczny piesek. - Mężczyzna nie omieszkał wykorzystać tej okazji, by wykonać gest udawanego głaskania, który zapewne według niego był zabawny, lecz Seredyńskiej jakoś w ogóle nie rozbawił.

- I jak, poradził pan sobie czy mam powołać biegłego weterynarza? - spytała.

- Nie będzie takiej potrzeby - odparł patolog, ściągając z dłoni jednorazowe rękawiczki. - Przyczyna śmierci jest dość jasna.

- Zdradzi mi ją pan?

- Przerwanie rdzenia kręgowego. Ktoś biedakowi skręcił kark.

Zdziwiła się. Nie tym, w jaki sposób zginął ten pies, raczej tym, że zostało to oznajmione w tak bezpośredni sposób.

- Co nie jest takie łatwe w przypadku psów tej rasy, biorąc pod uwagę, że praktycznie nie mają one szyi - dodał mężczyzna.

- Jakież jeszcze ciekawe wnioski? - spytała i zabrzmiało to trochę tak, jakby była rozczarowana zdawkowością jego pierwszej wypowiedzi.

- O, jeden na pewno! - rzucił. - Ale jak sądzę, już go pani zna.

- Nie bardzo rozumiem. - Uniosła brwi.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Nie czuje pani? - spytał.

- Czego?

- Zapachu.

Wciągnęła powietrze nosem, by nieco odświeżyć sobie to niezbyt przyjemne doznanie, do którego zdążyła się już przyzwyczaić na tyle, by przestać na nie zwracać uwagę.

- Jest trochę inny niż przy ludzkich zwłokach - odpowiedziała. - Ale to chyba nic dziwnego. Bardziej słodkawy.

- To miód - stwierdził krótko. - Stąd ten słodkawy zapach.

- Miód? - spytała, choć przecież usłyszała wyraźnie.

- Miód - przytaknął. - Moim zdaniem lipowy. - Uśmiechnął się zdawkowo.

- Skąd tu się wziął miód? - Nie bardzo mogła uwierzyć.

- Całe zwłoki, jeśli mogę w ogóle tu użyć tego słowa, są nim wysmarowane od stóp do głów - odpowiedział. - Czy też raczej od ogona do pyska.

Przyjrzała się raz jeszcze leżącemu na blaszanym stole niewielkiemu ciałku. Pokrywająca je sierść faktycznie była jakby czymś posklejana. To stąd się wzięły tamte brązowe krople na wewnętrznej powierzchni folii, którą było owinięte, gdy je znaleźli.

- Po coś ktoś miałby zrobić coś takiego? - spytała.

Patolog wzruszył ramionami.

- Jeśli przyjmujemy, że działał racjonalnie, to po to, żeby zatrzymać rozkład - odparł. - Miód pszczele zawiera naturalny antybiotyk, pokrycie nim mięsa zapobiega namnażaniu bakterii. Ale oczywiście prawdziwy powód mógł być zupełnie inny. Na świecie nie brakuje świrów.

Nawet nie próbowała sobie wyobrazić tego innego powodu.

- Czy jest jakaś możliwość... - nie wiedziała, jak to określić - identyfikacji? Na przykład, nie wiem, po rasie.

Mężczyzna odszedł od stołu sekcyjnego, by umyć ręce.

- Nie sądzę - odparł, nachylając się nad zlewem. - Policja może popytać, czy w okolicy komuś nie zginął piesek, ale, jak myślę, to tyle. Na moje oko to buldog francuski, obecnie rasa dość popularna, niestety. Ludzie kupują je z niezrozumiałych dla mnie powodów, bo nie dość, że są to psy wyjątkowo szpetne, to jeszcze bardzo chorowite z powodu spłaszczonego pyska. Męczą się nawet samym oddychaniem. Są oczywiście hodowle i można by od nich uzyskać nazwiska osób, które takie psy od nich kupiły w ostatnich latach, ale to jak szukanie igły w stogu siana, bo jak już wspominałem, to modna rasa, więc i tych hodowli jest zapewne sporo. I tu faktycznie przydałby się biegły z zakresu weterynarii, żeby określił przybliżony wiek tego psa.

- Można by zbadać jego profil genetyczny i porównać z DNA psów z poszczególnych hodowli - zauważyła. - To pozwoliłoby na odnalezienie tej jednej, z której pochodzi. I dopiero wtedy poszukać właściciela.

- Można by. - Patolog wytarł dłonie. - Znakomicie, pani prokurator. Mówiłem, że byłaby pani dobrym lekarzem sądowym. Ale to ciągle mnóstwo zachodu i bardzo długo czekaliibyśmy na wyniki. Sugerowałbym więc, by zleciła to pani tylko w sytuacji, gdy uzna to pani za naprawdę niezbędną.

Spojrzała po raz nie wiadomo który na leżące na blaszonym stole zwierzę. Odsłonięte białe ząbki wyszczerzone były w sufit. Faktycznie dziwna była ta rasa. Wyglądało to bardziej na zwłoki kosmity niż na ciało martwego psa.

Nagle coś jej przyszło do głowy.

- Zbadał pan też jego zęby? - spytała.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Dość pobieżnie - przyznał. - Nie było tam nic specjalnie ciekawego, nawet próchnicy.

- Nie do końca o to mi chodzi - wyjaśniła. - Pomyślałam, że skoro bada się paznokcie ofiar zabójstw w nadziei, że pozostały za nimi ślady biologiczne ich zabójców...

- To nie od rzeczy byłoby sprawdzić, czy nasz mały piesek przez śmiercią kogoś nie chapsnął? - dokończył za nią. - Bardzo dobry pomysł. Że też sam na niego nie wpadłem. Nie chce pani przypadkiem zmienić pracy? - Uśmiechnął się do niej.

- Dziękuję, pozostanę przy swojej - odparła.

- Niech się pani dobrze zastanowi - powiedział, wkładając z powrotem lateksowe rękawiczki. - To wyjątkowo mało stresująca robota. W miłym chłodzie, pod dachem, poznaje się dogłębnie wielu bardzo ciekawych ludzi, czasami także zwierzęta...- Puścił do niej oko. - A wie pani, co jest w niej najlepsze? - spytał. - To, że ci ludzie niczego od nas nie chcą, nie mają o nic pretensji, nie wywierają na nas presji i niezależnie od tego, jak bardzo byśmy ich nie zranili, wszystko przyjmują z olimpijskim spokojem.

- À propos presji - przerwała jego filozoficzny wywód. - Nie wie pan, kiedy przyjdą wreszcie wyniki badań DNA?

- Dzisiaj przyszły - odpowiedział. - Nie widziała ich pani?

- Nie - odparła. Faktycznie, nie sprawdzała ostatnio poczty.

- A szkoda - skomentował lekarz. - Też są bardzo ciekawe. Nasza zawzięta samobójczyni nie jest córką Salomei Bejtner. Chyba że została adoptowana. Za to plama krwi na podłodze pochodzi od jej krewnej pierwszego stopnia.

ROZDZIAŁ 58

Portier opadł z powrotem na kanapę. Zrobiło się nieco niezręcznie. To znaczy zrobiłoby się niezręcznie, gdyby to była sytuacja w prawdziwym życiu z prawdziwymi ludźmi, a tego nie mógł być pewien. Zaczynała go trochę męczyć ta schizofrenia: z jednej strony traktował te wszystkie zjawy, jakby istniały naprawdę, z drugiej coraz mniej i rzadziej w to wierzył. Łapał się przez to na odruchach, które wydawały mu się śmieszne, a wręcz absurdalne. Takie właśnie jak ten teraz – gdy zastanawiał się, co powiedzieć i co zrobić, by nieco osłabić i obrócić w żart wrażenie, że zatrzymał tu tego człowieka na siłę. Po co miał jednak na dobrą sprawę się tym przejmować? Czy można urazić, przestraszyć i wprawić w zakłopotanie awatara? Kogoś, kto najprawdopodobniej istnieje tylko w naszej głowie? Powinien zdusić w sobie takie myśli i takie emocje i spróbować pograć na ostro; zobaczyć, co się wtedy stanie.

- Po co tu właściwie przyszedłeś? – spytał.

Portier popatrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

- Bo pana żona zostawiła u mnie wczoraj obrączkę, mówiłem panu – odpowiedział zdziwiony.

- Pytam, po co naprawdę przyszedłeś? – Pozwolił sobie na dość nieprzyjemny ton. - Obrączka była tylko nadarzącym się szczęśliwie pretekstem, może zresztą sam ją wczoraj schowałeś, żeby móc tu dzisiaj przyjść.

- Nie wiem, o czym pan mówi. - Mężczyzna poruszył się niespokojnie na siedzeniu.

- Czyżby? - Zbliżył się do niego. - Myślisz, że nie widzę, jak mnie osaczasz?

Portier odruchowo odsunął się na kanapie w stronę okna.

- Naprawdę nie wiem, o co panu chodzi - odpowiedział.

- Nie pamiętam cię z ASP - naciskał go dalej. - Ani z tamtej wystawy. Może wcale nie studiowaliśmy razem?

Stał teraz nad nim, patrząc na niego z góry, przytłaczając go i dominując nad nim, sprawiając, że musiał zadzierać głowę, by mu spojrzeć w twarz, lub spuszczać pokornie wzrok w dół. Taka pozycja wykluczała równorzędną rozmowę.

- Nie pamięta mnie pan, bo inaczej wtedy wyglądałem. Byłem szczuplejszy, nie miałem brody... - próbował bronić się mężczyzna.

- Skąd mam wiedzieć w ogóle, że masz na imię Krystian, jak ja? Może to też sobie wymyśliłeś, żeby się do mnie zbliżyć?

Portier uniósł ku górze plakietkę, którą nosił przypiętą na piersi.

- Ale naprawdę mam takie imię, proszę zobaczyć...

- Taką karteczkę każdy idiota może wydrukować. Nie trzeba do tego ASP - rzucił mu w twarz.

- Mam panu pokazać dowód? - spytał mężczyzna. - Nie mam go teraz przy sobie, ale mogę przynieść...

- Nigdzie stąd nie wyjdiesz, kolego. Myślisz, że jestem głupi? - Nachylił się nad nim.

Podobała mu się ta gra. Ten film, który sam sobie reżyserował i pisał do niego na bieżąco scenariusz. Było w tym coś... upajającego. Nigdy wobec nikogo tak się nie zachowywał.

- To chyba faktycznie rozwinęło się w złym kierunku - zaczął ostrożnie portier. - Przepraszam, że tu do pana przyszedłem, że wszedłem do pańskiego mieszkania, przekroczyłem dalece swoje kompetencje - powiedział. - Czy mógłbym już w takim razie wyjść i wrócić do swoich obowiązków? - Denerwował się. To też mu się podobało.

- Mówiłeś przecież, że skończyłeś pracę? Kłamałeś?

- Nie, nie. Tak, skończyłem - mężczyzna zaczął się pocić. - Po prostu chciałbym już wyjść i wrócić do domu. Obiecałem synowi, że zabiorę go do kina na ten nowy film z Tomem Cruise'em. Jak pan chce, przyniosę panu jego zdjęcie. To znaczy nie Toma Cruise'a, mojego syna.

- Namaluj coś - powiedział.

- Słucham? - Portier uniósł na niego zaskoczony wzrok.

- Udowodnij mi, że skończyłeś to jebane ASP - polecił. - Tam stoją sztalugi - pokazał. - No, dalej!

Odsunął się, aby pozwolić mu wstać.

Portier nie ruszył się jednak.

- Tu? Teraz? Co mam namalować? - Wydawał się kompletnie zdezorientowany.

- Cokolwiek. Nie wiem, widok za oknem, portret żony, wszystko mi jedno.

- Sam pan przecież wie, że to nie takie proste - próbował oponować. - To tak, jakby mi pan kazał napisać wiersz na poczekaniu...

- Nie oczekuję od ciebie arcydzieła, które na stałe zapisze się w historii sztuki, tylko pokazania mi, że wiesz, o co chodzi. No już, rusz się!

Portier niechętnie wstał z kanapy i z ociąganiem podszedł do sztalug. Wziął jeden z pędzli, potem nachylił się w stronę farb. Wybrał trzy tubki. Spojrzał na niego spode łba.

- Ja tylko odniosłem obrączkę - powiedział.

- Chciałeś się zaprzyjaźnić, fraternizować - odparł mu zimnym głosem. - Wkręcić się do tego domu, nawiązać relacje, udawać przyjaciela. Chciałeś tymi wszystkimi swoimi przysługami, tym pomaganiem raz mi, raz mojej żonie, wkupić się w nasze łaski. Myślisz, że nie wiem, o co ci chodziło? No to masz teraz okazję. Stoisz tu ze mną i malujesz na mojej sztaludze, moimi farbami. Powinieneś się cieszyć.

Mężczyzna stanął przed białym płótnem.

- Jestem tylko portierem, który próbuje nie zapomnieć, że kiedyś chciał zostać malarzem - powiedział. - Dlatego do pana lgnąłem. Żeby przypomnieć sobie tamte czasy. I ma pan rację, ucieszyłem się w jakiś sposób, że mam pretekst, by tu do pana dziś przyjść. Ale to tylko tyle.

- Na pewno? - Wykrzywił swoją twarz w grymasie, który, jak to skonstatował z pewnym zdziwieniem, był tylko na poły udawany. - A te wszystkie „jesteśmy tacy sami, mamy tak samo na imię, ja też jestem malarzem...” - zaczął go złośliwie przedrzeźniać. - To co to było? - spytał. - Uważasz, że kim ty jesteś? Jakimś moim alter ego? Bratem bliźniakiem, który się nagle nie wiadomo skąd pojawił, jak w jakiejś brazylijskiej telenoweli?? A może rzeczywiście jesteście tym samym, co? Splątanymi kwantowo cząstkami o zawsze takim samym spinie? „Ja i ty jesteście jednej krwi”. Tak to leciało?

Mężczyzna z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Ma pan jakiś problem - powiedział. - A ja nie do końca chyba chciałbym wiedzieć, jaki. W porządku, namaluję panu ten obraz, a potem sobie pójdę, dobrze? I już nigdy więcej nie spróbuję się do pana w żaden sposób zbliżyć. Czy to panu pasuje?

Wziął do lewej ręki paletę i wycisnął na nią farbę z jednej z tubek.

- Nie tym - warknął na niego. - Maluj tamtym. - Wskazał na czerwoną plamę na podłodze.

ROZDZIAŁ 59

Postanowiła pojechać w końcu drugi raz do szpitala i porozmawiać z Zapałą. Dawno już miała to zrobić, lecz podświadomie odkładała to na później. Teraz w końcu nadszedł ten moment, gdy zrozumiała, że nie może dalej ignorować źródła informacji, którym był naoczny świadek wydarzeń, nawet jeśli jest on nie do końca wiarygodny.

- Jak stan mojego pacjenta? - spytała lekarkę, która teraz nim się zajmowała.

- Stabilnie, w zasadzie to całkiem dobrze - usłyszała w odpowiedzi. - Ale wolelibyśmy go jeszcze zatrzymać przez jakiś czas na obserwacji. Biorąc pod uwagę kondycję, w jakiej go tu przywieźli, myślę, że byłoby to wskazane. Nigdy nie wiadomo, co może jeszcze wyskoczyć.

- To się świetnie składa, bo też wolałabym, by stąd jeszcze nie wychodził - odpowiedziała.

Lekarka kiwnęła głową.

- No to mamy jasność. - Uśmiechnęła się. - Pacjent tu jeszcze trochę zostanie.

- Mam jeszcze jedno pytanie - zaczęła Seredyńska. - Zdaję sobie oczywiście sprawę, że to nie jest oddział psychiatryczny, a pani nie jest psychiatrą ani psychologiem, ale może mogłaby mi pani udzielić jakichś informacji na temat jego stanu umysłowego. Gdy rozmawiałam z nim pierwszy raz, zdawał się odpowiadać nie do końca spójnie.

- Teraz wydaje się zupełnie normalny - stwierdziła lekarka. - Rozumie, co się wokół niego dzieje. Nie zauważyłam też żadnych objawów choroby psychicznej, psychozy czy paranoi.

Jest nieco zagubiony, ale w sumie trudno się dziwić. A tak gwoli ciekawości: dlaczego woli go pani tu jeszcze zatrzymać?

Wzruszyła ramionami.

- Bo nie mam go za co aresztować, a mam dziwne przeczucie, że coś jest z nim na rzeczy - odpowiedziała. - Poza tym jego mieszkanie jest ciągle zabezpieczone, więc nie ma za bardzo gdzie wrócić.

- Jak już mówiłam: nie ma sprawy. To bardzo miły pacjent, swoją drogą. Nie ma z nim żadnych problemów. Pielęgniarki go lubią, lekarze też.

- Gdy rozmawiałam z nim ostatnio, sprawiał wrażenie, jakby nie do końca wierzył... - nie bardzo wiedziała, jak to powiedzieć - w realność świata naokoło. Czy to nie objaw jakichś zaburzeń?

- Ostatnio już tak nie mówi - odparła.

- Lecz może wciąż tak myśli?

Lekarka uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Pani prokurator, nie mamy bezpośredniego dostępu do jego myśli. Musimy bazować na tym, co nam powie. A od jakiegoś czasu o niczym takim nie wspomina. W testach, które robił mu psycholog, także nie było widać żadnych niepokojących symptomów. Może faktycznie nauczył się ukrywać te swoje przekonania, a może po prostu się ich wyzbył, nie wiem. Do pewnego stopnia to nieistotne. Ludzie wierzą w różne bzdurne rzeczy: w UFO, w światowe spiski, w homeopatię. Nie znaczy to jednak, że są chorzy psychicznie. Zresztą, jeśli ma pani takie wątpliwości, niech pani wystąpi do sądu o skierowanie go na obserwację psychiatryczną.

- Musiałabym najpierw go o coś oskarżyć. - Uśmiechnęła się kwaśno. - A nie bardzo wiem, o co.

- Tu już pani nie pomogę. - Lekarka rozłożyła ręce.

- À propos, mówił coś na temat rzeczy, które wydarzyły się

w jego mieszkaniu? – spytała Seredyńska.

– Twierdzi wciąż, że nie wie, co się tam wydarzyło.

– Nie wie czy nie pamięta?

Lekarka zaśmiała się krótko.

– Faktycznie, to dość istotne rozróżnienie. Można pamiętać, co się stało, ale nie wiedzieć, co zaszło. Nie wie. Takich słów właśnie używa.

– Mogę z nim porozmawiać? – spytała.

– Oczywiście. Biorąc pod uwagę wszystko to, co o nim powiedziałam, nie widzę żadnego problemu. Niech pani z nim rozmawia do woli.

Wyszły razem z gabinetu.

– Zaprowadzę panią – powiedziała lekarka – i zostawię. Tylko proszę go jakoś specjalnie nie torturować. Mimo wszystko jest wciąż naszym pacjentem.

– Postaram się – odpowiedziała. – Zrezygnowaliśmy z tortur mniej więcej pod koniec osiemnastego wieku.

– My jeszcze nie. – Uśmiechnęła się lekarka. – Ale pracujemy nad tym.

Dotarły do sali, w której przebywał Krystian Zapała. Pani doktor skinęła jej głową i odeszła. Drzwi były otwarte. Seredyńska zajrzała do środka.

Zapała póżsiedział na łóżku. Ubrany był w normalne rzeczy. Patrzył przez okno.

Musiał jednak ją dostrzec kątem oka lub usłyszeć, bo odwrócił twarz w jej stronę.

– O, pani prokurator – powiedział. – Mój koszmar powrócił.

Weszła do środka.

– Zaręczam panu, że nie jestem snem – odparła. – A jeśli nawet, to potrafię śnić się wyjątkowo intensywnie.

Usiadła na krześle.

– Nie wątpię – odpowiedział. – Użyłem tego sformułowania,

bo sama pani kiedyś coś takiego powiedziała. Że może się stać moim koszmarem. A teraz pani wróciła.

Zabrzmiało to, jakby przestraszył się tych wszystkich sennych nawiązań i porównań i próbował teraz się z tego wycofać. Ona z kolei wykorzystała je absolutnie świadomie.

- Dziś w każdym razie mam dla pana dobre wieści. - Uśmiechnęła się. - To znaczy mam przynajmniej nadzieję, że je pan tak odbierze.

- Zbliży się w naszą stronę kometa? Za chwilę wszyscy umrzemy? To by mnie nawet ucieszyło. - Odwzajemnił jej uśmiech.

- Aż tak dobrych informacji jednak nie przynoszę - odpowiedziała. - Musimy się jeszcze nieco pomęczyć. Co wiąże się między innymi z koniecznością dalszego prowadzenia śledztwa. I właśnie w tej sprawie do pana przychodzę.

- Proszę w takim razie zrobić mi dzień. Co się stało? Złapano mnie?

- Nie, ale zapewne ucieszy pana wiadomość, że chwilowo możemy zawiesić żałobę, w której na pewno pan się znajduje. Badania genetyczne jednoznacznie wykluczyły, by osoba, której zwłoki znaleźliśmy w pańskim mieszkaniu, była pana żoną.

Z uwagą czekała na jego reakcję. I musiała przyznać, że była ona dosyć ciekawa.

- Jest pani tego pewna? - spytał. I było w tym pytaniu bardzo szczere, pełne skupienia zainteresowanie.

- Czego jestem pewna? - Udała głupią.

- Czy jest pani absolutnie pewna, że nie była to moja żona?

- Porównaliśmy profil DNA zwłok ujawnionych w pańskiej szafie z profilem DNA Salomei Bejtner - wyjaśniła. - Wynik był bez najmniejszych wątpliwości negatywny.

- Nie o to pytałem - stwierdził. - Pytałem, czy jest pani absolutnie pewna, że nie była to moja żona?

- Nie bardzo rozumiem - skomentowała. - Pana żoną jest Agnieszka Bejtner, która jest córką Salomei Bejtner. Tak jest zapisane w jej akcie urodzenia i tak też twierdzi jej matka. A my nie mamy powodu, by to kwestionować.

- W dalszym ciągu nie o tym mówię - odpowiedział. - Nie rozumiemy się. Spróbuję wobec tego przekazać to precyzyjniej: czy jest pani pewna, że jestem mężem Agnieszki Bejtner?

ROZDZIAŁ 60

Musiała przyznać, że rozmowa z tym człowiekiem nie należała do nudnych.

- Na jakiej podstawie miałabym w to wątpić? - spytała ostrożnie.

- Moim zdaniem to źle postawione pytanie - odpowiedział. - Spytałbym raczej: na jakiej podstawie uważa pani, że to prawda?

Obserwowała go cały czas bardzo uważnie. Mówił spokojnie, wydawał się rozsądny. Jakby prezentował jej ciekawą kwestię, którą należało dogłębnie rozważyć.

- Na takiej, że nazywa się pan Krystian Zapała i według dostępnej mi wiedzy jest pan mężem Agnieszki Bejtner, córki Salomei - odparła. - Ma pan rację, nie sprawdziłam tego w aktach Urzędu Stanu Cywilnego, lecz jeśli tylko pan chce, mogę to zrobić.

- Nie o to do końca mi chodzi - stwierdził. - Ja również nie mam powodu wątpić, że Krystian Zapała jest mężem Agnieszki Bejtner. Pytanie tylko, czy na pewno nim jestem.

- A nie jest pan?

- Nie wiem. Uważam tylko, że należałoby to sprawdzić.

- W jaki sposób chciałby pan to zrobić?

- Na przykład za pomocą badania DNA - powiedział. - Skoro to taka jednoznaczna metoda.

Patrzył na nią jasnym, pewnym spojrzeniem. Mimo całego absurdu tej propozycji nie brzmiał jak ktoś, kto jest niespełna rozumu.

- W porządku - odparła. - Do takiego badania potrzebny jest materiał porównawczy. Ma pan jakąś rodzinę?

- Każdy ma jakąś rodzinę, pani prokurator. Podobno siostra mojego dziadka wyjechała przed wojną do Brazylii; ona już oczywiście dawno nie żyje, ale na pewno mieszkają tam jej dzieci i wnuki - powiedział. - Ale rozumiem, że chodzi pani raczej o bliższych krewnych?

- Tak, także geograficznie. - Uśmiechnęła się sztywno.

- No więc jeśli tak, to nie. Przykro mi - odpowiedział. - Moja matka umarła, ojca praktycznie nie znałem, nie pamiętam nawet, jak się nazywał. Zdaje się, że Roman. Nie wiem, czy jeszcze żyje. Brat, z innego ojca, zginął w wypadku samochodowym po pijaku. Pozostaje więc tylko ojczym, ale on nam się raczej nie przyda.

- Raczej nie - potwierdziła.

- W ogóle to dziwna sprawa, ale w miejscowości, skąd pochodziła moja mama, nie mamy żadnych krewnych. Wyobraża to pani sobie? Dziadek przyjechał tam po drugiej wojnie światowej do pracy. Z moją babcią było podobnie. Mieli tylko jedno dziecko. Nigdy nie miałem żadnych wujków, ciotek, braci ciotecznych ani stryjecznych, nikogo. Zawsze byłem sam jak palec. Zastanawiające, prawda?

- Ja też nie mam zbyt wielu krewnych - powiedziała. - Przynajmniej takich, których znam i utrzymuję z nimi jakieś relacje.

- Jakby mnie ktoś zrzucił z helikoptera na linie - mówił dalej, zdając się jej nie słuchać. - Jakby mnie ktoś niedokładnie i po łebkach wymyślił, nie bawiąc się w tworzenie wiarygodnej i rozbudowanej historii. Pani też tak ma? - niespodziewanie zwrócił się do niej.

Zastanowiła się.

- Nigdy w ten sposób tak o tym nie myślałam, ale chyba tak,

można by tak to opisać – przyznała.

- Teraz też raczej nie ma pani nikogo. - Obrzucił wzrokiem jej dłoń. - Nie nosi pani obrączki ani pierścionka zaręczynowego, zresztą nie wygląda pani na kogoś, kto potrzebowałby związku. Nauczyła się pani żyć samotnie i tak jest pani najlepiej, prawda?

Nie spodziewała się, że ta rozmowa przybierze taki kierunek.

- Nie wiem, czy pan zauważył, ale przyszedłem tu do pana służbowo, a nie prywatnie. - Postanowiła go usadzić. - A nasza pogawędka, mimo że przebiega w dość luźnej atmosferze, w zasadzie jest przesłuchaniem. Jestem prokuratorem i takie uwagi w stosunku do mnie są w związku z tym nieco nie na miejscu i nie mam zamiaru się do nich odnosić.

Nie wyglądało na to, że się specjalnie tym przejął.

- Oj tam! - zachnął się żartobliwie. - Na pewno macie tam taką technikę, że próbujecie wzbudzić zaufanie przesłuchiwanego, opowiadając o sobie. Proszę ją po prostu zastosować.

- Nie bardzo mam na to ochotę - odparła chłodno.

- Nawet ryzykując, że przez tę pani niechęć nie uda się pani wydobyć ze mnie istotnych informacji, a to z kolei może wpłynąć negatywnie na wynik śledztwa? - Popatrzył na nią z szelmowskim półuśmiechem.

Poczuła irytację. Bardzo nie lubiła tracić kontroli nad przesłuchaniem, a miała wrażenie, że tak się właśnie dzieje.

- O co panu chodzi? - spytała wprost. - Próbuje pan ze mną grać w jakąś grę? Szczerze odradzam, bo nie będzie to równoprawna rozgrywka. Jako oskarżyciel mam znacznie więcej asów w talii niż pan i nie zawaham się ich użyć.

Wzruszył ramionami.

- O nic mi nie chodzi - odpowiedział. - Próbuję porozmawiać

z panią jak z człowiekiem. Ci wszyscy lekarze traktują mnie tu jak jakąś żabę na stole sekcyjnym. Obserwują, kiwają głowami, robią notatki, ale tak naprawdę nie słuchają. Pani wydaje się inna.

Zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

- Dlaczego pan uważa, że jestem inna? - spytała. - Też pana obserwuję i robię notatki, tylko co innego mnie interesuje.

Popatrzył jej prosto w oczy.

- Wydaje się mieć pani ten sam rodzaj skazy, co ja - odparł. - Jakbym widział drugiego takiego samego ptaka z tak samo przetrąconym skrzydłem. A poza tym jest pani od nich znacznie ładniejsza.

Poczuła się dziwnie. Bardzo nieprofesjonalnie. Po raz pierwszy od bardzo dawna nie wiedziała, jak zareagować. Drażniło ją, że tak prosty, żeby nie powiedzieć prostacki tekst tak na nią podziałał. Równocześnie jednak chciała, by mówił w ten sposób dalej.

Musiała to jakoś zakończyć. I to jak najszybciej.

Spojrzała wymownie na zegarek.

- Przykro mi, ale będziemy musieli przełożyć dokończenie tej nadzwyczaj interesującej i kompletnie bezużytecznej rozmowy na kiedy indziej - skomentowała z chłodnym i miała nadzieję odstręczającym sarkazmem. - Zmarnował pan wystarczająco dużo mojego czasu, więc muszę już iść.

Wstała z krzesła.

- Ale wróci pani? - usłyszała, gdy była już przy drzwiach.

ROZDZIAŁ 61

Wyszła. Nie żegnając się z lekarką, opuściła budynek szpitala i wsiadła do swojego samochodu. Opuściła obie boczne szyby. Odetchnęła głęboko.

To nic, pomyślała. Chwila słabości. Ten dziwny mężczyzna mówiący niepokojące rzeczy zamieszał jej trochę w głowie, ale to przecież nic takiego. Ogarnie się zaraz. Jest profesjonalistką, zimną suką, prokuratorem Rzeczypospolitej Polskiej. Dość tego. Zakazuje sobie takich głupot.

Zasunęła z powrotem szyby i zadzwoniła do Nowaczyka. Żeby zapomnieć, wyczyścić sobie mózg po tamtym i żeby... żeby porozmawiać z mężczyzną, który na pewno jej się nie podoba.

Poza wszystkim miała co z nim obgadać.

- Spotkasz się? - spytała wprost. - Nie chce mi się gadać przez telefon.

Zapewne słyhać było, że jest poirytowana. Pewnie dlatego odpowiedział:

- Jasne. I rozumiem, że ma to się stać natychmiast?

Jego głos rozbrzmiewający dzięki zestawowi głośnomówiącemu we wnętrzu jej samochodu zadziałał na nią kojąco. Jak nudna muzyka w centrum handlowym.

- Gdybyś mógł, byłabym ci bardzo wdzięczna - odparła znacznie już łagodniej.

Mógł. Był w komendzie na Wilczej. Powiedziała, że zaraz do niego przyjedzie. To raptem półtora kilometra stąd, a o tej porze nie powinno być korków.

Była na miejscu po niespełna dziesięciu minutach. O dziwo,

udało jej się znaleźć miejsce do zaparkowania. Podkomisarz Nowaczyk już na nią czekał przed komendą.

- Chodźmy na coś słodkiego - powiedziała. - Potrzebuję czegoś bezproblemowo przyjemnego.

Naprzeciwko była cukiernia, jedno z tych miejsc o modnych ostatnio w Warszawie, dwuznacznie żartobliwych nazwach. Weszli do środka. Zamówiła ciastko z największą ilością kremu. Nowaczyk zadowolił się czarną kawą. Wyglądał o wiele lepiej niż ostatnio. Usiedli przy stoliku położonym jak najdalej od kontuaru miłej, młodej sprzedawczynie o wyglądzie studentki akademii muzycznej.

- Słucham, pani prokurator - zachęcił ją do mówienia.

- Zaczekaj. - Powstrzymała go gestem dłoni. - Najpierw to jebane ciastko.

Zjadła, a w zasadzie połknęła je w okamgnieniu. Przyglądał się temu z ironicznym zdziwieniem.

- Masz zamiar wystąpić na gali Fame MMA? - skomentował.

- I potrzebujesz nabrać masy?

- Wal się - odparła, wycierając usta z kremu.

- Już? Można? Tak? - zapytał, widząc, że skończyła.

- Dajesz - odparła. - Wszystko, co pojawiło się nowego.

Wypił łyk kawy.

- Wyniki testów DNA zapewne widziałaś? - spytał.

- Zostały mi zreferowane - sprecyzowała. - Wychodzi na to, że zamiast identyfikacji mamy zaginięcie.

- I drugiego bezpańskiego trupa - dodał.

- *Frau* Bejtner się wścieknie, gdy się dowie, że zgubiliśmy jej córkę - powiedziała.

Popatrzył na nią z pewnym zaskoczeniem. Widocznie jej niechęć do tej kobiety była aż nadto widoczna.

- Mam wrażenie, że dla niej to znacznie większy kłopot - wyjaśniła. - A tylko tym się kieruje. Śmierć to śmierć, ustala

się, kto po kim dziedziczy i sprawa jest załatwiona. Można się zająć następnymi rzeczami. A zaginięcie to problem. Niedokończona procedura.

- Dla nas też - zauważył. - Zamiast jednego problemu mamy dwa. Jeden to, kim jest ta kobieta w chłodni, a drugi, gdzie jest Agnieszka Bejtner.

- Co z odciskami palców? - spytała. - Ruszyło się z tym coś?

- Zadziwiająca sprawa - odparł. - Po pierwsze, nie ma ich tak dużo. Mieszkanie musiało być niedawno wysprzątane i to dość gruntownie. Do tego tych, które są, nie ma za bardzo jak do kogoś przyporządkować.

- Jak to? - zdziwiła się.

- Z Agnieszką Bejtner nie ma problemu - powiedział. - Miała paszport biometryczny, jej odciski są w systemie, tu jest git. Ale z jej mężem jest kłopot.

- Dlaczego?

- Ostatni raz paszport wyrabiał na początku 2006 roku. Wtedy jeszcze paszporty nie zawierały danych biometrycznych - wyjaśnił. - Ten paszport stracił ważność po dziesięciu latach, w 2016. Potem już nie wystąpił o nowy.

- Przecież byli na Karaibach - zdziwiła się. - Jej matka o tym wspominała. Jak mógł tam polecieć bez paszportu?

- Sprawdziłem to - odparł. - Byli na Martynice. To terytorium zamorskie Francji. Należy w związku z tym do strefy Schengen. Można tam polecieć, mając tylko dowód.

- No ale przecież mamy jego - powiedziała. - Jako człowieka. Leży w szpitalu. Przed chwilą z nim rozmawiałam. Można pobrać odciski, że się tak wyrażę, u samego źródła.

- Oczywiście. - Skinął głową. - I tak właśnie zrobiliśmy. Ale jest pewien problem.

- Jaki tu może być problem? - Uniosła brwi.

- Teoretycznie nie mamy dowodu, że jest to Krystian Zapała

- odparł. - Nie znaleziono przy nim żadnych dokumentów, w mieszkaniu nie było ich również. Ani dowodu osobistego, ani prawa jazdy, ani nawet tamtego starego paszportu. Prawa jazdy zresztą nigdy nie miał. Przyjmujemy, że to on, ale pewności tak naprawdę nie mamy.

Przypominała sobie swoją niedawną rozmowę z tamtym mężczyzną w szpitalu. Jego prośbę o identyfikację na podstawie DNA i dziwne słowa, że nie jest pewny, czy jest Krystianem Zapałą. Co to za szaleństwo?, pomyślała.

- Ale jest chyba w jakichś bazach danych - powiedziała. - Musi być.

- Oczywiście - przytaknął. - Jest w systemach ZUS-u, NFZ-etu, swojego banku i pewnie jeszcze w paru innych. Tyle tylko, że w tych wszystkich miejscach identyfikuje się człowieka za pomocą PESELU, nie wyglądu czy odcisków palców. Nie wiemy więc na dobrą sprawę, czy człowiek, którego znaleźliśmy pod zlewem w kuchni, jest tym samym, który ma konto w ZUS-ie czy NFZ-ecie.

- Chwileczkę - przerwała mu. - A centralny Rejestr Dowodów Osobistych? Z tego, co mi wiadomo, przechowywane są w nim również wizerunki twarzy.

Uśmiechnął się.

- Tak, ale w przypadku dowodów wydanych przed 2015 to po prostu zwykłe zdjęcia - odpowiedział. - Bez cech biometrycznych ułatwiających identyfikację. Odciski palców są w dowodach dopiero od tego roku. I Krystian Zapała ma oczywiście dowód sprzed tej daty. Mogę ci pokazać zdjęcie z jego dowodu, bo specjalnie je wydrukowałem. Spójrz.

Wyjął z kieszeni marynarki złożoną na pół kartkę A4 i podał jej. Rozprostowała ją.

- No i jak sądzisz? - spytał. - To on czy nie on?

Zdjęcie nie było zbyt wyraźne, do tego zrobione ewidentnie

parę lat przed datą wydania dowodu. Człowiek, który na nim był, wyglądał na dwudziestokilkulatka. Do tego uśmiechał się kpiąco i robił nie do końca zgodną z wytycznymi dotyczącymi fotografii do dokumentów minę.

- Kto je w ogóle zaakceptował? - zirytowała się.

Wzruszył ramionami.

- Ktoś zaakceptował - odparł. - Pewnie jakaś miła pani w okienku, której młody, przystojny chłopak namieszał w głowie i przekonał, że jest artystą i nie może mieć takiego nudnego zdjęcia jak wszyscy.

Odłożyła kartkę na stolik.

- Ktoś go jednak chyba do cholery zna i może potwierdzić jego tożsamość - rzuciła.

- To chyba jedyne wyjście - zgodził się.

- Rodzina, z tego, co wiem, raczej odpada - powiedziała. - Albo nie żyją, albo mieszkają na drugim końcu świata. Ale przecież musi mieć jakichś znajomych.

- Najprościej będzie poprosić o to twoją ulubioną Frau Bejtner - zauważył. - Obojętnie jaka by była, na pewno dobrze przyjrzała się swojemu zięciowi.

ROZDZIAŁ 62

- Naprawdę muszę? - spytała. - Chodzi o człowieka, który prawdopodobnie zamordował moją córkę.

Mecenas Bejtner po raz kolejny wyraziła swoją głęboką niechęć wobec pomysłu identyfikacji zięcia.

- Po pierwsze, nie wiemy jeszcze, czy pani córka nie żyje, po drugie, mamy nadzieję, że będzie to kolejny krok w kierunku jej odnalezienia, po trzecie wreszcie, jest pani w tym momencie jego najbliższą krewną. - Prokurator Sereżyńska nie mogła sobie odmówić satysfakcji z użycia tego ostatniego argumentu. - Mamy więc co najmniej trzy powody, by to zrobić. Czwarty zaś jest taki, że jako kierująca śledztwem uważam to za niezbędne. Może pani oczywiście odmówić współpracy z prokuraturą, lecz sama pani wie, jak taka odmowa wygląda i jakie budzi podejrzenia.

Salomea Bejtner całkowicie zignorowała ukrytą groźbę zawartą w tej wypowiedzi, lecz niewątpliwie zrozumiała ją i przyjęła. Zamiast tego skupiła się na bezpieczniejszej kwestii pokrewieństwa.

- Ja jego najbliższą krewną! - prychnęła. - Dobrze sobie. Za co mnie Pan Bóg pokarał czymś takim? Może mam jeszcze go przytulić i pogłaskać po włosach?

- Nie będzie to konieczne, chyba że pani bardzo tego chce - odpowiedziała z uśmiechem Sereżyńska. - Wystarczy, jeśli wejdzie tam pani i powie nam, czy go poznaje.

Mecenas Bejtner obrzuciła ją chłodnym spojrzeniem.

- Ty mnie nie lubisz, dziecko, prawda? - spytała. - Ciekawi mnie tylko dlaczego. Jestem matką, która prawdopodobnie

straciła swoją córkę. Choćby z tego powodu należy mi się odrobina może nie tyle współczucia, bo aż tyle nie śmiem wymagać, ale przynajmniej pewnej życzliwej delikatności, nie sądzisz? Nie jestem też póki co o nic podejrzana ani oskarżona. Więc o co chodzi? Czyżby osobiste, niezrozumiałe dla mnie animozje wpływały na twoje postrzeganie uczestników tej sprawy? Musisz uważać, bo to może zaburzać twój osąd, a to bardzo niebezpieczna cecha u prokuratora.

Prokurator Seredyńska wytrzymała tę przemowę i to spojrzenie. Nie drgnęła jej nawet powieka, i to mimo że gdzieś w głębi duszy rozumiała, iż zarzuty Salomei Bejtner mogą nie być do końca bezpodstawne. Faktycznie jej nie lubiła i nie mogła zrozumieć dlaczego. Nie miała jednak zamiaru przyznawać jej racji i nie oddawać ciosu.

- Współczucie, a nawet życzliwość, pani mecenas, są właśnie tymi uczuciami, które zaburzą osąd - odpowiedziała, patrząc jej prosto w oczy. - Dopóki ta sprawa się nie zakończy i dopóki nie poznam odpowiedzi na wszystkie pytania z nią związane, muszę traktować panią z nieufnością i podejrzliwością, tak jak wszystkich innych uczestników tych wydarzeń. Bo każdy z nich, przepraszam, każdy z was, może okazać się na koniec podejrzanym. Nawet jeśli w tym momencie śledztwa wydaje się to mało prawdopodobne. Czy to jest jasne, pani Salomeo?

Mecenas Bejtner nie odpowiedziała.

- I jeszcze jedno - dodała po chwili Seredyńska. - Jeśli rzeczywiście niezbyt bym panią lubiła, czego oczywiście nie potwierdzam, powodem mogłoby być na przykład to, że uporczywie zwraca się pani do mnie per „dziecko”. Używanie takich protekcyjnych form, zdajemy sobie z tego obie doskonale sprawę, ma za zadanie umniejszyć rolę rozmówcy i pokazać mu jego niższą i gorszą pozycję. Robi się tak zazwyczaj w celu wpłynięcia na jego postawę i narzucenia mu

swoich przekonań z pozycji autorytetu. Nie sędzę, by jako adwokat z kilkudziesięcioletnim doświadczeniem stosowała pani takie w gruncie rzeczy prostackie metody, niemniej prosiłabym, by zaprzestała pani tego zwyczaju i od tej pory zwracała się do mnie tylko i wyłącznie per „pani prokurator”. Możemy tak się umówić?

Przez chwilę mierzyły się spojrzeniami, lecz koniec końców to Salomea Bejtner odwróciła wzrok.

- No dobrze - powiedziała znużonym głosem. - Zróbmy wreszcie to, co mamy zrobić, i miejmy to już za sobą.

- Też jestem za tym - odpowiedziała Sereżyńska.

Ruszyły jasnym, szpitalnym korytarzem. Ona nieco z przodu, mecenas Bejtner dwa kroki za nią. Słyszając jej mozolne posapywania, nie mogła oprzeć się niezbyt ładnemu uczuciu satysfakcji.

Dotarły wreszcie do sali, w której leżał Krystian Zapała.

- I co, mam tam tak po prostu wejść? - spytała z ironią Bejtner. - Nie będzie żadnych weneckich luster? Czuję się srodze zawiedziona. Może chociaż zasłonię twarz woalką? - dodała z sarkazmem.

Nie odpowiedziała na tę kolejną zaczepkę. Otworzyła drzwi i gestem ręki zaprosiła starą mecenas do środka.

Salomea Bejtner, ociągając się, wkroczyła do pomieszczenia. Weszła tuż za nią.

Krystian Zapała, czy też ktokolwiek to był, przywitał ich spokojnym spojrzeniem. Podeszły bliżej i stanęły w nogach łóżka. Odwróciła się tak, by widzieć jednocześnie i ją, i jego.

- Przywiodziłam panu gościa - powiedziała.

Obserwowała z uwagą oblicza tych dwojga. Celowo nie przedstawiła wchodzącej wraz z nią mecenas. Była ciekawa, czy mężczyzna na łóżku ją rozpozna.

Reakcje obojga były bardzo podobne. W tym sensie, że nie

było ich wcale. Skupiony wzrok, brak jakiejkolwiek mimiki, zero uczuć malujących się na twarzach. Nic. Jakby spotkało się dwoje pokerzystów.

Mimo wszystko czekała. Nie odezwała się ani słowem, nawet nie drgnęła. Z doświadczenia wiedziała, że cisza, zwłaszcza jeśli się przedłuża, jest bardzo trudna do zignorowania. Miała nadzieję, że któreś z nich w końcu pęknie. Pierwsze słowa i pierwsza reakcja mogły jej sporo powiedzieć.

Wreszcie się doczekała. Cierpliwość została nagrodzona. Mężczyzna się uśmiechnął.

- Miło cię widzieć - powiedział. - Mamo - dodał po chwili z wyraźnym przekąsem.

Mecenas Bejtner nie drgnął nawet jeden mięsień na twarzy. Stała wciąż w milczeniu, mierząc pólśiedzącego mężczyznę nieruchomym wzrokiem.

W końcu jednak i ona się odezwała.

- Nie znam tego człowieka - powiedziała.

I wyszła.

ROZDZIAŁ 63

Przeniósł wzrok na nią.

- Niezły pasztet, prawda? - powiedział niemal wesoło.

Przysunęła sobie krzesło i usiadła na nim.

- Dlaczego pan tak sądzi? - spytała.

- Moja teściowa mnie nie zna - odparł. - A to był zdaje się jedyny sposób na potwierdzenie mojej tożsamości. Inaczej byście jej nie ściągali.

- Po prostu była w pobliżu. - Wzruszyła ramionami. - Ma kancelarię na Hożej, ale to pewnie pan wie. Musiała coś załatwić w tych okolicach. Uznałam, że tak będzie najprościej.

- Ma kancelarię na Wilczej. - Puścił do niej oko. - Próbowала mnie pani sprawdzić. Zdałem test, ale to ciągle o niczym nie świadczy. Nie jest to jakaś wiedza tajemna.

- Jednak gdyby pan tego nie wiedział... - Nie dokończyła.

- To również by o niczym nie świadczyło - stwierdził. - Mogłem się po prostu pomylić, bo na przykład moja szanowna mother-in-law gardziła mną do tego stopnia, że nigdy nie chciała mnie tam widzieć, a ja zasugerowałem się tym, co pani wcześniej powiedziała, i przytaknąłem, że na Hożej.

Zastanowiła się.

- Gdyby miał pan zdolnego adwokata, na przykład swoją teściową, być może zdołałby on przekonać sąd do tej wersji - powiedziała.

- A pani jest zdolna? - spytał.

- Tak, ale nie jestem adwokatem - odpowiedziała. - Jestem zdolnym prokuratorem. Dla pana to znacznie gorzej.

Roześmiał się.

- Uwielbiam panią - powiedział. - Co odpowiedź, to groźba. Musi być pani bardzo niepewna siebie, skoro tak pani ciągle atakuje.

Uniosła wysoko jedną brew.

- Znowu rozmawiamy o mnie - stwierdziła. - Pan wybaczy, lecz zupełnie nie interesuje mnie ten temat.

- A szkoda. - Uśmiechnął się. - Mnie on z kolei niezmiernie ciekawi.

Popatrzył na nią w ten sposób, od którego mimowolnie zrobiło jej się gorąco.

- Zarumieniła się pani - zauważył. - Czyli prawnicy mają jednak uczucia...

- Mają - odparła z największym możliwym chłodem. - A jednym z nich jest uczucie irytacji.

- O, zaraz będzie kolejna groźba! - Uśmiechnął się szeroko. - Zamieniam się w słuch.

Znowu to samo, pomyślała. Przy tym człowieku traciła kontrolę nad sobą i nad rozmową. Musi coś z tym zrobić, albo jedynym wyjściem będzie oddanie tej sprawy komuś innemu.

- Nie będzie żadnej groźby - odparła obojętnie. - Oprócz takiej, że jeśli dalej będzie pan tak błaznował, zanudzi mnie pan na śmierć.

Popatrzył na nią poważnie.

- Nie błaznuję, pani prokurator - powiedział niemal ze smutkiem. - A jeśli nawet, to zapewne jest to taki sam mechanizm obronny, jak u pani atak.

Zignorowała kolejną wycieczkę w jej stronę.

- A przed czym pan tak się broni, jeśli można wiedzieć? - spytała.

- Przed życiem. Nie. - Pokręcił głową. - Zbyt banalne. Przed sobą? - Zawiesił głos. - Boleśnie prawdziwe, ale wciąż w złym

guście.

- Znowu pan błaznuje - zauważyła.

- Tak, tak, przepraszam... - Zabawnie zwiesił głowę. - Już nie będę. Może mnie pani pytać, o co pani chce. Nawet o tak zwane poważne sprawy.

Założyła nogę na nogę.

- W porządku, zatem spróbujmy - powiedziała. - Zaczniemy od prostego pytania: jak się pan nazywa?

Popatrzył na nią jasnym spojrzeniem dziecka.

- Wydaje mi się, że Krystian Zapała - odpowiedział.

- Wydaje się panu?

- Jeśli sądzimy, że coś jest prawdą, lecz nie mamy całkowitej pewności ani wystarczających na to dowodów, zwykle używamy tego sformułowania - wyjaśnił.

- Kwestia własnego nazwiska zazwyczaj jest dość prosta - skomentowała. - Większość ludzi wie doskonale, jak się nazywa, pewien niewielki procent nie wie, bo na przykład cierpi na amnezję. A panu się wydaje? - Uniosła brwi. - Może mi pan wyjaśnić, dlaczego ma pan takie wątpliwości?

- To dość skomplikowane - odparł. - Wielu rzeczy nie jestem pewien, to tylko jedna z nich. Choć niewątpliwie z nimi powiązana. Musiałbym odpowiedzieć na to pytanie nieco szerzej.

- Proszę się nie krępować. - Machnęła dłonią. - Mam czas. Czego pan nie jest pewien?

Zastanowił się.

- Tak naprawdę to wszystkiego - odpowiedział. - Zabawne, prawda?

- Z zasady nie bawią mnie zeznania świadków - odparła. - A już tym bardziej ewentualnych oskarżonych.

- Trzecia groźba. Jezus upada pod krzyżem - zażartował. - Musi się pani powstrzymać, bo inaczej nigdy się nie

zaprzyjaźnimy.

- Z zasady również nie zaprzyjaźniam się - skomentowała. - Wróćmy może do tematu, dobrze?

- I ta zasada nie dotyczy tylko pani pracy, prawda? - Znowu puścił do niej oko. - Ale ma pani rację, wróćmy.

Miała ochotę odpowiedzieć mu coś na tę kolejną zaczepkę, ale się powstrzymała.

- Dlaczego pan tylu rzeczy nie jest pewny? - spytała zamiast tego. - Jest jakiś konkretny powód?

- A pani jest tego wszystkiego pewna? - odpowiedział pytaniem na pytanie. - I jest tego jakiś konkretny powód?

- Jestem pewna wystarczająco wielu rzeczy - odpowiedziała.

- Reszty próbuję się dowiedzieć. Na przykład teraz. W szczególności chciałabym wiedzieć, co wydarzyło się w pana mieszkaniu. Mógłby mi pan w tym pomóc? Może wtedy złamię swoją zasadę i się zaprzyjaźnimy?

Popatrzył na nią spojrzeniem, w którym było coś dziwnego. Coś jakby smutek, nadzieja i tęsknota. To spojrzenie też na nią zadziało. I to w jakiś niepojęty dla niej, niechciany, a jednocześnie niezwykle rozbijający sposób. Jakby wzbudziło w niej analogiczną nadzieję i tęsknotę.

- Kusi mnie pani, pani prokurator - powiedział. - Jak jednak mogę pani pomóc, skoro i tego nie jestem pewien?

- To może umówmy się, że zawiesimy na razie tę nieprzydatną kategorię i nie będziemy się zastanawiać, czy coś zdarzyło się naprawdę, czy nie, i kim naprawdę jesteśmy, i po prostu porozmawiamy o tym, co wydaje się panu, że mogło tam się wydarzyć? - zaproponowała. - Dobrze?

ROZDZIAŁ 64

Portier spojrział niepewnie na plamę krwi na podłodze.

- Tym? - spytał.

- Czy ja mówię niewyraźnie? - Zaczynało mu się podobać to popuszczanie wodzy swoim emocjom.

- Czy to nie trochę...

- Jesteś artystą czy nie? - przerwał mu ostro. - Musisz umieć przekraczać normy zwykłych ludzi.

Niemal usłyszał, jak tamten człowiek przełknął ślinę.

- No, dalej! - ponaglił go.

Portier drgnął i przykucnął ponad plamą.

- Wydaje się być trochę za bardzo stężała - powiedział.

- Nie bardziej niż ta w tubce - zauważył. - Wiesz, że myśliwi mówią na krew zwierząt „farba”?

- Ale nią chyba nie malują - odparł sceptycznie mężczyzna.

Poczuł nadciągającą falę gniewu. Nie powstrzymał jej. Ach, jakie to było przyjemne!

- Bierz pędzel i maluj! - wycodził przez zęby.

- Mam już pędzel - stwierdził mężczyzna. Było w tym coś bezczelnego. Aż w nim zawrzało.

- To na co czekasz? - warknął.

Stał nad nim niczym kat nad skazanym na śmierć. Brakowało mu tylko topora.

Mężczyzna wyciągnął dłoń i z niechęcią zanurzył włosie pędzla w czerwonej plamie. Gęsta ciecz tylko z wierzchu była ściemniała, gdy pękła górna, zastygnięta tafla, pod spodem ukazała się krwista czerwień.

Portier cofnął dłoń z obrzydzeniem.

- Nie mogę - powiedział. - Nie potrafię.

Miał ochotę go teraz walnąć, uderzyć pięścią w ten odsłonięty kark. Skoro to wszystko sen lub iluzja, to przecież mógł. Nie było mu jednak łatwo przełamać swój wewnętrzny opór, nawet w tym świecie, o którym sądził, że nie istnieje. Kilka razy zacisnął i rozprostował dłoń. Nie mógł się jednak przemóc, może dlatego, że to przekonanie ciągle podszyte było sporą dozą niepewności.

- To tylko barwnik - powiedział zamiast tego. - Hemoglobina. Po prostu go użyj. Masz go już na pędzlu. Nie zabiłeś nikogo, żeby go uzyskać, nie zrobisz więc nic złego. Nie ma przepisu prawa, który by tego zabraniał. Reszta jest tylko w twojej głowie. Chciałeś podobno zostać wielkim malarzem; jak niby miałbyś to zrobić, skoro nie potrafisz przełamać nawet tak głupiego ograniczenia? Ta krew znalazła się tu w wyniku zwykłego wypadku, ktoś ją w końcu zmyje mopem i wyleje do kibla. Nie lepiej użyć jej w ten sposób? Potraktuj to jako ćwiczenie w przekraczaniu siebie. Artystą nie zostaje się, wachając kwiatki. Chcesz nim być czy nie? Jeśli chcesz, udowodnij to; jeśli nie, wracaj na dół i już na zawsze pozostań tym, kim jesteś teraz - trochę lepiej ubranym cieciem.

Zobaczył, jak spojrzenie tamtego unosi się ku górze i wbija w jego twarz. Ręka jednak wciąż pozostała nieruchoma.

- A więc miałem rację - powiedział. - Jesteś tylko oszustem. Spierdalaj.

Postarał się, by w jego słowach wyraźnie wybrzmiała pogarda.

Dopiero teraz portier wstał. Na włosiu pędzla, który trzymał w dłoni, lśniła brunatnoczerwona maź.

- Wynoś się stąd - powtórzył. - Nie chcę już na ciebie patrzeć ani z tobą rozmawiać. Won! Przecież chciałeś już iść,

prawda? To idź. Zejdź mi z oczu.

Twarz mężczyzny ściągnęła się. Spojrzeli sobie w oczy. Poczul znowu tamto, co przedtem: że ma nad tym awatarem władzę.

- Mam malować tylko czerwonym? - spytał portier.

- Maluj, czym chcesz - odparł. - Twoja decyzja. Tylko zacznij wreszcie.

Nie wiedział, po co to robił i do czego mu to było potrzebne. Ani co to miało udowodnić i komu. Czuł jakiś rodzaj obojętności. Nie na poziomie emocji, bo te aż w nim kipiały, po prostu nie za bardzo ciekawiło go, jak to się wszystko skończy. Jakby nie to było najważniejsze. Albo jakby wiedział, że nie ma to żadnego znaczenia.

Mężczyzna odwrócił się w stronę płótna. Wyciągnął dłoń z pędzlem w stronę białej powierzchni. Nie dotknął jej jednak.

- Co mam namalować? - spytał.

- Mówiłem już: co chcesz.

- Nawet to?

Portier zaczął wodzić pędzlem po płótnie. Na zagruntowanym, białym materiale pojawiła się czerwona linia. Zakręcała, tworzyła jakiś wzór. Przedłużyła i wchłonęła tę, która już była tam wcześniej, a którą on sam kiedyś namalował. Nie była to postać ani żaden przedmiot; nie chodziło zdaje się o malarstwo figuratywne ani w ogóle realistyczne; mężczyzna nie malował także widoku za oknem.

Patrzył na to z zaciekawieniem i coraz większą fascynacją. Coś się tam tworzyło, wyłaniało, a on póki co nie wiedział, co to jest.

Portier skończył, odłożył pędzel i odwrócił się w jego stronę.

- I co? Podoba się? - spytał z półuśmiechem.

- Nie widzę dobrze - odpowiedział. Postać mężczyzny zasłaniała płótno.

- Mam się odsunąć? Proszę bardzo. - W głosie portiera była niepokojąca kpiąca nuta.

Zdziwiło go to i zbiło z tropu. Nie tak to miało wyglądać. Czyżby awatar się buntował?

Mężczyzna stał wciąż przed sztalugami, nie zrobił ani kroku w żadną stronę. Miał tego patrzył mu wyzywająco w oczy. Nie miał ochoty na takie zabawy, chciał w końcu zobaczyć, co tam jest.

- Odsuń się wreszcie, człowieku! - Odepchnął go zniecierpliwiony na bok.

Nie od razu dostrzegł, co zostało namalowane. Nie wyglądało to na obraz ani nawet jego szkic i na pewno nie udowodniało, że jego autor ukończył kiedykolwiek szkołę plastyczną.

Zmrużył oczy, potem odsunął się krok do tyłu. Co to było?

Linie na płótnie przypominały rysunek i to raczej niedbały. Mimo wszystko jednak można było dostrzec, co on przedstawia. Były to trzy postaci: dwie większe i jedna mniejsza.

- Co to jest? - spytał ze ściśniętym gardłem.

- Nie wiesz? Naprawdę? - Portier się roześmiał.

Patrzył na ramę z rozpiętym na niej płótnem z coraz większym przerażeniem. Już wiedział, co jest tam tak nieudolnie odtworzone. To było to zdjęcie, którego szukał. On z żoną na wakacjach na Martynice. Obok stał ich syn. Krwawa farba ściekała po obrysie czegoś, co miało zapewne przedstawiać jego jasne włosy.

ROZDZIAŁ 65

- Dobrze, zagrajmy w tę grę - odpowiedział.

Siedział przed nią z wyciągniętymi na łóżku nogami, z których jedna założona była nonszalancko na drugą. Dłonie miał niedbale splecione na biodrach. Patrzył na nią z łagodnym półuśmiechem, nieco przekrzywiając głowę na bok. Nie było w nim nic niepokojącego, dwulicowego, cynicznego. Wyglądał jak pies, który słucha z ufnością swojego pana, gotów wykonać jego wszelkie, nawet bezsensowne rozkazy.

Zapatrzyła się na tę twarz o sekundę za długo.

- Słucham. - Uśmiechnął się. - Pani ruch.

Otrząsnęła się z zamyślenia. Od tego, co teraz powie i jakie pytania zada, zależało bardzo wiele. Taktyka, którą przyjęła, była delikatna i ryzykowna i nieco wykraczała poza normalne sposoby przesłuchiwania świadków. Zorientowała się, że wypuszczała się na te niepewne wody tylko dlatego, że naprzeciwko niej siedział on -mężczyzna, który zdecydowanie za bardzo na nią oddziaływał. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, nie zdecydowałyby się na to.

Stąpała po bardzo niepewnym gruncie. Nie kładła może na szali swojej kariery ani ostatecznego wyniku śledztwa, ale narażała się na porażkę, o którą, gdyby do niej doszło, mogłaby obwiniać tylko siebie i swoją słabość. I o której tylko ona będzie wiedziała.

- Założmy na początek, że jest pan Krystianem Zapałą - zaczęła w końcu. - Możemy tak się umówić?

- Możemy. - Wzruszył ramionami. - Czemu nie? Jednak jeśli to założenie okaże się finalnie nieprawdziwe, cała nasza dalsza

rozmowa również będzie bez sensu.

- Stop! - Przerwała mu ruchem dłoni. - Nie tak mieliśmy się bawić. - Uśmiechnęła się. - Potraktujmy to jako eksperyment - zaproponowała. - Ustalamy warunki brzegowe i patrzemy, co będzie dalej. Na razie tylko tyle. Nie wszystkie eksperymenty przecież się udają, prawda? To jednak nie powód, by ich nie przeprowadzać.

- OK. - Kiwnął głową. - Zainteresowała mnie pani. Proszę mówić dalej.

- A więc jest pan Krystianem Zapałą i jest pan w swoim mieszkaniu - ciągnęła. - Może mi pan opisać, co tam się wydarzyło?

- Och, pani prokurator! - zachnął się żartobliwie. - Tym razem mnie pani rozczarowała. Tylko jedno pytanie i już? Mam wszystko wyśpiewać? Musi się pani bardziej postarać. Skoro to jest gra, to grajmy. A pani chce zwycięstwa po pierwszym ruchu... Zapomina pani, że sam nie bardzo wiem, co tam się wydarzyło - dodał znacznie już poważniej.

- W porządku - odpowiedziała. - Spróbujmy zatem metody małych kroków i prostych pytań. Zgadza pan się?

- Brzmi znacznie lepiej - skomentował.

Poprawiła odruchowo spódnicę na udach. Zauważyła, że obrzucił ją w tym momencie spojrzeniem.

- Zacznijmy zatem jeszcze raz - powiedziała. - Czy wie pan, gdzie jest pańska żona?

- Moja żona? - powtórzył, jakby nie zrozumiał.

- Agnieszka Bejtner.

- Nie - odpowiedział. - Nie mam pojęcia. Myślałem, że leży sobie spokojnie w chłodni - zażartował.

Zignorowała to.

- Kiedy ją pan widział po raz ostatni?

Zastanowił się.

- A co mamy dzisiaj? - spytał.
- Wtorek - odpowiedziała.
- Nic mi to nie mówi. - Uśmiechnął się przeprasząco.
- Siedemnastego.
- Tym bardziej. - Rozłożył ręce.
- Kiedy widział ją pan ostatnio przed trafieniem tutaj - sprecyzowała. - Dzień, dwa, tego samego dnia?

Zamrugnął oczami.

- Dzień wcześniej - odparł. - Tak, dzień wcześniej.
- Co wtedy robiła?
- Szła do pracy.
- Nie wróciła do domu? - spytała.
- Nie wiem. Wiem tylko, że jej już potem nie widziałem.
- Czy miał pan cokolwiek wspólnego z jej zniknięciem?

Uniósł brwi do góry.

- Nie mogę tego wykluczyć - odpowiedział.
- To miał pan coś wspólnego czy nie?

Uśmiechnął się.

- Istnieje wiele powodów, dla których mężatka może nie wrócić do domu - stwierdził. - Skoro jestem jej mężem, mogę mieć coś wspólnego z którymś z nich. Nie wiem, może miała mnie po prostu dość. I postanowiła uciec do cyrku. - Roześmiał się z własnego dowcipu.

Nie było łatwo z nim rozmawiać. Przekonała się o tym po raz kolejny.

- Spróbujmy to w takim razie uściślić - powiedziała. - Czy zrobił pan coś konkretnego, co spowodowało, że nie wróciła do domu?

- Chodzi pani o „czyn” w rozumieniu romantycznym? - Znowu przekrzywił głowę.

Z trudem przypomniała sobie tamtą lekcję polskiego

w liceum.

- Tak, można tak to określić - zaryzykowała.

- Coś fizycznego, niemającego związku z szeroko pojętą sferą ducha? - dopytywał się.

Zwątpiła nagle, czy ta rozmowa ma jakikolwiek sens.

- Tak - odpowiedziała.

Uniósł oczy ku górze, jakby patrzył na lampę i tam próbował znaleźć odpowiedź.

- Cóż, może faktycznie coś takiego zaszło - powiedział.

Jej nastawienie zmieniło się nagle o sto osiemdziesiąt stopni. Może wreszcie udało jej się uchwycić jakiś przyczółek.

- Co to było? - spytała, wstrzymując niemal oddech.

Spojrzał na nią tymi swoimi jasnymi, niewinnymi oczami.

- Zabiłem się - odpowiedział. - Mogła tego nie znieść.

ROZDZIAŁ 66

Wypuściła powoli powietrze. Znowu to samo. Ten człowiek był dla niej enigmą, zagadką, sfinksem. Nie potrafiła go rozgryźć, jej intuicja przy nim milczała. Może rzeczywiście był świrem, któremu coś poprzestawiało się w głowie, a może kłamał, zwodził ją cynicznie, nie wiedziała tego i nie potrafiła wyczuć.

Zazwyczaj umiała ocenić świadków już po kilkunastu minutach rozmowy. Wiedziała, czy mówią prawdę, czy coś ukrywają, czy kręcą, czy są przestraszeni, czy tylko udają pomocnych i szczerych. Nie zawsze mogła to potem udowodnić, wykorzystać tę wiedzę w akcie oskarżenia, ale zazwyczaj to wiedziała.

Teraz patrzyła na tego człowieka i nie wiedziała nic. Była kompletnie skołowana. To, co mówił, było ewidentnie wariackie, ale w jakiś sposób mu wierzyła. Musiała się powstrzymać, by tego nie kupić i nie wziąć za dobrą monetę. Chociaż rozumiała przecież, że to nie może być prawda.

Równocześnie Krystian Zapała nie wyglądał na kogoś niespełna rozumu. Był inteligentny, w jakiś sposób uroczy, mówił z sensem, był spokojny, a nawet rozluźniony. Nie tak powinni zachowywać się maniacy i paranoicy, przynajmniej nie tak to sobie wyobrażała. Tylko to, co mówił, było niedorzeczne.

- Nie mógł pan się zabić, bo przecież pan żyje - stwierdziła.
- Chyba że miał pan coś innego na myśli.

Mężczyzna popatrzył na nią z udawanym wyrzutem.

- Hola, hola, pani prokurator! - powiedział. - Łamie pani reguły gry. Na coś innego się umówiliśmy. Mieliśmy się nie zastanawiać nad takimi toksycznymi kwestiami, tylko skupić się

na tym, co mi się wydaje. Takie były warunki brzegowe eksperymentu.

Przymknęła na chwilę powieki. Faktycznie, tak się umówili. Jeśli miała kontynuować tę rozmowę i spróbować wyciągnąć z niej jakiegokolwiek przydatne dla śledztwa informacje, musiała się do tego stosować. Inaczej ten dziwny człowiek znowu zacznie zasłaniać się swoimi niepewnościami.

- Rzeczywiście - powiedziała. - Przepraszam.

- Nie ma sprawy. - Uśmiechnął się. - Każdemu może się zdarzyć.

Postanowiła nie ciągnąć tematu jego rzekomej śmierci. Do niczego nie mogło jej się to przydać.

- W porządku - zgodziła się. - Zabił pan się. Przyjmuję to i nie podaję w wątpliwość. Chciałabym jednak skupić się na dwóch pozostałych ciałach znalezionych w pana mieszkaniu. Wiemy już, że żadne z nich nie należy do pana żony Agnieszki Bejtner. Mamy, szczerze powiedziawszy, problemy z ich zidentyfikowaniem. Gdyby mógł mi pan w tym pomóc, byłabym bardzo wdzięczna.

Uśmiechnęła się, by uczynić swoją prośbę bardziej sugestywną.

- Jeśli tylko będę potrafił - odparł.

- Czy wie pan wobec tego, kim są ci ludzie, jak zginęli i w jaki sposób znaleźli się w pana mieszkaniu? - spytała.

Pokręcił przecząco głową.

- Niestety, nie mogę pani pomóc - powiedział z pewnym smutkiem. - To musiało się stać już po mojej śmierci.

Zakłęła w duchu. Z którejkolwiek strony podeszła, zawsze trafiała na ten sam mur.

Po raz kolejny pomyślała, że ta rozmowa nie ma sensu i gdyby chodziło o kogoś innego, już dawno by ją przerwała. Nie potrafiła tego zrobić, głównie dlatego, że chciała dalej tu

być, tu przy tym człowieku. Poza wszystkim, skoro i tak już zaczęła tę głupią grę...

- A pan? - spytała. - Czy wie pan, jak znalazł się pan pod tym zlewem? Skoro się pan zabił, nie wszedł pan tam raczej sam. To znaczy, że ktoś tam musiał pana włożyć. Mam rację?

Zastanowił się.

- Dobre pytanie - stwierdził. - Faktycznie. Nie pomyślałem o tym w ten sposób.

- A więc? - ponagliła go.

Popatrzył na nią, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć.

- To musiał być w takim razie ten drugi... - zaczął powoli.

- Jaki drugi?

- Ten drugi ja.

Miała ochotę potrząść czoło w geście bezradności. Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić. Może faktycznie ten człowiek był wariatem? Miłym, uroczym, inteligentnym, ale ciągle wariatem. A ona dawała się zwieść pozorom.

- Rozumiem - brnęła w to jednak dalej. - Ten drugi. Wie pan, gdzie on teraz jest? - spytała. - Chętnie bym z nim porozmawiała.

- Robi pani to już. - Uśmiechnął się.

- OK - powiedziała. - W porządku. W takim razie może on coś wie na ten temat? I mogłabym z nim o tym porozmawiać?

Popatrzył na nią z zamyśleniem.

- Tak - odparł jakby z pewnym zdziwieniem. - Myślę, że może mieć pani rację. On mógłby coś na ten temat wiedzieć.

- Dobrze - przytaknęła ostrożnie. - W takim razie kieruję to pytanie do niego. W jaki sposób człowiek, którego ciało znalazłam w szafce pod umywalką w mieszkaniu Krystiana Zapały i Agnieszki Bejtner, tam się znalazł?

Mężczyzna ściągnął brwi.

- Wydaje mi się, że wszedł tam sam - odpowiedział po

chwili.

- Dlaczego to zrobić?
- Myślę, że chciał się wyrzucić.

ROZDZIAŁ 67

Wyszła stamtąd naprawdę zmęczona. Czuła lepki pot na karku i pod włosami na skórze głowy. Zapragnęła nagle natychmiast wyjść na świeże powietrze.

Ruszyła korytarzem. Nie dane jej było jednak dotrzeć na zewnątrz. Drogę zagroziła jej lekarka, z którą rozmawiała na początku.

- Chyba powinniśmy parę rzeczy omówić - usłyszała. - Zapraszam do swojego gabinetu.

Poszła za nią. Lekarka bez słowa wskazała jej krzesło przed swoim biurkiem. Usiadły.

- Przysłuchiwałam się przez chwilę pani rozmowie z pacjentem, stojąc pod drzwiami - zaczęła.

- Przesłuchaniu - poprawiła ją. - Mojemu przesłuchaniu podejrzanego. - Po raz pierwszy bezwiednie użyła tego określenia. - Nie jestem pewna, czy takie podsłuchiwanie jest legalne - stwierdziła.

- Nie jestem pewna, czy było to przesłuchanie - odparła kobieta. - Ale nieważne. Jak zwał, tak zwał. Nie o to w tym wszystkim chodzi. Przysłuchiwałam się nieoficjalnie i nieoficjalnie chciałabym z panią o tym porozmawiać. Jak to się mówi: poza protokołem.

- Słucham.

Lekarka splotła dłonie na biurku.

- Nie wiem, czy zdaje pani sobie sprawę z delikatności sytuacji, w jakiej się pani postawiła - powiedziała.

- Tak, zdaję sobie sprawę - odparła. - Ale na pewno zechce pani dodać jeszcze parę elementów do tej mojej wiedzy.

Kobieta popatrzyła na nią uważnie.

- Nie jestem pani wrogiem, więc niepotrzebnie przyjmuje pani postawę obronną, pani prokurator - stwierdziła.

- Z mojego doświadczenia wynika, że postawa obronna zawsze się przydaje - odpowiedziała. - Ale słucham.

Lekarka otworzyła usta, jakby chciała to skomentować, ale się powstrzymała. Zamiast tego odchrząknęła.

- Chciałam tylko, by uświadomiła pani sobie pewną sprawę - zaczęła po chwili. - Rozmowa z tego typu pacjentami zawsze obarczona jest pewnym ryzykiem i to dwojakiego rodzaju. Po pierwsze, ich zeznania - wypowiedziała to słowo, jakby brała je w cudzysłów - nie są zbyt wiarygodne, nawet gdy wydaje im się, że mówią prawdę. Szereg zaburzeń skutkuje konfabulacjami albo wręcz halucynacjami, branymi przez nich za rzeczywistość. Często też mają skrzywione widzenie rzeczywistości, zazwyczaj typu urojeniowego. Nakładają oni na swoje przeżycia coś w rodzaju siatki wypaczającej i zmieniającej to, co widzą i zapamiętują. Po drugie, istnieje spore niebezpieczeństwo zasugerowania im odpowiedzi. Takie niebezpieczeństwo zawsze istnieje, nawet w przypadku ludzi całkowicie zdrowych, lecz u tego typu pacjentów jest ono szczególnie duże.

- Jeszcze niedawno pani twierdziła, że Krystian Zapała jest całkowicie zdrowy i że nie wykazuje objawów żadnych zaburzeń psychicznych - zauważyła.

Lekarka kiwnęła z pewnym wahaniem głową.

- Z niejakim zdziwieniem zauważyłam, że wypowiada się w pani obecności zupełnie inaczej, niż gdy rozmawiał z nami - powiedziała. - Po tym, co przed chwilą usłyszałam, już bym nie była taka stanowcza w tym sądzie.

- O, to ciekawe - stwierdziła. - Prawnik odkrył jego chorobę, a doświadczeni lekarze dali się nabrać?

Kobieta ściągnęła usta, jakby rozważała to, co usłyszała.

- Albo odwrotnie - odpowiedziała. - Być może to panią zwodzi. W tym momencie nie jestem w stanie tego określić. Przypominam, że również nie jestem psychiatrą, podobnie jak pani, choć mam niewątpliwie większą wiedzę na ten temat. Bazując na niej, mogę przypuszczać, że mamy tu być może do czynienia z osobowością psychopatyczną, która doskonale manipuluje rozmówcami, do tego stopnia, że zdołała nabrać albo nas, albo panią, albo i nas, i panią. Być może wpływa pani na niego w ten sposób, że bardziej się przed panią otwiera i ujawnia swoje skrywane przed nami zaburzenia. Nie wiem. W każdym razie naprawdę radzę uważać.

- Z wielką uwagą wysłuchałam pani uwag - odpowiedziała. - Mogę już iść?

- Wyczuwam w pani głosie ironię, mimo to chciałabym pani powiedzieć jeszcze jedno. - Lekarka zawiesiła głos. - Mówię to już kompletnie poza protokołem, w zasadzie prywatnie, jak kobieta kobiecie. Ludzie tego pokroju bywają niezwykle magnetyczni, łatwo dać się im nie tylko zmanipulować, ale... - szukała właściwego słowa - uwieść. Niech pani będzie bardzo ostrożna. Nawet doświadczeni psychologowie wpadają czasami w taką pułapkę.

- Pani wpadła? - spytała.

- Nie, ale znam kogoś, kto się tego nie ustrzegł.

- Niezwykle pasjonująca historia. Ma jakiś dalszy ciąg?

- Jest na najlepszej drodze do rozwodu.

Sposób, w jaki wypowiedziała te słowa, świadczył, że mogło chodzić o kogoś, kto nie był jej obojętny, być może nawet jej własnego męża. Między innymi dlatego Sreedyńska postanowiła tego nie komentować.

- Do tego między innymi służy w psychologii superwizja - kontynuowała lekarka. - Terapeuci rozmawiają o swoich

relacjach z pacjentami z innymi terapeutami, żeby zawczasu wychwycić takie niepojące interakcje. Ja nie jestem psychologiem, ani pani nim nie jest, ale gdyby potrzebowała pani podobnej pomocy, może się pani do mnie zwrócić, mogę spróbować wystąpić w tej roli. Rozumiem, że próbuje pani uzyskać potrzebne informacje od świadka, których inaczej wydobyć nie byłaby pani w stanie, i dlatego podjęła pani tę grę. Ale wie pani, jaka jest zasada: bezpieczeństwo speleologa przede wszystkim. Co z tego, że odkryje pani, co jest na dnie tej jaskini, skoro na zawsze pani już w niej zostanie?

Po raz drugi nie odpowiedziała. Może dlatego, że ta kobieta trafiła w jej czuły punkt. Przy niektórych swoich poprzednich sprawach miała tendencję do nieliczenia się z ryzykiem lub też niebrania go dostatecznie pod uwagę. Znalazła się przez to parę razy w dość niebezpiecznych sytuacjach.

- Dziękuję, pani doktor, za troskę - odpowiedziała. - Będę pamiętała o pani propozycji.

Lekarka skinęła głową z uśmiechem.

- Kiedy ma pani zamiar kolejny raz tu przyjść? - spytała.

- Nie wiem jeszcze, chyba jutro. Muszę to sobie wszystko poukładać w głowie.

- Jutro też będę - odpowiedziała kobieta. - W razie czego zapraszam.

ROZDZIAŁ 68

- Cześć.

- Cześć.

Przywitali się zdawkowo, lecz z życzliwością. Podkomisarz Rajmund Nowaczyk wyglądał jakoś inaczej. Ubrany był nieco bardziej wyszukanie i bezsprzecznie w nowe rzeczy. Roztaczał wokół siebie zapach dobrej wody toaletowej, z rodzaju tych, których nie kupuje się w Rossmannie ani na dziale kosmetyków w hipermarkecie.

Wciągnęła demonstracyjnie nosem powietrze.

- Co to się u pana wyprawia, panie podkomisarzu? - spytała.

- Miał pan interwencję w perfumerii?

Uśmiechnął się z pewnym zażenowaniem.

- Byłem na randce - powiedział. - Takiej z internetu.

- No proszę - skomentowała. - Widzę, że wracamy do życia.

I jak poszło?

Tym razem uśmiech był krzywy.

- Uważam, że powinno się spenalizować umieszczanie nieaktualnych zdjęć profilowych na tego typu portalach - odparł. - Chętnie bym się zajął ściganiem takich przestępstw.

Uznała, że nie należy ciągnąć dalej tego tematu.

Spotkali się w Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym Policji przy Alejach Ujazdowskich w Warszawie. Rano dostała wyniki badań zawiniątka znalezionego za szafką w kuchni mieszkania Zapały i postanowiła obejrzeć to wszystko na własne oczy.

Przedmioty rozłożone już były na wielkim stole. Stał za nim

technik kryminalistyczny gotowy do prezentacji. W powietrzu unosił się intensywny, chemiczny zapach.

- My tu gadu-gadu, a iluzjonista czeka - powiedziała. - Niech więc zacznie się show.

Podeszli do blatu.

- Dobrze - powiedziała. - Proszę opisać nam te wszystkie cuda - poleciła stojącemu po drugiej stronie mężczyźnie.

Technik założył lateksowe rękawiczki.

- Pierwszy przedmiot - powiedział. - Połamana drewniana rama, najpewniej obrazu. Płótno zerwane, ale zostały fragmenty przy mocowaniach. Żadnych ciekawych śladów. Drewno jasne, jeszcze niepociemniałe wskazuje na to, że była w miarę nowa, wyprodukowana najwyżej rok temu.

Uniósł do góry sosnowe deseczki, po czym odłożył je na miejsce.

- Druga rzecz - kontynuował. - Resztki płótna, prawdopodobnie właśnie z tego obrazu, zagruntowane gruntem malarskim. Potraktowano je środkiem żrącym, zapewne takim do udrażniania rur kanalizacyjnych. Jeśli były tam jakieś ślady biologiczne, zostały skutecznie zniszczone. Te fragmenty, które nie zostały całkowicie przeżarte, wskazują, że nie było pokryte farbami.

Tym razem technik wskazał po prostu rzecz leżącą na stole, nie unosząc jej ku górze.

- Trzeci obiekt: pędzel malarski - mówił dalej. - Został również potraktowany środkiem żrącym, wobec tego zachował się tylko drewniany trzonek i metalowa skuwka trzymająca włosie. Samo włosie rozpuściło się zupełnie.

- Kolejny przedmiot - powiedział mężczyzna. - To znowu ramka, tyle że znacznie mniejsza, prawdopodobnie po zdjęciu. Na jej powierzchni ślady odcisków palców, niestety w stanie uniemożliwiającym identyfikację.

- Dlaczego? - spytała Seredyńska.

Technik odłożył ramkę na stół.

- Wszystkie te przedmioty były umieszczone w szczelnie zawiązanym foliowym worku - odpowiedział. - Prawdopodobnie wodorotlenek sodu ze środka żrącego, którym potraktowano płótno i pędzel, połączył się z wilgocią, która się tam skropliła. Wytworzyło to wewnątrz folii bardzo silnie zasadowe środowisko, które następnie weszło w reakcję hydrolizy zasadowej z ludzkim łojem z odcisków palców.

- Rozumiem - odpowiedziała.

- Z tego samego powodu zniszczeniu uległy inne ślady biologiczne. - Technik wskazał leżące na blacie przedmioty. - Wszelka materia organiczna w takim środowisku ulega bardzo szybkiej degradacji.

- Fajnie - skwitował Nowaczyk. - Czy to wygląda na celowe zacieranie śladów? - spytał.

- I tak, i nie - odpowiedział technik. - Płótno i pędzel zostały zniszczone ewidentnie celowo, ale odciski palców raczej uległy uszkodzeniu przypadkiem. O wiele prościej i pewniej byłoby je po prostu wytrzeć, niż liczyć, że załatwi to za nas reakcja chemiczna. Jeśli więc ktoś zacierał ślady, to raczej niekonsekwentnie.

- W każdym razie ślady zostały zniszczone - skomentowała. - I to jest w tym momencie najważniejsze. Coś jeszcze?

- Tak - odparł technik. - Jest jeszcze parę rzeczy. Waciki kosmetyczne. Zużyte. Sztuk cztery.

- Nie zachował się na nich złuszczonego nabłonek? - spytała.

- Podobna sytuacja. Tłuszcz, podkład, komórki skóry oraz wilgoć plus wysoce reaktywne związki chemiczne spowodowały wytworzenie się rodzaju brei, z której niczego nie można uzyskać.

- Co z torebką, w której było to wszystko? - spytał

Nowaczyk.

- Mam ją tutaj - wskazał mężczyzna. - Odciski palców takie jak w mieszkaniu, prawdopodobnie była więc wcześniej używana przez domowników. W środku znalazłem kilka ziarenek słonecznika. Kolor świadczy o tym, że poddano je wysokiej temperaturze. Prawdopodobnie odpadły z chleba.

- Torebka ze sklepu, w której potem przechowywano chleb - podsumował Nowaczyk. - Wyjmowana, otwierana i zawiązywana wielokrotnie.

- Właśnie. - Technik kiwnął głową.

- Są na niej odciski palców człowieka znalezione pod zlewem? - spytała.

Nie użyła imienia i nazwiska Krystiana Zapały.

- Tak, oczywiście. Oprócz nich jeszcze dwa komplety. Jeden również często znajduwany w domu, drugi zatarty. Być może należący na przykład do ekspedientki. Ale to tylko moje przypuszczenie oczywiście.

- Czy oprócz tych ziarenek słonecznika znaleźliście jeszcze jakieś inne nietypowe przedmioty? - spytała.

- Nie wiem, czy nietypowe - stwierdził mężczyzna. - Kawałek papieru wyglądający na paragon. Zniszczony i zatarty jak wszystko inne.

- Da się z niego coś odczytać?

- W tym stanie niewiele. Ale mogę go oddać do dalszej analizy. Prześwietlić różnego typu promieniowaniem, zbadać pod mikroskopem...

- Proszę to zrobić - poleciła. - Nigdy nie wiadomo, co z tego wyjdzie.

ROZDZIAŁ 69

Wyszli. Stanęli przed budynkiem. Spojrzała na rozciągający się po drugiej stronie alei płot, za którym znajdował się ogród botaniczny. Zadziwiająca, że nigdy tam nie była, mimo iż tyle razy odwiedzała gmach laboratorium. Asfaltową jezdnią przejechał konwój czarnych samochodów na sygnale. Bliskość siedziby rządu zapewniała tego typu atrakcje. Odwróciła się w stronę Nowaczyka.

- Masz chwilę? - spytała. - Mam ochotę się przejść.

Wzruszył ramionami.

- Na jednej randce już dziś byłem i wolałbym tego nie powtarzać - odpowiedział. - Ale rozumiem, że będziemy się raczej przechadzać w sprawach służbowych.

- Wyłącznie w takich.

- W takim razie, czemu nie?

Przeszli przez przejście dla pieszych i weszli przez bramę do ogrodu botanicznego. Kupili bilety. O tej porze roku nie było tu zbyt wiele do oglądania. Drzewa i rośliny bez liści, mokre, błotniste alejki, żadnych kwiatów. Powinna sobie chyba wybrać jakiś inny termin na pierwsze odwiedziny w tym miejscu.

Mimo wszystko jednak było tutaj w jakiś sposób ładnie. A na już pewno spokojnie. Jakby wiekowe drzewa odgradzały tę przestrzeń w niemal magiczny sposób. Można tu było prawie zapomnieć, że jest się w środku wielkiego, dwumilionowego miasta. I to pomimo tego, że w pobliżu przebiegała Trasa Łazienkowska - jedna z ważniejszych arterii komunikacyjnych Warszawy.

Przez jakiś czas spacerowali w milczeniu.

- Mam poczucie braku sprawczości - powiedziała w pewnym momencie. - Żadne moje działania nie przynoszą efektu. Cokolwiek bym wymyśliła i zleciła, nie posuwa mnie to ani o centymetr do przodu. Jakbym wjechała w błoto i buksowała kołami.

- Bo też nie ma tu za bardzo się o co zaczepić - stwierdził. - Mamy dwa trupy, ale nie jesteśmy pewni, czy doszło do zbrodni. Do tego jedno zaginięcie i facet, o którym nie wiadomo nawet, czy jest ofiarą, czy sprawcą, a jeśli sprawcą, to w zasadzie czego. I którego, nie zapominajmy o tym, nie rozpoznała jego własna teściowa. Może powinnaś po prostu umorzyć to dziadostwo? Mielibyśmy z głowy i ty, i ja. Tak na dobrą sprawę nie ma tam nawet kogo o co oskarżyć.

- Jest jeszcze pies - przypomniała. - Lekarz sądowy twierdzi, że został zamordowany.

- Dobrze chociaż to - skomentował z ironią. - Okrucieństwo wobec zwierząt. Czyli mamy jednak paragraf - dodał z przekąsem.

- A twoje poszukiwania? - spytała. - Dowiedziałeś się czegoś ciekawego?

- Jeśli już jesteśmy przy naszym biednym piesku, to nikt nie zgłosił zaginięcia psa tej rasy w całej Warszawie w ciągu ostatnich dwóch tygodni - powiedział.

Pokiwała głową.

- Co z nagraniami z monitoringu?

- Nic specjalnego - odpowiedział. - Są na nich albo pracownicy, albo mieszkańcy budynku. Nikogo z zewnątrz. Nie ma też nic niepokojącego ani zastanawiającego.

- Naprawdę? - Nie mogła w to uwierzyć. - Nic się nie nagrało?

- Problem polega na tym, że to ogromny gmach i nie wszędzie są w nim kamery - wyjaśnił. - Musieli na tym

przyszczędzić. System nie obejmuje większości ciągów technicznych, wind towarowych, schodów ewakuacyjnych, pomieszczeń, do których ma dostęp tylko obsługa i tak dalej. Teoretycznie więc coś się mogło wydarzyć właśnie tam, tyle że nie ma po tym śladu.

- A wątek romansu Agnieszki Bejtner? - próbowała dalej.

- Nikt nic nie wie, nikt nic nie słyszał - odpowiedział. - Wszyscy opisują ją jako osobę maksymalnie skoncentrowaną na pracy, trzymającą chłodny dystans. Coś mniej więcej tak jak ty. Aż żal, żeście się nie poznały. Mogłaby być z tego piękna przyjaźń.

- Nie sądzę - skomentowała. - Zimne suki nie lubią się wzajemnie.

Nie odniósł się do tego w żaden sposób. Przeszli razem jeszcze kilkanaście metrów.

- À propos nielubienia - powiedziała. - Tak sobie właśnie pomyślałam, czy moja niechęć do szacownej pani mecenas Salomei Bejtner nie ma przypadkiem jakichś intuicyjnych podstaw. Jej zachowanie podczas identyfikacji było w pewien sposób dziwne.

- Co masz na myśli? - spytał.

- Nie zareagowała od razu - odpowiedziała. - Dopiero po chwili. Jakby się zastanawiała.

- Może nie była pewna?

- Możesz nie być pewny, gdy chodzi o człowieka, który napadł cię w parku, a nie o kogoś, kogo znasz od co najmniej dziesięciu lat i kto jest mężem twojej córki - zauważyła. - W takim wypadku raczej od razu wiesz, czy to on, czy nie on. I od razu to mówisz. A tam w ogóle wydarzyło się coś dziwnego. Najpierw oboje milczeli, mierzyli się wzrokiem, i dopiero gdy on powiedział do niej „mamo”, ona powiedziała, że go nie zna.

- Jak to interpretujesz? - spytał.

- No właśnie nie wiem - stwierdziła. - W sumie dopiero teraz to sobie uświadomiłam.

- Powiedziałaś mu, kto do niego przyjdzie?

- Nie.

- Może wobec tego to on nie był pewny? - powiedział. - Jeśli to rzeczywiście nie jest prawdziwy Krystian Zapała, mógł jej nie poznać i dopiero po chwili się tego domyślić.

- A ona? - spytała.

- A ona czekała na jego reakcję - odparł. - To stara wyga, nie zapominaj o tym. Gdyby dał po sobie poznać, że nie wie, kim ona jest, sam by się wkopał. Może na to liczyła.

Zastanowiła się.

- No może - zgodziła się, choć bez nadmiernego przekonania. - W każdym razie coś mi tu ciągle z nią nie do końca pasuje. I to od samego początku. Jakby prowadziła w tym wszystkim jakąś grę. I to taką, w której życie, a teraz odnalezienie jej córki, nie jest najważniejsze. Może jestem faktycznie do niej uprzedzona, bo rzeczywiście irytuje mnie w pewien odruchowy sposób, ale może nie tylko o to chodzi.

- Mam ją przeświecić? - domyślił się.

- Tak, chyba tak. Co mamy do stracenia? Wszystkie dotychczasowe drogi skończyły się ścianą, musimy więc poszukać nowych. Może akurat ta coś nam przyniesie?

Zamilkli. Zrobili kółko wokół klombu i ruszyli w stronę wyjścia, już nie odzywając się do siebie. W drodze powrotnej myślała o jeszcze jednej rzeczy, o jeszcze jednej wątpliwości, którą nie podzieliła się z Nowaczykiem. O tym, czy nie tylko wobec mecenas Bejtner nie zachowuje należytego obiektywizmu i czy nie jest to ze sobą w jakiś sposób powiązane. Jej niechęć do Salomei Bejtner i coraz bardziej dla niej widoczna słabość do człowieka, który być może nie jest nawet jej zięciem, stanowiły naczynia połączone. W tym

konflikcie stawała mimowolnie po jego stronie. Kimkolwiek by był.

Prokuratorzy nie powinni mieć płci, pomyślała. A już na pewno nie podczas wykonywania obowiązków służbowych.

ROZDZIAŁ 70

Wróciła do niego. Nie bardzo wiedziała, po co, ale wróciła. Przebywanie z nim wypełniało jakąś jej emocjonalną potrzebę. Czowała się przy nim trochę jak Poncjusz Piłat rozmawiający z żydowskim nauczycielem Jeszua Ha-Nocri w powieści Bułhakowa Mistrz i Małgorzata. On też w końcu tak jak ona był prokuratorem.

- Dzień dobry. - Uśmiechnął się na jej widok. - Czekałem na panią.

Nie odpowiedziała, choć było to nieuprzejme. Zamiast tego przysunęła krzesło i usiadła naprzeciwko niego.

- Z tego, co wiem, nie musi pan ciągle leżeć - powiedziała. - Jednak za każdym razem, gdy tu przychodzę, zastaję pana na łóżku.

- Co innego można robić w takim miejscu? - Wzruszył ramionami. - Pani wizyty są jedynym ciekawym punktem programu. Leżę i czekam, aż pani przyjdzie.

- Mają tu świetlicę, książki, a nawet telewizor - zauważyła. - Nie miałby pan ochoty skorzystać?

- Leżenie najzupełniej mi wystarcza. Zawsze je najbardziej lubiłem. Stanie męczy, a siedzenie jest podobno niezdrowe. Ale miło, że pani się o mnie martwi - odpowiedział. - A właśnie, à propos naszych wzajemnych relacji, dużo o pani ostatnio myślałem. I wie pani co? Uświadomiłem sobie, że nie wiem, jakie ma pani imię! Mógłbym je poznać?

Ten człowiek umiał skracać dystans. Było to niebezpieczne, wiedziała to. Dlatego postanowiła mu tego nie ułatwiać.

- Przedstawiłam się panu podczas swojej pierwszej wizyty -

stwierdziła.

- Nie wiem, czy pani pamięta, ale byłem wtedy nie do końca przytomny - powiedział. - Musiało mi umknąć.

- Z tego, co pamiętam, tylko udawał pan nieprzytomnego.

- Nie zgadzam się z tą interpretacją, ale nie będę się w tym momencie o to spierał. To jak z tym imieniem? - przekreślił głowę i uśmiechnął się lekko.

- Na imię mam prokurator prowadzący pana sprawę - odpowiedziała chłodno. - To powinno panu wystarczyć.

Przewrócił teatralnie oczami.

- Och, proszę się tak nie krygować - powiedział. - Nawet królowa brytyjska ma imię i nie ukrywa go przed swoimi poddanymi. A więc jak, zdradzi mi je pani?

Przeciąganie dalej tego głupiego sporu byłoby niepoważne, postanowiła więc już z tym skończyć.

- Gabriela - odpowiedziała.

- Gabriela - powtórzył wolno, jakby się w nim rozsmakowywał. - Pięknie. Pasuje do pani.

Zrobiło jej się dziwnie ciepło na sercu. Znowu ją podszedł.

- Dobrze, skoro już pan to wie, przejdźmy do spraw istotnych - zaczęła stanowczo.

- Cóż może być istotniejszego od dwojga ludzi i tego, co się między nimi dzieje? - powiedział z udawanym uniesieniem. - Ale dobrze, przepraszam, już nie przeszkadzam.

Popatrzyła na niego z irytacją. Dziwna sprawa, im bardziej bywał nieznośny, tym bardziej ją do niego ciągnęło.

- Ja też dużo o panu ostatnio myślałam. - Postanowiła przejść do ataku.

- Doprawdy? Bardzo miło mi to słyszeć. - Rozpromienił się w uśmiechu.

- I pomyślałam sobie, że skoro nie wie pan, skąd się wzięły te dwa ciała w pana mieszkaniu, bo, jak pan twierdzi, zginął

pan wcześniej, to może wie coś na ten temat ten drugi? Ten, który wszedł do szafki w kuchni? – Wbiła w niego badawcze spojrzenie. – Już raz mi pomógł, więc może mógłby to zrobić i tym razem? – dodała.

Jego twarz się zmieniła. Obserwowała, jak spływa z niej powoli ta nonszalancka mina uroczego łobuza, a zamiast niej pojawia się coś innego, coś o wiele bardziej niepewnego siebie.

Mrugnął oczami.

– Dlaczego niby miałby to wiedzieć? – spytał zmienionym głosem.

– Bo był tam wtedy, prawda? Nie mylę się chyba?

Jego rysy ściągnęły się, na czole pojawiła się długa bruzda.

– Może mieć pani rację – odpowiedział powoli.

– Więc jak, zdradzi mi to pan? – spytała. – Ja panu swoje imię zdradziłam.

Wpatrywała się w niego z napięciem. To mógł być przełomowy moment. Trudno byłoby obronić taki dowód w sądzie, ale przynajmniej się czegoś dowie.

Mężczyzna zamrugał jeszcze parę razy. Sprawiał wrażenie, jakby coś sobie przypominał i jakby nie było to zbyt przyjemne.

– Przyniósł ich tamten drugi ja – odpowiedział w końcu. Mówił z wyraźnym wysiłkiem.

– Ten, który zginął wcześniej?

– Tak.

Znowu to samo, pomyślała. Czy nie było wyjścia z tego zakłętego kręgu?

– Skąd ich przyniósł?

Odwrócił od niej spojrzenie. Patrzył teraz na ścianę.

– Z tego drugiego mieszkania – odparł.

– Jakiego mieszkania? – spytała.

– Tego, w którym nikt nie mieszka – odpowiedział. – Twierdził, że też był kiedyś w śpiączce.

- Też? Tak jak pan? - spytała.

- Ciii... - Mężczyzna położył palec na ustach. - Nie wolno mi o tym mówić - wyszeptał konspiracyjnie. - Ci wszyscy lekarze tu dziwnie się wtedy zachowują.

- Skąd pan wie, że jest pan w śpiączce? - spytała. - Tamten mężczyzna panu powiedział?

- Nie, dostałem wiadomość.

- Jaką wiadomość?

Nagle drzwi się otworzyły. Weszła przez nie lekarka.

- Dzień dobry, pani prokurator. - Jej głos raczej nie był przyjazny. - Wydawało mi się, że ustaliłyśmy ostatnio, jak powinny wyglądać pani rozmowy z moim pacjentem.

Wstała.

- Niczego nie ustalaliśmy, pani doktor - odpowiedziała. - Wysłuchałam po prostu pani uwag, lecz podjęłam decyzję, że się do nich nie zastosuję.

- Pani wybaczy, ale ten człowiek jest nadal moim pacjentem i decyzje w jego sprawie podejmuję ja - usłyszała.

- Pani wybaczy - powtórzyła jej sformułowanie - ale prowadzę śledztwo i jako prokurator sama decyduję, w jaki sposób przesłuchiwać świadka.

- Tu jest szpital, nie sąd ani prokuratura, i tu najważniejsze jest dobro pacjenta. Prowadząc z nim rozmowę w ten sposób, może pani pogłębić jego ewentualne zaburzenia i utrudnić proces leczenia. Już nie wspominając o tym, że takie zeznania są całkowicie niewiarygodne. O czym nie omieszkam wspomnieć w trakcie ewentualnego procesu, jeśli obrona powoła mnie na świadka.

- Będziecie się biły? - usłyszała głos mężczyzny. - Mam skoczyć po kisiel?

Spojrzała na niego. Na jego twarz powrócił poprzedni lekko zawadiacki uśmiech. Nawet jeśli wygra z tą lekarką i przepędzi

ją z tej sali, do poprzedniej rozmowy raczej nie będzie już powrotu. Szkoda.

- I tak już skończyłam - powiedziała. - Do widzenia.

ROZDZIAŁ 71

Zadarła w górę głowę. Czterdzieści cztery piętra połyskującego, ciemnego szkła wznosiły się nad nią niczym ogromna bazaltowa stela ku czci jakiegoś bóstwa. Przyjechała pod ten budynek, choć nie miała tu nic konkretnego do załatwienia. Musiała po prostu pomyśleć, a gdzie najlepiej to robić, jeśli nie w miejscu, gdzie się to wszystko odbyło? To nie wiadomo co.

Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że odpowiedź jest właśnie w tym szklanym molochu. W tym stojącym na tylnych łapach czarnym lewiatanie, w którego wnętrzu żyli półknięci przez niego ludzie. Zaczynała powoli traktować go jak żywą istotę, istotę do tego złośliwą, mroczną, skrywającą straszne tajemnice, nieprzyjazną i zazdrosną, posiadającą pokrzywioną, ciemną duszę i do tego osobiście jej nie lubiącą. Z cholerną wzajemnością.

Czy gdyby kazała przeszukać cały ten budynek, jego wszystkie mieszkania, pomieszczenia, szyby, windy, garaże i zakamarki, coś by to dało? Była pewna, że tak, lecz musiałyby mieć do tego naprawdę dobry powód. Policja przeszukała gmach już pierwszego dnia, lecz wejście do takiej liczby prywatnych mieszkań nie może się odbyć bez solidnego uzasadnienia. Inaczej zjedzą ją w prokuraturze, zwłaszcza gdyby nie przyniosło to oczekiwanych efektów.

Ta możliwość zawsze zostawała w odwodzie, tymczasem warto jednak skorzystać z mniej spektakularnych środków. Weszła przez szklane drzwi. Wnętrze holu recepcyjnego w odróżnieniu od bryły budynku było przejrzyste i jasne.

Podeszła do równie świetlistego kontuaru. Siedziała za nim dość młoda kobieta.

- Prokurator Gabriela Seredyńska - przedstawiła się, pokazując legitymację. - Czy mogłabym porozmawiać z kimś z administracji? - spytała.

- Tak, oczywiście. - Kobieta wydawała się spłoszona. - Gdzieś tu był numer...

Zaczęła przeglądać papiery na blacie. Sprawiała wrażenie, że nie wie za bardzo, co robi.

- Może ma go pani w komputerze? - spytała Seredyńska. - Albo jest zapisany w tej centralce telefonicznej? - Wskazała dość spore urządzenia z wieloma przyciskami i słuchawką.

- Tak, oczywiście, przepraszam. - Kobieta uśmiechnęła się z zażenowaniem. - Jestem tu dopiero od paru dni i nie do końca jeszcze się we wszystkim orientuję. Jeden z poprzednich portierów przestał bez zapowiedzi przychodzić do pracy, więc musieli dość nagle zorganizować zastępstwo. Przyjęli mnie, ale nie za bardzo się chyba do tego nadają...

Nie miała za bardzo ochoty wysłuchiwać teraz zwierzeń tej młodej osoby, więc po raz kolejny wskazała palcem centralkę.

- Telefon - przypomniała.

Siedziba administratora nieruchomości znajdowała się w tym samym budynku, w jego części biurowej. Mężczyzna, który ją przyjął, wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać ktoś taki. Był ubrany w nienagannie skrojony granatowy, dopasowany garnitur, białą, lśniącą koszulę i krawat zawiązany w tak perfekcyjny węzeł, że aż miało się ochotę zdjąć go z jego szyi i zanieść do muzeum. Szczupły, szpakowaty, z cienkimi okularami o grubych szklach na nosie wyglądał bardziej na dyrektora banku niż na kogoś, kto w zasadzie był ciecieniem.

- Dzień dobry, pani prokurator - przywitał ją po męsku, uściskiem dłoni. - Myślałem, że ta okropna sprawa

z trzydziestego piętra jest już za nami.

- Ogłędziny miejsca zdarzenia faktycznie zostały zakończone, lecz śledztwo ciągle trwa - odpowiedziała.

- I rozumiem, że w tej sprawie pani do mnie przyszła - stwierdził. - Jak mogę pani pomóc? - Wskazał jej dłonią krzesło.

Usiadła.

- Mam parę pytań dotyczących budynku - zaczęła. - Liczę, że uzyskam u pana na nie odpowiedź.

- Może powinna się pani w takim razie skontaktować z architektem? - zasugerował.

- Nie aż tak szczegółowych póki co, ale być może i na to przyjdzie czas - odpowiedziała.

- Rozumiem. Jako przedstawiciel firmy administrującej tą nieruchomością deklaruję pełną gotowość do współpracy z wymiarem sprawiedliwości. Tragedia ta wszystkimi nami mocno wstrząsnęła. To pierwsze morderstwo w tym budynku, choć biorąc pod uwagę liczbę jego mieszkańców, statystycznie rzecz biorąc, prędzej czy później coś takiego musiało się wydarzyć.

Uśmiechnęła się zdawkowo. Widok roztaczający się z okna biura pana administratora był znacznie mniej okazały niż ten z mieszkania Krystiana Zapały. Tego typu drapacze chmur nie powinny mieć w ogóle niższych pięter, pomyślała. Taki widok w takim budynku był doprawdy niepoważny.

- Chodzi mi konkretnie o jedną kwestię - powiedziała. - Za ubraniem jednej z ofiar znaleziono małe, białe kamyczki. Laboratorium twierdzi, że podobnych używa się w ogrodnictwie, wysypując nimi przestrzenie między roślinami. Lekarz sądowy z kolei utrzymuje, że śmierć tego człowieka nastąpiła wskutek upadku z dużej wysokości, a kamyczki pochodzą z powierzchni, na które spadło ciało. Wokół budynku nie znaleźliśmy czegoś takiego. Może wie pan, gdzie w budynku

lub jego okolicach znajduje się taki żwir? - spytała.

- Oczywiście - odpowiedział. - Mogę tam panią zaprowadzić. To prawie dokładnie nad nami.

Wyszli z biura. Technicznymi schodami weszli piętro wyżej. Były tam metalowe, pojedyncze drzwi. Mężczyzna przytknął swój identyfikator do czytnika kodów po prawej stronie. Rozległ się przeciągły dźwięk. Pchnął ręką wejście.

- To jedna z fajniejszych rzeczy w byciu szefem administracji - powiedział. - Można wejść naprawdę wszędzie.

Otworzył drzwi i kurtuazyjnie przepuścił przed sobą Seredyńską. Wyszli na rodzaj tarasu. Prawie w całości wysypano go białymi kamykami. Były mokre od niedawnego deszczu.

- Nasz kompleks składa się z dwóch budynków - powiedział, stając koło niej. - Mniejszy znajduje się tam. - Wskazał ręką przed siebie. - Ma tylko cztery piętra. Położony jest bezpośrednio przy placu Grzybowski. My jesteśmy w większym, zwieńczonym stusześcdziesięciometrową wieżą. Oba budynki połączone są jedynie szklanym dachem rozpiętym między nimi. - Wyciągnął rękę przed siebie. - Pod nim jest pasaż, z którego wchodzi się do kawiarni i restauracji na poziomie gruntu. Nasza wieża wyrasta z szerszej podstawy, która również ma cztery piętra, tak samo jak ten drugi budynek obok i to właśnie między nimi rozpięty jest szklany dach. Taras to przestrzeń wygospodarowana na dachu tej szerszej, czteropiętrowej podstawy.

Seredyńska obrzuciła spojrzeniem białą, pustą powierzchnię. Cały taras otoczony był dużymi szybami tworzącymi jak gdyby kolejne piętro, tyle że bez dachu. Od strony, z której weszli, był pusty, jednak bliżej ulicy wyłożony był deskami tarasowymi, stały tam również duże donice. Tam jednak nie było kamyków.

- Co jest tam? - spytała, wskazując w tamtym kierunku.

- Wspólna przestrzeń rekreacyjna - odpowiedział mężczyzna. - Można tam wejść z biur i siłowni na czwartym piętrze.

- Kto ma do niej dostęp? - spytała.

- Wszyscy pracownicy biur i klienci siłowni. A także oczywiście mieszkańcy. Ale tylko w sezonie. O tej porze roku jest zamknięta.

- A tu często ktoś zagląda?

- Teraz raczej rzadko - odpowiedział. - Tylko gdy trzeba posprzątać. Wiatr nawiewa tu różne śmieci, a to niezbyt estetycznie wygląda. Niektórzy lokatorzy mają też zwyczaj wyrzucania tu niedopałków- wyjaśnił.

- Pokazywał pan ten taras policji? - spytała.

- Tak, byli tu - odparł. - Wszystko przeszukali i niczego nie znaleźli.

Ale szukali pobieżnie, pomyślała. A to by trzeba było przepatrzyć kamyk po kamyku.

- Niech pan to zamknie i nikogo tu nie wpuszcza - poleciła. - Niedługo przyślę ekipę.

ROZDZIAŁ 72

Namioty techników stały już na tarasie, osłaniając jego powierzchnię od drobnego deszczu, który znowu zaczął padać. Było dość chłodno, lecz wysoka wilgotność powietrza powodowała, że po jej skórze osłoniętej białym, ochronnym kombinezonem, który znowu musiała ubrać, zaczęły spływać pojedyncze krople potu.

- Jeśli będzie trzeba, przesiejcie wszystko aż do dachu - poleciła.

- Na ślady biologiczne raczej bym nie liczyła - odparła policjantka z ekipy technicznej. - Pada z przerwami od tygodnia.

- Nie szkodzi - odparła. - Może znajdziemy coś, co nie rozpuszcza się w wodzie.

Spojrzała w górę. Niewielkie krople natychmiast pokryły jej plastikowe okulary. Ponad nią wznosiła się płaska, wilgotna, lśniąca powierzchnia. Sięgała samego nieba. Okna mieszkania Zapały i Bejtner nie wychodziły na tę stronę. Jeśli ciało numer dwa faktycznie spadło tu, na ten taras, musiało wypaść lub zostać wypchnięte z innego lokalu.

Podeszła do stojącego przy metalowych drzwiach kierownika administracji.

- Dużo mieszkań w tym budynku nie jest jeszcze zasiedlonych? - spytała.

- Całkiem sporo - odpowiedział. - Część została zakupiona jako inwestycje, a kilka wciąż jeszcze nie znalazło nabywców.

- Proszę przygotować listę wszystkich tego typu lokali, których okna wychodzą na tę stronę - poleciła. -

Prawdopodobnie będziemy chcieli się w nich rozejrzeć – poinformowała. – Będzie można tam wejść?

– Bez problemu – odparł. – Mój magiczny identyfikator otwiera wszystkie drzwi. – Uśmiechnął się szeroko.

Wydawał się mocno podekscytowany możliwością wzięcia w tym wszystkim udziału.

– Kto ma dostęp do tej części dachu? – spytała. – Dużo osób?

– Całkiem sporo – przytaknął. – Ekipa sprzątająca, konserwatorzy infrastruktury technicznej... Ale musiałbym sprawdzić dokładniej.

– Proszę to zrobić – powiedziała. – To i tę listę lokali. Najlepiej od razu – dodała, widząc, że ma zamiar tu nadal stać i przyglądać się pracy techników.

– Oczywiście – odpowiedział. – Natychmiast się tym zajmę.

Wyszedł.

Ona też postanowiła nie wystawać tu dłużej. Przeczesywanie takiej powierzchni trochę potrwa, a jej skóra coraz bardziej lepiała się od potu. Weszła do budynku i z ulgą ściągnęła z siebie kombinezon.

Zadzwoiła do Nowaczyka.

– Coś, cokolwiek? – spytała.

– Nic – odpowiedział. – Ale ty, jak słyszę, działasz?

– Rozwiążę tę sprawę, choćbym miała zburzyć ten budynek i własnymi rękami przeszukać gruzy – odparła.

– Nie wątpię, że byłabyś w stanie to zrobić – usłyszała.

Odszukała windę i zjechała nią na parter. Obsesja obsesją, lecz wypadałoby coś zjeść. Tamte ziemniaczki z chorizo nie byłyby najgłupszym pomysłem. Smakowały wybornie.

W portierni za kontuarem siedziała wciąż ta sama kobieta. Uśmiechnęły się do siebie. Na blacie przy niej leżała książka. Joe Nesbø, *Trzeci klucz*.

– Czyta pani kryminały? – spytała ją. Potrzebowała rozmowy

z kimś normalnym.

- Tak, i bardzo je lubię - odpowiedziała kobieta. - A pani?

- Nie bardzo mam kiedy - odparła. - Czytanie akt zajmuje mi większość czasu.

- Wow, prawdziwe zbrodnie! To musi być superpasjonujące... - rozmarzyła się dziewczyna.

- No więc właśnie nie za bardzo - odpowiedziała. - Ale bywają wyjątki.

- I wtedy jest naprawdę ekstra, co?

- I wtedy jest naprawdę frustrujące. Ale Harry'ego Hole'a chętnie bym poznała - dodała, by zetrzeć z twarzy dziewczyny wyraz zdziwienia i rozczarowania.

- No wiadomo. - Uśmiechnęła się portierka. - I jak, udało się pani wszystko załatwić?

- Mniej więcej - odpowiedziała. - Ale jeszcze trochę tu zostanę.

- Strasznie fajnie zobaczyć, jak to wszystko wygląda naprawdę - entuzjasmowała się dziewczyna. - Policja, radiowozy, ekipa techniczna... Szkoda, że nie mogę wejść tam na górę.

- Podoba się to pani?

- I to jak! - rozpromieniła się portierka. - Jak w prawdziwym kryminale! No właśnie okropnie żałowałam, że mnie jeszcze tu nie było poprzednim razem. A tu proszę! Przyjechaliście po raz drugi!

Coś nagle zaskoczyło w jej głowie.

- To kiedy pani zaczęła tu pracę? - spytała.

- Dokładnie dzień po. Bo ten poprzedni portier przestał z kolei przychodzić dzień wcześniej.

ROZDZIAŁ 73

- Portier z tego wieżowca przestał nagle przychodzić do pracy dokładnie dzień przed ujawnieniem zwłok, rozumiesz? - Stała na chodniku i niemal krzyczała do słuchawki. - Dlaczego nikt tego, do cholery, wcześniej nie sprawdził??

- Bo nie wydałaś takiego polecenia - usłyszała odpowiedź w słuchawce.

- Nie przesłuchiwałaś portierów??

- Przesłuchałem tego, który był w pracy dzień przed ujawnieniem zwłok, i drugiego, który miał wtedy nockę. Obaj nic nie widzieli.

- Żaden nie wspomniał, że był jakiś problem z zastępstwem?

- Żaden.

- A ty ich o to nie spytałaś??

- Kurwa, żeby o coś spytać, trzeba wiedzieć, że coś jest na rzeczy. Nie pomyślałem.

Przymknęła powieki. Dobrze, że rozmawiali przez telefon, bo chyba by mu walnęła.

- Dobra, nieważne, nie o to teraz chodzi - odpowiedziała. - Zbieraj dupę w troki i przyjeżdżaj tu natychmiast! - Gorączkowała się.

- W porządku, spokojnie, szefowo - odpowiedział Nowaczyk. - Tylko nie spal do tego czasu jakiejś wioski.

- Tego nie mogę zagwarantować - odparła. - Więc lepiej się pośpiesz.

Przerwała połączenie.

Weszła, a w zasadzie wbiegła z powrotem do budynku.

Minęła bez słowa zdziwioną portierkę i wjechała windą na piętro administracji. Jej kierownik był w swoim gabinecie.

- Dowiedziałam się właśnie, że jeden z pana portierów przestał bez zapowiedzi przychodzić do pracy i stało się to w dzień poprzedzający odnalezienie zwłok. - Nie zadała sobie nawet trudu, żeby usiąść. - Dlaczego nikt mi o tym nie wspomniał? Nie pomyślał pan, że te dwa fakty może coś łączyć?

Mężczyzna zrobił oszołomioną minę.

- Nie miałem o tym pojęcia - odpowiedział. - Takimi rzeczami zajmuje się dział HR w naszej centrali. Zarządzamy wieloma budynkami, mogli nawet nie wiedzieć, że coś się u nas stało...

- Dobrze, to nieistotne - przerwała mu ze zniecierpliwieniem. - Proszę natychmiast sprawdzić, jak ten człowiek się nazywa, gdzie mieszka i jaki ma numer telefonu. Zostanę tu, dopóki pan tego nie ustali.

Telefonu oczywiście nikt nie odbierał. Poczekała na Nowaczyka i ruszyli razem pod adres, który podał jej kierownik administracji. Miała ochotę poprosić, by włączyli syrenę na radiowozie, naprawdę miała na to ochotę.

Dojechali na miejsce po kilkunastu minutach. Dziesięcypiętrowy pięćdziesięcioletni blok położony w sąsiedniej dzielnicy, stojący tuż obok nowo powstających kolejnych drapaczy chmur. Siódme piętro. Winda jechała przeraźliwie wolno. Jakby wciągał ją do góry nie elektryczny silnik, ale kierat zaprzężony w woły.

Wysiedli z niej wreszcie. Zadzwonili do drzwi. Nikt nie otworzył.

- Wyważamy? - spytał Nowaczyk.

- Poczekaj jeszcze - odpowiedziała, choć Bóg jej świadkiem, miała ochotę to zrobić, i to zanim spytał.

Zadzwonili do drzwi sąsiadów. Jedne z nich się otwarły.

Nowaczyk pokazał odznakę.

- Kiedy ostatni raz widziała pani mieszkającego tu Krystiana Malickiego? - zagadnęła wystraszoną staruszkę.

- Parę dni temu.

- Na pewno, nie później?

- Na pewno. Coś się stało?

- Musimy z nim porozmawiać.

Nie poświęciła już kobiecie więcej uwagi. Dla pewności nacisnęła dzwonek raz jeszcze. Przytrzymała go dobre pół minuty.

- Dobra, wyważamy - powiedziała i odsunęła się na bok.

- Co państwo chcą wyważyć? - usłyszeli nagle z tyłu głos.

Przez to wszystko nie zauważyli, jak przyjechała winda. W jej otwartych drzwiach stał mężczyzna. W ręku niósł siatkę z zakupami.

Spojrzeni po sobie.

- Pan tu mieszka? - spytała.

- Tak.

- I nazywa się pan Krystian Malicki?

- Nie - odparł zdziwiony.

- A jak?

- Szymon Frąckowiak.

Sąsiadka ciągle stała w otwartych drzwiach do swojego mieszkania. Seredyńska spojrzała na nią pytająco. Kobieta wzruszyła ramionami.

- A ja tam wiem, jak on się nazywa? - powiedziała. - Spytałicie o tego, co tu mieszka. Myślałam, że wiecie, jak ma na nazwisko.

Seredyńska wypuściła powietrze nosem. To była jednak jedyna oznaka irytacji, na którą sobie pozwoliła.

- Możemy przez chwilę porozmawiać? - spytała mężczyznę.

- Na osobności - Wskazała znacząco głową sąsiadkę.

- Oczywiście, już otwieram.

Mieszkanie było małe, dwupokojowe. Mężczyzna postawił siatkę na szafce w kuchni i zaprosił ich do pokoju. Wyglądał na dość zszokowanego. Usiedli na wersalce.

- Czy pracował pan kiedyś jako portier w wieżowcu Cosmopolitan przy ulicy Twardej 4 w Warszawie? - spytała.

Mężczyzna uniósł wysoko brwi.

- Jako portier? - powtórzył pytanie. - W życiu. Jestem nauczycielem wychowania fizycznego. Pracuję w szkole.

- Od dawna?

- Od ponad dziesięciu lat.

- Czy zna pan kogoś, kto tam mieszka lub pracuje?

- Nie. Nawet nie wiedziałem, że jest taki wieżowiec. To znaczy, że taką ma nazwę.

- A czy zna pan kogoś, kto nazywa się Krystian Malicki?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Pierwsze słyszę o kimś takim.

Spojrzała na Nowaczyka. Jego mina wyrażała zniechęcenie.

- Czy jestem o coś, nie wiem... oskarżony? - spytał mężczyzna.

- Nie - odpowiedziała. - Najwyraźniej zaszła pomyłka. Czy jednak mógłby pan pojechać z nami na komendę w celu pobrania odcisków palców? - spytała. - A jeszcze wcześniej do tego wieżowca, żebyśmy mogli potwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że mówi pan prawdę?

- Tak, pewnie. - Mężczyzna wciąż wyglądał na oszołomionego. - Teraz?

- Jeśli mogłabym prosić - odparła w sposób, który raczej nie zakładał możliwości odmowy. - Bardzo zależy nam na czasie.

- Jasne. Nie ma problemu.

Wstali. Jej wzrok padł na zdjęcie wiszące na ścianie. Przedstawiało kobietę i mężczyznę z dzieckiem.

- Może pan oczywiście zawiadomić rodzinę - powiedziała.

Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

- A nie, to nie moje - wyjaśnił. - Wynająłem to mieszkanie i to zdjęcie już tu było. Zostało zdaje się po poprzednim lokatorze. Ja jestem wciąż kawalerem. Chciałem je zdjąć, ale zostaje wtedy taki pusty gwóźdź i brudna obwódka. Muszę coś wymyślić na jego miejsce.

ROZDZIAŁ 74

Radiowóz odwiózł mężczyznę do jego mieszkania. Wszystko się zgadzało. Rzeczywiście nazywał się Szymon Frąckowiak, rzeczywiście był nauczycielem WF-u, od ponad dziesięciu lat pracującym w tej samej szkole, i na pewno nie był zatrudniony jako portier w Cosmopolitanie. Jego odciski palców nie pokrywały się też z żadnymi znalezionymi w mieszkaniu Agnieszki Bejtner i Krystiana Zapały.

Seredyńska i Nowaczyk zostali w wieżowcu.

Podkomisarz odebrał telefon.

- Prawdopodobnie nie istnieje nikt taki jak Krystian Malicki - powiedział po zakończeniu rozmowy. - Co prawda jest w Polsce kilkanaście osób noszących to imię i nazwisko, ale w przypadku żadnej nie zgadza się wiek, wygląd ani miejsce zamieszkania.

- Nie spisali go z dowodu, gdy dostawał pracę w Cosmopolitanie? - spytała.

- Wpisał fałszywe dane, a oni tego nie sprawdzili - odparł. - Ale od dziś wprowadzą odpowiednią procedurę.

Kiwnęła głową.

- Czyli wracamy do punktu wyjścia - powiedziała.

- Chyba naprawdę będziesz musiała zburzyć tę budę i przeszukać gruzy - skomentował.

- W takim razie zróbmy to - odpowiedziała.

Wezwali kierownika administracji i rozpoczęli przeszukiwanie pustych lokali. Zaczęli od najniższych pięter.

Pierwsze mieszkanie, do którego weszli, miało około

czterdziestu metrów kwadratowych i położone było tuż nad tarasem. Z okien widać było szklany dach łączący oba budynki kompleksu. Składało się tylko z jednego pokoju i łazienki, było za to kompletnie umeblowane. Jak wyjaśnił kierownik, wszystkie apartamenty są całkowicie wykończone i gotowe do zamieszkania. Wszystko, jak zaznaczył, wykonano z materiałów najwyższej jakości.

- Nie chcemy ich kupić, tylko przeszukać - zauważyła.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się. - Jednak nigdy nic nie wiadomo. Możemy udzielić pani prokurator małego rabatu.

- Rabat, którego musieliby mi państwo udzielić, żeby mnie było stać na mieszkanie w tym budynku, podpadałby zapewne pod artykuł dwieście dwudziesty dziewiąty kodeksu karnego - odpowiedziała.

- Nie bardzo rozumiem. Co to za artykuł?

- Próba wręczenia korzyści majątkowej urzędnikowi państwowemu - wyjaśnił Nowaczyk.

Administrator zmienił się na twarzy.

- Niech się pan nie martwi, ona żartuje - uspokoił go podkomisarz. - Nie wygląda na to, ale żartuje.

- Prawdopodobnie - skomentowała. - Ale nigdy nic nie wiadomo.

To mieszkanie było puste. Żadnych śladów jakiegokolwiek bytności ludzkiej. Podobnie było z następnymi. Odwiedzili jeszcze kilka, od mniejszych, pięćdziesięciometrowych, po większe siedemdziesięciometrowe, aż do tych największych, liczących ponad sto pięćdziesiąt metrów. Nigdzie nie znaleźli niczego, co w jakikolwiek sposób przykuło ich uwagę, z wyjątkiem wyszukanych mebli, drogich parkietów i marmurów w łazienkach.

- To wszystkie? - spytała, gdy wychodzili z tego, które administrator określił jako „ostatnie”.

- Wszystkie z tych, które nie zostały sprzedane albo zostały, ale właściciele przekazali nam je w zarząd celem znalezienia najemcy - wyjaśnił. - Oferujemy również taką usługę.

- Czyli są jeszcze jakieś inne? - spytała.

- Są jeszcze te, które ktoś kupił, najczęściej w charakterze inwestycji, ale z różnych powodów nie przekazał nam ich do wynajmu - odpowiedział.

- Je również chcielibyśmy przeszukać - zakomunikowała.

- Z nimi jest pewien problem - stwierdził mężczyzna.

- Jaki to mianowicie? - Automatycznie się zjeżyła. Miała już szczerze dość tego bezproduktywnego chodzenia po pustych mieszkaniach.

- Nie wiem, które to są. - Administrator uśmiechnął się przepraszająco.

- Jak to pan nie wie? - zdziwiła się.

- Jeśli ktoś kupi od nas mieszkanie i nie przekaże nam go, byśmy je wynajęli, to skąd mamy wiedzieć, czy w nim mieszka, czy nie? - spytał retorycznie.

- Takie rzeczy chyba widać?

- Ten budynek ma czterdzieści cztery piętra, pani prokurator. - Rozłożył ręce mężczyzna. - Bezpośredni sąsiedzi może to widzą i wiedzą, ale nie my.

Miała już tego wszystkiego naprawdę po dziurki w nosie.

- Musi być jakiś sposób - stwierdziła z irytacją. - Nie wiem, rachunki za wodę. Gdy nikt nie mieszka w mieszkaniu, rachunki są niskie.

- Nie mamy do nich wglądu - wyjaśnił administrator. - Przychodzą na indywidualne adresy każdego właściciela. Podobnie jak wszystkie inne.

- Możemy to załatwić przez wodociągi - zauważył Nowaczyk. - Nie będzie problemu.

- Tak, ale ile to, kurwa, potrwa. - Była już naprawdę

podenerwowana.

- Podjedziemy do nich, machniemy twoją legitymacją prokuratorską i powinni nam to udostępnić od razu - stwierdził podkomisarz.

- Właśnie zaczął się weekend - wtrącił się administrator. - Więc może być z tym problem. Właściwie nie powinno mnie być już w pracy. Ale oczywiście zostaną tak długo, jak będzie trzeba - dodał po chwili i po zastanowieniu.

Kolejny pieprzony weekend, pomyślała z niechęcią. Czy one muszą być aż tak często?

- Dobrze - powiedziała. - Zaczniemy więc od lokali na trzydziestym piętrze - powiedziała. - Ma pan jakieś ich plany, rzuty, cokolwiek? - zwróciła się do administratora.

- Wszystko jest w moim komputerze - odpowiedział. - Ale musielibyśmy wrócić do biura.

ROZDZIAŁ 75

Pochylili się nad ekranem komputera.

- Na tym piętrze są cztery apartamenty - powiedział administrator. - Ten lokal należy do Agnieszki Bejtner i jej męża. - Wskazał palcem. - Właścicielem pozostałych trzech jest jeden człowiek o arabsko brzmiącym nazwisku. Prawdopodobnie inwestor z któregoś z krajów Zatoki Perskiej.

- Ma pan je w ofercie na wynajem? - spytała.

- Nie, nie mamy ich w naszym programie - odpowiedział.

- Stoją puste?

- Nie wiem. Mógł je wynająć przez inną firmę. Jedna z dużych, międzynarodowych agencji nieruchomości obsługuje takich zagranicznych klientów.

- Ma pan dostęp do tych apartamentów?

- Tak - odpowiedział. - Drzwi i zamki również należą do wyposażenia, które jest montowane jeszcze przed kupnem, każdy klient ma oczywiście własny, indywidualny klucz, ale ze względów bezpieczeństwa administracja ma możliwość otworzenia każdego zamka. Na wszelki wypadek - dodał.

- Zaczniemy od tego. - Wskazała jeden z lokali.

- Nie lepiej od tego? - Pokazał inny. - Jest najbliżej.

- Ten jest po drugiej stronie szybu windy - odpowiedziała. - Jest blisko, a jednocześnie jest zasłonięty. Gdybym coś knuła, wolałabym ten.

Wjechali na trzydzieste piętro. Podeszli pod drzwi mieszkania, które wybrała. Nic nie wskazywało na to, że ktoś w nim mieszkał. Lecz mogło to być złudne wrażenie. W tego

typu budynkach raczej nie stoją buty na wycieraczce przed wejściem.

Zadzwonili. Raz, potem drugi; drugi raz bardzo długo. Żadnej reakcji.

- Niech pan otworzy, a potem się odsunie - powiedziała do administratora. - Do środka wejdziemy tylko my.

Nowaczyk sięgnął za połę marynarki i wyciągnął policyjnego walthera.

- Na wszelki wypadek. - Puścił oko do administratora.

Mężczyzna zbladł.

- Proszę się nie martwić, on żartuje - skomentowała. - Prawdopodobnie.

Administrator otworzył drzwi i natychmiast odszedł parę kroków do tyłu. Nie na tyle jednak, by nie móc wszystkiego obserwować.

Podkomisarz Nowaczyk wszedł do środka. Pistolet trzymał opuszczony, przy udzie.

- Halo, tu policja - krzyknął. - Jest tu ktoś?

Odpowiedziała mu cisza. Teraz ona przekroczyła próg mieszkania.

Wyglądało tak samo jak wszystkie inne. Ciemne drewno na podłodze, wielkie okna i nowoczesna kanapa, która pasowała bardziej do hotelu lub biura niż do miejsca, które miało być czyimś domem.

Weszli dalej. Nowaczyk powtórzył swoje pytanie. Z tym samym efektem.

- Patrz - powiedział nagle i wskazał ruchem głowy na prawo.

Spojrzała w tamtym kierunku. Tu również salon połączony był z kuchnią i jadalnią, jak we wszystkich innych mieszkaniach, które dziś widzieli. Była jednak znacząca różnica. Na blacie wokół zlewu i na wyspie kuchennej stały rzeczy. Dużo rzeczy. Brudne naczynia, szklanki, kartony po

sokach i butelki po piwie. Ktoś użytkował ten lokal, lecz wyglądało to bardziej na piknik niż na ślady normalnego zamieszkania. Nowaczyk uniósł do góry rękę z pistoletem.

Im dalej wchodzili, tym więcej odnajdywali oznak ludzkiej bytności. Plamy na obiciu kanapy, okrągłe ślady po szklankach na szklanym stoliku, okruchy chipsów na dywanie. Ktoś tu mieszkał, lecz raczej nie trudził się, by po sobie sprzątać.

Nowaczyk wskazał lufą wejście do sypialni. Kiwnęła głową. Ruszyli w tamtym kierunku.

Drzwi były zamknięte. Podkomisarz położył lewą dłoń na klamce. W prawej trzymał walthera.

- Cofnij się - szepnął do niej.

- Nie ma mowy - odpowiedziała. - Chcę zobaczyć, jak się zbłaźnisz, wchodząc z bronią do pustego pokoju.

Ona jednak również mówiła cicho.

Nowaczyk nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Miała wrażenie, że otwierają się całą wieczność. Ich oczom powoli ukazywało się wnętrze sypialni.

Faktycznie nikogo w nim nie było, choć nie do końca było puste. Był tu bowiem jeszcze jeden, dość sugestywny, można powiedzieć, ślad bytności człowieka. Wyglądał trochę jak cień ludzkiej sylwetki na chodniku pozostały po wybuchu bomby atomowej w Hiroszimie.

Podkomisarz opuścił rękę z pistoletem.

- O ja pierdolę... - usłyszeli za plecami głos kierownika administracji. Najwyraźniej ciekawość pokonała w nim strach i wszedł tu tuż za nimi.

Łóżko w sypialni, w które teraz patrzyli, pokryte było całe w zasadzie jedną wielką, brunatnoczerwoną plamą. Na ścianie za nim widniał nieregularny, lecz wyraźny obrys człowieka, jakby ktoś siedział na łóżku i opierał się o nią plecami. Wokół jasnej, pustej przestrzeni rozchodziły się promieniście

rozbryzgi tego samego koloru co plama na łożku. Widziała takie ślady już parę razy w swoim zawodowym życiu, dlatego wiedziała, jak powstały i z czego są.

- Proszę natychmiast stąd wyjść i nie przekraczać więcej progu tego mieszkania - rzuciła ostro do mężczyzny za ich plecami. - Inaczej oskarżę pana o niszczenie dowodów.

Bardzo posłusznie i szybko spełnił jej polecenie.

Oni też nie powinni dalej wchodzić, dopóki nie pojawi się tu ekipa policyjnych techników. Jedyne, co mogli zrobić, to stać tam, gdzie już stali i próbować dostrzec i zrozumieć jak najwięcej.

- Chyba już wiemy, gdzie zginęła kobieta z szafy - skomentowała. - Siedziała tu i dźgała się nożem w twarz.

Podkomisarz schował pistolet do kabury.

- Muszę się napić - powiedział. - Co trzeba mieć w głowie, żeby samemu zrobić sobie coś takiego?

Na zakrwawionym posłaniu coś jednak pozostało. Leżało przy krawędzi łożka, dalej od nich i bliżej okna. Była to srebrna, metalowa ramka na zdjęcia. Pochłapana krwią, jak wszystko inne. Seredyńska wyciągnęła szyję i wychyliła maksymalnie ciało do przodu, ryzykując niemal przewrócenie, by przyjrzeć jej się lepiej. Miała ochotę złamać wszelkie reguły postępowania i wejść tam, żeby ją obejrzeć.

- Wiem, o czym myślisz - usłyszała głos Nowaczyka. - Chcesz zaryzykować zatarcie śladów i kontaminację materiału genetycznego, by dowiedzieć się czegoś, co być może wcale nie jest istotne.

Miał rację. Już raz dzisiaj była prawie pewna, że jest o krok od przełomu w śledztwie i gównem z tego wyszło.

- Chrzanić to - powiedziała.

Zrobiła trzy duże, jak najdłuższe kroki. Stała nad posłaniem. Poczula zapach zaschniętej krwi.

Ramka była pusta. No jasne.

ROZDZIAŁ 76

Musiała zdjąć buty i zostawić je w tamtym mieszkaniu. Na wypadek – mało prawdopodobny – że wdepnęła w coś ważnego i ten niezwykle istotny ślad wyniesie teraz na zewnątrz. Wołała jednak to zrobić, choćby po to, by uspokoić nieco swoje prokuratorskie sumienie po ewidentnym i jak się okazało bezcelowym złamaniu zasad i procedur.

Zjechała na dół. Ekipa techniczna, która badała żwir na tarasie, musiała się podzielić, by część z jej członków mogła zbadać lokal, z którego wyszła. Na wyniki – jeśli w ogóle będą – trzeba będzie poczekać.

Może wreszcie będzie miała czas, żeby coś zjeść. Wyszła z windy, uśmiechnęła się do dziewczyny za kontuarem i podeszła do wyjścia. Przez wielkie szyby widać było mokry chodnik. Deszcz wciąż padał, a ona miała na stopach tylko rajstopy.

- Nie ma tu jakiegoś wewnętrznego przejścia do tej restauracji obok? – zapytała portierkę.

- Niestety, nie – usłyszała. – Musi pani wyjść na dwór.

Zawahała się. Mokre stopy o tej porze roku to nie był najlepszy pomysł.

- Co się stało z pani butami? – Dziewczyna musiała zauważyć, że jest bosa.

- Zagięły w akcji – odpowiedziała kwaśno.

- Mogę pani pożyczyć swoje.

Odwróciła się do niej.

- Tutaj muszę chodzić w szpilkach, ale gdy idę do domu, zakładam coś bardziej wygodnego – wyjaśniła. – Naprawdę

mogę je pani pożyczyć. Ma pani podobną stopę jak ja. Rozmiar trzydzieści dziewięć, prawda?

- Trzydzieści osiem.

- To prawie to samo.

Perspektywa założenia cudzych butów także nie wyglądała zachęcająco.

- Mam też czyste skarpetki - dodała portierka. - Zawsze noszę w plecaku na wszelki wypadek.

- W takim razie byłabym wdzięczna - odpowiedziała. Zawsze to lepsze niż chodzenie w listopadzie po deszczu boso. - Wymiar sprawiedliwości będzie miał u pani dług.

Dziewczyna sięgnęła pod kontuar. Podała jej białe, sportowe adidasy i równie białe skarpetki zwinięte w kulkę. Jeszcze pachniały proszkiem do prania. Na blacie wciąż leżała książka, tym razem otwarta i położona grzbietem do góry.

- Ciekawa lektura? - spytała.

- Jeszcze nie wiem - odpowiedziała dziewczyna. - Jestem dopiero na początku.

Jej wzrok zatrzymał się na tytule. *Trzeci klucz*. Coś ten tytuł do niej powiedział, tylko nie wiedziała co.

Usiadła na granatowej kanapie i nałożyła skarpetki na stopy. Potem włożyła buty. Były całkiem wygodne.

Nagle zrozumiała. Zrozumiała, o co chodziło z tym tytułem. Wyciągnęła telefon i zadzwoniła do Nowaczyka.

- Złaż tu natychmiast - powiedziała. - Migiem.

Zjechał po paru minutach.

- O co chodzi? - spytał.

- O ramki - odparła. - Ramki na zdjęcia. Jedna była w zawiniątku za szafką kuchenną, druga na łóżku.

- I co z tego?

- Była też trzecia - powiedziała. - Pamiętasz gdzie? W mieszkaniu, w którym nie było Krystiana Malickiego.

- W mieszkaniach często wiszą ramki ze zdjęciami - odrzekł.

- Były takie same - powiedziała. - Tej samej wielkości.

- Ale co z tego? - powtórzył. - Czysty przypadek. Ramki były takie same, bo zdjęcia były takiej samej wielkości. Są trzy najpopularniejsze formaty wywoływanych zdjęć. Dziewięć na trzynaście centymetrów, dziesięć na piętnaście i jeszcze jeden, większy, nie pamiętam dokładnie jaki. Prawdopodobieństwo, że w trzech różnych mieszkaniach znajdziemy takie same ramki, jest więc raczej dość spore.

- Ten gość powiedział, że zdjęcie zostało po poprzednich lokatorach. A portier, który stąd odszedł, podał właśnie tamten adres - zauważyła. - To już nie musi być przypadek.

- Myślisz, że mógł tam wcześniej mieszkać?

- Nie wiem - odpowiedziała. - Ale warto to sprawdzić. Czy mamy jakikolwiek wizerunek tego portiera? - spytała.

- Identyfikatory w Cosmopolitanie nie mają zdjęć, a gość podał fałszywe nazwisko, więc nie - odpowiedział. - Ale mamy nagrania z monitoringu przy wejściu.

- Znajdź takie, na którym widać jego twarz, i odszukaj właściciela mieszkania, które wynajmuje Szymon Frąckowiak - poleciła. - Nie muszę chyba dodawać, jak szybko masz to zrobić? W zasadzie to już powinieneś je mieć.

Poszła wreszcie na te cholerne ziemniaki. Zanim zdążyła je zjeść, wrócił Nowaczyk.

- Mam wszystko - powiedział. - Jedziemy?

Odsunęła bez żalu niedokończoną potrawę. Czowała takie napięcie, że ledwo wcisnęła w siebie pół porcji.

- Jedziemy - odpowiedziała.

Właściciel mieszkał w tym samym budynku, co nauczyciel WF-u, tylko trzy piętra wyżej. Weszli do niego i pokazali mu zdjęcia z monitoringu.

- Tak - powiedział. - To chyba on. Wynajmował u mnie

mieszkanie z żoną i synem.

- Jak się nazywał? - spytała.

- Musiałbym sprawdzić w umowie najmu - odparł mężczyzna. - Niby pamiętam, ale wolę się upewnić. Wszystko mam legalne, jakby co - dodał, patrząc na Nowaczyka.

- Nie jestem ze skarbówki, lecz bardzo się cieszę. - Podkomisarz się uśmiechnął. - Zawsze to miło spotkać uczciwego obywatela.

- Zaraz, zaraz... - Mężczyzna wyjął mocno napakowany niebieski segregator i zaczął go przeglądać. - O, jest. Rafał Malicki.

Nowaczyk zerknął mu przez ramię.

- Spisał go pan z dowodu? - spytał.

- Oczywiście! - zachnął się mężczyzna. - Zawsze tak robię. Gdy się wynajmuje mieszkanie, trzeba pilnować takich rzeczy. Potem ci nie zapłaci albo zdewastuje lokal i szukaj wiatru w polu. Mam tu nawet PESEL. - Wskazał palcem.

- Zuch! - skomentował żartobliwie podkomisarz. - Powoli staję się pana fanem.

- W jakich okolicznościach Rafał Malicki opuścił pana mieszkanie? - spytała Seredyńska.

- Dość smutnych - odpowiedział właściciel. - Spowodował wypadek, w którym zginął jego syn, a żona została ciężko ranna. Doszła do siebie, ale wie pani, z jej głową potem już nie było najlepiej. Musiał się nią zająć, stracił pracę i przestał mi płacić. Przez parę miesięcy przymykałem na to oko, lecz musiałem mu w końcu wymówić.

- Dawno się wyprowadził?

- Niedawno, parę tygodni temu. Nawet nie wszystkie rzeczy zabrał. Myślałem, że jeszcze po nie wróci. Zrobił coś, że go szukacie?

- Jest zamieszany w śmierć dwójki ludzi - wyjaśniła

lakonicznie. - Szukamy go, by dowiedzieć się w jaki sposób.

- Jezus Maria! - Właściciel przeżegnał się z przerażeniem. - I taki człowiek mieszkał pod moim dachem... Dobrze, że mnie nie zabił. Tak to jest z tymi lokatorami, nigdy nie wiesz, na kogo trafisz. Człowiek chce tylko zarobić, a potem znajdują go z poderżniętym gardłem... Może powinienem jednak sprzedać to mieszkanie, jak państwo myślą?

- Tylko niech pan nie zapomni odwiedzić potem Urzędu Skarbowego - z uśmiechem poradził Nowaczyk.

ROZDZIAŁ 77

- Co...? Skąd...? Co to, kurwa, znaczy? - Czuł, jak włosy podnoszą mu się na głowie. - Kim ty w ogóle jesteś?

- Tobą - usłyszał w odpowiedzi. - Jestem tobą. A to jest nasza rodzina.

- Nasza? - Wpatrywał się osłupiałym wzrokiem w płótno, z którego powoli ściekała krwawa farba.

- Twoja i moja. Nasza. Nasza żona i nasz syn.

Popatrzył na tamtego człowieka. Jego twarz się zmieniła. Było w niej coś nieokreślenie niepokojącego.

- Jak to możliwe? - spytał. - Nasza wspólna?

- Nasza wspólna - potwierdził. - Leżymy w śpiączce po wypadku.

- Jakim wypadku? - spytał. - Tym podczas nurkowania?

- Jakiego nurkowania? Już ci się całkiem we łbie pomieszało? Samochodowym. Nie pamiętasz?

- Nie pamiętam.

- Jechałeś z rodziną nad morze. Nie na żadne Karaiby, wymyśliłeś to sobie. Nad Bałtyk.

- I co się stało?

- Nudziło ci się. Bo to długa trasa. Zacząłeś coś grzebać w telefonie. I spowodowałeś wypadek. Twój syn siedział obok ciebie. Miał tylko dziesięć lat, więc nie powinien, ale bardzo lubił podróżować z przodu. Zginął na miejscu. Żona spała, leżała na tylnej kanapie. To uratowało jej życie, ale została ciężko ranna. Tylko tobie, głupi sukinsynu, nic się nie stało.

Zobaczył, jak po twarzy tamtego spływają łzy.

- To dlaczego leżymy w śpiączce? - spytał. - Skoro nic nam się nie stało.

Był kompletnie skołowaciały, nic nie rozumiał. Faktycznie czuł się, jakby to wszystko był sen.

- Próbowałeś się potem zabić - usłyszał. - Prawie ci się udało.

- A ona? Nasza żona?

- Jej się udało całkowicie. Doszła do siebie po wypadku, ale tylko fizycznie. Obwiniła się o to, że pozwoliła waszemu synowi siedzieć obok ciebie. Gdyby się nie zgodziła, to on spałby na kanapie z tyłu, a ona nie pozwoliłaby ci patrzeć w telefon zamiast na drogę. Myślała, że to jej wina, ale nie miała racji. Wina była tylko i wyłącznie twoja.

Stali naprzeciw siebie niczym swoje lustrzane odbicia, podobnego wzrostu, z takim samym kolorem włosów, nawet oczy - dopiero teraz to zauważył - mieli takie same.

- Dlaczego jest nas wobec tego dwóch? - spytał.

Jego odbicie wzruszyło ramionami.

- Kto wie, co dzieje się w ludzkim mózgu w czasie śpiączki? - powiedział. - Może wyodrębniłeś mnie z siebie, by móc o wszystkim zapomnieć? Zwaliłeś na mnie całe poczucie winy, żeby samemu żyć w spokoju? Stworzyłeś sobie ten świat. - Zakreślił ręką półkole. - Wygodny, nierzeczywisty i bez syna, żeby ci nie przypominał o tamtym. Ale to nie do końca się udało, prawda? Bariera nie była szczelna. Co i raz coś przez nią przeciekało. Aż w końcu przebiłem się przez nią ja. - Uderzył się w pierś, aż zadudniło. - Bo nie mam zamiaru sam dźwigać tego ciężaru, rozumiesz? Nie dam się zamknąć w tym schemacie, w którym ty masz wszystko, a ja nic. Rozumiesz? - powtórzył. Zaczął płakać, a wręcz zanosić się od płaczu. Łzy płynęły po jego wykrzywionej wściekłością twarzy. Lecz wciąż na niego patrzył. Tamten on patrzył na tego siebie. Zakręciło

mu się w głowie. Temu jemu, temu, który tego słuchał.

- Jak on miał na imię?- spytał. - Nasz syn.

- Stanisław. Staszek.

- Jak Wyspiański...

- Tak, jak Wyspiański.

Usiadł na kanapie. Tamten ciągle stał. Przestał już płakać, tylko dyszał ciężko.

- A więc to wszystko jest nieprawdą? - upewnił się jeszcze. - To mieszkanie, ten widok z okna, to całe moje życie?

- A jak myślisz? - usłyszał. - Czy to wygląda, jakby było prawdziwe? Prawdą jest bieda, beznadzieja i cierpienie. Tak to wygląda naprawdę.

To dziwne, ale poczuł ulgę. Wreszcie się dowiedział.

- A nasza żona? - spytał. - Opowiedz mi o niej - poprosił.

- Studiowała aktorstwo na Akademii Teatralnej. Miała na imię Ewa. Chodziła zawsze w długich sukniach do ziemi i miała kręcone włosy. Była cudowna, mądra i piękna. Przypominała trochę Janis Joplin. Naprawdę jej nie pamiętasz?

Rzeczywiście, pamiętał taką dziewczynę. Miał o niej tylko zupełnie inne wspomnienia.

- Wszyscy ją mieli za lekko rąbniętą - powiedział. Przeleciał ją kiedyś na jakiejś imprezie. Raczej przypadkiem i raczej od niechcienia.

Niepotrzebnie wymówił tamte słowa. Dobrze, że nie powiedział tego drugiego.

Tamten nieomal zawył.

- Była wspaniała, rozumiesz? Bardzo ją kochałeś! Mieliście razem syna i byliście szczęśliwi! Nie widziałeś zdjęcia?

Widział, faktycznie. I dobrze je pamiętał. Lecz była na nim Agnieszka Bejtner. A w tle były palmy.

- Jak wyglądało naprawdę nasze życie, zanim...- nie wiedział, jak to powiedzieć - stało się tamto?

- Nie skończyłem akademii - odpowiedział tamten. -
Musiałem pójść do pracy.

- Dlaczego? - spytał.

- Żeby utrzymać rodzinę.

- Już wtedy urodził się...?

- Tak.

- A jego matka?

- Źle zniosła ciążę i poród, pracowała, ale tylko dorywczo.

- Malowałeś... malowaliśmy? - Dziwnie mu to brzmiało i nie mógł się przemóc, by tak mówić.

- Nie było czasu - usłyszał odpowiedź. - Praca, zajmowanie się dzieckiem, wciąż nie starczało pieniędzy...

- Rozumiem - odpowiedział.

Spojrzał za okno. A więc to wszystko, tak jak przypuszczał, była ułuda. Ten widok, to mieszkanie na trzydziestym piętrze... Wstał i podszedł do szyby. Malutkie samochody pędziły nieprzerwanym sznurem w kierunku imponującej, nawet z tej perspektywy, bryły Pałacu Kultury.

- I co teraz? - spytał. Stał tak blisko okna, że na szkle pojawił się mały, zaparowany obłoczek.

- Musimy się obudzić - usłyszał za plecami.

ROZDZIAŁ 78

Wrócili do wieżowca, wjechali na trzydzieste piętro. Wywołali szefa techników.

- Moim zdaniem ktoś mieszkał w tym lokalu co najmniej trzy tygodnie - powiedział. - W lodówce jest jedzenie, część już zdążyła się przeterminować. Kosz na śmieci niemal się wylewa.

- Coś jeszcze ciekawego? - spytała Seredyńska.

- Pasy przymocowane do łóżka - odpowiedział. - Takie w stylu sado-maso, służące do krępowania. Z zapięciami na nadgarstki i stopy.

- Na tym łóżku z krwią? - upewniła się.

- Nie ma tam innego - odparł.

- Czyli w grę może wchodzić przemoc seksualna? - spytał Nowaczyk.

- Nie sądzę - odparł technik. - W szafce przy łóżku jest cały zestaw leków. Z tego, co wiem, co najmniej jeden z nich stosuje się podczas leczenia różnego typu zaburzeń psychicznych.

- Myśli pan, że te pasy służyły do unieruchamiania osoby chorej? - spytała.

- Można tak przypuszczać - potwierdził. - Unieruchamiania, dodajmy, nie do końca skutecznego.

- Dlaczego? - spytała.

- Tego typu gadzety nie służą do tego, żeby naprawdę kogoś więzić, służą do zabawy - wyjaśnił. - Z niektórych dość łatwo się wyswobodzić. Te były na rzepy. Trzy z nich były rozpięte, a jeden, na prawą rękę, nie. Wygląda to tak, jakby unieruchomiona osoba zdołała wyszarpać jedną rękę z opaski,

a potem rozpiąć nią pozostałe.

- A potem się zabiła - dokończył Nowaczyk.
- To oczywiście tylko gdybanie - zaznaczył technik.
- Oczywiście - przytaknęła Seredyńska.
- Ale jest jeszcze jedna ciekawa rzecz - powiedział technik.
- Jaka?

- W łazience stoją damskie kosmetyki. Wyglądają na używane i to tam, na miejscu. Jeśli osoba przetrzymywana na tym łóżku to kobieta, którą znaleźliśmy w mieszkaniu obok - co niedługo potwierdzimy za pomocą badania DNA - znaczyłoby to, że nie była cały czas unieruchomiona.

- W niektórych chorobach psychicznych okresy nasilenia objawów przeplatają się z okresami lepszego samopoczucia - zauważyła. - Może o to chodzi?

- Albo wiązał ją wtedy tylko, gdy wychodził - podsunął Nowaczyk.

- I któregoś razu wrócił i zastał ją martwą - powiedziała.

- Dość interesujący jest też dobór tych damskich kosmetyków - stwierdził szef techników.

- Co pan ma na myśli? - spytała.

- Jest bardzo dużo kosmetyków i akcesoriów służących do robienia makijażu - wyjaśnił. - Bardzo wiele różnych paletek cieni, podkłady, ale nie tylko. Są na przykład peruki, w tym jedna siwa. A także profesjonalne produkty charakteryzatorskie, jak chociażby silikon służący do zmieniania wyglądu twarzy.

- Tak się zabawiali? - Uśmiechnął się Nowaczyk.

Spiorunowała go wzrokiem.

- W łazience są też męskie kosmetyki - powiedział szef techników. - W tym maszynka do golenia i szczoteczka do zębów. Będziemy mogli porównać materiał genetyczny z profilem męskich włók z sąsiedniego mieszkania. Może

wreszcie dowiemy się, kto to jest.

Coś sobie nagle uświadomiła.

- W mieszkaniu Zapały też były szczoteczki, prawda? - spytała.

- Tak, były - odpowiedział mężczyzna.

- Pobraliście z nich materiał genetyczny?

- Nie - odparł ostrożnie.

- Dlaczego?

- Uznaliśmy, że nie ma takiej potrzeby - powiedział.

Miała ochotę wybuchnąć, lecz nie zrobiła tego. Nie było na to w tej chwili czasu.

- Zróbcie to teraz - powiedziała. - I porównajcie z profilem człowieka, który jest w szpitalu.

- Krystiana Zapały? - zdziwił się. - Skoro to jego mieszkanie, to chyba nie ma sensu.

- Po prostu to zróbcie - poleciła chłodno. - Ile to potrwa? - spytała.

- Biorąc pod uwagę, że jest weekend?

No tak, znowu o tym zapomniała.

- Za łóżkiem jest też posłanie dla psa - dodał. - Raczej niedużego. Pasuje rozmiarem do tego pieska z za szafki. Do tego worek z karmą, miski i tak dalej.

Kolejna rzecz się wyjaśniła.

- Jest jeszcze jedna ciekawa rzecz - powiedział. - Zaraz pani pokażę.

Wrócił na chwilę do środka. Gdy podszedł do nich znowu, miał w ręku kilka zdjęć. Pokazał im je.

- Wygląda to tak, jakby ktoś się zabawiał Photoshopem - skomentował. - Mamy tu trzy różne zdjęcia. Na tym jest rodzina z dzieckiem. - Podsunął jej lśniący kawałek papieru. - Na tym tylko dwie osoby, kobieta i mężczyzna, a na tym te same dwie osoby, lecz z dzieckiem przyklejonym z pierwszego

zdjęcia.

Przyjrzała im się. Poznała pierwsze zdjęcie. Wisiało w mieszkaniu, które kiedyś wynajmował Malicki. Drugie wyglądało na zrobione w ciepłych krajach. Z tyłu widać było palmy i błękitne morze. Może pochodziło ze słynnych wakacji na Martynice?

Co to mogło znaczyć, nie miała pojęcia. Pomyśli o tym później.

- Zróbcie jak najszybciej te badania DNA - poleciła. - Porównajcie też odciski palców z obu mieszkań. A ty - zwróciła się do podkomisarza - sprawdź, jak nazywała się żona Malickiego i co robiła.

- Jasne - powiedział i odszedł.

- A co na tarasie? - spytała technika.

- Niewiele - odpowiedział. - Na razie sporo niedopałków.

- Szukajcie wszystkiego, co może wypaść z kieszeni.

- Wiadomo. - Kiwnął głową.

- Wezwij mi tego gościa z administracji - rzuciła do koordynującego wszystko policjanta.

- Już się robi.

Szef administracji przyjechał po chwili. Z ciekawością zerknął w otwarte drzwi mieszkania.

- Ale się porobiło - powiedział. - Jeszcze ktoś uzna, że to piętro jest przeklęte.

Zignorowała to.

- Na zamku i drzwiach nie ma śladów włamania - przeszła do rzeczy. - To znaczy, że mieszkanie otwierano kluczem. Kto mógł mieć taki klucz?

- Właściciel, ale on raczej odpada. Pewnie się tu nawet nigdy nie pojawił - stwierdził. - Musiałbym sprawdzić, czy w ogóle go odebrał.

- A ktoś stąd? - spytała. - Na przykład portier?

- Portier nie - zaprzeczył stanowczo. - Klucz uniwersalny jest w moim biurze. Mam go teraz przy sobie. - Pokazał jej. - Portierzy nie mają do niego dostępu.

- To ten pana magiczny identyfikator?

- Nie, nie. On służy tylko do otwierania wszelkich drzwi wewnętrznych zaopatrzonych w zamki magnetyczne - wyjaśnił.
- Klucz uniwersalny do mieszkań zazwyczaj nie opuszcza biura. Jest tylko na wszelki wypadek.

- Jest inny egzemplarz oprócz tego?

- Tak, są dwa - przytaknął. - Drugi ma mój zastępca.

- Mogę się założyć, że ten drugi zginął - powiedziała.

- To absolutnie niemożliwe. - Pokręcił głową.

- Sprawdzał pan? - spytała.

- Nie, ale niedawno go widziałem. Na pewno go widziałem - dodał już trochę mniej pewnie. - Wisi w szklanej gablotce w jego gabinecie.

- Niech pan zjedzie do biura i sprawdzi. I potem do mnie wróci.

Nie było go co najwyżej pięć minut.

- Zginął - powiedział. Był raczej wstrząśnięty. - Ktoś go podmienił na inny. Dlatego mój zastępca myślał, że wszystko jest w porządku.

- Zagadka się rozwiązała - skomentowała.

- Kto mi go ukradł, ten portier? Ten, który nagle nie przyszedł do pracy? - spytał administrator.

- Urządził tu sobie tymczasowe mieszkanie - wyjaśniła. - Z poprzedniego go wyrzucono za niepłacenie czynszu.

Mniej więcej godzinę później zadzwonił Nowaczyk.

- Ewa Malicka - powiedział. - Ukończyła Akademię Teatralną im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie. Nie zrobiła kariery jako aktorka. Później pracowała jako charakteryzatorka przy produkcjach filmowych.

- To by tłumaczyło te kosmetyki i peruki w łazience - zauważyła. - A co z tym wypadkiem? - spytała.

- Był, rzeczywiście, dwa lata temu - odpowiedział. - Ich syn, Stanisław, zginął na miejscu, Ewa Malicka trafiła do szpitala w ciężkim stanie. Od tego czasu już nie pracowała. Została jej przyznana renta inwalidzka.

- A on?

- On wyszedł prawie bez szwanku. Ale co ciekawe, parę miesięcy temu trafił do szpitala, i to do tego samego.

- Z jakiego powodu?

- Próba samobójcza - wyjaśnił. - Połknął dużą ilość leków, które zażywała jego żona. Był przez jakiś czas w śpiączce, ale się wybudził. Gdy skończyło mu się zwolnienie, wrócił do pracy, ale potem dość szybko ją stracił.

- Jak u niego ze zdjęciem i odciskami palców? - spytała.

- Podobna sytuacja jak u Zapały - powiedział. - Stary dowód bez danych biometrycznych. Dlatego nie wyłapaliśmy go wcześniej, gdy przepuszczaliśmy odciski palców z mieszkania Zapały przez nasze bazy.

Zbliżali się do końca, wreszcie, czuła to. Jeszcze nie formułowała wniosków, nie domykała rozumowań, nie starała się tworzyć zamkniętej struktury ze zdarzeń i motywów. Na tym etapie lepiej, by wszystko to pływało swobodnie w jej umyśle, jak aminokwasy w praoceanie. Gdy przyjdzie czas, same połączą się w łańcuchy życia.

Ale było już blisko, coraz bliżej.

Pozostawało tylko pytanie: gdzie jest Agnieszka Bejtner?

ROZDZIAŁ 79

- Jak chcesz nas obudzić? - spytał.

- Jest tylko jeden sposób - usłyszał głos za plecami.

- Jaki?

- Zobaczysz. Ale musisz pójść ze mną.

Był kompletnie otumaniony, nie mógł myśleć. Stał przed tą szybą i patrzył tępo na nieistniejący świat. Naprawdę ładnie to sobie wszystko wymyślił. To trzydzieste piętro, ten apartament, te wakacje na Martynice. Próbował przypomnieć sobie więcej szczegółów z tamtego lata, ale nie potrafił. Jakby miał jakąś blokadę. Jakby przywoływał z pamięci film, który kiedyś widział w telewizji, a nie rzeczywistość. I pewnie naprawdę tak było. Raczej nie był przecież nigdy na Martynice ani nawet w podobnym tego typu miejscu.

- Byliśmy kiedyś w jakichś ciepłych krajach? - spytał tego drugiego siebie.

- Nie, nigdy. Nie stać nas było.

Pokiwał głową z zadumą. Nie stać ich było. Poczuł nagle pewien rodzaj tęsknoty. Tęsknoty za tym wszystkim, co niedługo straci. Wiedział, że to tylko iluzja, ale w jakiś sposób przywiązał się do tego. Ładne to było życie, mimo że nieprawdziwe. Trochę żal będzie to wszystko opuszczać. Tym bardziej, że jak twierdził ten drugi on, rzeczywistość istniejąca rzeczywiście - aż się uśmiechnął na to sformułowanie - była dalece mniej satysfakcjonująca.

Nawet jego żona tu była całkiem spoko, pomyślał z pewnego rodzaju zdziwieniem. Nawet jej będzie mu w jakiś sposób brakować. Ostatnio im się co prawda nie układało - zrzucił to

na karb nieuniknionej degeneracji wymyślonego świata - ale wcześniej między nimi było chyba całkiem w porządku. Przynajmniej z dzisiejszej perspektywy. Gdy myślał o swojej prawdziwej żonie, tej, o której opowiadał ten drugi on, jakoś nie umiał wzbudzić w sobie entuzjazmu. Podobno ją kochał i podobno byli ze sobą szczęśliwi. No cóż, z opowieści tamtego wyłaniał się obraz nie do końca pasujący do tego stwierdzenia. Ale może rozpuścił go i rozpieścił ten nieistniejący świat.

To chyba zresztą naturalne, że będąc w śpiączce, wymyślił sobie rzeczywistość nieco lepszą od tej, w której przyszło mu żyć naprawdę. Arkadyjski kokon, który w sumie nie wiadomo dlaczego tak mu się nie podobał. Teraz będzie musiał go opuścić. Dziwna sprawa, pomyślał, przecież tego chciał, a teraz nie za bardzo mu się do tego paliło.

Usłyszał coś. Odwrócił się. Tamten stał i coś do niego mówił. Musiał się skupić, żeby zrozumieć, co.

- Chodź. Musimy iść.

Tak, muszą iść.

- OK - odpowiedział.

Wyszli z mieszkania. Ruszyli w stronę wind. Minęli je jednak i poszli dalej. Tam też były drzwi, takie same jak jego. Ten drugi on wyjął klucz i otworzył je.

- Myślałem, że tu nikt nie mieszka - powiedział.

- Przecież to wszystko nam się wydaje - usłyszał.

No tak.

Weszli do środka.

- Chcesz zobaczyć Ewę? - spytał ten drugi on.

Z trudem uświadomił sobie, o kim on mówi.

- Jest tu? - zdziwił się. - Mówiłeś przecież...

- To sen. Iluzja - przerwał mu tamten. - Ciągle o tym zapominasz. Chodź.

Nawet nie bardzo wstrząsnęło nim to, co zobaczył.

- Tak wyglądała, gdy...? - nie dokończył.

- Tak.

- Dawno to się stało?

- A jakie to ma znaczenie?

Miał rację. Nie miało żadnego.

- A to? - spytał. - Co to jest? - W rogu posłania coś jeszcze leżało.

- Nasz pies - usłyszał. - Zabrała go ze sobą.

Dopiero teraz poczuł ukłucie żalu.

- Wiesz, co robiłem, zanim to wszystko się stało? - spytał tamten on.

- Nie - odparł.

- Montowałem okna - usłyszał. - Pracowałem w jednej z największych firm produkujących je w tym kraju. Znam się na wszystkich rodzajach, na ich budowie i działaniu. Kiedyś, w dobrych czasach, pracowałem nawet w podobnym budynku. Nie tym konkretnie, ale podobnym. Wstawiałem tam taki sam model. Pokazać ci coś?

- Co?

Ten drugi on podszedł do szyby. Przekręcił klamkę i pchnął. Wielkie okno uchyliło się. Ale nie trochę, jak w jego mieszkaniu. Otworzyło się szeroko.

- Te zabezpieczenia można obejść, gdy się zna ich konstrukcję - wyjaśnił. - Chcesz polatać? - spytał.

- Polatać? - Zimne, wilgotne powietrze owionęło mu twarz.

- Nie mów, że o tym nie myślałeś. Każdy w naszej sytuacji prędzej czy później wpada na ten pomysł. W tamtym, prawdziwym życiu, to jest niemożliwe. A w tym jest.

Podszedł do niego, wziął go za rękę i przyciągnął do otwartego okna. Potem stanął za nim. Pod ich stopami rozwarła się otchłań.

- Zobacz - powiedział mu niemal do ucha. - Wystarczy

zrobić krok. I lecisz. Jak w snach. Na pewno miałeś wcześniej takie sny. A to też jest przecież sen.

Spojrzał w przepaść za krawędzią. Dokładnie o tym kiedyś myślał. Na samym początku.

- Spróbuj. - Poczul lekkie pchnięcie w plecy. - Jest bosko.

Wyciągnął szyję, żeby zajrzeć dalej. Zobaczył nawet taras na dole. Było to mimo wszystko dość przerażające.

- I co będzie wtedy? - spytał.

- Nic. Polecisz.

- Robiłeś to już?

- Wielokrotnie. Nawet mi się już trochę znudziło. Ale dla ciebie to pierwszy raz. Musisz spróbować.

Cholera. Kiedyś próbował to zrobić. Rzucił się na szybę. Chciał przetestować w ten sposób rzeczywistość, zobaczyć, czy żyje naprawdę. Teraz miał wreszcie tego możliwość. Tylko...

- A co, jeśli spadnę? - spytał.

- Przecież się nie zabijesz - usłyszał w odpowiedzi.

Znowu popchnięcie w plecy. Na tyle silne, że mimowolnie zrobił krok do przodu. Stał teraz na samej krawędzi. Poczul strach. Nie, poczul przerażenie. Zachwiał się nieco.

- Ciii... - usłyszał szept. - To wszystko przecież nie istnieje. Słyszałeś o symplegadach?

- O czym? - Patrzył jak skamieniały w stumetrową dziurę pod swoimi stopami.

- O symplegadach. Badacze mitów tak nazywają próbę, którą musi przejść bohater, jeśli chce wejść na następny poziom w swoim rozwoju. Próbę niemożliwą na pierwszy rzut oka do pokonania. Żeby tego dokonać, musi po prostu uwierzyć, zaufać przewodnikowi, dać krok w przepaść.

- I co się wtedy dzieje?

- Przepaść znika, okazuje się, że nie istniała. A pod stopami wyrasta nagle magiczny most. Dokładnie w tym samym

momencie teraz jesteśmy. Ty jesteś. Musisz zaufać, uwierzyć,
a to wszystko zniknie. Ruszaj.

ROZDZIAŁ 8o

Znowu telefon i znowu Nowaczyk. Odebrała.

- Kazałem porównać bilingi Zapały i Malickiego - zaczął bez zbędnych wstępów. - I udało mi się odkryć bardzo ciekawą rzecz.

- Jaką? - spytała.

- Na kilka dni przed ujawnieniem zwłok obaj kontaktowali się z tym samym numerem telefonu. Oba połączenia dzieliło mniej niż czterdzieści osiem godzin.

Od razu, nie wiadomo dlaczego, pomyślała o mecenas Salomei Bejtner.

- Wiesz, czyj to numer? - spytała.

- Tak. Marka Nurczyka, pracownika agencji reklamowej. Jest w tym samym wieku co Zapała i też studiował na Akademii Sztuk Pięknych.

- Musimy z nim porozmawiać - stwierdziła.

- Właśnie po niego jadę - odpowiedział. - Zgarnę go i przyjedziemy do ciebie.

- Zuch chłopak! - skomentowała. - Świetna robota, podkomisarzu.

Przyjechali za pół godziny. Poprosiła kierownika administracji o użyczenie im biura. Usiedli we troje w jego gabinecie.

- Mamy do pana kilka pytań, jak pan już zapewne wie, dotyczących rozmów telefonicznych, jakie odbył pan z Krystianem Zapałą i Rafałem Malickim - zaczęła. - Na początek proszę powiedzieć, skąd pan zna obu wymienionych?

- Z Krystianem studiowałem na jednym roku ASP - odpowiedział mężczyzna. - Rafała Malickiego też znałem z uczelni, był chyba dwa lata niżej.

- Dobrze ich pan znał?

- Krystiana bardzo dobrze, przez większość studiów trzymaliśmy się razem; Malickiego poznałem dopiero przy okazji wystawy Krystiana w Galerii Kordegarda.

- Utrzymywaliście kontakt przez cały czas od skończenia studiów? - spytała.

- Nie. Z Krystianem mój kontakt urwał się tuż po studiach, z Malickim tak naprawdę rozmawiałem tylko raz, właśnie podczas tej wystawy, potem mówiliśmy sobie co najwyżej „cześć”. Po zakończeniu studiów już go więcej nie widziałem.

- Rozmowy, które odbyliście ponad tydzień temu, były pierwszym kontaktem po tym czasie?

- Tak, pierwszym - odpowiedział.

- Kto go zainicjował?

- Krystian. Zadzwoił do mnie. Było to dość niespodziewane dla mnie, bo nie widzieliśmy się dobrych parę lat.

- W jakiej sprawie dzwonił?

- Chciał się spotkać. Porozmawiać. Nalegał, by stało się to jak najszybciej. Pracuję niedaleko, a poza tym zaintrygował mnie tym nagłym kontaktem, więc przyjechałem jeszcze tego samego dnia.

- I o co chodziło? - spytała.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- W zasadzie nie wiem do końca - odpowiedział. - Chciał porozmawiać o mojej pracy dyplomowej, ale to był zdaje się pretekst. Miał jakiś problem z koncepcją realności rzeczywistości.

Spojrzała na niego uważnie.

- Mógłby pan to sprecyzować? - poprosiła.

- Z tego, co pamiętam, interesowało go, czy jest jakiś sposób, jakiś test, który pozwala jednoznacznie dowieść, że świat, w którym żyjemy, jest prawdziwy.

Zobaczyła, że brwi podkomisarza Nowaczyka unoszą się wysoko do góry.

- Po co był mu taki test? - spytała szybko, by jej kolega nie zdążył tego skomentować w jakiś głupi sposób.

- Nie zrozumiałem tego dokładnie - odparł mężczyzna. - Podawał przykład śpiączki. Pytał, w jaki sposób człowiek, który przebywa w śpiączce, ale wydaje mu się, śni mu się jakby, że wciąż normalnie żyje, mógłby to sprawdzić, przekonać się, czy świat, który ma wokół, jest prawdziwy czy nie.

- Przedstawił mu pan taki sposób? - spytała.

- Powiedziałem, trochę w żartach, że najlepiej by było się zabić. Na przykład wyskoczyć przez okno. Bo jeśli nie zginiemy, to znaczy, że nie żyliśmy naprawdę.

Spojrzała znacząco na Nowaczyka, on odwzajemnił jej spojrzenie. Mężczyzna musiał to zauważyć, bo spytał:

- Czemu w zasadzie was to wszystko interesuje? - spytał. - Coś mu się stało? Pan podkomisarz nie był łaskaw mi tego wyjaśnić. Zasłaniał się tajemnicą śledztwa.

- Pan podkomisarz miał absolutną rację - stwierdziła. - Wolałabym za wiele o tym nie mówić.

- Ale co, żyje, nie żyje? - Mężczyzna zrobił się nerwowy. - Zabił kogoś? Popełnił samobójstwo? Musicie mi coś powiedzieć!

Bardzo dobre pytania, pomyślała. Sama chciałaby znać na nie odpowiedź.

- Powiedzmy, że zaginął - odpowiedziała. - To musi panu wystarczyć. Oraz to, że najlepiej mu pan pomoże, odpowiadając na moje pytania. Do czego zresztą jest pan prawnie zobligowany - dodała z nutą groźby w głosie. - A oto następne

z nich: czy wie pan, skąd się u niego wzięły takie myśli?

Mężczyzna uspokoił się nieco.

- Spytałem go o to, gdy wychodziłem - odpowiedział. - Mówił, że dostał jakąś wiadomość, chyba na Messengerze.

- Jaką wiadomość?

- Właśnie taką. Że jest w śpiączce i że to wszystko - powiódł dłonią dokoła - mu się tylko śni. Tłumaczyłem mu, że to na pewno jakiś żart.

- Co odpowiedział na to?

- Zgodził się ze mną. Tak żeśmy się rozstali. Potem, co ciekawe, ja również dostałem taką wiadomość. Taką samą. Że leżę w szpitalu i ktoś chce się ze mną w ten sposób skontaktować. Okazało się, że to faktycznie rodzaj dowcipu, taki łańcuszek internetowy. Ludzie wysyłają go sobie dla zgrywy.

- Wyjaśnił mu pan to?

- Nie, już się później nie widzieliśmy. Wie pani, to nie było zbyt udane spotkanie. Choć może nie powinienem tego mówić w obecnej sytuacji...- Mężczyzna spojrzał na nią czujnie.

- Pokłóciliście się? - spytała.

- Aż tak to nie. - Uśmiechnął się, jakby chciał zbagatelizować sprawę. - Powiedzmy, że okazało się, iż mieliśmy nieco odmienny stosunek do naszej dawnej relacji. Bez żadnych strasznych emocji, po prostu raczej nie miałbym ochoty widzieć się z nim ponownie.

- Rozumiem. - Na wszelki wypadek postarała się, by w tym słowie dało się słyszeć powątpiewanie. Mężczyzna niemal się spocił pod jej badawczym spojrzeniem.

- Naprawdę, nic między nami wtedy nie zaszło. - Jego głos podniósł się oktawę wyżej. Nie skomentowała tego.

- Jak wobec tego odnowił pan znajomość z Rafałem Malickim? - spytała.

- Gdy wychodziłem z budynku, zagadał do mnie - odparł mężczyzna. - Siedział w portierni. Nie poznałem go, gdy wchodziłem, ale on widocznie już wtedy mnie rozpoznał.

- O czym rozmawialiście?

- Spytał mnie, co tu robię, odpowiedziałem, że odwiedziłem Krystiana. Zdziwił się, że on tu mieszka, nie wiedział tego.

- Myśli pan, że naprawdę nie wiedział? - spytała.

- Jego zdziwienie wydawało się autentyczne. Poza tym to prawdopodobne, bo Krystian mi mówił, że ostatnio w ogóle nie wychodzi z mieszkania, a Malicki twierdził, że pracuje tam od niedawna. I tylko przejściowo, jak usilnie podkreślał.

- Co było dalej?

- zaproponował, żebyśmy się spotkali w jakiejś knajpie i pogadali o starych czasach. Nie bardzo miałem na to ochotę, bo, jak mówiłem, nie znałem go za dobrze na studiach, ale był dość namolny i w końcu wymusił ode mnie mój numer telefonu.

- Spotkaliście się?

- Tak, zadzwonił już następnego dnia. Miałem nadzieję, że nie zadzwoni, ale zadzwonił. Spotkaliśmy się w greckiej knajpie przy Grzybowskiej.

- Jak przebiegało to spotkanie?

- Dużo mówił o sobie, w jak ciężkiej jest sytuacji. Podobno jego żona była w nie najlepszej formie, dlatego musiał przyjąć tę pracę. Ale bardzo też dużo wypytywał o Krystiana. Co się stało, że mieszka w tak ekskluzywnym budynku, o jego życie prywatne i tak dalej.

- Użył pan słowa „wypytywał” - stwierdziła. - Czy to znaczy, że jego zainteresowanie Krystianem Zapałą przekraczało poziom, jakiego się można było spodziewać?

- Tak, niewątpliwie. Od pewnego momentu rozmawialiśmy w zasadzie tylko o Krystianie. Chyba nawet nie spytał, co u mnie. Na początku mówił o sobie, a potem już tylko o nim.

- Nie zdziwiło to pana? - spytała.

- Szczerze mówiąc, niespecjalnie - odparł mężczyzna. - Malicki już na studiach był mocno zafascynowany Krystianem, kręcił się ciągle w jego pobliżu.

- Twierdził pan, że nie znał go zbyt dobrze - zauważyła. - A podobno trzymał się pan blisko Zapały.

- „Kręcił się” to nie znaczy, że był jego dobrym znajomym - wyjaśnił mężczyzna. - Po prostu... się kręcił.

- Rozumiem.

- Zresztą Krystiana otaczał wówczas taki wianuszek bliższych bądź dalszych satelitów. Kobiet i mężczyzn. Sam należałem do tego kręgu, tyle że byłem jedną z bliższych planet. Malicki był jedną z najdalszych.

- Co konkretnie powiedział pan Malickiemu o Zapale? - spytała.

- Chyba dość sporo. - Mężczyzna uśmiechnął się z zażenowaniem. - Miałem do Krystiana jakiś rodzaj żalu po tej rozmowie dzień wcześniej, więc włączył mi się, że się tak wyrażę, „obgadywacz”.

- Co to znaczy?

- Zacząłem go obgadywać w nie do końca przyjazny sposób - wyjaśnił mężczyzna z pewnym wstydem. - Że nigdy tak naprawdę nie miał talentu, że się ożenił z bogaczką, żeby mieć łatwe życie, a i tak jest nieszczęśliwy... Takie tam.

- Mówił pan o tym, że nie wychodzi z domu? - spytała.

- Tak.

- A o tej dziwnej wiadomości?

- Tak. Wyzłościwiałem się nawet, że uwierzył w taką bzdurę. Że niby jest w śpiączce, a to wszystko mu się wydaje. Żartowałem z niego.

- Co na to Malicki?

- Nic. Po prostu słuchał.

- Jest jeszcze coś, na co zwrócił pan uwagę, a co mógłby mi pan powiedzieć? - spytała na koniec.

Mężczyzna zastanowił się.

- Tak, jest coś takiego - odpowiedział. - Malicki przy naszym drugim spotkaniu zmienił kolor włosów. Przefarbował je.

- Na jaki odcień?

- Taki, jaki zawsze miał Krystian - odpowiedział z niejakim zdziwieniem, jakby dopiero teraz to sobie uświadomił.

- Jest pan tego pewien? - spytała.

- Jestem gejem, droga pani prokurator - odparł z dumą mężczyzna. - Zwracam uwagę na takie rzeczy.

ROZDZIAŁ 81

Wszystko powoli zaczynało układać się jej w logiczną całość. Całość dziwną, chorą, niepopartą póki co solidnymi dowodami, ale za to spójną. No, prawie spójną. Pozostały jeszcze dwa lub trzy klocki, które musiała dopasować.

Pozwoliła odejść Nurczykowi. Podkomisarz Nowaczyk odprowadził go na dół i kazał odwieźć radiowozem do domu. Potem wrócił.

- Dzwonił Marian - powiedział.

- Jaki Marian? - spytała. Myślała właśnie o czym innym.

- Szef techników - odpowiedział. - Odkryli coś ciekawego.

Nie miała pojęcia, że tak ma na imię.

- Co? - spytała.

- Jedno z okien w tym drugim mieszkaniu uchyla się szerzej niż powinno - odparł. - Ktoś je przerobił. Zdjął blokadę uniemożliwiającą pełne otwarcie.

- Na którą stronę wychodzi to okno? - spytała.

- Dokładnie na ten taras z kamyczkami.

Kiwnęła głową. Kolejny klocek wskoczył na swoje miejsce.

- Co ciekawe - dodał - Rafał Malicki przez długi czas pracował w firmie sprzedającej okna. Zajmował się tam montażem.

I jeszcze jeden. Niemal usłyszała kliknięcie.

- Spytałeś go, jak postępują prace na tarasie? - spytała.

- Prawie skończyli - odpowiedział. - Zapraszają cię na wystawę znalezionych fantów.

- Zatem chodźmy. - Wstała z krzesła.

Deszcz przestał wreszcie padać, lecz białe kamyczki wciąż jeszcze lśniły od wody. Jeden z namiotów stał już na części pokrytej deskami. Tam właśnie poszli.

Na składanym, turystycznym stoliku leżały przedmioty znalezione podczas przeczesywania kamieni. Większość stanowiły niedopałki papierosów. Przemoczone, niektóre w stanie wskazującym, że leżały już tu bardzo długo. Poddawanie ich jakimkolwiek dalszym badaniom laboratoryjnym nie miało jej zdaniem najmniejszego sensu.

Oprócz nich było sporo innych śmieci. Kilka kapsli, dwie zbite butelki po alkoholu – pieczołowicie zrekonstruowane przez techników z ułożonych obok siebie kawałków – świadczące o tym, że w którymś z apartamentów powyżej miała kiedyś miejsce naprawdę niezła impreza; oprócz tego kilka opakowań po różnego typu batonach i kilkanaście przezroczystych lub białych jednorazowych torebek foliowych w niezbyt dobrym stanie.

Nic z tego do niczego nie mogło im się przydać.

Na blacie leżało też kilka drobnych monet. Głównie polskich, kilku- bądź kilkudziesięciogroszowych. Było też dziesięć centów, w wersji wybitej przez Bank Francji. Nad nimi pochyliła się bardziej. Było to niewątpliwie coś, co mogłoby wypaść z kieszeni, na przykład kogoś, kto wcześniej sam wypadł lub został wypchnięty z okna powyżej.

- Spróbujcie zdjąć mi z nich odciski palców – poleciła. - Jaka jest szansa, że się na nich zachowały? – spytała.

Kobieta stojąca po drugiej stronie stołu odpowiedziała:

- Jeśli leżą tu niedawno, to dość sporo. Ludzki łój nie rozpuszcza się w wodzie. Po dłuższym czasie mógł zostać po prostu zmyty. Te dwie jeszcze się błyszczą – wskazała palcem w lateksowej rękawiczce – więc nie sądzę, by leżały tu nie wiadomo ile.

- W porządku - powiedziała. - Tym bardziej je zbadajcie. A co ze śladami biologicznymi? Macie coś?

- Włosy - odpowiedziała kobieta. - Tylko kilka, za to na niewielkim stosunkowo obszarze. Wykonaliśmy tytaniczną pracę, żeby je odnaleźć.

- Brawo. - Uśmiechnęła się. - Świetna robota.

Nie wspomniała, że raczej oczywiste było, do kogo należały.

Przywołała Nowaczyka. Odeszli na bok.

- Co o tym wszystkim myślisz? - spytała.

Spojrzał w górę, w stronę trzydziestego piętra.

- To naprawdę możliwe, żeby ktoś spadł z tej wysokości i miał tylko obrażenia wewnętrzne? - spytał.

- Lekarz sądowy twierdzi, że tak - odpowiedziała. Rozgarnęła butem drobne kamyki. - Musiało to zadziałać jak amortyzacja - stwierdziła. - Powierzchnia się odkształciła i zaabsorbowała część energii.

- Skąd ty wiesz takie rzeczy? - zdziwił się.

- Poszperałam trochę w internecie. - Uśmiechnęła się krzywo.

- Zapomniałem, że są tam też inne rzeczy niż pornole - skomentował.

- Pozostaje nam znaleźć odpowiedzi już tylko na dwa pytania - stwierdziła. - Kto wypadł przez to okno i gdzie jest Agnieszka Bejtner.

- Na pierwsze udzieli odpowiedzi analiza DNA - odparł. - Użytkownik szczoteczki z mieszkania numer dwa jest raczej na pewno Rafałem Malickim. Wystarczy pobrać materiał od trupa i drugi od tego wariata w szpitalu i będziemy to wiedzieli.

- Za dwa lub trzy dni - zauważyła kwaśno.

- Spiesz ci się gdzieś? - spytał.

- Po prostu chciałabym już to wszystko zamknąć - odpowiedziała. - Zrozumieć do końca, co się tu stało. Męczy

mnie to coraz bardziej.

- Możemy też poprosić tego geja o identyfikację - podsunął.
- Znał ich obu i widział niedawno.

- Czytałeś statystyki? - spytała. - Identyfikacja osobista jest najbardziej zawodnym ze sposobów. Ciało ludzkie zmienia się po śmierci. Zwłaszcza gdy była ona gwałtowna. Świadek ma w pamięci obraz żywego, mówiącego i ruszającego się człowieka, a pokazujemy mu leżący, sflaczały worek skóry i kości. Niełatwo jest dostrzec podobieństwo. Salomea Bejtner nie rozpoznała ich obu - zauważyła. - Ani trupa, ani człowieka ze szpitala. Tymczasem któryś z nich musi być jej zięciem.

- Chyba że miała jakieś swoje ukryte powody, by tak zrobić - stwierdził. - Sama ją o to podejrzewałaś - przypomniał.

- Tylko jakie to miałyby być powody? - spytała. - Nie bardzo wiem.

- Może go po prostu nie lubiła?

- I dlatego udała, że go nie rozpoznaje? Adwokat z kilkudziesięcioletnim stażem? Nie wydaje mi się to prawdopodobne. - Pokręciła głową.

- A ja ci mówię, że tak mogło być. Adwokat, nie adwokat, emocje w obrębie rodziny bywają tak silne, że ludzie zachowują się nieracjonalnie. Nawet profesorowie uniwersytetów. Zaufaj doświadczeniu starego gliny - zakończył.

- Jest inne wytłumaczenie - powiedziała. - Krystian Zapała leży teraz w chłodni w prosektorium. Salomea Bejtner go nie rozpoznała, bo upadek pogruchotał go wewnątrz i zmienił wygląd. A facet w szpitalu po prostu nim nie jest.

- To też mnie przekonuje. - Skinął głową.

- I jest jeszcze jedno pytanie - ciągnęła. - Którykolwiek z nich tu spadł, w jaki sposób znalazł się z powrotem na trzydziestym piętrze?

Podkomisarz wzruszył ramionami.

- Ten drugi go zaniósł - odpowiedział.
- Tylko, do kurwy nędzy, po co?

ROZDZIAŁ 82

- Dlaczego mam niby to zrobić? - spytał, zapierając się stopami.

- Już ci mówiłem - usłyszał głos z tyłu. - Bo możesz. Bo to tylko sen. Bo jesteśmy w śpiączce i to nie dzieje się naprawdę.

- Tylko po to? - Nie dawał za wygraną. - Mówiłeś, że mieliśmy się obudzić.

- Tak, musimy się obudzić.

- I to o to chodzi, prawda?

Nacisk z tyłu ustał.

- To są te symplegady? Ta próba? - pytał dalej. - Jeśli zrobię ten krok, to się obudzę?

- Tak.

- W jaki sposób?

Chwila milczenia. Zaczynało mu się robić zimno.

- Zniszczysz w ten sposób iluzję. - Odpowiedź przyszła po chwili. - Przerwiesz ten zakłęty krąg.

- Jaki krąg?

- Ułudy. Wyjdiesz poza schemat, sprawisz, że ta skłamana rzeczywistość pęknie. Jak bańka mydlana.

Chwycił się rękami framug po obu stronach otwartego okna.

- Dlaczego pęknie? - spytał. - Bo zginę?

Usłyszał z tyłu coś, co zabrzmiało jak sapnięcie z irytacji.

- Nie zginiesz, tłumaczyłem ci. To przecież nie dzieje się naprawdę.

- To dlaczego pęknie? Ta bańka? Skoro nic się nie wydarzy?

Znowu chwila ciszy. Jeśli nie liczyć wiatru wpadającego ze świstem przez okno.

- Wydarzy się. Zrobisz coś, czego nie mógłbyś zrobić, gdyby ten świat istniał naprawdę. Przeciążysz system. Wtedy iluzja zniknie, zasłona opadnie. A ty się obudzisz.

Przekonywało go to. Brzmiało rozsądnie. Sam o tym kiedyś myślał. Puścił framugę.

- A ty? - spytał nagle. - Co z tobą? Też tam skoczysz?

- Nie, ja zostaję.

- Dlaczego?

- Jest nas dwóch, a po tamtej stronie tylko jeden. Ja więc muszę tu zostać.

- Na zawsze? - spytał.

- Tak, na zawsze - usłyszał w odpowiedzi.

- Poświęcasz się - zauważył.

- Ale to jedyne wyjście. Więc idź.

Podobno mózg ludzki w obliczu śmierci wykazuje niezwykłą aktywność. To wówczas „życie przelatuje nam przed oczami”. On też doświadczył czegoś podobnego, mimo że tak naprawdę nie miał przecież umrzeć, tylko się obudzić. Zobaczył twarz Agnieszki. Wyglądała niezwykle realistycznie, nie jak ktoś, kogo sobie wymyślił. Przeniósł się na chwilę na Martynikę. Tym razem zobaczył bardzo wiele szczegółów. Jakby naprawdę tam kiedyś był. Stali razem, na plaży, na drobnym, białym, koralowym piasku. Byli mokrzy i szczęśliwi, a instruktor nurkowania robił im zdjęcie. I nie było tam żadnego dziecka. Tylko oni.

Potem zobaczył tę drugą, swoją prawdziwą żonę, Ewę. Zobaczył ją na jakiejś imprezie, na której on też był, jeszcze na studiach. Była pijana i zachowywała się dziwnie. Na głowie miała kapelusz z szerokim rondem, co nie do końca pasowało do tego miejsca i do tej okazji. Przywalała się do niego. Namolnie, agresywnie, z uporem. Widział niesmak na twarzach ich pozostałych znajomych. Spławił ją, lecz potem, parę godzin

później, gdy już był naprawdę pijany, natknął się na nią znowu. Siedziała otępiała, sama, z tym samym kapeluszem, tyle że niemożliwie pomiętym, na głowie. Spojrzała na niego w taki sposób, że aż zrobiło mu się jej żal. Do tego miała rozchełstaną bluzkę, spod której widać było dość spory kawałek piersi.

Zaciągnął ją potem w jakieś ustronne miejsce i przeleciał. Trochę z litości, a trochę dlatego, że mógł. Tak, to była chyba główna przyczyna.

Następnego dnia i jeszcze przez parę następnych próbowała jakoś kontynuować w ten sposób zadzierzgniętą znajomość. Łaziła za nim, przymilała się, chyba myślała, że stali się parą. Dość szybko wybił jej to z głowy. Nie zwracał na nią uwagi, traktował jak powietrze. W końcu zrozumiała. Zachował się jak skurwysyn, teraz w tym oknie, sto metrów nad ziemią, widział to dokładnie.

Potem - to też sobie przypominał - ktoś ją przygarnął jak wyrzuconą, lecz ciągle jeszcze dobrą zabawkę. Jakiś chłopak, taki, który też ciągle za nim łaził.

Czy to wszystko też mu się przyśniło? Czy wymyślił to sobie, stojąc teraz nad tą przepaścią? Problem w tym, że wyglądało to wszystko bardzo prawdziwie, jakby naprawdę się zdarzyło.

Tymczasem to życie, o którym mówił ten drugi on - to życie nie zostawiło w nim żadnych wspomnień. Nie mógł przypomnieć sobie ani twarzy swojego syna, ani tamtego małżeństwa, nic. To znaczy gdy tamten o nich mówił, wydawało mu się, że coś tam pamięta, ale teraz nie był tego taki pewien.

Czyżby tak bardzo wsiąkł w ten nieprawdziwy świat, że zapomniał o tamtym? Było to możliwe, w końcu był w śpiączce, a wcześniej przeżył wypadek. Ale że aż tak?

Poza wszystkim to jego obecne, nieprawdziwe życie coraz bardziej mu się podobało. I to tym bardziej, im więcej dowiadywał się o tamtym.

- Wiesz co? - powiedział. - A może jednak się zamieńmy?

- Jak to się zamieńmy? - Tamten chyba nie zrozumiał.

- Ty się obudzisz, a ja tu zostanę - odpowiedział.

Cofnął się i obrócił w jego stronę. Tamten wykonał ruch, jakby chciał go zatrzymać, ale nie zdążył.

Zobaczył na jego twarzy konsternację i zaskoczenie.

- Nie możemy tego zrobić - powiedział tamten po chwili.

- Dlaczego?

- Bo to ja przyszedłem do ciebie, z tamtego prawdziwego świata, żeby cię uwolnić.

- No i powinieneś tam wrócić - odparł. - Ja chyba bardziej pasuję tu. Jakoś się przyzwyczailem.

- Chcesz utknąć na zawsze tu, w tej iluzji? - Próbował go jeszcze przekonać.

- Realność jest przeceniana - odpowiedział. - A eskapizm wcale nie taki zły.

ROZDZIAŁ 83

Spojrzał w dół, trzymając się mocno framugi. Ciało leżało w dole, kilkadziesiąt metrów pod nim, z tego, co zdołał dostrzec, na plecach. Nie zdołało polecieć, nie było też żadnego mostu, który się objawił pod jego stopami, ani magicznego, ani żadnego innego.

Cofnął się w głąb pomieszczenia i zamknął okno. Usiadł na łóżku obok trupa psa. Musiał odpocząć, stoczył krótką, lecz bardzo intensywną walkę. Tamten drugi on bardzo się bronił, by nie zakończyć swojej iluzji.

Co teraz?, pomyślał. Wypadałoby posprzątać. Uporządkować parę spraw, skoro już wszystko jasne. Jakiś etap się zakończył, czas rozpocząć nowy. Ale za chwilę, był bardzo zmęczony.

W końcu wstał, by wrócić do swojego mieszkania. Zatrzymał się jednak w drzwiach sypialni. Tam, z tyłu, na łóżku została przecież jego żona. Nie mógł jej tak zostawić. Samej, w tym pustym mieszkaniu, w którym być może nikt przez lata jej nie znajdzie. Ten apartament kupili podobno jacyś arabscy inwestorzy. Pewnie mają dziesiątki takich nieruchomości w różnych częściach globu. Mogą minąć wieki, zanim ktokolwiek tu zajrzy. Nie mógł jej tego zrobić, pozwolić, by samotnie zgniła.

Wrócił więc i oderwał ją od posłania. Krew całe szczęście już zaschła, więc nawet się nie pobrudził. Zaciągnął ją potem przez pusty korytarz do swojego mieszkania. Potem wrócił jeszcze po psa. Też w końcu był członkiem rodziny.

Zamknął za sobą drzwi, drzwi jego mieszkania. Żona leżała przy wyjściu, oparta o ścianę przedpokoju. Spojrzał na jej

twarz. No nie wyglądała wyjściowo. W tym stanie trudno mu będzie na nią patrzeć, posadzenie jej na kanapie w salonie raczej więc odpadało.

Po zastanowieniu zaniósł ją do szafy w garderobie. Potem zasunął drzwi. W ten sposób będzie tu i jednocześnie nie będzie, idealne rozwiązanie. Rodzina musi się trzymać razem, ale to nie znaczy przecież, że strasznie blisko.

Pozostawał problem psa. Nigdy nie lubił psów, nie lubił w ogóle zwierząt. Mógł go tam w sumie zostawić, teraz żałował, że tego nie zrobił.

Rozejrzał się. Kosz pod zlewem. Otworzył szafkę. Może po prostu go wyrzuci? Nie, to nie był dobry pomysł. Tam mógłby ktoś go znaleźć. Sprzątaczką albo ktoś inny.

Zaczął otwierać szuflady obok. W końcu ją znalazł – dosyć solidną torebkę foliową. Włożył w nią ciało psa. Nagle przypomniał sobie obcięte głowy wrogów zalewane miodem i pomyślał, że ma teraz jedyną i niepowtarzalną okazję, by wypróbować ten sposób. Było to nieco dziwne, lecz nie potrafił jakoś oprzeć się temu pomysłowi. Wyjął więc z szafki słoik miodu i wylał jego zawartość na ciało zwierzęcia w torbie. Dopiero wtedy jak najmocniej zawiązał. Później dla pewności okręcił jeszcze taśmą samoprzylepną, która też była w tej szufladzie.

Potem wystawił kosz na zewnątrz. Między tylną ścianką szafki a ścianą była dość spora szpara. Zawsze, w każdej kuchni tak było, odkrył tę zasadę jeszcze w dzieciństwie. Szafka pod zlewem była jedyną, gdzie tylna ścianka nie była pełna. Nie mogła być z powodu instalacji wodnej. Chował tam przed matką papierosy, nigdy nie wpadła na to, by ich tam szukać. Uśmiechnął się na to wspomnienie. Teraz wepchnął tam zawiniątko z tym zapchlonym kundlem. Jego również nikt tu nie znajdzie.

Wstał i odwrócił się. Spojrzał na salon. Nie spodobało mu się to, co tam zobaczył. Na środku stały sztalugi z tym przeokropnym obrazem. Na niego też wolałby nie patrzeć. Nie był mu już do niczego potrzebny.

Podszedł do niego i połamiał go. Potem zerwał z niego płótno. Odnalazł drugą foliową torbę i wrzucił wszystko do środka. Dołożył jeszcze pędzel zabrudzony krwią. Przecież nie będzie go już więcej używać.

Zawiesił się nieco nad tą czynnością. Na tym malunku był przecież jego syn. Przez chwilę poczuł żal, a nawet tęsknotę, lecz w końcu je przewyciężył. Syn też nie był mu już do niczego potrzebny. Skoro już wybrał rzeczywistość, w której chce żyć, ślady po tej drugiej powinny być usunięte.

Dołożył więc jeszcze do torebki ramkę na zdjęcia i potłuczoną szybkę, która wciąż leżała w zlewie. Ramkę też wcześniej połamiał, tak samo jak obraz. To wszystko? Chyba tak. Nie! W zlewie dostrzegł ślady krwi. Nie mogło tak to przecież zostać. Rozejrzał się za czymś do czyszczenia. W szafce pod zlewem stał środek do udrażniania rur. Polał nim plamy, zasyczało. Potem spłukał wodą. W powietrzu uniósł się ostry, chemiczny zapach. Ale ślady krwi zniknęły.

Resztę środka do rur wsypał do torby foliowej, dolał wodę i szybko zawiązał. Pamiętał z pewnego serialu, który kiedyś oglądał, że ta substancja nie reaguje z plastikiem. To zresztą logiczne, gdyby było inaczej, przepalałaby rury kanalizacyjne. Za to świetnie rozpuszcza wszelką materię organiczną.

Zapach wciąż bił mu w nozdrza, więc tę torebkę włożył w jeszcze jedną torebkę i dopiero teraz wepchnął do szpary, tam gdzie był już pies. Dobrze, gotowe, pomyślał.

Zabrał się teraz do sprzątanía. Wytarł kurze, umył łazienkę i kuchnię, wstawił zmywarke, zaczął nawet podśpiewywać. Gdzieś kiedyś czytał, że w dawnych czasach w Nowy Rok ludzie

też sprząтали w swoich domach. Żeby wymieść stare i rozpocząć rok z czystą kartą. Dokładnie tak się teraz czuł.

Gdy skończył, rozejrzył się po swoim mieszkaniu. Została jeszcze ta plama z krwi na podłodze. Gdy ją wreszcie zmyje, to będzie już wszystko.

Nie, nie wszystko. Dopiero teraz to sobie uświadomił. Była jeszcze jedna rzecz do sprzątnięcia. Jego ciało leżące na tarasie tuż obok części wspólnej. Cokolwiek by o tym mówić, to też był przecież on. Ten drugi on, ale jednak on. Skoro nie zostawił swojej żony samej, jak mógłby zostawić siebie?

Zjechał więc windą na czwarte piętro. Odnalazł tylne wejście na taras, to, które używane było tylko przez obsługę. Była już noc i padał deszcz, a centrum o tej porze, zwłaszcza w listopadzie i zwłaszcza podczas deszczu, jest niemal puste. Nikt go nie zauważył, tak jak nikt wcześniej nie zauważył leżącego ciała.

Stanął nad tym drugim sobą. Leżał na plecach z lekko rozrzuconymi rękami i nogami, jakby spał. Nie wyglądał, jakby spadł z trzydziestego piętra. Jeśli była tu jakaś krew, została zmyta przez deszcz.

- Chodź, Krystian, wracamy do siebie - powiedział i uniósł ciało, potem zarzucił je na plecy. Wjechali z powrotem windą techniczną, nikt ich nie zauważył. Niczym dwaj bracia, z których jeden za bardzo się upił.

Było to nawet wzruszające, ten ich wspólny powrót. Łza zakręciła mu się w oku. Położył go, a w zasadzie siebie, na plamie krwi w salonie. To wydało mu się najwłaściwsze. Głowa tego drugiego na plamie krwi tej jego drugiej żony. Bardzo symboliczne. Wyglądało to jak obraz. Pierwszy, który stworzył od bardzo dawna. Do tego całkiem niezły.

I wtedy to zobaczył. Dostrzegł to dopiero teraz. Było tu o niego za dużo.

Aż usiadł, gdy to zrozumiał. Nie mogło być dwóch Krystianów Zapałów w jednej i tej samej rzeczywistości, nawet gdy była to rzeczywistość wyśniona. To jak z podróżami w czasie: nie możesz spotkać siebie samego z przeszłości, bo wtedy będą kłopoty.

Spojrzał jeszcze raz w twarz tamtego siebie. Okolona czerwoną plamą przypominała świętego z prawosławnej ikony. Jej wyraz przywołał na myśl Chrystusa Pantokratora z mozaiki w kościele Hagia Sophia w Konstantynopolu. Bał się tej twarzy, bał się półprzymkniętej lewej powieki i tego wytrzeszczonego drugiego oka. Miał wrażenie, że go obserwuje. Że patrzy na niego z wyrzutem. „To moje mieszkanie”, mówiło. „Czego tu chcesz, uzurpatorze?”

Aż się spocił pod tym spojrzeniem. Zrobiło mu się naraz zimno. Niepotrzebnie go tu przynosił, powinien zostać tam na dole. Musi go wynieść, wyrzucić z powrotem przez tamto okno.

Prawie już wstał, by to zrobić, nie dał jednak rady. Tamto oko wciąż na niego patrzyło, lekko otwarte usta skrzywione były z pogardą. Niemal słyszał, jak wydobywają się przez nie słowa. Słowa przerażające, okrutne, niemożliwe do zignorowania. O tym, że nic nie jest jasne ani ustalone, że nic się wcale nie zakończyło, ani też raczej nie zacznie. Że to wszystko na nic, bo jak zmarnował swoje prawdziwe życie, tak i zmarnuje to drugie, wyśnione.

Aż się skulił pod tymi słowami. Chwycił swoją głowę w dłonie, potem zakrył nimi uszy.

- Daj mi spokój - powiedział. - Czego ode mnie chcesz?

- Zniszczyłeś wszystko - usłyszał. - I nic nie stworzysz w zamian. To ja powinienem być na twoim miejscu, lepiej bym sobie z tym poradził.

Wiedział, że on ma rację. Niepotrzebnie z nim walczył. Powinien dać się wypchnąć, może zresztą pod tamtym

otworzyłby się ten most? Zmarnował szansę, którą tamten być może by wykorzystał. Tak jak już wiele razy wcześniej...

Z kanapy widać było kuchnię. Otwarte drzwiczki do szafki pod zlewem. I kosz na śmieci stojący obok. Może to właśnie było jego miejsce? Był nic niewarty, ani w tym, ani w żadnym innym świecie.

Wstał i pociągając nogami, ruszył w tamtą stronę. Potem wsunął się w szafkę pod zlewem. Całe szczęście była dość spora, więc zmieści się tam cały. Potem przyciągnął jeszcze lewą ręką kosz. On też się tu zmieścił, musiał tylko mocniej wcisnąć się w ścianę.

Był teraz tam, gdzie powinien być. Sięgnął nawet dłonią do kosza i w ostatnim porywie wisielczego humoru obsypał się śmieciami. Śmieć koło śmieci przysypany śmieciami, tak. Wszystko się zgadzało.

Potem wykręcił niemożliwie prawie rękę, złapał opuszkami palców krawędź drzwiczek i przyciągnął je do siebie. Dopiero teraz poczuł pewien rodzaj spokoju. Po raz pierwszy od wielu, wielu miesięcy. Może nawet lat. Głowę miał wspartą o rurę z zimną wodą. O tej porze roku była naprawdę chłodna. Na początku mu to trochę przeszkadzało, potem już nie.

Poczuł, jak jego serce zwalnia, jakby wybierał się spać, jakby zapadał w sen zimowy. Nie powstrzymywał tego, było to dobre.

Może teraz wreszcie się to wszystko skończy?, pomyślał. Może po prostu zaśnie i obudzi się już w prawdziwym świecie. Albo nie obudzi się nigdy. To też by nie było takie złe.

ROZDZIAŁ 84

Spotkali się ponownie dopiero w poniedziałek około południa.

- Jest już coś? - spytała.

- Mam wstępny raport techników z drugiego mieszkania - odpowiedział Nowaczyk. - Znalezione w nim trzy komplety odcisków palców. Jeden należy do kobiety z nożem w głowie, drugi do trupa z krwawą aureolą, a trzeci do gościa ze szpitala.

- Czyli byli w nim obaj - stwierdziła. - Zapała i Malicki.

Nowaczyk kiwnął głową.

- Na framudze tego przerobionego okna znaleziono dwa komplety odcisków - ciągnął. - Jeden należał do trupa, a drugi do pacjenta. To świadczy, że odbyła się tam między nimi walka i że jeden wypchnął drugiego.

- Pytanie tylko, kto kogo. - Uśmiechnęła się krzywo. - I który przeżył.

- Są jeszcze wyniki badania tych monet z tarasu. - Podał jej kolejną kartkę. - Na jednej z nich znaleziono niepełny odcisk palca, mniej więcej czterdzieści procent całości. Laboratorium twierdzi, że to za mało do identyfikacji.

- A co z DNA ze szczoteczek? - spytała.

- Wyizolowanie profilu jest niemożliwe - odparł. - Bejtner i Zapała mieli szczoteczkę elektryczną i musieli niedawno wymienić końcówki. Podobno były za krótko używane, by dało się to zrobić.

- Super - stwierdziła. - Masz jakieś dobre wiadomości?

Uśmiechnął się, robiąc tajemniczą minę.

- Nie wiem, czy dobre, ale na pewno ciekawe - powiedział. -

Jesteś na nie gotowa?

Zawiesił głos, czekając na odpowiedź.

- Nie denerwuj mnie, tylko mów. - Westchnęła. Naprawdę nie miała dziś siły na takie zabawy.

- Odnalazła się Agnieszka Bejtner. Ta dam! - Rozłożył dłonie jak iluzjonista w czasie pokazu.

Popatrzyła na niego, jakby nie rozumiała do końca, co powiedział.

- Jak to się odnalazła?- spytała. - W jaki niby sposób?

- Przyszła dziś rano jak gdyby nigdy nic do pracy do kancelarii - wyjaśnił. - Rozumiesz? I to tylko po to, żeby złożyć wypowiedzenie. Bardzo się zdziwiła, słysząc, co się stało.

- Gdzie ta kretyńka była?

- Miała wszystkiego dość - odpowiedział, modulując głos w zabawny, przynajmniej w jego mniemaniu, sposób. - Dziwnego męża, zaborczej matki, pracy pod jej czujnym okiem. Wyjechała do Kazimierza, żeby wszystko przemyśleć. Wyłączyła telefon, żeby matka do niej nie wydzwaniała.

- Kurwa, serio?

- Serio - przytaknął. - Chce zmienić kancelarię. Zacząć żyć na własny rachunek.

- I dokładnie teraz na to wpadła?? - Nie potrafiła tego jakoś ogarnąć.

- Podobno pokłóciła się przed tym wszystkim z mężem. Zaciął ją w rękę zbitą szybką z ramki do zdjęcia. To przelało czarę goryczy. Właśnie ją przesłuchałem, jestem na świeżo - skomentował.

Niezależnie jak było to głupie, kolejny klocek wskoczył na swoje miejsce.

- No to mamy przynajmniej jedną zagadkę z głowy - skomentowała. - W jakim ona jest stanie? - spytała. - Da radę przeprowadzić identyfikację?

- Musieli jej dać coś na uspokojenie - odpowiedział. - Poza tym od razu jej matka ją obsiadła. Obwieściła mi, że ją reprezentuje. Ledwo mi się udało ją przesłuchać. Zachowywała się, jakby myślała, że to jej córka jest podejrzana.

Zastanowiła się.

- A może to właśnie był prawdziwy powód, że stara Bejtner tak się wcześniej zachowywała? - powiedziała. - Poznała, już tam za pierwszym razem w prosektorium, że to nie jej córka leży na stole, i przestraszyła się, że to Agnieszka ich wszystkich pozabijała. Albo przynajmniej z adwokackiego odruchu przyjmowała taką możliwość. Nie pomagała nam więc na wszelki wypadek.

- Może, kto wie? - odparł. - W każdym razie prędzej czy później taka identyfikacja będzie możliwa. Agnieszka Bejtner pojedzie do szpitala i powie nam, kto tam leży, jej mąż czy nie mąż.

- Ale nie powie nam, co tam zaszło - stwierdziła. - Ani jak to potem udowodnić w sądzie.

- Jeden z nich wypchnął drugiego - zauważył Nowaczyk. - Są na to paragrafy.

- Obrona będzie twierdzić, że wcale nie wypchnął, tylko chciał powstrzymać - odpowiedziała. - Obaj mają za sobą historię mogącą świadczyć o tym, że byli niestabilni psychicznie i mogli chcieć popełnić samobójstwo. Albo będzie utrzymywać, że to ten drugi chciał zabić pierwszego, a ten, co przeżył, się tylko bronił, w wyniku czego napastnik wypadł przypadkiem. Nie mamy żadnych twardych dowodów, żeby obalić te tezy.

- Co chcesz w takim razie zrobić?

- Chrzanić badania DNA i identyfikację - powiedziała. - Nie jestem od tego, żeby przyporządkowywać ludzi do PESEL-ów. Muszę uzyskać przyznanie się do winy. Niezależnie od tego, kim jest ten gość w szpitalu.

ROZDZIAŁ 85

Agnieszka Bejtner nie wyglądała zbyt dobrze. Podkrążone oczy, lekko trzęsące się ręce. Poprosiła, by zatrzymać się przed wejściem do szpitala, by mogła zapalić.

- Uspokaja to panią? - spytała Seredyńska.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Zazwyczaj nie palę. Kupiłam dziś pierwszą paczkę od studiów.

Wciągnęła dym i zamknęła oczy. Jakby chciała odgrodzić się od świata.

- Gdybym wiedziała, że tak to się skończy, nie wyjechałabym - powiedziała. - To wszystko moja wina.

- Proszę tak nie mówić. Nie wiemy tego.

- Widziałam, w jakim jest stanie i co się z nim dzieje. Zamiast mu pomóc, myślałam tylko, jak się od niego uwolnić. - Była na granicy płaczu.

Nie potrzebowała jej teraz rozbeczanej. Jeśli miało się udać to, co zaplanowała, Agnieszka Bejtner musiała być spokojna.

- Dziękuję, że pani zgodziła się przyjść - powiedziała. - I to sama. Tym bardziej, że pani matka była temu przeciwna.

Przekierowanie rozmowy na relacje z matką powinno skutecznie odwrócić jej uwagę od obwiniania się.

Trafiła w dziesiątkę.

- Postanowiłam, przynajmniej na razie, robić wszystko dokładnie odwrotnie, niż chce tego moja matka - stwierdziła Agnieszka Bejtner. - Potem spróbuję podchodzić do tego bardziej obiektywnie.

- Świetna metoda - pochwaliła ją. - Ja przynajmniej jestem

bardzo zadowolona z jej efektów.

Kobieta się uśmiechnęła.

- Każde dziecko przechodzi taki okres w życiu - powiedziała.

- U mnie rozpoczął się on wyjątkowo późno - oddała z ironią.

No dobrze, dość już tych rozmów, pora przejść do rzeczy.

- Znała pani Rafała Malickiego? - spytała.

- Kogo? - Kobieta spojrzała na nią pytająco.

- Był portierem w Cosmopolitanie - wyjaśniła. - Wcześniej studiował na ASP razem z pani mężem.

- Nie. - Pokręciła głową. - Krystian miał wtedy strasznie wielu znajomych. Zlewali mi się w jedną, wielką masę.

- A czy poznała go pani teraz?

- Z jakimś portierem rozmawiałam. Jeśli to był on, to tak.

- W jakich okolicznościach?

- Gdy Krystian zranił mnie tym szkłem, chciałam pojechać do szpitala - wyjaśniła. - Portier z dołu powiedział, że ma apteczkę i może mnie opatrzyć. Zgodziłam się.

- Wydarzyło się wtedy jeszcze coś istotnego? - spytała Seredyńska.

- Nie, chyba nie. To znaczy - kobieta spojrzała na swoją prawą dłoń - w zasadzie tak. Zostawiłam u niego obrączkę.

- Przypadkiem czy celowo?

- Celowo. Zdjęłam ją, żeby wytrzeć krew, a potem pomyślałam, że nie jest mi już właściwie potrzebna.

- Zauważył to?

- Tak, chyba tak. Ale nie zareagował. Pomyślałam, że pewnie zechce ją sprzedać i że to nawet dobrze.

Znowu w jej oczach pojawiły się łzy. Musiała je powstrzymać.

- Więcej interakcji ze sobą nie mieliście? - spytała.

- Nie, już później nie.

- Poznałaby go pani?

- Wydaje mi się, że tak. - Agnieszka Bejtner kiwnęła głową. - Był w jakiś sposób podobny do Krystiana. Miał taki sam kolor włosów i podobny zarost. Mam też wrażenie, że schudł ostatnio. Wcześniej był chyba grubszy.

Skończyła papierosa.

- Dobrze, proponuję już iść - powiedziała Sereidyńska. - I proszę robić tak, jak się wcześniej umawialiśmy. Niezależnie od tego, kogo tam pani zobaczy, proszę z nim rozmawiać, jakby był pani mężem. Da pani radę?

- Skoro udało mi się wreszcie rzucić pracę u matki, to będzie przy tym drobnostka. - Kobieta uśmiechnęła się smutno.

Weszły do środka. Gdy dotarły na oddział, na którym leżał mężczyzna, odszukała najpierw lekarkę, z którą ostatnio miała spięcie.

- Dzień dobry - przywitała się. Użyła umiarkowanie życzliwego tonu głosu. Nie potrzebowała dziś żadnych scysji. - Przychodzę dziś do pani z żoną pacjenta. Musimy go oficjalnie zidentyfikować. Bardzo prosiłabym, by nam nie przeszkadzano, to bardzo ważne.

- W porządku. - Kobieta również nie sprawiała dziś wrażenia specjalnie skorej do kłótni. - Powiadomię oddziałową.

- I jednocześnie obiecuję, że jeśli wszystko się powiedzie, będzie to moja ostatnia wizyta u pani.

- W takim razie tym bardziej życzę powodzenia.

Ruszyły w kierunku sali. Agnieszka Bejtner wyglądała na mocno spiętą. Ścisnęła jej rękę na wysokości przedramienia.

- Trzyma się pani? - spytała.

- Tak - usłyszała w odpowiedzi. - Jak pani myśli, kogo tam zobaczę?

- Sęk w tym, że nie wiem - odpowiedziała jej. - Mam pewne podejrzenia, ale tak naprawdę nie wiem. A nie chciałabym pani

sugerować czegoś, co później okaże się nieprawdą.

- Rozumiem. - Kobieta odetchnęła głęboko. - Dobrze, chodźmy tam wreszcie.

ROZDZIAŁ 86

Otworzyła drzwi do sali i weszła pierwsza. Agnieszka Bejtner wsunęła się tuż za nią. Pacjent siedział na pościeli w swojej zwyczajnej pozycji. Wyglądało to, jakby nie ruszył się z niego od jej ostatniej wizyty.

Stały we dwie w nogach jego łóżka. Nie odezwały się.

Mężczyzna spojrział najpierw na nią, potem na stojącą obok kobietę. Po jego twarzy przemknęło coś, jakieś uczucie, którego nie była w stanie zidentyfikować.

- Cześć, Agnieszka - powiedział. - Gdzie byłaś przez ten cały czas?

- Musiałam wszystko przemyśleć - odpowiedziała kobieta. - Żałuję, że wyjechałam w tak nieodpowiednim momencie. - Jej twarz z kolei pozostawała nieprzenikniona. Gdy było trzeba, umiała trzymać emocje na wodzy. Będzie kiedyś naprawdę dobrym adwokatem, pomyślała Seredyńska.

- I co wymyśliłaś? - spytał mężczyzna.

- Może usiądziemy - zaproponowała Seredyńska. - Będzie nam wygodniej rozmawiać.

Wzięła dwa krzesła i podsunęła jedno z nich Agnieszce Bejtner. Usiadły.

- Co wymyśliłaś? - powtórzył pytanie.

- Nie chcę już być twoją żoną - odpowiedziała kobieta.

Seredyńska z uwagą obserwowała twarz siedzącego mężczyzny.

- Dlaczego? - spytał.

- Jesteś oszustem - odpowiedziała. - Oszukałeś mnie.

Okazałeś się być nie tym, za kogo wyszłam.

- Jak to nie tym? - Jego rysy się ściągnęły.

- Nie jesteś żadnym malarzem, niczego nie malujesz, jesteś pusty w środku - zaczęła wyliczać. - Udawałeś tylko wielkiego artystę, tak jak potem udawałeś mojego męża. To już ten portier z dołu był lepszy.

Seredyńska spojrzała na nią z zainteresowaniem. Czy była to gra, czy Agnieszka Bejtner mówiła poważnie?

- Pamiętasz go? - ciągnęła kobieta. - Pewnie nie, zawsze miałeś wszystkich wokoło za gorszych od siebie. Nie pamiętałeś imion ludzi, nawet tych, których znałeś od kilku lat. A to jest porządny facet, znacznie lepszy od ciebie. Kochał swoją żonę, mówił mi o tym. I to pomimo tego, że nie miał z nią lekko. Nie była księżniczką, łupem wojennym, przepustką do lepszego świata. Nie wniosła mu w wianie mieszkania na szczycie wieży. A jednak ją kochał. I potrafił być z nią szczęśliwy. Doceniał to, co ma. Potem przeżył tragedię, niewyobrażalną dla ciebie. Nie takie gówno, jak ten twój wypadek podczas nurkowania. I wiesz co? - dodała na koniec. - Żałuję, że to nie jego wybrałam. Wtedy, na tej twojej, pożal się Boże, wystawie. Podszedł do mnie, wiedziałeś o tym? Rozmawialiśmy przez chwilę. Coś wtedy między nami zaiskrzyło. Ale ja wybrałam ciebie, to piękne, błyszczące opakowanie. Też byłeś moim łupem, widziałam przecież, jak wszystkie na ciebie lecą. Zrekompensowałam sobie tobą wszystkie swoje kompleksy. Byliśmy sobie warci, Krystian.

Po jej twarzy pociekły łzy. Seredyńska spojrzała na mężczyznę. On też płakał. Było w tym wszystkim coś nieomal mistycznego. Jakaś prawda, która tu znienacka się objawiła.

- Ale teraz już koniec. - Agnieszka Bejtner otarła policzki dłońmi. - Dość się oboje męczyliśmy. Chcę rozwodu. Dobrze, że nie chciałeś nigdy mieć dzieci, będzie łatwiej.

Wstała.

- Musiałam ci to powiedzieć - powiedziała jeszcze. - I to pomimo tego, że już nie żyjesz.

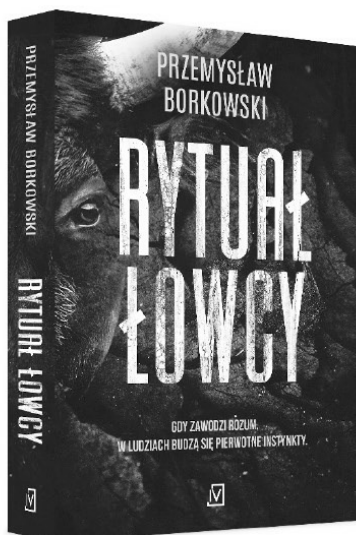
Popatrzyła na Seredyńską.

- To nie on - powiedziała. - To ten drugi. W dupie mam pani eksperyment.

Wyszła.

Zapadła cisza. Spojrzała na Rafała Malickiego. Wydawał się kompletnie rozbity. Może jednak eksperyment się udał.

- Było to wszystko boleśnie prawdziwe - skomentowała. - Ale też wyzwajające, prawda? Nie czuje się pan, jakby rzucił z piersi jakiś ciężar? No to proponuję zepchnąć go z siebie do końca. Niech mi pan opowie, co tam się naprawdę wydarzyło?



**„OPowieść o fascynującym
mordercy – nie mogłam się
oderwać!”**

JOANNA OPIAT-BOJARSKA

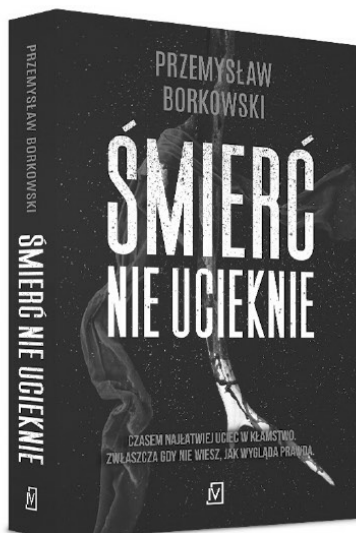
**„HIPNOTYZUJĄCE STUDIUM
POSTĘPUJĄCEGO SZALEŃSTWA”.**

PIOTR BORLIK

**Gdy zawodzi rozum, w ludziach budzą się
pierwotne instynkty.**

Młoda prokurator Gabriela Seredyńska po przeprowadzce do Warszawy dostaje swoją pierwszą poważną sprawę – morderstwo. Zwłoki znaleziono w pobliżu muru cmentarza, a twarz ofiary została mocno okaleczona. Komisarz Aleksanderski, który pierwszy przybył na miejsce zbrodni, odnajduje pod murem cmentarza kartkę z wierszem – być może to jedyny trop w śledztwie.

Wkrótce pojawia się kolejna ofiara, a po niej następne. Wszystkie łączy to samo: niecodzienne obrażenia zadawane po śmierci, które mogą wskazywać na jakiegoś typu praktyki magiczne. Z czasem Seredyńskiej udaje się wpaść na trop zbrodniarza. Niestety również on zwraca na nią uwagę. Jest młoda, piękna, inteligentna i idealnie nadaje się na jego kolejną ofiarę...



„Z JEDNEJ STRONY SHOW-BIZNES, PRAWNICY I POLITYKA, Z DRUGIEJ NIEPOWTARZALNIE OSOBISTY ŚWIAT BOHATERKI, A WSZYSTKO W OSNOWIE REALIÓW OTACZAJĄCEJ NAS WSPÓŁCZESNOŚCI. WARTKA I NIEZWYKLE WCIĄGAJĄCA OPOWIEŚĆ, W KTÓREJ PRAWDA OKAZUJE SIĘ ZUPEŁNIE INNA, NIŻ SĄDZILIŚMY NA POZĄTKU”.

IGOR BREJDYGANT

Czasem najłatwiej uciec w kłamstwo.
Zwłaszcza gdy nie wiesz, jak
wygląda prawda.

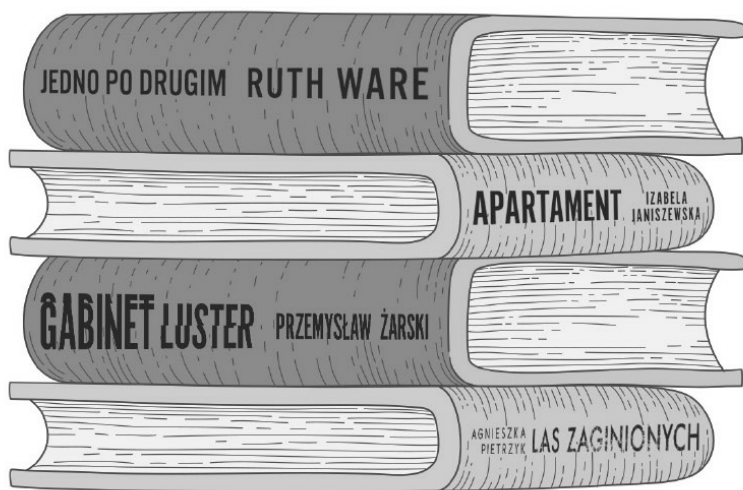
Julia Gierszewska jest młodą piosenkarką u progu wielkiej kariery. Pewnego dnia po przebudzeniu zastaje w mieszkaniu martwe ciało swojego menadżera, a po suto zakrapianej nocy kobieta nie potrafi określić, jak doszło do tego, że mężczyzna nie żyje. Kto go zabił? Ona? A może ktoś inny?

W panice Julia wychodzi z domu, wsiada do taksówki i prosi kierowcę, by jechał przed siebie. By wywiózł ją daleko poza Warszawę. Z czasem nabiera podejrzeń – czy ten człowiek, który pomaga jej uciec, jest na pewno jej sprzymierzeńcem? Stopniowo przestaje być również jasne, kto kogo powinien bardziej się bać: ona jego, czy on jej.

Tymczasem sprawą zamordowanego menadżera zajmuje się prokurator Gabriela Seredyńska, która kiedy raz podejmie trop, nie odpuści, choćby miała to przypłacić własnym życiem.

MAMY KRYMINALNY CHARAKTER!

JEŚLI MASZ GO I TY, KONIECZNIE SIĘGNIJ PO NASZE POZOSTAŁE
KRYMINAŁY I THRILLERY.



**KSIĄŻKI, E-BOOKI, GADŻETY
I MNÓSTWO OKAZJI ZNAJDZIESZ NA:**

WWW.WYDAJENAMSIE.PL



Spis treści

Strona tytułowa	2
Karta redakcyjna	3
Cytat	7
ROZDZIAŁ 1	8
ROZDZIAŁ 2	14
ROZDZIAŁ 3	19
ROZDZIAŁ 4	26
ROZDZIAŁ 5	30
ROZDZIAŁ 6	36
ROZDZIAŁ 7	40
ROZDZIAŁ 8	45
ROZDZIAŁ 9	50
ROZDZIAŁ 10	55
ROZDZIAŁ 11	59
ROZDZIAŁ 12	64
ROZDZIAŁ 13	70
ROZDZIAŁ 14	74
ROZDZIAŁ 15	78
ROZDZIAŁ 16	82
ROZDZIAŁ 17	87
ROZDZIAŁ 18	91
ROZDZIAŁ 19	95
ROZDZIAŁ 20	98
ROZDZIAŁ 21	103

ROZDZIAŁ 22	107
ROZDZIAŁ 23	111
ROZDZIAŁ 24	117
ROZDZIAŁ 25	121
ROZDZIAŁ 26	126
ROZDZIAŁ 27	132
ROZDZIAŁ 28	137
ROZDZIAŁ 29	141
ROZDZIAŁ 30	146
ROZDZIAŁ 31	150
ROZDZIAŁ 32	154
ROZDZIAŁ 33	158
ROZDZIAŁ 34	163
ROZDZIAŁ 35	169
ROZDZIAŁ 36	174
ROZDZIAŁ 37	179
ROZDZIAŁ 38	184
ROZDZIAŁ 39	189
ROZDZIAŁ 40	196
ROZDZIAŁ 41	200
ROZDZIAŁ 42	204
ROZDZIAŁ 43	208
ROZDZIAŁ 44	212
ROZDZIAŁ 45	217
ROZDZIAŁ 46	222
ROZDZIAŁ 47	226

ROZDZIAŁ 48	230
ROZDZIAŁ 49	234
ROZDZIAŁ 50	239
ROZDZIAŁ 51	244
ROZDZIAŁ 52	249
ROZDZIAŁ 53	253
ROZDZIAŁ 54	257
ROZDZIAŁ 55	261
ROZDZIAŁ 56	265
ROZDZIAŁ 57	269
ROZDZIAŁ 58	273
ROZDZIAŁ 59	277
ROZDZIAŁ 60	282
ROZDZIAŁ 61	286
ROZDZIAŁ 62	291
ROZDZIAŁ 63	295
ROZDZIAŁ 64	299
ROZDZIAŁ 65	303
ROZDZIAŁ 66	307
ROZDZIAŁ 67	311
ROZDZIAŁ 68	315
ROZDZIAŁ 69	319
ROZDZIAŁ 70	324
ROZDZIAŁ 71	329
ROZDZIAŁ 72	334
ROZDZIAŁ 73	337

ROZDZIAŁ 74	342
ROZDZIAŁ 75	346
ROZDZIAŁ 76	351
ROZDZIAŁ 77	356
ROZDZIAŁ 78	360
ROZDZIAŁ 79	366
ROZDZIAŁ 80	371
ROZDZIAŁ 81	378
ROZDZIAŁ 82	383
ROZDZIAŁ 83	387
ROZDZIAŁ 84	393
ROZDZIAŁ 85	396
ROZDZIAŁ 86	400